# TWÓRCZOŚĆ

U. I. C. C.
NOV 3 0 1978
LIBRARY

4

KWIECIEŃ

ROK VIII 1952

# TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VIII ZESZYT 4

WARSZAWA KWIECIEŃ 1952

o cały naród i swoją twórczością może służyć całemu narodowi. Który więc pisarz chciałby pozostać poza narodem?

„Droga artysty — powiedział niedawno Jarosław Iwaszkiewicz — jes ku życiu, nie ku śmierci, ku afirmacji, nie ku negacji — i w tym mieści si najszczytniejsze jego zadanie budownictwa dzisiaj nowego, przemienioneg człowieka". (Nowa Kultura, 1951, Nr 1).

Wskazania Partii prowadzą właśnie „ku życiu, nie ku śmierci". Wska zania Partii uczą, jak budować „nowego, przemienionego człowieka". Wska zania Partii dają pisarzowi ową jasność widzenia, o której w wierszu D r o g p o k o l e ń pisał Adam Ważyk.

„Kto patrzy oczami Partii, odsieje ziarno od plewy,
błąd naprostuje, sprawców odetnie, nazwie ich po imieniu".

We wszystkich wskazaniach Partii stale powtarza się to mianowicie wskazanie konieczności pogłębiania wiedzy marksistowskiej. Co to oznacza

Oznacza to z jednej strony konieczność zarówno wzbogacania marksi stowskiej wiedzy teoretycznej jak i kształtowanie umiejętności stosowani marksizmu w praktyce. Z drugiej zaś strony oznacza to konieczność stałe samokontroli, stałej czujności wobec siebie samego, stałego przezwyciężа nia i usuwania tych wszystkich obciążeń, nawyków, skaz i odruchów, jaki w nas pozostały w spadku po ustroju starym i jakie w najrozmaitszej for mie, nieraz głęboko ukrytej i zamaskowanej, przychodzą jeszcze do głosu

„...Aby opanować teorię marksistowsko-leninowską — pisze Stalin — należy się przede wszystkim nauczyć odróżniać jej literę od jej istoty" (Historia WKP(b), Krótki kurs, Warszawa, 1949, str. 402).

W swojej ostatniej pracy M a r k s i z m a z a g a d n i e n i a j ę z y k o z n a w s t w a Stalin wyjaśnia, co należy przez to rozumieć.

„Mole książkowe i talmudyści rozpatrują marksizm, poszczególn wnioski i formuły marksizmu jako zbiór dogmatów, które „nigdy" ni zmieniają się, mimo zmiany warunków rozwoju społeczeństwa. Myśl oni, że jeśli nauczą się na pamięć tych wniosków i formuł i zaczną cy tować je na wszelkie sposoby, to potrafią rozwiązywać wszelkie za gadnienia, licząc na to, że wyuczone wnioski i formuły przydadzą im si dla wszystkich czasów i krajów, we wszystkich wypadkach w życiu. Ta jednak mogą myśleć tylko ludzie, którzy widzą literę marksizmu, al nie widzą jej istoty, wykuwają na pamięć teksty wniosków i formu marksizmu, lecz nie rozumieją ich treści". (J. W. Stalin: Marksizm a za gadnienia językoznawstwa, Warszawa, 1951, str. 50).

I wreszcie:

„Opanować teorię marksistowsko-leninowską znaczy to przyswoić so bie istotę tej teorii i nauczyć się posługiwać tą teorią przy rozstrzygani praktycznych zagadnień ruchu rewolucyjnego w różnych warunkac walki klasowej proletariatu". (Historia WKP(b), Krótki kurs, Warsza wa, 1949, str. 402).

W odniesieniu do zagadnień twórczości literackiej ta „łączność nau z działalnością praktyczną, łączność teorii z praktyką, jedność teor i praktyki" oznacza dla pisarza konieczność podjęcia takiego myślowe wysiłku, który mógłby skutecznie chronić z jednej strony przed skostnie niem teoretycznym, z drugiej zaś strony przed nieuctwem i żywiołowości

v obu więc wypadkach przed niebezpieczeństwem oderwania się od poli-ycznych zadań chwili bieżącej. Chodzi zatem o upolitycznienie myślenia. ) upolitycznienie literatury. O jak najściślejsze powiązanie jej z zadaniami hwili bieżącej. O wyrażenie tych zadań. O czynną, aktywną postawę pi-arza w ich realizowaniu.

Światopogląd marksistowski powinien funkcjonować, jak człowiek rów-o i sprawnie pracujący obiema rękami: z jednej strony powinien czerpać eorię, z drugiej — konkretną sytuację i obie łączyć w sądzie, który okre-la treść i wyznacza kierunek działania. Pisarz musi sobie zdawać sprawę, e każde w tej myślowej pracy zachwianie równowagi nieuchronnie i ujem-ie musi się odbić na jego twórczości. Jeśli bowiem następstwa niedowładu raktyki przypominają strzał krótkowidza z dobrego karabinu, to znów nie-owład teorii daje skutki podobne do strzelania z karabinu zdezolowanego. fekt w obu wypadkach jest podobny: kula chybia celu.

Z tego też zachwiania równowagi pomiędzy teorią i praktyką wynika uża ilość błędów naszej literatury. Jak bowiem można nie oderwać się od biektywnej treści bieżących zadań i jak można służyć im w dziele literac-im, jeśli się zna wprawdzie te zadania, lecz ze względu na niedostateczne panowanie nauki marksistowskiej nie umie się ich trafnie osadzić w miej-cu i czasie? Jak można np. prawidłowo a więc obiektywnie ustawić zagad-ienie Frontu Narodowego, jeśli się nie dość dokładnie zna marksistowskie aświetlenie zagadnienia narodu, patriotyzmu i jeśli się nie ma dostatecznej iedzy o ustroju demokracji ludowej, jako wynikającej z określonych wa-unków historycznych formy dyktatury proletariatu?

A z drugiej strony, jak można nie oderwać się od obiektywnej treści ieżących zadań i jak można służyć im w dziele literackim, jeśli teoretyczna iedza o tych zadaniach rozmija się z ich konkretnością w miejscu i czasie, eśli głowa zanurzona we „wnioskach i formułach" nie dostrzega nóg i nie ontroluje ich ruchów? Czyż nie łatwo biec żywiołowo na oślep, uderzyć łową o mur, albo pośliznąć się i upaść?

A zatem łączyć teorię z praktyką — oto jedyna droga, na której nasz wiatopogląd może istotnie spełniać swoją funkcję poznawczą oraz posiadać dolność kształtowania rzeczywistości. A zatem upolitycznić „myślący ro-um"! Upolitycznić literaturę.

Nasza Partia, zabierając głos w sprawach literatury i twórczości literac-iej, niejednokrotnie kierowała i kieruje ostrze swej krytyki przeciwko zja-isku deklaratywności. Tym przejawom deklaratywności, fałszywym ideolo-icznie i tym samym artystycznie chybionym, Partia przeciwstawia ideolo-iczną żarliwość, ideologiczną pasję.

Jakie są przyczyny deklaratywności w literaturze? Można takich przy-zyn wymienić co najmniej dwie.

Z jednej strony postawa deklaratywna wynika z nie dość pogłębionego wiatopoglądu i jest przejawem tej samej niepewności, sztywności i mono-onii ruchów, jakie w każdej dziedzinie np. sportu posiada człowiek stawia-ący pierwsze na tym polu kroki. Niepewnie poruszając się wśród zjawisk biektywnego świata, niepewnie władając naukową metodą poznawczą nie ożemy tych zjawisk ani pokazać, ani wartościować inaczej, jak w sposób iepewny, sztywny i monotonny. Tę zaś niepewność, sztywność i monoton-

ność maskujemy deklaratywnością. To znaczy zamiast ukazania elementó
rzeczywistości w ich rozwoju, w ich walce — zastępujemy poznanie arty
styczne formułą. „Gdzie braknie pojęć, tam można słówko wstawić we wła
ściwej chwili" — powiedział w Fauście Goethe.

Z drugiej zaś strony postawa deklaratywna w literaturze wynika z uczu
ciowego niedowładu pisarza, z nierozbudzenia w artyście lub rozbudzeni
niedostatecznego tych właśnie cech, o których już była wyżej mowa, jak
o cechach ściśle związanych z metodą dialektycznego myślenia. Wynik
zatem z braku lub niedostatecznego nasilenia w pisarzu woli walki, pas
walki.

W związku z zadaniami chwili bieżącej Partia z końcem roku 1951 skiero
wała pod adresem pisarzy wezwanie do wzmożenia twórczej aktywności.

To wezwanie wiąże się z konkretną sytuacją wewnętrzną i międzynaro
dową. Lecz równocześnie ten postulat wzmożenia pisarskiej aktywności się
ga głębiej niż do jednej sytuacji, sięga bowiem do istoty socjalistycznego
stosunku do pracy i do istoty zadań, jakie w pełnym pojęciu tego słowa stoj
przed literaturą polską w okresie budowy w naszym kraju socjalizmu.

Jeśli Partia stawia przed klasą robotniczą i przed masami pracującym
zadania wzmożonej pracy, większej wydajności pracy i podnoszenia jej ja
kości; jeśli Partia w oparciu o inicjatywę przodujących jednostek klasy robot
niczej i pracującego chłopstwa popiera ruch racjonalizatorski i współzawod
nictwa pracy, wzywając cały naród do wykonywania i przekraczania zada
Planu Sześcioletniego; jeśli Partia inspiruje młodzież, aby czyniła cora
większe postępy w nauce; jeśli apeluje do uczonych, do inteligencji o wzmo
żenie pracy — to nie ma żadnych powodów, aby pisarze spod tego ogólno
narodowego obowiązku wzmożenia wydajności pracy byli wyodrębnieni.

Co to znaczy wzmóc aktywność pisarską?

Myślę, że oznacza to wzmóc aktywność wszystkich elementów twórczośc
Wzmóc więc z jednej strony aktywność kolektywu pisarskiego, z drugie
strony aktywność indywidualną.

Na zjeździe pisarzy radzieckich w roku 1934 Gorki powiedział między
innymi:

> „Literatura radziecka przy całej różnorodności talentów i wciąż wzra
> stającej liczbie nowych utalentowanych pisarzy winna być zorganizo
> wana jako jednolita kolektywna całość, jako potężny oręż kultury socja
> listycznej.
>
> Związek pisarzy powstał nie po to, aby dokonać fizycznego zjednocze
> nia artystów pióra, lecz aby zjednoczenie zawodowe pozwoliło im uświa
> domić swą kolektywną siłę, określić możliwie jasno różnorodność kieru
> ków twórczości i jej cele, oraz zespolić harmonijnie wszystkie cele w jed
> ności, która kieruje twórczą energią kraju". (Gorki. Wybór artykułó
> publicystycznych. Warszawa, 1950, str. 412).

Nasz Związek Literatów Polskich, zreorganizowany w sposób zasadnicz
na V Walnym Zjeździe w roku 1950, a więc obecny Związek sekcji twó
czych, kół młodych pisarzy, dyskusyjnych zebrań plenarnych i terenowyc
sekcji kulturalnych jest Związkiem nowego, socjalistycznego typu. Wzmo
aktywność tego pisarskiego kolektywu, to znaczy przede wszystkim prz
prowadzić na terenie Związku walkę o jakość. Walkę o stałe podnoszen

poziomu ideologicznego i artystycznego pracy pisarzy w sekcjach twórczych. Walkę o podnoszenie ideologicznego i pisarskiego poziomu kół młodych pisarzy, o większą i staranniejszą opiekę nad nimi ze strony pisarzy dojrzałych. Walkę o podnoszenie poziomu akcji literackich w terenie; odczytów, wieczorów autorskich itp.

Chodzi zatem o to, aby działalność Związku Literatów Polskich osiągała coraz wyższy poziom ideologiczny, artystyczny i organizacyjny, aby kolektyw pisarzy polskich w coraz szerszym i głębszym zakresie stawał się „potężnym orężem kultury socjalistycznej".

Partia stale podkreśla wielkie, twórcze znaczenie, jakie dla rozwoju naszego narodu posiada jego postępowa tradycja. Najpełniejszy wyraz tego stanowiska Partii dał towarzysz Bierut, gdy mówiąc w styczniu br. o projekcie Konstytucji powiedział między innymi:

„W suchych na pozór artykułach projektu Konstytucji zawarty jest w istocie ogólny wynik i bilans wiekowej historii walk klasowych i wyzwoleńczych polskich mas ludowych, którym na przestrzeni ostatnich 70 lat przodowała polska klasa robotnicza — walk długich i ciężkich, ale uwieńczonych zwycięstwem. Od rozpaczliwych walk i buntów chłopskich, od walk najświatlejszych i postępowych ludzi z ciemnotą i reakcją, od Konstytucji 3 maja 1791 roku, konstytucji nieurzeczywistnionej, której pamięć mimo to w ciągu półtora wieku naród czcił jako pierwszy wyłom — nikły jeszcze i niepewny — ale podważający tyranię przywilejów magnacko-szlacheckich — ciągnie się poprzez okres międzywojenny i okres okupacji hitlerowskiej, usłana setkami tysięcy ofiar spośród najlepszych, długa, znojna, pełna bohaterstwa i poświęcenia droga walki o wolność, o prawa dla ludu, o władzę ludu". (Trybuna Ludu, 27 stycznia, 1952 r.).

Również i w odniesieniu do literatury Partia stale podkreślała i podkreśla, jak wielkie znaczenie dla rozwoju twórczości literackiej, dla wzbogacenia jej treści i formy posiada przyswajanie sobie przez pisarzy dorobku epok minionych. Nasza socjalistyczna literatura — przekładając myśl Lenina na konkretną sytuację literacką — nie wyskoczyła nie wiadomo skąd, nie jest wymysłem ludzi nazywających się specjalistami w dziedzinie realizmu socjalistycznego. Literatura socjalistycznego realizmu powinna być konsekwentnym rozwinięciem zasobów wiedzy literackiej, które ludzkość wypracowała pod jarzmem społeczeństwa kapitalistycznego.

Jeśli więc postępowe tradycje naszej literatury mają istotnie żyć w naszej literaturze obecnej, jeśli mają wzbogacać świadomość pisarzy, ich język, ich warsztat, dalej spełniając swoją rolę służebną, czynną i aktywną — to trzeba przede wszystkim, aby pisarze dobrze i wszechstronnie znali tę tradycję i aby doświadczenia epok minionych starali się wykorzystać w sposób tak twórczy, jak to w zakresie problemów wiersza polskiego zrobił Adam Ważyk w swojej rozprawie M i c k i e w i c z i w e r s y f i k a c j a n a r o d o w a.

Cóż więc jest konieczne, żeby wskazania Partii mogły zostać w pełni zrealizowane i aby nasza socjalistyczna literatura stała się ową „arką przymierza między dawnymi i młodszymi laty"?

Jest przede wszystkim konieczne, aby ogół pisarzy, szczególnie pisarzy młodych, początkujących, z większym niż do tej pory zapałem sięgnął do dawnej polskiej literatury, żeby pisarze poszerzali i pogłębiali znajomość tej literatury. Jest dalej konieczne, żeby pisarze nie tylko dobrze znali literackie teksty, lecz żeby również w żywszym stopniu niż do tej pory zainteresowali się pracami wydawanymi przez Instytut Badań Literackich, żeby sięgnęli do pasjonujących i odkrywczych rozpraw P a m i ę t n i k a L i t e r a c k i e g o, żeby — jednym słowem — śledzili rozwój naszej nauki o literaturze i dotrzymywali mu kroku.

Cóż byśmy powiedzieli o lekarzu, który nie orientuje się w odkryciach naukowych swojej dziedziny? Albo o inżynierze, który sobie lekceważy osiągnięcia i postęp techniki? Powiedzielibyśmy: zły lekarz, zły inżynier. Sięgając zaś do bliskiej nam dziedziny sztuki, cóż byśmy powiedzieli o kompozytorze, który nie posiada naukowej wiedzy z zakresu historii muzyki? Albo o plastyku, który w swojej dziedzinie nie posiada podobnej wiedzy? Powiedzielibyśmy: kiepski kompozytor, kiepski malarz.

Natomiast w środowisku literackim działa jeszcze widocznie stara przedwojenna magiczna pałeczka talentyzmu, ponieważ nie starczyłoby z pewnością palców u rąk i nóg, aby zliczyć tych wszystkich naszych pisarzy, którzy mają jak najbardziej mgliste pojęcie o naukowych pracach i osiągnięciach Żółkiewskiego, Wyki, Kotta, Mikulskiego, Markiewicza, Budzyka, Leśnodorskiego i wielu, wielu innych.

Mówi się teraz u nas wiele o poprzednikach realizmu socjalistycznego, a więc o realizmie krytycznym, realizmie romantycznym i realizmie okresu Oświecenia, racjonalistycznym, jak go nazwał Paweł Hoffman. Nie trzeba chyba udowadniać, jak duże znaczenie dla rozwoju naszej literatury, prozy i poezji, może posiadać pogłębienie tych zagadnień. Lecz o pogłębieniu można w tym wypadku tylko mówić, jeśli te czy inne elementy dawnych realizmów zostaną w utworach współczesnych pisarzy w sposób twórczy, nie mechaniczny, przekształcone. Jak zaś mówić o twórczym przekształcaniu owych elementów, jeśli znajomość samych elementów jest niedostateczna, lub jeśli znając je — nie umie się wobec nich zająć naukowej, marksistowskiej postawy?

Mao Tse-tung w pracy O z a d a n i a c h a r t y s t y i p i s a r z a tak mówił, zwracając się do chińskich twórców:

„Jeśli chcecie, aby masy was zrozumiały, musicie się całkowicie zespolić z nimi, musicie poddać się długiemu, niekiedy nawet bolesnemu procesowi zdyscyplinowania swej indywidualności artystycznej". (Mao Tse-tung. O z a d a n i a c h a r t y s t y i p i s a r z a, Warszawa, 1950, str. 13).

Pisarze polscy w przeważającej, ogromnej większości weszli na tę drogę. Wychodzili z różnych pozycji, z różnym bagażem, nierówne odległości mieli do przebycia, odmiennie w poszczególnych momentach widzieli cel drogi i nie te same obierali ścieżki do niego prowadzące. Jedni posuwali się naprzód szybciej, inni wolniej. Jedni na większe przeszkody natrafiali, drudzy na mniejsze. A któż nie doświadczył zabłądzenia? Kto bodaj na chwilę nie zszedł z drogi właściwej, nie zapędził się na jałowe wertepy, lub chcąc sobie skrócić wędrówkę — nie zboczył na ślepą drogę? Konieczność zawracania

w takich wypadkach bywa szczególnie dotkliwa. Lecz jednocześnie jakże pouczająca.

W tym wielkim zbiorowym marszu literatury polskiej do socjalizmu towarzyszyła pisarzom Partia. Ona potrafiła wskazywać pisarzom konieczność tej drogi. Ona umiała przekonać wahających się i wątpiących. Umiała wahania przełamywać, na wątpliwości odpowiadać, przemawiała bowiem całą naszą rewolucyjną rzeczywistością: jej wielkością, jej patosem, jej trudnościami. Przemawiała głosem potrzeb i pragnień klasy robotniczej, aby wzmacniając ten głos i czyniąc go coraz bardziej jednolitym i wolnym od zgrzytów stać się głosem całego narodu.

Historyczną zasługą Partii jest fakt, że w przełomowych dla narodu czasach, w dobie największych wstrząsów, jakich w swej historii doznała nasza ojczyzna, Partia wykazywała troskę i szacunek dla każdej indywidualności pisarskiej, jeśli tylko pisarz nie stanął na pozycjach zdecydowanie wrogich.

Partia nasza w zasadniczej linii swej polityki kulturalnej w stosunku do pisarzy burżuazyjnych, inteligenckich, należących zarówno do pokolenia starszego, jak i średniego, potrafiła w praktyce zastosować zasady, jakimi w swoim czasie kierowała się bratnia partia bolszewików, która jeszcze w roku 1925 zabierając głos w sprawie tzw. „poputczyków" stwierdziła, że „ogólną dyrektywą musi być tutaj dyrektywa pełnego taktu i oględnego stosunku do nich, to jest takiego podejścia, które zapewniałoby wszelkie warunki do szybszego ich przejścia na pozycje ideologii komunistycznej", że „partia winna z cierpliwością odnosić się do pośrednich form ideologicznych, pomagając cierpliwie przezwyciężać te z natury rzeczy liczne formy w procesie ściślejszej koleżeńskiej współpracy z siłami kulturalnymi komunizmu".

Dzięki tej polityce naszej Partii literatura polska w okresie decydującym o jej rozwoju poniosła w ludziach straty wyjątkowo małe. Nikła ilość pisarzy zamilkła na znak protestu, lub stanęła na pozycjach wyraźnie i nieprzejednanie antymarksistowskich. Możemy nawet zaobserwować zjawisko wręcz odwrotne: oto pisarze, którzy milczeli przez pewien czas i trzymali się z daleka od toczącej się w naszym kraju wielkiej walki, zrywają z milczeniem i swój głos na nowo przyłączają do zbiorowości literackiej. Również możemy zaobserwować zjawisko, że niejeden z pisarzy, zajmując w pierwszych latach stanowisko antymarksistowskie, opuścił to stanowisko i zbliżył się do pozycji decydujących o coraz wyraźniejszym i bardziej jednolitym obliczu naszej literatury.

Ten stosunek Partii do twórczości literackiej sprawił, że wiele uprzedzeń, zadrażnień i nieufności tkwiących jeszcze przed kilkoma laty w umyśle niejednego pisarza — dzisiaj rozwiało się całkowicie lub prawie całkowicie. Ogół pisarzy bezpartyjnych, nawet tych jeszcze daleko od Partii stojących, coraz jaśniej poczyna sobie uświadamiać, że ani wskazania Partii nie zmuszają ich do przekreślenia swojej dotychczasowej twórczości, ani krytyka Partii nie ma na celu „wykończenia" tego czy innego pisarza, ani wreszcie postulaty Partii nie są zamachem na indywidualny charakter uzdolnień i zainteresowań poszczególnych pisarzy.

Odwrotnie: coraz większa ilość pisarzy nie stojących na stanowisku marksizmu, lecz opowiadających się szczerze po stronie rządów Polski Ludo-

wej, po stronie pokoju i naszego pokojowego budownictwa, coraz jaśniej sobie uświadamia, że Partia jak najbardziej docenia postępowy w ówczesnych warunkach nurt dawnej twórczości pisarzy; że jeśli krytykuje to jedynie po to, by uświadomić pisarzowi jego błędy, by uchronić go przed nim samym; i nie dopuścić do tego, by mógł się stać sztandarem dla „wewnętrznej emigracji"; że wreszcie Partia szanuje indywidualność pisarza i nie zmusza do podejmowania tematyki obcej jego temperamentowi i uzdolnieniom, domaga się zaś jedynie od pisarza służenia narodowi w taki sposób i w takiej formie, które najbardziej twórcy odpowiadają i nie przeczą zasadniczemu nurtowi literatury socjalistycznej.

Zło dawnego świata tak bardzo przegięło niejednemu pisarzowi plecy, że wówczas, gdy rewolucja poczęła się pogłębiać i trzeba było stać prosto nie tylko w swoim pokoju, lecz wszędzie — nie umiał tego uczynić i nie potrafił ani podnieść głowy, ani śmiało spojrzeć prawdzie w oczy. Jak można było wierzyć w klasę robotniczą, widzieć jej wzrost, jej bohaterstwo, jej ofiarność, gdy się stało z pochyloną głową i nie umiało się czynem towarzyszyć najlepszym synom ojczyzny?

Partia nie zawiodła i w tym najtrudniejszym okresie paraliżu wielu pisarskich piór. Partia przyszła do pisarzy ze swoją inspiracją mówiąc: nauczcie się myśleć po marksistowsku, poznajcie dobrze naszą rzeczywistość.

Partia przyszła tym razem silniejsza niż była. Przyszła z Planem Sześcioletnim. Z obrazem przyszłości narodu, tej bliskiej i tej dalekiej. Ojczyznę przyprowadziła Partia do pisarzy.

Wówczas, na tle całego naszego kraju, na tle wielkości toczącej się walki i jej celów; więcej: na tle spraw całego świata, na tle walki o pokój i wolność ludów — w nowym, prawdziwym kształcie poczęła się pisarzom zarysowywać droga realizmu socjalistycznego, jej sens polityczny i społeczny, jej głęboka treść patriotyczna, jej mocny i trwały humanistyczny budulec.

Paraliż pisarskich piór począł powoli mijać. Zaczęto stawiać pierwsze słowa na nowej drodze. Niejedno z nich zostało skreślone ręką jeszcze trochę sztywną. Również skurcz pisarskich krtani mijał, choć niejeden jeszcze głos brzmiał chropawo.

Rośliny przeniesione z inspektów do wiosennej ziemi potrzebują pewnego czasu, aby wchłonąć w siebie życiodajne soki i po doznanym wstrząsie wyprostować się. Naszej literaturze, gdy włączyła się w ożywczy nurt rewolucji, również trzeba pewnego czasu, aby pióra wchłonęły w siebie pełną treść życia i aby w głosach pisarskich zawibrował radosny i mocny głos zwyciężającej prawdy. Ten proces jeszcze się nie skończył. Jeszcze trwa.

Połową trudności jest ich niezrozumienie. Droga socjalistycznego realizmu nie przestała być trudna. Lecz w coraz szerszym zakresie i w coraz głębszym ujęciu staje się zrozumiała. Któż zresztą chce łatwej twórczości, kto chciałby szukać w twórczości łatwych dróg? Nie w tym rzecz, czy droga jest trudna, lecz w tym, czy jest słuszna.

Droga socjalistycznego realizmu jest słuszna. Mówi nam o tym nasz „myślący rozum", nasz światopogląd i nasze wewnętrzne przekonanie, wiedza i partiotyzm, umiłowanie sztuki, wszystko, co się składa na naszą ideologię. Należy zatem wejść na tę drogę, mniej myśląc o trudnościach, a więcej,

jak je pokonać na miarę swoich umiejętności i swojej własnej indywidualności twórczej.

Partia nie żąda, aby pisarze szli drogą realistycznego socjalizmu w jednakowy sposób i jednakowym krokiem. Literatura nie jest wojskową defiladą. Lecz również nie jest żywiołowym tłumem. Porządkiem literatury socjalistycznej rządzą te same zasady, które kierują socjalistycznym życiem, a więc zasady godzące i jednoczące indywidualny rozwój jednostki z potrzebami zbiorowości, rozwój szczegółu z rozwojem całości.

Pisarz socjalistyczny posiada pełne warunki do rozwijania w swojej twórczości indywidualnego temperamentu, z tym jednym tylko zastrzeżeniem, by ten wszechstronny rozwój ogarniający sferę zarówno ideologii, jak i artyzmu zgodnie współbrzmiał z postępowym rozwojem społeczeństwa. Lecz czyż to zastrzeżenie nie jest jednocześnie jednym z podstawowych warunków rozwoju pisarza i jego twórczości?

Pokarmem twórczości literackiej jest obiektywna rzeczywistość. Przetwarza ją na kształt artystyczny „myślący rozum" pisarza wsparty o zespół indywidualnych cech artysty, zasilany i ożywiany tymi indywidualnymi cechami. Skoro jednak i „myślący rozum" i ów zespół cech indywidualnych przetwarzają obiektywną rzeczywistość w taki sposób, iż jej wyraz w dziele sztuki przeczy lub rozmija się z obiektywną rzeczywistością, gubi łączność z postępowym, rewolucyjnym nurtem tej rzeczywistości, zatraca więź z żyjącym narodem, nie zaspokaja potrzeb i pragnień mas pracujących, które kształtują losy narodu — jak w takim wypadku mówić o możliwościach rozwoju twórczości i możliwościach rozwoju indywidualnych cech pisarza?

Rzecz jasna, że w takim wypadku ani o rozwoju indywidualnych cech pisarza, ani o rozwoju jego twórczości mówić nie można. Przeciwnie: możemy w takim wypadku zaobserwować wynaturzenie się indywidualnych cech pisarza, oraz zatrzymanie się rozwoju jego twórczości, co w praktyce oznacza wycofywanie się na pozycje wsteczne.

W chwili obecnej wyrastają przed nową literaturą zadania coraz rozleglejsze. Te zadania nie będą się zmniejszać, lecz będą wzrastać. Nie stoi już przed pisarzami pytanie: czy możliwy jest realizm socjalistyczny? Stoi natomiast zadanie, aby literaturę socjalistyczną tworzyć i rozwijać. Aby twórczością literacką nadążyć za szybkością przemian społecznych i politycznych. Aby twórczością literacką służyć budowie socjalizmu. Przyśpieszać socjalizm.

Mimo jednak wszystkich decydujących zwycięstw nowego w naszej literaturze, zwycięstw zarówno ideologicznych jak i artystycznych — stare nie zostało jeszcze przezwyciężone do końca. Zatem walka klasowa trwa na tym odcinku dalej.

Czy nie mamy jeszcze wśród nas pisarzy, którzy tak bardzo kochają swoją indywidualność i tak ogromnie ją szanują, iż ani jednej kruszynki nie chcą z owej indywidualności uronić, ani jednego źdźbełka usunąć, ani jednej krzywizny wyprostować? Tacy pisarze jeszcze istnieją. Przypominają oni drzewo owocowe, które, gdyby oczywiście mogło, nie pozwoliłoby wczesną wiosną na obcięcie ani jednej gałązki. Cóż by się z takim drzewem stało? Z roku na rok dawałoby owoce coraz gorsze, aż na koniec całkiem by zdziczało.

Dziczeją więc i odsuwają się od narodu pisarze, którzy w imię fałszywie pojętego szacunku i miłości dla swojej twórczej indywidualności uchylają się od odcięcia swych schorzałych, starych lub zbyt wybujałych cech indywidualnych, cech, które nie rozwijają twórzości, lecz ją hamują. Pisarze tacy, ślepo we własnej indywidualności zakochani, nie widzą jej rozkładu. Widzą siebie jedynie jako szczegół. Nie słyszą siebie. Słyszą siebie jedynie w charakterze solisty. Nie widzą i nie słyszą siebie na tle całości. Nie rozumieją, że chroniąc swą indywidualność — niszczą ją, ponieważ czynią ją bezużyteczną. Nie chcą również zrozumieć, że tylko to, co posłuży postępowi, może być użyteczne i tym samym to tylko może twórczo wzrastać.

Pozycja ta jest, jak się zdaje, jedną z ostatnich, na jaką w walce sprzeczności jeszcze antagonistycznych mógł się w chwili obecnej schronić w naszej literaturze stary mieszczański reakcyjny świat.

Rzecz prosta, że owa ucieczka w „indywidualność" nie zawsze musi występować w formie najostrzejszej. Ucieczka pisarza w „indywidualność" niekoniecznie musi się przejawiać w milczeniu pisarza i odwróceniu się plecami do literatury. Pisarz z najrozmaitszych względów może nie zdecydować się na taki krok, przeciwnie: może nawet szczerze stać z twarzą zwróconą ku literaturze, lecz to jeszcze nie oznacza, by w prywatnych zakamarkach serca nie hodował rozlicznych lęków właśnie związanych z niepokojem o bezpieczeństwo swojej „indywidualności" lub żalów, że nie na całą jego „indywidualność" godzi się klasa robotnicza, partia, naród. Pisarz taki pojmuje wprawdzie służebną rolę literatury, ma pozytywny stosunek do naszej rzeczywistości, ceni ją, lecz to wcale nie znaczy, by swojej własnej „indywidualności" nie cenił trochę więcej. Jest więc w ciągłej rozterce, pełen wahań i bolesnych urazów, błądząc zaś pomiędzy „wiedzieć" i „kochać", nie potrafi ani świadomości ożywić miłością, ani miłości wyprostować wiedzą.

Cóż więc ma czynić ów Hamlet literackiej rewolucji? Wydaje się, że powinien dobrze przemyśleć wskazania Partii, powinien zaangażować w tę pracę wszystkie siły swego „myślącego rozumu" i całą namiętność serca. A potem, aby praktycznie sprawdzić rezultaty tej pracy — „na nowo łamać" pieśń.

W przeciwnym wypadku, przedłużając wahania i dalej błądząc wśród „wiedzieć" i „kochać", będzie swoją „indywidualnością" coraz dalej odchodzić od rzeczywistości, pomiędzy nim a światem wyrastać będzie przepaść coraz głębsza i coraz jawniej odsłaniająca jedyną wówczas drogę: drogę odwrotu na pozycje świata ginącego.

Nie ma dla pisarzy Polski Ludowej innych dróg prócz tych dwóch: tej, która prowadzi naprzód, i tej drugiej, która wiedzie wstecz. Kto się zatem jeszcze znajduje na ścieżkach bocznych — musi się zdecydować, do której z owych dróg chce dojść. Im bowiem dłużej będzie szedł samotnie drogą boczną, tym pewniej znajdzie się na wiodącej wstecz, gubiąc indywidualność i twórczość. Im zaś szybciej dotrze do drogi właściwej, tym rychlej odnajdzie na niej i własną indywidualność, i własną twórczość.

**Jerzy Andrzejewski**

## DROGA POKOLEŃ

Tysiąc dziewięćset piąty skinął czerwonym sztandarem
na niebie dzieciństwa, nad nieprzebranym tłumem.
Uczeń stał przed katedrą, ujął kałamarz i cisnął
nad głową nauczyciela w portret cara na ścianie.
Tak się skończyło głodne chleba i książki dzieciństwo,
tylko pastusza ciekawość z tego dzieciństwa zostanie.

Tak się zaczyna młodość ucznia, murarza, zecera.
Za wózkiem wapna, za kasztą, nie dośpi, nie dojada,
krąży w kółkach młodzieży szturmującej do nieba,
krząta się, wiąże kółka. Świat mu się w oczach otwiera,
ogromna masa ludzka w klasę i naród się zbiega.

Armie stają w okopach. Zanim zecer z Lublina
zdoła przez wrzawę wojenną usłyszeć słowa Lenina,
jak leninowiec układa na własną rękę ulotki
mówiące prawdę o wojnie. Tak się zaczyna wiek męski,
tropiony przez cztery policje, długo włóczony po celach,
ale nigdy samotny. Partia wie i pamięta.
Ciemne areszty Zagłębia, pięć lat za murami Rawicza —
zawsze jest sprawa, co leży na sercu jak dłoń przyjaciela.

Armie nie stoją w okopach, czołgi tratują narody.
W noc faszystowskiej zagłady on widzi, jak noc się ugina,
wie, że przyjdą żołnierze z jasnym imieniem Stalina,
wzywa żołnierzy w imieniu tej, która nie zginęła,
dokładnie czyta w przyszłości. Aż noc się czarna ugięła.

Nie ma zwątpienia na chwilę i nie ma chwili wytchnienia.
Niegdyś w murach Rawicza myślał, jak kadry ocalić,
w latach odwrotu oświecał młodych i masy rozbite
łączył, łączył od dołu. Dzieło dojrzewa z czasem
i spełnia dawne marzenia — aby zjednoczyć klasę.

Kto patrzy oczami Partii, odsieje ziarno od plewy,
błąd naprostuje, sprawców odetnie, nazwie ich po imieniu.
Trzy pokolenia rewolucyjne schodzą się w jednym sumieniu,
mówią jednymi ustami, jedną unoszą rękę
nad Planem, nad hutą jutrzejszą, nad ziemią biedniacką,
trzy pokolenia rewolucyjne w jedną zbiegają się troskę
i trwa ich wspólny wiek męski, trudny, zwycięski.

Lud zasiadł w Belwederze. Budzi się młoda Warszawa,
odchodzą nocni murarze, nadchodzi dzienna zmiana,
zecerzy idą do domu i gwiżdżą po warszawsku,
a daleko za miastem drobna rączka pastusza
rozkłada na kamieniu — „Pana Tadeusza".

**Adam Ważyk**

## GOŁĘBIE

O, tramwajowych tras obrączki,
O, dworców tętniące głębie!
Widziałam synka, gdy karmił z rączki
Warszawskie gołębie.

I biegł tam gołąb nóżką rozwianą,
Gdzie dziecka stanęła stopka,
I leciał gołąb biały z wiślaną
Kroplą u dziobka.

Już cień przycupnął szary pod bramą,
Zmilkł hejnał dziecinnych trąbek.
Synek nim zaśnie — gdzie — pyta — mamo,
Mieszka gołąbek?

Mieszka w kamieniu drążonym kulą,
Na belek zwęglonych sągu,
Śpi, główkę siwą pod skrzydło tuląc,
W piersi posągu.

I tam, gdzie nowe stropy wapienne,
Gołąb bezpieczny mości gniazdeczko,
I w myślach mądrych i w pracy dziennej
I w śnie twym, dziecko.

**Anna Kamieńska**

# POWRÓT

Wieczór niebieski pola przesłonił.
Cienie na drodze, wózek i konik,
to powiatowy agronom wraca
z gminy, gdzie trudna trzymała praca.

Gwiazdy, przyjaźnie świećcie tym stronom!
Ziemio ty moja, myśli agronom,
ja tu do ciebie szedłem znad Oki
przez wiatr i ogień, przez śnieg głęboki...

Teraz nie czołgi, inne maszyny
jeżdżą po drodze obok sośniny.
Pryska spod koła suche igliwie,
toczy się wózek niefrasobliwie.
Przysiadł na świerku księżyc jak sowa,
batem by śmignąć, może się schowa!

W powiecie ziemi wydarto wiele
ławicom piasku, skarlałym brzózkom.
Gdzie tylko wilki miały wesele,
tam się odbyła już snopów zwózka.

...Piosenko tamta, coś prowadziła
przez dni i noce! W machorki dymie
niejedna czuła, niejedna miła
twarz się rozwiała, zostało imię...

Pachnie jesienne gdzieś kartoflisko.
Agronom jakby w drzemkę zapada,
koniczek parska, nikogo blisko...
lecz ktoś znajomy naraz powiada:
...Myśmy polegli tamtego rana,
więc ty żyć musisz także i za nas...

Nie spałem przecie, myśli agronom,
tylko coś zawsze tu mruczy rzeczka.
Koń kopytami liczy berwiona
mostku nad wodą i masz miasteczko...

Wkrótce uliczka osamotniona
i światło w oknie, za którym żona.

**Jan Huszcza**

TANISŁAW PIĘTAK

# ZERWANIE

Pomnę do dziś październikową sprzed sześciu lat chwilę.
Burzyło się w deszczu niebo, czuć było kłęby zgniłe
roślin, leżące jak kości na dnie bruzd i strumieni.
Wiatr ciął chmury drzewami, w stosy płonące je mienił.
Oparty o topolę, z bólem podnosząc powieki
ukazałeś w skłębionej mgle schylony świat daleki
i głosem, w którym, zdawało się, drżą męskie słuszne tony,
począłeś mówić, zachód już targał ziemię czerwony...

Porażały mię twoje słowa wtedy. Alkoholu
nie widziałem w gwałtownym geście ni w okrzyku bólu.
Rychło jednak zrzuciłem z czynów twoich mgłę złudzenia
i pojąłem, że nie jedna już marzy się nam ziemia.
Było to w przedwieczorną porę przed niespełna rokiem.
Wracałem z Kongresu Pokoju i wciąż pod urokiem
wielkiego zgromadzenia byłem i pełen nadziei —
że więcej pragnień łączy ludzi na świecie, niż dzieli...
Słuchałeś moich słów, nie mogąc ukryć nienawiści.
Wreszcie rzekłeś tak cicho, że głośniej wionął ruch liści.
„Chodź, patrz tutaj, nie szkoda ci tego piękna.
Na tym kawałku ziemi moja czuła struna pękła.
Święta nasza wieś na zawsze w grób okrutny odchodzi.
Bez Boga, bez złud będzie to, co się teraz narodzi..."

Dzień był chłodny, drzewa błąkały się we mgle niebieskiej.
Chmury kłębiąc się wznosiły pejzaż niemal alpejski.
O kilkadziesiąt kroków od nas przy wielkiej młocarni,
siedzieli na górach słomy ludzie od śnieci czarni,
żując chleb, w pobliżu tymczasem pod żyta półkopkiem
gospodarz ścigał parobka i rzucał nim jak snopkiem.
Gołębie białe niekiedy nad ziarnem fruwały.
Słońce drżało i jak krwią owiewało widok cały.

Pamiętam, choć byłem wzburzony, nie milczałem długo.
Tak — rzekłem, patrząc ku rozlanym rdzawo w bruzdach strugom...
— Wierzysz wciąż, że jesteś zamilkłym od męki artystą,
a ja sądzę, że w tobie wszelkie życie myśli wyschło.
Złączyłeś się jak roślina z ziemią, z kułacką zbrodnią.
Jej los tylko zdaje ci się historią sztuki godną.
Posłuchaj, gdy kiedyś wymierzysz w któregoś z nas kulę,
również będziesz to czynił z tym rozdarcia kłamstwem czułym?...

Odszedłeś pierwszy, nie rzekłszy słowa, w swoją stronę.
Długo widziałem nad ziemią twoje plecy schylone.
Wiatr się podniósł i chmury ogromne gnał na zachodzie.
Pola i drzewa zatonęły w ciemnościach jak w wodzie.

Dawni druhowie, myśmy się nienawiścią żegnali.
Szedłem zapatrzony w swoje myśli dalej, wciąż dalej.
Przed oczyma wyłaniały się znajome budowy...
Wspominałem chłopców, co marzli przy paszeniu krowy
do dwudziestu lat, a dziś idą po zawód, po wiedzę
i nie walczą na śmierć o bijącą jak puls w ich myślach miedzę.
Tak wierzyłem silnie w przyszłość wsi i jej nowych ludzi,
że ani mnie cień nocy, co rosła snami, nie łudził.
Słyszałem twój głos w osłabłej od ciosu wiatrów ciszy —
i był on jak pisk chorej, gwiazdą przerażonej myszy.

**Stanisław Piętak**

## WINOBRANIE

Czy pamiętasz Jonke
nasze winobranie,
schodziło słońce
w złotej przyłbicy
po kamieniach białych,
po stokach winnicy
— nie było cienia.
A my spragnieni
unikaliśmy spojrzenia
i piliśmy wodę
z jednej baklicy.
Wtedy zazdrościłem
winnej latorośli,
co jak złociste jagnię
pięła ci się do łona,
a ty zamiast całusa,
kładłaś mi w usta
chłodne, soczyste grona.
Nad trakijską równiną
bizantyjskie niebo,
gdzie chleb i wino
rodzi wolna ziemia,
na której człowiek
buduje jasne domy,
sprawiedliwe spichrze
i rzek koryta zmienia.
O, Jonke czarnooka,
czas już wracać z pola
starą rzymską drogą,
gdzie wysoka topola
ocienia białe jak kości
wytarte kamienie.

Wraca Jonke zmęczona,
niesie koszyk winogron,
jak antyczną amforę.
I szczęśliwa, dostojna
przystaje u studni,
gdzie stare kadzie
grzeją się na słońcu,
a pasterz wśród owiec
wraca na osiołku.

## CHIŃSKA GRAFIKA

*...wschód jest czerwony —*
*a słońce wschodzi...*
(z pieśni chińskiej)

Na brzegu urwiska
dziewczyna chińska
z naręczem chrustu
wraca do ogniska.
W ziemiance, w okopie
zasypia w szynelu
i nic o tym nie wie,
że ręka żołnierska
jak matka czuła
jej sen otula.
— A kiedy wstanie
karabin jak warkocz
zarzuci na ramię.

Często po walce,
gdy zamilkną działa,
rozmawia z tęsknotą,
która przy niej siada
i o nowym życiu
pięknie opowiada.

Lecz czemuż dziewczyna
włosy w czapkę chowa,
pewnie zawstydzona,
może sercu nie rada,
że ją często zdradza.
Ryż w kotle się warzy
posnęli żołnierze,
— o świcie przeprawa
zanim pióro bażanta
ze słońca wypadnie.
Z armią szła długo,
w boju niestrudzona,
z ludem w rozmowie
jego trosk świadoma.
Wolni wracają chłopi,
gra trąbka pułkowa,
— podzielą w skupieniu
ziemię ludową.
A radość tak wielka,
że serce ucieka,
łzę kryje powieka,
— aż w ramię ją trąci
żołnierska piosenka.

## MIŁEMU MOJEMU

Miłemu będę słońcem w dniu pogody,
rzeką spokojną ciszę niosącą,
cieniem w spiekocie i tą kroplą wody,
która najlepiej wilży skroń gorącą.

Miłemu chcę być i wiatrem porannym,
i burzą rwącą, gdy śród mielizn grzęźnie,
aby się ocknął, raczej cierpiał ranny,
niźli wód martwych był więźniem.

Ogniem uniesień i przejrzystym chłodem,
czynów rozważnych harmonijnym krokiem,
sterem w wędrówkach, latarnią na szczycie,
wiatr wskazującym na morzu obłokiem,
nocą żarliwą od ludzkiej urody
dniem mocnym w walce,
życiem.

## PAMIĘCI BRATA

*Chłopcu niemieckiemu, zabitemu przez faszystów niemieckich.*

Tak jak tyś w Elbie pod kulami padł,
płynąc na dzień pokoju w Berlinie,
mój z ręki ojców twoich zginął brat,
z tych samych może, z których ty giniesz.

Możeś miał tyle co to dziecko lat
i w tobie był ten duch niespokojny,
który choć śmiercią chce przemieniać świat
i ludzi w pięknych i wolnych.

I umierając możeś cicho rzekł
te słowa bratu mojemu wierne:
ja ginę, ale żadnej kuli bieg
nie może zabić spraw nieśmiertelnych.

**Wanda Karczewska**

IGOR NEWERLY

# PAMIĘTNIK Z CELULOZY*)

## XVIII

„Tow. Grzybowski Wojciech, zwany u nas Grzybkiem, czyścił kominy w nocnej zmianie, tzn. od 20-ej do 6-ej. Pracował razem ze ślusarzem jednym, Stockim, co miał ruską żonę. O godzinie 2-ej nad ranem, gdy robotnicy z nocnej zmiany wychodzili do stołówki na kolację, obaj powiedzieli: „my zjemy na miejscu". Zostawszy sami, wyciągnęli z kanałów kominowych schowany tam sztandar, który przysłała nam Warszawa.

Stocki jadł dzwoniąc łyżką i uważał, a Grzybek polazł. Był szczupły, zwinny jak małpa, dlatego on, a nie Stocki. Sztandar z drzewcem miał przyczepiony na plecach.

— Gdyby się sztraba urwała i ja bym spadł, to zdejm ze mnie sztandar i uciekaj. Mnie nie ratuj, bo nie będzie co.

Tow. Grzybek powiedział tak dlatego, gdyż komin Celulozy jest ogromnie wysoki i mury wewnątrz ma pochyłe; im wyżej, tym bardziej człowiekowi się zdaje, że leci w tył.

Ale tow. Grzybek miał mocną głowę, lazł i lazł, aż ujrzał tuż nad sobą gwiazdy, wtedy jedną delikatnie odsunął i czerwony sztandar warszawski nad Włocławkiem drutem do ostatnich dwóch sztrab umocował czyli można powiedzieć wetknął kij w mrowisko.

Z samego rana, ujrzawszy sztandar, przybiegł do Celulozy komisarz policji, i Wajszyc z Wajszycową, i mundurowi, i szpicle; nawet ze związku oficerów rezerwy przybiegli, i chadeki z Maślanej, i ludzie pana marszałka. Wszyscy na sztandar skakali, ale był wysoko i strach go bronił. Tow. Corobiący bowiem puścił pogłoskę, że komuniści schodząc z komina niektóre sztraby podpiłowali: chwycisz ręką, a tu trzaśnie i polecisz prorządową główką w dół. Nikomu się nie chciało. Tak więc tylko wyklinali popychając jeden drugiego, a sztandar po majowemu łopotał nad miastem, nad nami, którzyśmy się szykowali do pochodu.

Rozstawszy się z tow. Olejniczakiem pobiegłem do swoich, jak bym się na nowo narodził. Od Bajurskiego dowiedziałem się wszystkiego o Grzybku, po czym poszliśmy na Kościuszki — ja, Bajurski i Corobiący.

*) Patrz **Twórczość** numer poprzedni.

Na Kościuszki było już dużo towarzyszy. Chodziliśmy tam i z powrotem, aż z lokalu PPS zaczęto wychodzić i formować pochód.

W pewnej chwili zawołał mnie tow. Klusiewicz Leon, z którym zaprzyjaźniłem się w wojsku, a który wówczas był w PPS-ie jak jego ojciec i brat. Trzymali się swego obrządku mając jednak oczy otwarte, tak że mogliśmy z nimi kolegować.

Całą rodziną, bo i z wujem, byłym zesłańcem, stali w szeregu na końcu, więc myśmy doskoczyli ustawiając się za nimi zwartym pochodem ze swoim sztandarem, z transparentami: „Pracy i chleba!", „Precz z faszystowskim rządem!" itp., i pod te sztandary garnąć się zaczęły masy, zwłaszcza bezrobotni, mimo że magistrat kazał wydawać chleb bezrobotnym o tej właśnie godzinie, by ich od pochodu odciągnąć.

Tak szliśmy śpiewając Międzynarodówkę ulicą Kościuszki, przez Plac Wolności do rogu Trzeciego Maja. W tym miejscu skoczył do nas z chodnika poseł Piotrowski z wąsatym bonzą związkowym Śmiechowskim, co miał nos nadpsuty i dlatego podwiązany.

— Tu się kończy nasz pochód!

Piotrowski ręką jak szablą ciął, żeby policja wiedziała, od którego miejsca zacząć.

Siwy Klusiewicz-patriarcha krzyknął na niego:

—Nie róbcie świństwa, towarzyszu!

Młodzi Klusiewicze wyciągnęli do nas ręce robiąc łańcuch, ale już natarła na nas policja, a na nich wsiadła milicja PPS, że łamią dyscyplinę partyjną!

Wściekle nas wtedy bito pałkami i kolbami. Najwięcej szalał Turek, w którym poznałem tego policjanta, co to w karczmie na Płockiej chciał mnie odstawić do komisariatu za to, że użyłem słowa „Kozłowo" zamiast „Grzywno" (ale mnie flisacy obronili). Otóż ten sam Turek ze swą sforą rwał się do naszego transparentu, ale ten zniknął u Bajurskiego za pazuchą, bo był na laskach, jak w swoim czasie radził Corobiący, laski zaś nam się przydały do obrony.

W dwie godziny po pogromie na tym samym placu zrobiliśmy jednak masówkę. Przemawiał młodzieżowiec, którego nazwiska nie znam. Pamiętam tylko, że kiedy dopadli nas Wajszycowi ludzie, tośmy go wciągnęli na podwórze, skąd on pobiegł do restauracji „Zacisze" i tam jak gdyby nigdy nic siadł sobie przy stoliczku zamawiając sztukamięs, sos tatarski i jeden głębszy służbowy.

Pierwszy raz brałem wtedy udział w akcji pierwszomajowej. Wszystko to — i pochód, i masówki, sztandarki i ulotki — wydało mi się wspa-

niałe, ale starzy towarzysze mówili, że dawniej masy ładniej świętowały; jest opad, widocznie fala jeszcze nie poszła do góry.

W każdym razie wracałem na Grzywno kompletnie zmachany, ale pełen radości i zapału, bo to był pierwszy mój Pierwszy Maj, i Olejniczak powiedział, że będzie ze mnie dobry towarzysz; wcale mnie z partii nie wydalono, przeciwnie dano ten dowód zaufania, że wyznaczono do majówki na podpunkt, i kazano przyjść jutro na cmentarzyk Dziadowski, gdzie wyjdzie do mnie towarzyszka z koszyczkiem.

Jakież było moje zdumienie, gdy nazajutrz ujrzałem na szosie Wienieckiej starszą Lubartównę. Miała koszyczek na ręku, więc spytałem, czego szuka za miastem wśród tej biedy. Odparła, że właśnie jej szuka. Wtedy ja się przedstawiłem — Bida jestem, ona zaś powiedziała, że podpunkt mamy na Lisku, toteż wziąwszy się pod rękę poszliśmy tam niby zakochani.

Towarzyszkę Lubartównę Ewę znałem z Grzywna, bo mieszkali kiedyś w sąsiedniej arce, a młodszą siostrę jej, Bronkę, bardzo lubiłem.

Rodzice ich, jak się dowiedziałem idąc przez pola, mieszkają na drugim końcu miasta, na Toruńskiej. Ojciec niewiele ma roboty, całe szczęście, że krewni z Ameryki przyślą czasem parę dolarów; Brońcia jest już duża, uczy się dobrze i piękny ma głos, a Szymek, ten, którego w swoim czasie uratowałaby jedna kropla atropiny, widział coraz gorzej; pewnego razu wymknął się statkiem do Warszawy i nie wrócił. Stara Fejga wciąż czeka na niego, ale wszyscy są przekonani, że ślepak nie chciał być rodzinie ciężarem i gdzieś się daleko od domu utopił. Papierów żadnych z sobą nie wziął, wszystko zostało u matki. Nie wiem czemu, ale mi wtedy utkwiło w pamięci, że papiery po Szymku zostały, i to później miało u mnie dalszy ciąg.

Tak rozmawiając doszliśmy do osady Lisko. Kilka chałup tam stoi nad stawem okolonym starymi drzewami. Za osadą na lewo, jak obrócić się do lasu, ciągną się piaski zwane „Sacharą", i droga polna tuż za stawem wchodzi w sosnowy zagajnik.

Siadłszy przy drodze, twarzą do wody, zaczęliśmy się posilać tym, co było w koszyczku informując przechodzących, którzy wymówili hasło, żeby szli prosto, potem przez zręby do słupa działowego Nr 93 — tam się dowiedzą.

Po pewnym czasie, gdy jak okiem sięgnąć nikogo nie było i już się zdawało, że wszyscy przeszli, tow. Lubartówna nawiązała do tej nocy, kiedy partia wartowała na cmentarzyku Dziadowskim, czekając na grupy Śliwińskiego i Peplaka. Opowiadała właśnie, jak dzięki jej listom

wybito szyby w konsulatach polskich za to katowanie politycznych, wtem zrobiwszy zalotną minkę ni stąd, ni zowąd objęła mnie za szyję tuląc się zmysłowo.

Nawet nie była brzydka, ale ja tego dnia w ogóle daleki byłem od wszelkich zmysłów, po drugie już mi w oko wpadła Borzęcka, więc powiedziałem, żeby dała spokój, ona jednak jeszcze mocniej mnie przygarnęła szepcząc, że z tyłu na nas patrzą.

Zrozumiawszy o co chodzi, chciałem koniecznie zobaczyć, kto patrzy, borusy czy szpicle, a że siedziałem plecami do zagajnika, więc najpierw też zrobiłem do towarzyszki Ewy kiziu miziu ci-ci-ci, głaszcząc po plecach, po czym odwróciłem się do koszyczka niby po butelkę wina i wtedy dostrzegłem za chojakiem, od nas najwyżej metrów pięćdziesiąt, metalowy błysk na policyjnym daszku. A przy nim kapelusz.

Nalałem wtedy po kieliszku i mówię:

— Nie ma rady, towarzyszko, pocałujmy się, żeby ich cholera wzięła.

Tośmy się ucałowali i dalej mizdrzymy się do niemożliwości, bo co tu robić? Nic nam jakoś do głowy nie przychodzi, wtem patrzymy — walą do nas Bajurski z Corobiącym.

Gdy się do nas zbliżyli, ja — nie puszczając towarzyszki — po cichu do Corobiącego, bo ten był bystrzejszy:

— Przyłapałeś na gorącym, więc krzycz!

Ten jak nie wsiądzie na nas, jak nie zacznie kląć! My się zrywamy na równe nogi, zawstydzeni, przerażeni — wszystko jak w teatrze!

— Gdzie to macie, gdzie?! — krzyczy Staszek. — Dawaj, prędko dawaj!

To ja mu dałem „Kurier Warszawski", co leżał w koszyku.

Staszek obejrzał się na wszystkie strony, czy aby nikt nie widzi, złapał kurier za pazuchę i pognał z Bajurskim do lasu, a za nimi skradając się pobiegli Turek z Jąkałą.

Okazało się, że ci dwaj kluczyli już od Włocławka za naszymi towarzyszami, a domyśliwszy się w końcu, że idą w stronę Liska, pobiegli na przełaj i schowali się w lasku czekając na Bajurskiego z Corobiącym. Gdy tamci rzeczywiście nadeszli i jeszcze od nas wzięli papiery, to szpicle nie mieli już żadnej wątpliwości, że są na tropie grubszej akcji, więc szli i szli za nimi, tracąc ich z oczu i odnajdując bez końca, bo Staszek ciągnął obu legawców nad jezioro Czarne, potem przez lasy i różne wertepy, kilometrów dziesięć, do Wisły, gdzie się przeprawił i przepadł na drugim brzegu.

Tymczasem myśmy powiadomili podpunkt przy słupie 93 o tym, co zaszło. Powiedziano nam, że wszystko w porządku, możemy wracać do miasta, więc poszliśmy tą samą drogą w majowym nastroju, który mi się popsuł dopiero na widok Borzęckiej. Zobaczywszy mnie na ulicy pod rękę z tow. Lubartówną, stanęła jak wryta, a potem wykręciła się i prawie że pobiegła przed siebie.

Zrobiło mi się okropnie przykro, bo ta dziewczyna oddała mi wielką przysługę i ja się do niej miałem, tylko te jej poglądy i zacofanie mnie drażniły. Pod wpływem tow. Olejniczaka postanowiłem, że jeszcze raz spróbuję ją uświadomić, w każdym razie uczynię wszystko w tym kierunku, żeby mogła być żoną komunisty, tymczasem pech chciał, że tegoż dnia ujrzała mnie w zalotach z inną.

Stało się jak przypuszczałem, bo nazajutrz, ani dni następnych Borzęcka nie chciała już ze mną mówić. A że wypadki chodzą parami, to zaraz po tym zaszły jeszcze dwa, jednakowo przykre i gnębiące.

W jakiś tydzień po dniach majowych przybiegł do naszej kobyłki brat mój, Walery, mówiąc, żebym pomógł mu zbierać wśród strugaczy na dyrektora Panderę. Dyrektor znów zapadł na nerki i administracja razem z chadekami zbierała na mszę zamówioną w kościele o.o. Reformatów na intencję jego wyzdrowienia. Całą zbiórką kierował werkfirer Muss, brata przełożony.

Brat mój był dla ruchu stracony, o czym wiedziałem, dla niego znów nie było tajemnicą, że jestem przekonań czerwonych, jednak sądził, że pozyskanie werkfirera i awans jest sprawą rodziny, w której odmówić nie można. Słowem, obaj nie wiedzieliśmy o sobie do końca: on o mnie — że pracuję w partii, a ja o nim — że jest zdolny żebrać na modły o zdrowie dyrektora.

Akurat trzymałem w ręku bloczek, gdyż na Czerwoną Pomoc zbierałem już w swojej partii otwarcie.

— Odejdź — powiedziałem mu tylko — odejdź, żebym cię tu więcej nie widział.

Ale on się postawił, więc zacząłem go łajać na cały plac, jako że głos mam odpowiedni i byłbym może tego szuję sprał, żeby mi w porę nie umknął.

To się oczywiście rozniosło, że brat bratu naurągał od ostatniej kłanidupki i na dyrektora nie dał.

Czy to wpłynęło na dyrekcję, czy też Korbal mając tam stosunki na mnie się zemścił — do dziś dnia nie wiem. Fakt, że przy następnej wy-

płacie otrzymałem wymówienie, a to się rzadko zdarzało, żeby zwolniono samą siekierę, strugaczy bowiem redukowano zazwyczaj całą partią.

Nastały dla mnie ciężkie dni. Z domu musiałem się wyprowadzić, żeby nie być na łasce u brata, którego przecież niecierpiałem, tak samo zresztą jak on mnie. Zamieszkałem u Staszka Rychlika, pseudo Corobiący, szukając pracy. Żyliśmy wspólnie z jego zduńskich zarobków.

W tym czasie, w początkach czerwca, przyszła do mnie Weronka przynosząc wiadomość, że Mormul, czyli szwagier z Rzekucia, i Żebro Wojciech koniecznie chcą się ze mną zobaczyć. Żebro przybył do Włocławka po żniwiarkę dla hr. Dojmuchowskiego, u niego bowiem pracował w charakterze fornala. A szwagier z nim się zabrał, żeby na statek nie wydać, bo to sknerstwo u niego z majątkiem rosło. Miał teraz ziemi całą włókę, młyn w budowie i dzierżawę sadów hrabiowskich.

Otóż w tym właśnie sadzie szwagier chciał mnie zostawić do pilnowania owocu, do wysyłki i do sprzedaży na miejscu. Sam zajmować się tym już nie mógł zaprzątnięty uruchomieniem młyna na Malusi, mnie zaś był pewien, że nie ukradnę i nikomu kraść nie dam. Liczył na to, że jako bezrobotny przyjmę pracę z podzięką. Ja wszakże odmówiłem, bo czuć tu było Korbalem: Korbal u niego we młynie udział miał, jemu też szwagier wszystek owoc odsprzedawał.

Ale gdy potem Żebro powiedział mi na osobności, po co właściwie przyjechał do Włocławka, to ja z tym zaraz poszedłem do tow. Olejniczaka, a ten orzekł, że to jest robota w sam raz dla mnie. Dał wskazówki i literaturę na pierwsze moje samodzielne zadanie partyjne.

Wtedy, rzecz jasna, spisałem ze szwagrem umowę na pracę w Dojmach od 15 czerwca do 1 października za czwartą część czystego dochodu, nie mniej wszakże niż 400 złotych, plus 10% od sprzedaży na miejscu i 3 metry owocu na zimę.

Zaraz po moim przybyciu zebrali się u mnie Żebro Wojciech, Siemiątkowski Roch i Luśnia Ignacy, wszystko fornale dojmuchowscy. Mówili otwarcie i szczerze, bo Żebro znał mnie od dziecka.

Otóż położenie ich było takie: pracowali od słońca do słońca dostając za to 12 metrów zboża na rok i 45 złotych kwartalnie; mieszkali w jednej izbie na glinie i musieli jeszcze dawać dla dworu po dwie „posyłki" z rodziny, a jak nie mieli w rodzinie, to trzeba było obcych godzić. „Posyłka" pracowała tak samo od wschodu do zachodu za 40 groszy dniówki i 3 funty zboża.

Najwięcej im się rozchodziło właśnie o te „posyłki". To był duży ciężar, Luśnia na przykład mówił, że im się dzieci przez to marnują, bo ani do szkoły, ani do terminu. Poza tym płace Dojmuchowskich

były najniższe w całym powiecie i warunki mieszkaniowe okropne: izby bez podłóg, często bez szyb, od lat nie remontowane. Dodać jeszcze należy, że z wypłatą uposażenia zalegano po kilka miesięcy, bo hrabia jak to hrabia — gotówkę zawsze przeputał i na służbę nie miał.

Burzyć się zaczęli w kwietniu, ale tak jakoś bezładnie. Poszli całą gromadą do rządcy po zaległe „funtówki". Rządca krzyknął na nich przez okno: „Ja was nie wołałem — marsz stąd!", więc cofnęli się w krzaki i odśpiewawszy Czerwoniaka rozeszli się po czwartakach.

W końcu maja fornale wszystkich trzech folwarków dojmuchowskich wysłali Żebro do Włocławka, do związku, ale w związku robotników rolnych okopali się piotrowszczaki i ludzie pana marszałka. Wtedy to rozżalony Żebro zagadnął mnie, jak się robi strajk, bo w związku zdrada.

Teraz, w Dojmach, mogłem im spokojnie tłumaczyć o uświadomieniu, które należy podnieść przez rozpowszechnienie literatury, zwłaszcza odezwy do robotników rolnych OK KPP okręgu kutnowskiego, następnie trzeba wybrać komitet strajkowy, ułożyć żądania i o nie się bić w odpowiednim czasie, tzn. przed żniwami.

Tak też zrobiono. Komitet strajkowy wysunął następujące żądania: zniesienie obowiązku „posyłek", podniesienie płac do 55 złotych kwartalnie, uregulowanie wszystkich zaległości, remont mieszkań z ułożeniem podłóg w każdej izbie, praca nie od słońca do słońca, ale 12 godzin latem i 8 godzin w zimie z dwugodzinną przerwą obiadową, i inne, ale te nie zostały później uwzględnione.

Postawa fornali była tak bojowa, że zaskoczony przed żniwami hrabia musiał się w końcu na te żądania zgodzić. Wprawdzie nie zdobyło się ogródków przydomowych ani urlopów, ani ubezpieczenia, ale fornale tym się nie zrażali wierząc już w swoje siły, że następnym razem to zdobędą.

Serce mi rosło, kiedym na to z sadu patrzał ciesząc się skrycie, że w tej głośnej na cały powiat walce ja byłem cichym wspólnikiem. Powiadam „cichym" dlatego, że nosa z sadu nie wytknąłem i nikt poza tą trójką o mnie nie wiedział, ale wszystkie uchwały najpierw zapadały u mnie na naradach, które najczęściej odbywały się po nocach.

Oprócz udanego strajku chciałem zostawić po sobie w Dojmach komórkę KZM i tu zacząłem działać przez obecnego dyrektora zespołu PGR Dojmy-Oktawia tow. Żebro Władysława, który wówczas miał 18 lat i był w Dojmach pomocnikiem moim do wszystkiego, a do mnie bardzo się przywiązał. Biorąc do robót, jak zbiór owocu i pakowanie, młodzież z Rzekucia, po mału się z nimi zaprzyjaźniłem, tak że często po

pracy urządzaliśmy pogwarki na różne tematy. Z tej grupy wyszli później tow. tow. Żyżma Michał (zginął u mnie w oddziale pod Kamienną), Jesionowski Bolesław, wójt z Przyłęku, Kamykówna Maria, pielęgniarka i kilku innych, których nazwisk nie pamiętam.

Z obcych przychodzili do sadu tylko ludzie po koszyk owoców, przeważnie kolejarze z osiedla, cośmy z ojcem budowali, parę kilometrów na przełaj. Zaglądał jeszcze stary dr Chrobotek — „na te zapusty natury" jak mawiał, bo park był zapuszczony, zdziczały. I poseł Jasieńczyk, ten sam, z Samopomocy, Jasieńczyk Jan, który już wtedy był głośny, choć tylko w swoim powiecie, gdzie się rozbijał jako inspektor rolny „Wici".

Nawracał mnie na swoją wiarę jakkolwiek zaczynała już ona czerwoną schyzmę puszczać na kształt rozeschniętej beczki. Ja mu się starałem chybotliwe klepki jeszcze bardziej rozchwierutać, na zupełny bełkot, musiałem jednak uważać, żeby się nie wydać z komunizmem, z początku więc tylko fukałem grając pod Korbala, co to wszystkich ma za łobuzów. Potem, ale to już po „buncie o naszego kominiarza", kiedyśmy się bliżej poznali, zagrałem w otwarte karty.

Pewnej soboty — po oliwkach to było i po papierówkach, winówki, pamiętam, dojrzewały — wpadł do mnie tow. Corobiący. Wieczór myśmy przegadali, a z rana pokazałem mu całe gospodarstwo.

Staszek chodził ze mną wszędzie, wszystko oglądał i bardzo się dziwił, że tu takie bezludzie. Bo w Dojmach nic nie było prócz 7 hektarów sadu i resztek parku. Pałac spalony doszczętnie na początku tamtej wojny, w 1914 roku, Dojmuchowscy nie odbudowali, w ogóle nie mogli się już podźwignąć po wojnie i stracie majątków na Ukrainie, przenieśli się do sąsiedniej Oktawii i stamtąd ssali cienkie czynsze puściwszy Dojmy w dzierżawę, bo sady ocalały — zielona wyspa pośród chłopskich zbóż — i jedna kolumna z marmuru, i piwnice magnackie na całą wielkość pałacu.

Piwnice Staszkowi okropnie się spodobały. Przez pokrzywy, przez rumowiska przedzierał się na zatracone schody w dół, a tam z latarką chodził po tych zapadniach i korytarzach, w końcu oświadczył, że jeśli otrzymam wezwanie z Włocławka, żebym natychmiast przybył. Nic więcej swoim zwyczajem nie wyjaśnił i tejże niedzieli przespawszy się pod jabłonią odjechał.

W parę dni potem rzeczywiście otrzymałem kartę, więc pierwszym statkiem udałem się do Włocławka, by u rybaka przy ul. Matebudy spotkać się ze Staszkiem i tow. Olejniczakiem.

Najpierw musiałem dokładnie zdać sprawę ze strajku, w ogóle z sy-

uacji, ze stosunków w tamtych stronach. Tow. Olejniczak rzucił mi kilka uwag krytycznych, ale na ogół, powiedział, spisałem się dobrze. Po czym przystąpił do tego, po co mnie wezwano: maszynka drukarska, mały pedał, jest zagrożona i partia musi ją zaraz gdzieś przenieść, a więc co sądzę o tym, żeby u mnie ukryć tę drukarenkę z towarzyszem zecerem?

Owszem, odrzekłem, miejsce mamy odludne, do najbliższej wsi, do Rzekucia, dwa kilometry, poza tym nikogo w pobliżu nie ma, w stróżówce zaś mieszkam sam z Władkiem Żebro, który jest chłopak pewny, więc pomysł Staszka uważam za dobry. W tych piwnicach może spokojnie nie jeden ale dziesięciu zecerów na maszynkach stukać. Sęk w tym, jak maszynkę i zecera przewieźć, żeby nikt nie zauważył?

Lało wtedy z samego rana i wiatr był w górę rzeki, patrząc tedy na zadeszczone okno pomyślałem na głos, że najlepiej byłoby łódką płynąć przez całą noc, by przed świtem dobić do brzegu, gdzie sad opada do Wisły i że na to lepszej pogody nie trzeba, bo w deszcz i do tegoż w nocy nikt z chałupy nie wyjrzy, a jak nawet wyjrzy, to nic nie zobaczy.

Tow. Olejniczak zapytał, czy się podejmuję. „Podejmuję się, powiedziałem, tylko muszę mieć łódź z żaglem". „Możecie mieć od tego rybaka, ale kiedy ją zwrócicie?" — „Pojutrze nad ranem". — „W takim razie ja za was poręczę".

O dziesiątej wieczór miałem czekać na pedał i zecera przy brzegu pomiędzy Celulozą a elektrownią. Chciałem odejść, ale tow. Olejniczak poruszył jeszcze sprawę nowych czcionek i tuśmy się dowiedzieli, jaki powstał mętlik: towarzysz, który przywiózł dwie walizki z czcionkami, nie zastał na dworcu naszego towarzysza, czując się więc niewyraźnie, zostawił walizki na przechowanie, a sam ruszył na miasto, gdzie go przypadkowo Kot spotkał, poznał i złapał. A co z walizkami — nie wiadomo. Może już defa doszła po nitce do kłębka i je zabrała, a może zostawiła na przynętę, żeby nakryć tych, co się zgłoszą?

Staszek zapytał, czy jest kwit. Okazało się, że jest, że ten towarzysz zdążył nawiązać kontakt, oddał kwit, ale wkrótce po tym został wzięty. Wtedy Staszek poprosił o kwit i powiedział, że on to bierze na siebie.

Udaliśmy się na dworzec. Najpierw przewąchałem, czy nie ma obsady, po czym Staszek zajechał dorożką i wyskakując dał numerowemu kwit, żeby wykupił bagaż, on tymczasem nada pilną depeszę. Poszedł do telegrafu, patrzy stamtąd, ja znów patrzę od strony bufetu — nic nie widzimy: numerowy wynosi obydwie walizki, rozgląda się za pasażarem, bo nikogo nie ma, dworzec prawie pusty. Staszek złapał jed-

ną walizkę, ja drugą i pojechaliśmy dorożką do Hotelu Kujawskiego, by po godzinie spotkać się u Staszka na Piekarskiej. W ogóle Staszek, trzeba przyznać, miewał dobre pomysły i proste, tylko się denerwował przy wykonaniu, dlatego lubił ze mną robić, bo ty, mówił, jesteś jak głaz.

Gdy się ściemniło, wyszliśmy na dwór — ja do łodzi, Staszek po zecera.

O dziesiątej opłynąłem hałdę Celulozy i czekałem przy brzegu na towarzyszy, a lało wtedy jak na Siedmiu Braci Śpiących, o których Staszek powiedział — zabombony, a tow. Olejniczak — że lud „podpatrzył"...

*
* *

Wiatr dął ostry, porywisty, sztychowy wiatr od Gdańska pod spieniony nurt.

Deszcz zacinał z ukosa, równą siłą, na długą pluchę.

Szmer jego słyszało się zewsząd, szmer jakby się coś gotowało i pryskało na blachę, i fala tłukła o łódź jednostajnym pluskiem, tak że przez to wszystko nie od razu dało się pochwycić umówiony skrzyp.

Rdzawe zawodzenie kół przebiło się nareszcie wyraźnie przez niepogodę, zboczyło tylko niepotrzebnie na lewo. Szczęsny przywołał je postukiwaniem czerpaka o burtę. Wtedy ten skrzyp i człap poczęły się zbliżać, aż mrok przy brzegu na wprost łodzi zmierzwił się, zbił w żywą masę, czarny bałwan oddzielił się od niego i przemówił głosem Staszka:

— Szczęsny?

— Ja.

— To to przyjmuj. Późno już.

— A ty byś, cholero, jeszcze zwłóczył!

— Dobra, dobra. Bierz walizkę.

Była jedną z tych, co z dworca wynieśli, z czcionkami, wagi pół worka cementu. Szczęsny postawił ją na dwie cegły na dnie łódki, potem drugą, wtedy dopiero we trójkę dźwignęli skrzynię, która jeszcze stała na dwukołowym wózku. Pół metra na metr, ale bardzo ciężka.

— To właśnie towarzysz zecer — przedstawił przekrzykując wiatr Staszek.

Uścisnęli sobie ręce, rękę zecer miał słabą, zaraz do ust ją podniósł, zakaszlał — czy nie suchotnik? U zecerów podobno co drugi suchot-

ik... Drobny był i bardzo swą maszyną przejęty, bo się nachylił ma-ając spód skrzyni, czy nie stoi w wodzie.

— Nie bójcie się — uspokoił go Szczęsny — pod wszystko podło-yłem cegły, a jak wody przybędzie, to macie tu czerpak, żeby wylać.

Nakryli ładunek brezentem i końce linką ściągnęli.

— Zdążysz? — zaniepokoił się Staszek.

— Powinienem. Trzydzieści parę kilometrów w pięć godzin — cóż znaczy na taki wiatr.

— Nie masz już pięciu, pół godziny zeszło.

— Starczy. Przed świtem wyląduję — zapewnił Szczęsny i pochy-ł się nad dziobem spychając łódź na głębokie.

Skoczył do łodzi, zecer złapał się masztu przy tym podrzucie, płoch-wy widocznie. Szczęsny puścił węzeł szkotu, bo mu opadł, żagiel za-potał wyzwolony, oszołomiony na chwilę, a potem szarpnął i pociąg-ął jak zastojały koń.

— Trzymaj się, Szczęśniak! — zaśmiał się Staszek i coś tam jeszcze rołał, że zobaczy, że na urlop przyjedzie, co brzmiało tak samo głupio ak ten śmiech przy życzeniu, by mu się poszczęściło.

Zażawione światła Celulozy i miasta zostały za rufą. Kołysana łębiną łódź płynęła głównym nurtem, którędy statki chodzą, między yspą a włocławskim brzegiem, i Szczęsny z namotanym końcem kota w jednej ręce, z drugą na sterze, trzymał kurs na tlącą się w mro-u daleką iskierkę bakanu, którą — gdy się płynie pod prąd — należy inąć lewą burtą. Oczywiście w dzień można szorować, gdzie się chce, ak Wisła szeroka, widzi się przecież. Ale w nocy nie daj Boże zgubić lak, zwłaszcza takiej nocy — na Siedmiu Braci Śpiących w najlepsze, dy deszcz leje i leje.

— Płynęliście kiedy na żaglu? — krzyknął w stronę niewyraźnej po-aci u masztu.

Odpowiedź wiatr zmuchnął, beknęło tylko jakieś „eee", co oznaczało yba nie. Nie pływał.

— No to właźcie pod brezent. Pomóc mi nie pomożecie, po co więc oknąć!

Brezent okrywający ładunek wypiął się w górę, od głowy sterczącej d skrzynią.

— Siądźcie niżej! Na walizce sobie siądźcie, towarzyszu, plecami do rzyni!

Wypięta bryła posłusznie opadła, poruszała się trochę, w końcu za-arła. Zecer jakoś się tam usadowił, przytulnie musiało mu być pod achtą i względnie sucho, jeśli tylko nogi trzymał na cegłach.

Można było, o nim nie myśląc, całą uwagę skupić na trasie, aby nie zboczyć, o co wcale nie trudno, gdy się jedzie na ślepo. Choć się rosło nad Wołgą i Wisłą, żeglowało na obu, z Pachomem i Jurkiem w Symbirsku, z rybami i samemu w Rzekuciu, to jednak zupełnie co innego tak oto sunąć po ciemku, wypatrując nikłego światełka na fali.

Nie ma brzegów, nie ma nieba ani rzeki — nic, tylko czarne skrzydło żagla i mrzący świetlik bakanu dyndający zwodniczo, raz tu, raz tam — jest i znowu przepadł.

I dźwięków nie ma żadnych poza szmerem deszczu, poza wody bulgotem pod dziobem, co zdradza przynajmniej jakiś ruch, że się płynie i to gdzieś wysoko, po nieznanych roztoczach bez kresu i dna.

Bardzo przykro jest wtedy ocknąć się raptem od wstrząsu łodzi, która dotknęła dna. I schodzić w zimną wodę szukając po omacku zgubionego nurtu, i spychać swój statek z mielizny.

— Towarzyszu, śpicie?

— Nie, bo co?

— Nic, wysiądźcie na chwilę. Śmiałą nogą, tu płytko. Muszę zepchnąć.

— Może pomóc?

— A to pchajcie z tyłu. Ja za cumę pociągnę.

Parę razy tak było: wysiadali, wsiadali, Szczęsny znów stawał przy sterze, a zecer czerpakiem chrobotał wyrzucając naleciałą wodę. Nierozmowny był i po ruchach widać starszawy.

Żagiel sczerniał zupełnie. Jakiś żagiel chmurawy, wiatrem natchniony ciągnął na wysokościach bez dźwięków i barw, nad ziemią zapadłą głęboko. Majaczyło coś stale w ciemnościach, od wypatrywania w oczach już ćmiło i myśli były jakieś metafizyczne, to znaczy — jak Jurek kiedyś tłumaczył — chaotyczne, bez ruchu i Panie Boże poratuj.

To dziwne, że Jurek mu się teraz częściej przypomina — ten jego kamień na przykład. W taką noc można czuć się owym kamieniem rzuconym w przestrzeń i myśleć, że się leci z własnej woli. A naprawdę — to wszystko warunki. Warunki życiowe czyli bieda, krzywda, walka i tym podobne przyczyny, dla których płynie się pod żaglem z zadaniem partyjnym w taką właśnie noc.

— Stoimy? Mielizna?

— Zdaje się. Ale nie wychodźcie jeszcze, towarzyszu, może znajdę jakieś przejście.

Przejścia jednak nie było. Wszędzie woda do łydek, i stopa grzęźnie v mule, a nurtu żadnego. To Szczęsnego zastanowiło — ta woda stoząca, bez odpływu. Nie ma wyjścia czy co?

Brodził dalej patrząc pod nogi, bo już świtało. Widział wodę koloru łowiu i brzeg jak cienie, jak kłęby pary, z której sterczała ogromna zapa, dokładniej — papacha. A gdy się tam zbliżył, to cienie okazały ię wilkliną, a papacha — słupem z wielką tablicą, na której była cyfra netrowej wielkości, żeby na Wiśle z daleka widziano, który to kilometr, iczący od ujścia.

Jeszcze bliżej podszedł, odczytał kilometr i splunął — taka twoja mać!

Znał tę tablicę, to miejsce — ślepą odnogę Wisły oddzieloną od głównego koryta wąską, porośniętą wiklinami mierzeją. Nieraz, wyplatając łotele u pana Kohuta, przyjeżdżał tu z majstrem po zielony i wiotki surowiec. Rzekucie leżało na przeciwległym brzegu, nieco wyżej, na ukos od tej tablicy, całej w zaroślach, tymczasem tam, gdzie została ódka, był goły piasek — z Rzekucia mógłby kto żagiel zobaczyć. Przede wszystkim rybacy, wyjeżdżający o tej porze na połów.

Rzucił się chlapiąc z powrotem na przełaj, dopadł łodzi i zwolniwszy eje, wyszarpnął z gniazda maszt. Rażony wiatrem żagiel zwalił mu się przez ramię i nakrył sobą ładunek. Przy ładunku jęknęło.

— Wybaczcie, towarzyszu, musiałem wyrwać maszt...

Żadnej odpowiedzi. Może go trafił, tego suchotnika? Może zemdlał?

Szczęsny uniósł skraj żagla. Zecer siedział skulony trzymając się za głowę.

— Nie wiem doprawdy, jak was za to przeprosić...

Zecer odjął dłonie odsłaniając bujne kasztanowe włosy spod beretu zawołał z irytacją — głosem Madzi zawołał:

— A co mi z waszego przeproszenia!

Szczęsny byłby znów zaklął — taka twoja mać! — żeby nie dziewczyna. Bo ten suchotnik, ten starszawy — był przecież Madzią! Madzią w granatowej bluzie i narciarskich pumpach.

Musiał widocznie wyglądać zabawnie, bo krzywiąc się jeszcze z bólu parknęła śmiechem.

— Co pani tu robi? — wykrztusił wreszcie.

— Jestem przecież zecerem.

— Nie, ja bez żartów!

— A ja bez żartów odpowiadam, towarzyszu Bida. Macie mnie z drukarnią zawieźć w bezpieczne miejsce, to było umówione, prawda? Ale

żeby drągiem po głowie walić — nie, o tym mi tow. Olejniczak nie wspominał.

— Czekajcie — przerwał łapiąc oddech — jeśli jesteście zecerem, to dlaczego Staszek mnie nie uprzedził?

— Bo go o to prosiłam.

— Ale po co?

— A żeby was widzieć nareszcie takim oto jak teraz! Za to całe dokuczanie, że światopogląd mam mieszczański, tyciuśki — aster i plaster! Za te wasze wykłady, co to jest MOPR i dlaczego trzeba dawać na Czerwoną Pomoc!

— To jesteście w partii?

— Nie, w balecie jestem — ucięła krótko i już tonem rzeczowym spytała: — No i co dalej, kapitanie? Tu mam pracować, w tych wiklinach?

— Nie, to dalej — ocknął się Szczęsny. — Trzy kilometry jeszcze, ale za dnia nie można. Zbłądziłem, trzeba się tutaj skryć.

Zarzucił cumę na plecy, pochylił się z rezygnacją — jasny gwint, w taką wleźć kabałę! — i pociągnął łódź po burłacku pod tę tablicę z kilometrem, w zarośla bujne jak włosy tej kabalarki.

A deszcz nadal kropił, tylko że już bez zaciętości, wolniej i drobniej, obojętny zda się na wszystko.

Siedzieli w łodzi wtulonej w krzaki, pod brezentem, przewieszonym przez maszt pochylony z brzegu nad nimi. Rozmawiając jedli jajka na twardo, które Madzia wzięła z sobą na drogę, i wszystko było jasne: Madzia nie była Madzią, ani Borzęcką, nie wiadomo nawet jak się nazywała naprawdę — po prostu była towarzyszką, którą przysłano do Włocławka z maszynką drukarską. Nikt o tym nie wiedział, tylko Olejniczak i Staszek, nikomu zdradzić tego nie mogła, toteż urządziwszy się w Celulozie grała rolę dziewczyny, u której niedobrze jest ze świadomością klasową.

— A przecież siedzieliśmy już kiedyś tak samo nad wodą.

Grzywno jej się przypomniało, pochylona wierzba i ta kabała, przy której chciał ją pocałować, ale „jaszczurki" przeszkodziły. Spojrzała na niego figlarnie.

— Zaczęliśmy wtedy mówić sobie po imieniu. Myślę, że teraz, gdy mamy pracować razem, tym bardziej możemy sobie tak mówić.

Szczęsny przystał na to z niewyraźnym pomrukiem, ale dopiero po dłuższej pauzie zdobył się na ty.

— Chciałem wytłumaczyć co do tej dziewczyny, z którą spotkałaś mnie pod rękę. Otóż była to tow. Ewa, z którą musiałem...

— Przepraszam, ale czemu się tłumaczysz? Co to mnie obchodzi?

— Przecież obraziłaś się wtedy, zerwałaś...

— Ależ musiałam udawać! Najpierw udawałam, że mam chłopca, eby uchodzić za taką, która tylko to ma w głowie, a potem — że niby ię obraziłam, żeby z tobą zerwać.

— Myślałem...

— Coś myślał? Że się w tobie zakochałam? No więc — żeby już wię- ej do tego nie wracać — nie! Nie kocham się w tobie, choć cię bardzo ubię. Ani w tobie, ani w nikim. Należę do Juliana, rozumiesz?

Szczęsny skinął głową.

— To ten towarzysz, dla którego musiałem zabić Gąbińskiego, bo y go wydał?

Madzię jakby co kolnęło. Nie spodziewała się tego. Nie wiadomo tyl- o, czemu się uśmiechnęła.

— Ten sam.

Musiał to być niemłody już towarzysz, jeśli dwadzieścia lat go pil- owano, jak mówi Staszek, i bardzo potrzebny, zasłużony, skoro na ybir za niego szli, do Wronek, na Pawiak...

— A dawno już go znasz?

— Poznałam Juliana zaraz po maturze.

— Masz maturę?

Skinęła głową.

— Skończyłam właśnie gimnazjum w Kielcach, kiedy...

— Nie w Radomiu?

— Ależ ja wcale nie z Radomia! Tak sobie powiedziałam, bo szuka- eś tamtej z Radomia, a ona także z Kielc.

— Skąd wiesz?

— No jakże! To moja przyjaciółka. Dlatego wiem wszystko o tobie, ały twój życiorys. Od niej właśnie. Po powrocie z Warszawy dokładnie powiedziała tę przygodę, wasze spotkanie i rozmowę. Ja cię od razu oznałam. „To ten, pomyślałam, ten Cesi sługołap!" Dobrze cię opisała, o i twoje słowa, że miałeś taką noc nad Wisłą — wszystko się zga- zało...

Owszem, zgadzało się wszystko, jasne teraz, ale Szczęsny się zżymał, ak bardzo czuł się odarty, głupi i śmieszny.

— Ale jak było z towarzyszem Julianem? Nie skończyłaś.

— Bo mi ciągle przerywasz. Więc po maturze powiedziałam „pa" rodzicom, nasze drogi się rozchodzą, i poszłam sobie.

— Zostawiłaś rodziców?

— Tak. Ojciec mój jest lekarzem, dosyć znanym lakarzem, niegłupi człowiek i dobry na swój sposób. A matka jest ładna. Bardzo ładna i nobliwa, nic poza tym. A ja już w gimnazjum byłam w KZM, po maturze zaczęłam żyć życiem organizacji. Nauczyłam się pracować z Julianem, i wszystko dobrze szło. Do wsypy. Juliana udało się uratować, ale ja wpadłam.

— Siedziałaś?

— Tak, trzy lata. A gdy wyszłam z Fordonka, to tylko po to, by wrócić do Juliana. We Włocławku myśmy się odnaleźli. Żebyś ty wiedział, co to za...

Stłumiła jakieś słowo, pewnie zachwytu.

— Zresztą sam zobaczysz — oświadczyła z tajoną dumą.

Szczęsny patrzał na jej bose stopy, na paluchy, u których skóra dokoła paznokci całkiem od wody zbielała — bagatela, tyle czasu moknąć! — słuchał głosu brzmiącego pogodnym humorem i wiedział już z całą pewnością, że to jest właśnie ta, za którą gonił nieraz tęsknymi myślami. Ta albo żadna.

Podniósł wzrok na jej twarz prawie brzydką po deszczu, o nosie posiniałym z zimna, na kędziory zadziorne, niesforne i uśmiechnął się jakimś nieswoim, postarzałym uśmiechem.

— No to poskaczemy, Madziu, deszcz ustał, trzeba się rozgrzać.

Wyszli na piasek i wziąwszy się za ręce skakali w koło, a potem klepali się wzajem po plecach, i to ich rzeczywiście rozgrzało.

— Trzeba by wyżąć bluzę i pumpy.

— A to pójdź w krzaki i tam się rozbierz.

Odprowadził ją wzrokiem i długo stał, w żaden sposób nie mogąc sobie przypomnieć, gdzie i kiedy już ją widział biegnącą.

Dopiero gdy się ukazała stamtąd wołając „Teraz mogę znów nie spać!" to sobie uprzytomnił — że na Stodólnej, przy pierwszym spotkaniu. Szła wtedy obok niego podawszy się naprzód, wychylona ku czemuś, rozradowana, co on sobie tłumaczył tym, że wyrwała się z pracy, z Madery, ona tymczasem była świeżo po więzieniu! Śpieszno jej było do życia, do walki, podążała krokiem swobodnym i śmiałym, dlatego pewnie jemu się wydało, że ta dziewczyna biegnie. Że biegnie przez zieloną plątaninę wikliny rozsuwając — jak teraz — piersią ga-

ęzie, z głową lekko wzniesioną, z oczami przymrużonymi przed niepodzianym blaskiem.

— Słońce! Patrz, Szczęsny, mamy słońce!

Blade było to słońce, niepewne, nurzane co chwila w brudach obłoczych, ociepliło się wszakże, wiatr zamarł i w ciszy głębokiej Wisła natowa, szareńka, oddychała leciuchnym oparem.

Siedli znowu w łodzi na walizie, bo już wodę Szczęsny wylał, chłonęli ten spokój rzeki i nieba, i przerzucali się niegłośnymi słowami — podziemiu w spalonym pałacu, gdzie stanie drukarnia — dwa stojaki rzeba będzie zbić — stojaki pochyłe na kaszty — duża lampa porzebna — wszystkie otwory pouszczelniać — pies może zdradzić — ak z psem?

Głód im dokuczał, Szczęsnemu palić się chciało, a do nocy było jezcze daleko.

Zaczął opowiadać, jak jest w tych Dojmach, że nic właściwie tam ie ma, tylko stróżówka w dawnej oficynie z dwu izb: w jednej owoc rzymają, w drugiej mieszka on z Władkiem, a z pałacu sterczy zaledwie edna jedyna kolumna jak palec. Z marmuru. Dzikie wino wokoło i pokrzywy. Jest jeszcze w Dojmach pies od szwagra, Brylek, którego lat emu osiem Szczęsny przygarnął i bardzo polubił, ale potem szwagier zczeniaka oźlił trzymając na drucie. Na każdego się rzuca, na Szczęsnego także, tylko gdy jest u nogi, to warczenie zaczyna mu się w gardle iepłym bulgotem przelewać...

Madzia słuchała przepytując niekiedy, oczy jej się przymykały — ja słucham, mów dalej, tylko tak sobie przymknę na chwilkę"... Po ewnym czasie, gdy brwi uniosły się lekko jakby coś zobaczyła, marszczka pionowa między nimi puściła skupienie, twarz zdziecinniała i sen zaróżowił policzki dziewczynie, której Szczęsny szukał tak ługo, a która nigdy nie będzie jego dziewczyną.

Przytrzymując ostrożnie jej głowę na ramieniu, myślał o niej i towarzyszu Julianie, a gdy się ściemniło, zwinął żagiel wyschnięty zupełnie, zarzucił znów cumę na plecy i poholował przez płytką odnogę do miejsca, gdzie wody było już po kolana. Tu wsiadł i stojąc, wprawnymi pchnięciami bosaka, pogonił łódź w mrok.

Po godzinie mniej więcej, sunąc pod prąd, zbliżać się począł ku brzegowi. Czas jakiś płynął ocierając się prawie o szuter przybrzeżny, a gdy usłyszał zajadłe, basowe ujadanie, zdecydowanie pchnął łódź w tamtą tronę.

Brylek przyleciał z głębi sadu jak pocisk warczący i pękł z zachłystliwym skowytem u nóg Szczęsnego i drgał z pomieszanymi zmysłami,

miotany uczuciem miłości i zgrozy, że nic nie jest już wart, bo nie gryzie.

Za Brylkiem wychynęła z mroku zwinna postać z grubym kijem.

— A ja już myślałem, że się co stało!

— Nie, wszystko w porządku.

— I przywiózł pan centryfugę?

— Centryfugi, uważasz, nie przywiozłem, bo nie było odpowiedniej. Ale narzeczoną dla ciebie przywiozłem. W sam raz.

— Ii, żartujecie znów, panie Szczęsny.

— A czyś ty widział, żebym kiedy żartował? Nie umiem, Władku, nie wiem nawet, jak to się robi... Weź no lepiej walizkę i zaprowadź siostrę do chałupy.

Gdy później przydźwigali z małymi odsapkami skrzynię i postawili w przechowalni, gdzie było sporo skrzyń podobnych z wczesnymi jabłkami, i weszli do izby mieszkalnej, Władek zaczął wysypywać nowiny, że w Rzekuciu jest wielkie wzburzenie, na zbity łeb przepędzono komisarycznych kominiarzy, że Mormul pytał się, dokąd Szczęsny pojechał, i że Jasieńczyk przychodził...

— Masz co do żarcia? — przerwał mu Szczęsny.

Okazało się, że tylko mleka zsiadłego garnuszek i chleb.

— Dawaj.

Władek postawił przed Szczęsnym, ten zabrał się do jedzenia sam, nie prosząc Madzi do stołu.

— Napal w piecu — rzucał do Władka pracując zawzięcie żuchwami. — Wody przystaw. Ziemniaków obierz tyle, żeby dla was starczyło.

— Dziękuję — odparła sucho Madzia. — Mam cukier i herbatę w plecaku. Poproszę tylko o wrzątek.

— Dobrze, więc będziecie mieli jeszcze herbatę.

Wstał, otarł usta wierzchem dłoni i powiedział do Władka:

— Całą noc będziesz wartował. Z rana nikogo tu nie puszczaj i w ogóle nikomu nie mów, że tu siostrę mam. Są na to powody, później wytłumaczę... Nie wydasz?

— Ależ! Sami wiecie, co ja bym dla was!

— No to pamiętaj. Ja bym ci tego nie przebaczył.

A do Madzi:

— Będziesz musiała dziś przespać się na moim posłaniu, jutro coś dla ciebie wykombinuję. Kładź się bez obawy, wszów nie mam, a co do pluskiew, to trudno... No, na mnie czas.

— Dokąd? — spytała Madzia widząc, że się zabiera do wyjścia.

— Do Włocławka, łódź przecież muszę odstawić.

— Coś ty, po takiej nocy, po takim dniu — znów na całą noc? Nie, daj spokój, Szczęsny...

— Olejniczak za mnie poręczył i w ogóle musi być jak umówione. A ty śpij spokojnie. Gdybyś czego potrzebowała, to tylko powiedz Władkowi.

Zamknął drzwi za sobą i zaczął schodzić do rzeki z Brylkiem, który mu się kulał między nogami wyszczekując swą miłość obłędną, co się urwała z łańcucha, i tę zajadłą, zardzewiałą na drucie nienawiść.

Noc była bezwietrzna i parna. Księżyc w chmurach bujał jak boja na fali i świecił tak sobie, raz gwiazdom, raz ziemi — na wybłyski...

Łódź płynęła z prądem, na wiosłach, wzlatujących rytmicznie, bez plusku. Zdawało się znów, że się jest kamieniem lecącym nad czarnym oceanem i różne w ciemnościach kłębiły się majaki — a to uśmiech, a to gest, a to jakieś jej słowo... A gdy stawało przed oczyma, jak się ją miało za kompletną gęś, jak się uświadamiało ją, co to przeszła maturę, więzienie i pracę partyjną z towarzyszem Julianem, to człowieka po prostu rzucało od tej swojej śmieszności i zaślepienia — jasny gwint, żeby tak patrzeć i nic nie widzieć!

## XIX

W pierwszym tygodniu mieli mnóstwo roboty u siebie w izbie z urządzeniem drukarni w popałacowym podziemiu.

Dotychczas Szczęsny z Władkiem dbali o mieszkanie na sposób zajęczy — byle się przespać — nie więcej. Dopiero Madzia otworzyła im oczy na pająki i pluskwy — co to jest?! — na gołą ziemię grząską i śliską jak w chlewie, na cały brud i smród ich rudery, która przeszła pleśnią i jabłkami, bo w sąsiednim pomieszczeniu, zwanym szumnie kantorem, składało się owoc do wysłania.

Zaraz po przybyciu Madzi, ledwo wstała, zaczęły się porządki. Spuściwszy nogi z posłania, trafiła na kupę kości.

— A to co? — wzdrygnęła się. — Skąd tyle kości?

— Nie wiem, Brylek naznosił — odrzekł Władek Żebro.

Przez chwilę chłonęła wzrokiem ten obraz męskiego niechlujstwa opuszczenia wokoło — Królestwo, wyszeptała, królestwo za ścierkę szczotkę!

Nie było tu jednak takich zbytków.

— No to miotłę, Władziu! Daj mi jakąś miotłę, bo nie wytrzymam.

Gdy Szczęsny wrócił pod wieczór z Włocławka, niewyspany, u kresu sił po dwóch dobach na nogach, zastał legowisko wypatroszone ze wszystkich śmieci, do ostatniej kości. Madzia wrzątkiem parzyła pluskwy, a Władek wybujały i grubokościsty, z głową jakby wypadł prosto z fury siana — szurpaty Władek klęczał układając deski na ziemi. Przez dzień zupełnie chłopaka podbiła. Rozwaliłby wszystkie płoty w okolicy, by zrobić dla niej chodniczek.

Obruszył się na nich, że są tak nieostrożni. Nikogo nie było na warcie, mógł ich kto zajść przy tych porządkach, co wtedy? Ale Władek zaraz go uspokoił, że przecież uważa, a Madzia spytała, czy co jadł. Trzyma dla niego zacierkę, którą sama zrobiła, pierwszą w życiu zacierkę!

Zacierka była do kitu, żuł ją na pół śpiący, aż mu zęby w niej całkiem uwięzły, wtedy się ocknął i ruszył ciężko do kantoru, na słomę obok pedału.

Nazajutrz wszystko poszło innym trybem. Dźwigali, stukali, majstrowali urządzając się w gorączkowym pośpiechu: Władek z żarliwą wdzięcznością, że go mają za równego, Madzia nareszcie swobodna w tym ustroniu, rześka jak rybak wychodzący znowu pod pełnymi żaglami na morze, i Szczęsny oszołomiony, gotów na wszystko dla partii i dla niej, po którą lada dzień zjawi się towarzysz Julian. Sama przecież powiedziała, że go wkrótce zobaczy.

Myśl o Julianie była nieustająca jak ból, na który nie ma rady. Cień Juliana padał na wszystko, co Szczęsny robił, czym żył; poprzez cień jego widział teraz Madzię i coraz bardziej rozumiał, że tamten musiał taką pokochać. Z drugiej strony, jeżeli choć trochę jest podobny do Olejniczaka, to nie dziw, że ona się garnie do niego.

Tak oto każde z tych trojga inaczej się czuło zakładając „komunę", ale krzątali się wszyscy jednakowo, budowali, i po paru dniach zrobiło się u nich jasno, czysto, schludnie.

— Jak w salonie — powiedział Władek.

Bo nawet chodnik był z kilku desek od progu do posłania Madzi na skrzyniach po jabłkach i zasłona z worków rozprutych i pozszywanych razem. Na drucie od Brylka. A co do robactwa, to wyginęło doszczętnie od nafty, wrzątku i Madzi zajadłości.

— Wiecie, chłopcy, porządki szalenie lubię. I pranie. Ale gotować nic a nic nie umiem.

— Daj spokój — proponował Szczęsny — ja po dawnemu będę pitrasił.

— Nie — uparła się — najwyżej możesz mi pokazywać.

Oczywiście pokazywał, czego się nauczył przy Weronce i Fejdze, do czego zresztą sam doszedł gotując tyle czasu kawalerskim sposobem, ale nieszczególne dawało to wyniki. Nie miała smaku, tego najprostszego, na koniuszku języka, jedzenie zawsze trąciło abstrakcją, i Szczęsny nieraz myślał, że jeśli dalej tak pójdzie, to Julian przy niej dostanie wrzodu czy innej choroby żołądka.

To wszystko jednak było bez znaczenia. Ważniejsze mieli kłopoty.

Przede wszystkim — Fordonek (tak nazwali piwniczkę, przypomniała bowiem Madzi jej celę w Fordonku).

— Już się rozejrzałam w sytuacji—powiedziała — możemy zaczynać.

Uprzątnąć gruz, żeby można było tam dojść przez zawalone korytarze, oczyścić, wyszorować tę celkę, aby potem kurz nie osiadał na maszynie, dorobić drzwi i tarczę okienną, stojaki na kaszty, półki naróżne — to był kawał roboty, wykonywanej ukradkiem, na wyrywki. Szczęsny robił, gdy Madzia z Władkiem jabłka zrywała, czasem we dwójkę, gdy Władek szedł do ojca na folwark. Choć bardzo oddany, mimo wszystko był jeszcze chłopcem, bali się, że mógłby się wygadać niechcący.

Zawiesili w końcu lampę pod niskim sklepieniem i wysławszy Władka po żywność do Rzekucia, sami przyrolowali skrzynię na okrąglakach do greckiej kolumny z utrąconym wierzchołkiem. Węże jak winne grona zwisały z krawędzi kolumnowej stopy. Spłoszone poszły sycząc w pokrzywy, a oni pociągnęli swój skarb przez rumowisko do otworu na schody, potem po pochylni na dół i dalej przez podziemia do samego Fordonka.

Rozpakowali, ustawili pod lampą.

Czarna maszyna, trochę większa od tych do pisania, na postumencie masywnym, wysokim jak stół. Pedał na dole. Nacisnąć — to dysk zaraz klapie i papierem uderza o stronicową płytkę z ołowianych literek. Bardzo prosta drukarenka, tłumaczyła Madzia, bostonka, inaczej — pedał...

Była bardzo przejęta i zatroskana. Oglądała swą maszynę ze wszystkich stron, wycierała szmatką z rdzy, która gdzieniegdzie już się pojawiła. Nawet do środka, klęcząc, zaglądała.

— Nic strasznego — mruknęła podnosząc się — zaraz będziemy w ruchu, grunt to ruch...

Przegubem dłoni odgarnęła włosy z czoła i poszła do kasetek z czcionkami. Chciałby ją chwycić w tej chwili na ręce — taka była mu naj-

bliższa w tym swoim dobrym, jasnym skupieniu. Jak na polu przed siewem.

— No to idź już, zostaw nas samych.

— Niby kogo?

— Ależ mnie z Julianem.

Wydało mu się, że się przesłyszał.

— Z Julianem, powiadasz?

— Oh, mówiłam ci przecież, że go pokażę. Więc masz, widzisz, ale pracować muszę sama. Nie lubię, kiedy się gapią...

Z oczu mu widać patrzyło zdumienie, skoro zauważyła:

— Myślałeś, że to człowiek, towarzysz?

— No bo jakże... Skąd takie imię do maszyny — Julian!

— A ty — spytała poważniejąc, prawie surowo — ty o Marchlewskim słyszałeś?

— Słyszałem coś niecoś. Przecież też z Włocławka.

— Więc to jego maszyna, jego podarek. Przysłał z Niemiec dla SDKPiL, wiesz, co to było?

— Wiem, Róża Luksemburg... Oni pierwsi po marksistowsku, ale też mieli swoje szusy.

— Mniejsza o to. Marchlewski przysłał dla towarzyszy w kraju, pracowało się potem na niej w socjal-demokracji i w KPP przeszło dwadzieścia lat! I jego imieniem nazwano, Julianem, rozumiesz?

— Teraz rozumiem. Mnie się, widzisz, pomieszało, bo powiedziałaś: kocham Juliana!

— No bo kocham! Człowieku, mnie go partia powierzyła, czy ty to czujesz?! Na Julianie uczyłam się składać przy towarzyszu Zadolnym, a gdy go wzięli, gdy sama składałam, to cały czas czułam rękę Zadolnego, i Luśni, i Starewicza — wszystkich towarzyszy przede mną! A kiedy mnie z kolei wzięli — myślałam, co z Julianem? Oh, żeby go tylko nie wykryli... Trzy lata tęskniłam za tą chwilą, to ty się dziwisz? To przecież towarzysz! Stary, partyjny towarzysz...

Pogłaskała maszynę i wziąwszy do ręki jakiś przyrząd, niby przycisk, powtórzyła swą prośbę nie patrząc na niego:

— Idź, Szczęsny... Pilno nam do roboty.

Przymknął drzwi i jeszcze na korytarzu, macając po ciemku mury, szedł wciąż nie wiadomo czemu na palcach.

Wylazł na powierzchnię, chwilę postał oślepiony blaskiem słońca — „ona kocha maszynę, idioto jeden, maszynę!" — i ruszył ścieżką przez zdziczały park, do swego „kantoru", gdzie mu się nawinął Mormul, ich

szwagier z Rzekucia. Dostał się tutaj niedostrzeżony, bo Władka nie było, a Brylek na gospodarza nie szczekał.

Szczęsny zżymnął się na myśl, co by to było, gdyby Mormul trafił na Madzię! — a ten z miejsca zaczął mu wymawiać, że Korbal upomina się o przystrój, jak było umówione, a więc dlaczego tego się nie robi?

— Nic nie wiem o waszej umowie. Pakuję uczciwie — odrzekł Szczęsny. — Proszę sprawdzić.

I pociągnął go czym prędzej do środka.

Wziął pierwszą z brzegu skrzynię, przewrócił wysypując jabłka na ziemię.

— Proszę spojrzeć. Na spodzie czy na wierzchu — wszystkie jednakowe.

— A przystrój?

— To do mnie nie należy. Niech Korbal sam przystraja. Może sobie nawet ulęgałki pakować do środka i przykrywać kosztelami, ja do tego ręki nie przyłożę.

— Ale on mi za to dwa grosze z kila strąci! Masz ty sumienie?!

— Cóż to, sumienie za dwa grosze oddajecie?

— Nie żartuj. Ja ci potrącę!

— Z jakiej racji?!

Zaczęli sobie przygadywać, aż Szczęsny miał go dosyć.

— Jak się wam nie podoba, to mogę odejść w każdej chwili.

Mormul spuścił z tonu. Nie chciał stracić Szczęsnego: pilnuje przecież jak nikt dotąd i nie kradnie, bo na to za głupi, pal go sześć zresztą, dlaczego nie kradnie — grunt, że o sadzie można nie myśleć, a to też coś znaczy, gdy ma się młyn na głowie.

Już się nie rzucał — mruczał coś pod nosem i żując jak zwykle wargami, chodził za Szczęsnym po sadzie. Owoc sierpniowy dojrzewał niebrzydki, zwłaszcza bergamoty; z tej straty u Korbala jeden grosz można było utargować, a drugi zgubić w ładnym owocu...

Gdy Mormul poszedł sobie nareszcie, Szczęsny odprowadził go wzrokiem daleko za pierwsze opłotki przy drodze i wziął się zamiast Madzi do gotowania.

Przedarł się potem przez pokrzywy, przez haszcze szypszyny pod piwniczne okienko Fordonku. Pochylił się. Słychać było tylko metaliczny poplusk Juliana.

— Madziu?

Plusk ustał. Za kratą wychynęła z mroku blada twarz, oczy podniecone, błyszczące niezwykle.

— Może byś co zjadła.

— Nie, dziękuję, nie mam czasu.

— To ci przyniosę.

— Kiedy nie do jedzenia mi teraz. Skończę, dopiero będę mogła.

— No, jak uważasz... Zaczekam. A ty nie wychodź beze mnie. Mormul był, trzeba uważać.

Okrążył mury i siadł na stopniu niedaleko kolumny.

Godziny mijały. Władek wrócił. Trzeba go było zagadać.

— Obiad dała i poszła się kąpać. Zjedz, i bierzmy się do sortowania.

Sortowali winówki, potem Władek wyspać się musiał przed wartą, a Szczęsny znów chodził i uważał.

Dopiero gdy słońce opadło nad Wisłą tak nisko, że woda zda się syczała od żaru — na schodach Fordonka, w ciemnej głębi podziemia zajaśniała chustka Madzi.

— Daj rękę, trochę mi się w głowie kręci. Ale skończyłam!

— A tak, po dwunastu godzinach! Nie mogłaś odłożyć na jutro?

— Nie mogłam...

Szła wolno, mrużąc oczy, odurzona świeżym powietrzem. Był w niej jakiś spokój, jakaś radość ociężała po czymś od dawna potrzebnym i nareszcie spełnionym.

Szczęsny to wyczuł od razu, i wcale się nie dziwił, gdy wstając od stołu, położyła przed nim wilgotną ćwiartkę papieru.

— Przeczytaj. To pierwsze, co od nas wychodzi. Nie można było zwlekać, sam się przekonasz.

Udała się za kotarę z worków na drucie, a Szczęsny czytał:

„List Komuny Grudziądz.

Jest nas tu prawie 200 więźniów politycznych — robotników i chłopów polskich, ukraińskich, białoruskich i żydowskich, skazanych na długoletnie ciężkie więzienie, przebywających już od lat za murami, chorych, wycieńczonych"...

Po wielu latach Szczęsny napisze w pamiętniku: „był to list, który targnął sumieniem wszystkich uczciwych ludzi w Polsce, przeleciał w masach falą oburzenia"...

Ale wtedy była noc głęboka, w sadzie jabłka dojrzewały i Szczęsny chodził wokoło z wilgotnym listem na piersi, pilnując nie tych groszy Mormula na drzewach obrzmiałych, tchnących winnym chłodem, ale tego, co mu partia strzec kazała: Juliana i towarzyszki Borzęckiej.

W dwa dni po Mormulu natknął się na Jasieńczyka. Znów nie dopilnowali.

Jasieńczyk przydrałował jak zwykle bez interesu, na pogawędkę, zobaczył przed chałupą Madzię, bo właśnie pranie robiła.

Szczęsny zastał obojga na ożywionej rozmowie.

— Nie wiedziałem, że masz siostrę! — zawołał Jasieńczyk. — Skąd do ciebie taka siostra?!

I w dalszym ciągu opowiadał Madzi, jak rosła sobie w lesie różna kwaśnota, którą człowiek zaczął później pielęgnować i tak dalej, aż do nieszczęścia naszego sadownictwa — że nie mamy swojskiej szlachetnej jabłoni, odpornej na mrozy, bośmy wszystkie szlachetniejsze szczepy brali z ciepłych krajów.

— Żebyście widzieli sady w Nadrenii! Albo w Danii! Tam dopiero jest kultura, panno Weronko, ja te rzeczy muszę u nas wprowadzać na siłę albo podstępem, Okoniem, że się tak wyrażę... Słyszeliście pewnie?

Nie, Madzia nie słyszała, więc siadłszy wygodniej, opowiedział jak było.

Przed dwoma laty wrócił z zagranicy, gdzie pracując po różnych gospodarstwach i szkółkach podglądał kulturę rolną. Chciał ją ludziom podawać przystępnie, był przecież inspektorem rolnym „Wici". Objazd rozpoczął od Rzekucia, bo leżało najbliżej Przyłęku, gdzie mieszkał, no i była to najciemniejsza wieś w powiecie. Zapowiedział więc rzekucianom, że pokaże im wzorowe duńskie gospodarstwo chłopskie, bezpłatnie ma się rozumieć.

Nikt nie przyszedł. Zgniewało to Jasieńczyka. Ogłosił, że w niedzielę, zaraz po sumie, na klepisku u Butkiewicza, będzie miał odczyt na temat „Co ksiądz Okuń widział w piekle?" — rzeczy nadprzyrodzone, po 20 groszy od łebka. Każdy chciał się dowiedzieć dokładnie o tym księdzu, o którym głośno było wtedy po wsiach, no i o piekle też czegoś pewniejszego. Całe klepisko zajaziło się narodem, Butkiewicz wrzeszczał, że już płotki trzeszczą, a nauczyciel ledwo nadążył ze zbieraniem do czapki. Kiedy ją w końcu dał Jasieńczykowi, ten na koryto przy studni skoczył.

— Co to jest? — wołał potrząsając czapką. — To jest cena waszej głupoty! Czterdzieści złotych osiemdziesiąt groszy — tyleście za nią dali! Chciałem wam uczciwie i za darmo pokazać rzecz pożyteczną, bo dobre gospodarstwo chłopskie, toście nie przyszli. A na taką bzdurę — „Co ksiądz Okuń widział w piekle" — przyleciała was cała chmara! Mógłbym teraz zbyć was jakąś bajdą i wypchawszy się groszem, pójść

sobie na zabawę. Ale tak nie zrobię. Kto mądrzejszy, może zostać, a głupim forsę zwracam, proszę bardzo, niech tu stają, tylko nie kupą — po jednemu proszę podchodzić, po jednemu!

Szczęsny z Władkiem dobrze znali tę historię, śmieli się jednak na równi z Madzią, bo Jasieńczyk mówił znakomicie i tą swoją płaską, ruchliwą twarzą jak do filmu grał.

— O tym cudzie — prosił go ocierając łzy Władek — powiedźcie jeszcze o cudzie w Rzekuciu!

— Owszem — zgodził się Jaś z zastrzeżeniem pełnym nietutejszej galanterii — jeśli panna Weronka wysłuchać łaskawa...

— O, mój Boże — wyrzuciła Madzia unosząc ręce nad wiadrem, w którym prała — toć pan Jaś chyba widzi, że słucham jak urzeczona.

— No to się cieszę... A więc, proszę was, poszło o nawozy. Zaraz po tym odczycie u Butkiewicza. Śmieli się ze mnie — ty, apostole! — i poza gnój ani rusz. Czekajcie, myślę sobie, ja wam pokażę apostoła! Biorę tego nauczyciela, co wtedy zbierał do czapki ich głupotę...

— Rabanowskiego — podpowiedział Władek.

— Tak, Rabanowskiego. Mam go dotąd na sumieniu, wylany przecież ze szkolnictwa za obrazę religii... Więc idziemy w nocy na pole Kamyka, rozrzucamy saletrę raz w jedną stronę, a potem w poprzek — na kształt krzyża, i za każdym razem, gdzie się on kończy — blaszkę do ziemi.

— A po co blaszkę, nie rozumiem?

— Zaraz, panno Weronko. Tajemnica musi być... Mija miesiąc, mija drugi — w Rzekuciu gwałt! W Rzekuciu strach i lament! Wszędzie żyta marne, a u Kamyka, u dziadoka, przez pole dwie pręgi wysokie, kłosiste, że tylko podziwiać. Na krzyż — jakby kto z góry ciął! Cud, mówią, nie inaczej, tylko cud i znak! Jaki? W te pędy do księdza, ale ten odczytać nie umie — „wyjdźmy, moi kochani, procesją, zawsze to od złego uchroni"... Wyszli, obeszli, czekają. A Kamykowe żyto jeszcze więcej się panoszy, już pół metra ponad inne. Wtenczas mówię Rabanowskiemu: „zwołaj ich w niedzielę; Jasieńczyk, powiedz, odczyni". Jak się zebrali, to ich spytałem: „Ile ksiądz wziął?" — „„Trzydzieści złotych". — „Wyjaśnił?" — „Nie". — „No, to ja wezmę trzy razy tyle". Oni się żalą, że na sól nie mają, a ja stoję przy swoim — „nie, mówię, nie postąpię, samego mnie drożej kosztuje". Z wielkim targiem przynoszą w końcu te 90 złotych, wtenczas wołam jedną starowinkę, co się ledwo przywlekła: „a weźcie no szpadelek, matko, pokopcie tu i tu". Dziabnęła parę razy, patrzą — blaszka! „Niechno który

rzeczyta, co na tej blaszce napisano". Przeczytali jeden przez drugiego: saletra! Idziemy dalej. We wszystkich czterech końcach, niby ramionach tego krzyża, znajdujemy blaszki, a na nich słowo — saletra! Ciemnoto wy, mówię, coście na mnie wołali „apostoł!", jak wy teraz wyglądacie?! Za pieniądze z tego cudu i z tamtego piekła księdza Okunia ja z młodymi koło u was założę, komplet narzędzi weterynaryjnych kupimy i książek trochę. Azoty będziemy sprowadzać, my, młodzi, a wy zostaniecie, jak chcecie, przy gnoju! I w zbożu zawsze będzie taka oto różnica!"

— Przekonali się?

— Ba, wagonami by brali! Tylko kogo na to stać? Kto w Rzekuciu ma na nawozy? Kilku bogaczy na „szlacheckim brzegu", ale „chłopi"? ale „dziadoki"? Szkoda gadać.

— A wy z kim trzymacie: z tymi, co na „brzegu" czy z tymi, co na „piaskach"?

— Z sobą, panno Weronko, z sobą trzymamy. Bo o co nam chodzi? Żebyśmy, chłopi, byli sami swoi. Bez dziedzica i bez plebana! Oświatę podnieść, do władzy dojść zgodnie, spokojnie, zacząć nareszcie rządzić ludowo — wtenczas biedniejszym w pierwszym rzędzie pomożemy.

Jasieńczyk cały czas opowiadał właściwie dla Madzi, do niej się zwracał, ją czarował. Madzia także widziała tylko Jasieńczyka.

Szczęsny rozumiał ją: pierwszy raz ma przed sobą wiciowca, na wsi nigdy nie była, dlatego jej oczy błyszczą na nieznane. Wypytuje łapczywie i sprzecza się z Jasiem, nie bardzo jednak, żeby się nie zdradzić. A ten tokuje na wszystkie sposoby, barwniejsze piórka pokazuje i przegląda się w jej zdumieniu!

Na odchodnym powiedział, że będzie częściej zaglądał.

Szczęsny uczuł niepokój, i nową troskę, i jeszcze coś — nie od razu mógł się w tym wszystkim połapać — przede wszystkim taki niepokój jak nigdy dotąd. Nie o siebie, bo co tam jego życie — migawka, nic więcej. Co innego Julian i Madzia.

Raz wpakował się tutaj Mormul, drugim razem — Jasieńczyk. Takie niespodzianki mówią wyraźnie, że mimo całego pilnowania, do sadu może jednak wejść cichaczem jakiś gość niepożądany.

Do końca nocy Szczęsny myślał na obchodzie, jak się przed tym zabezpieczyć? Co zrobić, żeby los jej i jej maszyny nie wisiał na cienkim włosku?

Wracając do siebie nad ranem, już wiedział: łódka i wyłaz dla Madzi, mur dla Juliana.

Łódkę wypożyczył za parę złotych od jednego z rzekuckich rybaków. Stare próchno co prawda, ale dało się podłatać. Trzymał je w pobliskich zaroślach wikliny nad Wisłą.

Co do wyłazu, to przez parę dni, w chwilach gdy był sam, kuł mur za Madzi posłaniem, aż się przebił na wylot — do krzaków głogu i agrestu, rosnących tu dziko, zwarcie od tyłu ich chałupy, na miejscu dawnych czworaków. Od tej strony dostępu nie było.

Wyrąbał w tych krzakach ścieżkę jak tunel, do niepoznania od zewnątrz, i wtedy dopiero odetchnął.

Gdyby teraz Madzia została zaskoczona w mieszkaniu, wystarczy, by dała nura pod łóżko, w ten otwór. Może przeczekać z drugiej strony muru, jeśli ktoś wejdzie na krótko i przypadkowo. W innym razie, gdyby dajmy na to przyszła policja — może zbiec do Wisły i łódką przeprawić się na drugą stronę. O żaglu nie ma pojęcia, ale wiosłować przecież umie.

Tyle dla Madzi. Z Julianem było gorzej. W razie niebezpieczeństwa ani zakopać, bo rdza wszystko by zjadła, ani zabrać. Sto pięćdziesiąt kilo dobrej wagi. Tego się nie weźmie pod pachę.

A jednak nie można było tak zostawić. Mogli tam trafić przez głupi zbieg okoliczności, nie mówiąc już o rewizji. Korytarz w tym miejscu, gdzie skręca do Fordonku, należało bezwzględnie zamurować i gruzem przysypać. Wejście byłoby od zewnątrz przez okienko z kratą, która podnosiłaby się przy zwolnieniu docisku.

Pomysł ten przedstawił Staszkowi. Ten przytaknął. Następnym razem, powiedział, przywiezie się w plecaku worek cementu — niech tylko cegły pozbiera i oczyści. Zamuruje się w oka mgnienie — głupia robota dla zduna.

Staszek wpadł do nich na godzinę, od statku w górę do statku w dół rzeki. Zabrał 2.000 „Listów", zamówił drugie tyle i trzy nowe druki po które obiecał przyjechać za dwa tygodnie.

Najlepiej pracowało się Madzi od ósmej do dwunastej, gdy Władek spał. O północy Szczęsny przychodził po nią, potem budził Władka do warty, tak że ten, wstając, zawsze słyszał równy oddech „panny Weronki".

W owym czasie Madzia miała na maszynie:

drugi nakład „Listu Komuny Grudziądz",

odezwę protestacyjną przeciwko wyrokowi w Kobryniu, gdzie ośmiu chłopom białoruskim i jednej dziewczynie żydowskiej groziła kara śmierci,

przegląd akcji Pierwszego Sierpnia, (przeciw wojnie i interwencji), i „Naprzód do międzynarodowej walki z faszyzmem!" — mobilizacja mas pod hasłem odporu faszyzmowi na fabrykach, na ulicach, w związkach zawodowych, i zwołanie europejskiego kongresu antyfaszystowskiego z inicjatywy lewicy związkowej Niemiec, Włoch i Polski.

Tymczasem Jasieńczyk zaczął przychodzić nie ukrywając bynajmniej, dla kogo tak się fatyguje: a to książeczkę przyniesie jej do czytania, a to jabłka pomoże zrywać kosiorkiem, a to znów opowie jakąś przygodę.

Madzia po jego odejściu bywała zawsze jeszcze bardziej ożywiona, rozmowniejsza, miała się czym podzielić ze Szczęsnym.

— Powiedział: nie potrzeba żadnej propagandy, żeby wyzwolić wiejską dziewczynę. Na rower ją! Kieckę zdjąć, powiada, krótkie spodenki dać jej na godzinkę — niech pogra w siatkówkę! Koniec, amen, już nie będzie chciała starych łachów, starego życia". Czy to nie jest kapitalne?

Innym razem:

— Opowiadał dziś — ale ty nie słuchasz, a przecież to takie ciekawe! — opowiadał o tym konkursie kwiatowym. „Wici" ciągle ogłaszają konkursy, wiesz?

— Wiem. Na lepszego świniaka, na warzywniak, na buhaja, i tym podobne zawracanie głowy.

— To nie jest w gruncie rzeczy złe, tylko ten wąski ekonomizm sprowadza ich na manowce. Dlatego walka w tym światku ciasnym, zatęchłym przybiera czasem jakieś kształty dziwaczne, groteskowe.

— Co to znaczy — groteskowe?

— Śmieszne, wykrzywione... Był, na przykład, konkurs dla młodzieży w Przyłęku. Na kwiatki przed domem, na najlepszy ogródek. Przystąpiło też stowarzyszenie młodzieży katolickiej, bo oni dotąd nie brali udziału. I oto — słuchajże teraz, bo to kapitalne! — pleban pokazuje przepiękny ogródek u jednego ze swych pupilów. „Proszę spojrzeć — mówi do sędziów — dywan perski!" A Jasieńczyk wyrywa jakąś maciejkę i mówi spokojnie, oglądając w zadumie: „Nie tylko dywan, ale cud! Bez korzonków rośnie. Ręka opatrzności czy księdza plebana?" Bo te kwiatki, uważasz, były pozrywane w różnych ogródkach i zwyczajnie tam powtykane!

Szczęsny nie zawsze widział ostro, opatrzyło mu się to wszystko, ale ona, ze swoim widzeniem świeżego człowieka, umiała wyłapać rzeczy, na widok których rozbłyskiwały jej oczy i z ust spływało słowo nowe dla niego, słowo rozdarte: ka-pi-talne!

— Chłopski filozof — mówiła o Jasieńczyku. — Ma w sobie coś z jarmarku i coś z apostoła.

Był nieduży, krępy, właściwie brzydki, z płaskim nosem i czarno-sinym zarostem — kataryniarz włoski! A jednak, gdzie się zjawił, dziewczyny za nim latały. Bo ten jego humor, i fantazja, i wymowa...

Kiedy teraz przychodził, Szczęsny odczuwał już nie niepokój o Madzię, bo Jasieńczyk był chłop przyzwoity i gdyby nawet coś wykrył przypadkowo, na pewno zatrzymałby przy sobie. Nie, to „coś" było po prostu pospolitą męską zazdrością.

— Szczęsny — śmiała się czasem Madzia — ty nie masz poczucia humoru!

A Jasieńczyk miał.

— Dziwny masz sposób mówienia, jakby ci to ciężko przychodziło albo szkoda było rozstawać się ze słowem. Taki styl — wybacz — jak stylisko!

A Jasieńczyk mówił jędrnie i lekko, lubując się własnym słowem i innych zmuszając do tego, by się w nim lubowali.

Pewnego razu opowiedział im o swej walce ze stronnictwem monarchistycznym.

— W powiecie to było. Ten wasz hrabia Dojmuchowski wylazł na mównicę i począł ględzić: jedno stado — jeden pasterz, tak było, tak będzie najlepiej... Powinniśmy, mówił wolną elekcją wybrać Forda na króla polskiego! Wszyscy w słup, a on napoważniej w świecie dowodzi: „czego nam najwięcej brak? Przemysłu i wielkiego kapitału! Gdy wybierzemy Forda na króla, to on w podzięce za ten zaszczyt przeniesie do Polski swe fabryki i kapitały". Ludzie, widzę, oglądają się: niby racja, ale jakaś całkiem głupia racja... Wychodzę więc na trybunę i tak samo najpoważniej ciągnę, że popieram całkowicie wniosek przedmówcy mego, i hrabiego, zatem idąc jego śladem, proponuję, byśmy wybrali go na wójta naszej gminy. „Ludzie kochani — wołam jak hrabia — czego nam najwięcej brak? Nie tyle ziemi ornej, ile tych łąków, co by było gdzie bydełko wypasać. A tu zaraz za Przyłękiem mamy łąki dojmuchowskie pod skraj nieba — nad wyraz bujne, soczyste... Obierzmy pana hrabiego wójtem! Za taki zaszczyt on nam niezawodnie łąką podziękuje". A ten jak nie wrzaśnie: „O, co to — to nie! Łąki nie dam!" A ja mu wtedy: „A Ford niby głupszy? Ford da?!"

Wypukał fajeczkę o obcas i sam się do ich śmiechu przyłączył, z cichą skromnością aktora na popisie.

— Tak go zgasiłem. Dwa razy przypadło mi gasić tego fawułę. Drugim razem przy wyborach. Bebe wystawiło go na posła. Agitacja była po wsiach, żeby głosować na hrabiego Dojmuchowskiego Fabiana. Sami nic nie zrobicie, mówiono, nie wiecie, do kogo i jak, z której strony podejść, a hrabia — człowiek uczony, z pułkownikami na ty. „Załatw no, Olku — powie do Prystora — bo to, wiesz, moi sąsiedzi"... I pan premier załatwi. Ale najwięcej bito na jego uczoność, więc wziąłem stuzłotowy papierek i wyszedłem w dzień targowy na rynek. „Sto złotych! Sto złotych daję!" Chodziłem między ludźmi z pieniądzem nad głową i tak wołałem, aż się zebrał wielki tłum. „Za co dajesz? Komu dajesz?" — „Sto złotych temu, kto mi pokaże własnoręczny list Dojmochowskiego Pawiana! Bo ja twierdzę, że on pisać nie umie i wszystkie jego listy miłosne do Basi Sapożnik ekonom pisał!"

— A niech cię... — jęknął Szczęsny. — To dopiero chwyt!

— Czekajcie... czekajcie... — krztusiła się Madzia. — Czy... czy naprawdę nie umie?

— E, nie całkiem, trochę tam bazgrze. Widziałem jego podpis czerwonym atramentem. No, to wygląda... jakby wam powiedzieć? Jakby mucha rżniączki, za przeproszeniem, dostała i do sławojki nie zdążyła!

— A nie próbowaliście — zagadnęła podstępnie Madzia w chwilę potem — nie próbowaliście jakoś dojść z panami do ładu?

— Nie — odrzekł twardo, posępniejąc — z nimi nigdy nie pójdziemy. To Normandowie.

Powiedział: Normand-dowie. Podwójne „d" zadudniło szczególnie złowrogo.

— Nie wiem, co pan Jaś ma na myśli.

— A skąd się szlachta wzięła?

I nie czekając na odpowiedź rzucił spiesznie, zdecydowanie:

— Od Bolka! Przed Chrobrym szlachty nie było. Dopiero Chrobry ściągnął rycerzów z Północy, Normandów, na Kijów z nimi uderzył gdzie indziej, a potem za wierną służbę ziemią wynagrodził. Od Bolka oni nam na karku siedzą!

Madzia, zaskoczona, nie od razu podjęła.

— Tak, ale gdyby nawet... Gdyby, co mówicie, było prawdą, to przecież tysiąc lat minęło. Oni się już pomieszali, rozpłynęli w polskim żywiole.

— Ale! — machnął Jasieńczyk na takie gadanie. — Oni się parzyli między sobą...

I zaczął wyliczać okoliczną szlachtę, Dojmuchowskich, Nałęczów i Rutkowskich, wszystkie związki: kto, kiedy i z kim... Pamięć miał jak Bajurski.

— Zresztą spojrzeć tylko na takiego, to się widzi, że to nie Polak. Kark krótki, czoło niskie, oczy koloru wody morskiej, wejrzenie nietutejsze... Nie, to Normad-dowie! I my lud polski, lud słowiański, spokoju nie zaznamy, dopóki tych przybyszów, tych najeźdźców z siebie nie zrzucimy!

Gdy w jakąś godzinę potem odchodził, Madzia patrząc za nim powiedziała do siebie „co za temat!" z takim żalem, jakby nie Jasieńczyk, ale temat się oddalał.

— Te ich manowce, że kapitał kapitałem, a oni sobie, sami chłopi... Że jakoś tam spokojnie, zgodnie dojdą do władzy. Jak gdyby ktoś kiedykolwiek doszedł do władzy spokojnie! I te ich sposoby walki wprost kapitalne!

— A jak było naprawdę ze szlachtą?

— Ano, była kiedyś taka teoria o pochodzeniu szlachty polskiej. Jasieńczyk gdzieś to wyczytał albo posłyszał. Nie miał możności sprawdzenia, wiadomo — samouk. Wziął teorię jak ziemię, roztarł na dłoni: czy przydatna? co z niej urośnie? — nie poznał się. Wyrosło, jak widzisz ziarno niedojrzałe, nie klasowe, jakieś zielsko rasistowskie... A ja bym tak chciała o tym napisać!

Dostrzegła zdziwienie w jego oczach.

— Wiesz, próbowałam. W więzieniu napisałam jedną rzecz. Wydrukowali potem w „Lewarze". — „Przebłyski dużego talentu", tak mnie zachęcili...

Z jej twarzy nagle posmutniałej, prawie cierpiącej Szczęsny wyczytał: a więc takie jest jej marzenie — pisać jak pani Eliza albo jak ta młoda, to chyba towarzyszka — Wasilewska!

— To przecież także potrzebne — tłumaczyła się z tych pragnień własnych i jednostkowych. — Oczywiście, nie tak ważne jak walka ale... Ja już niekiedy przyłapuję siebie na tym, że patrzę tematami

Roześmiała się.

— Na przykład ty... Ty jesteś do druku. Nawet tytuł mam dla ciebie

— Jaki znów tytuł?

— „Syn cieśli, który"... — tu mi trochę nie wychodzi, bo za długi i czy aby nie mistycznie? — „który nie dał się ukrzyżować". Nie. Lepiej: „który się nie dał rozpiąć na krzyżu!" — co?

— Wszystko mi jedno. Możesz rozpiąć, tylko — widzisz — Władek się położył. Widziałem, jak szedł.

— Masz rację, zagadaliśmy się jednak...

Wstali i poszli w stronę Fordonka przez omroczony sad. Bose stopy wyczuwały już rośność wieczorną, oślizgłe trawy zawijały się o nie jak węże; w powietrzu zalatywało dymem ogniska rybaków znad rzeki i pierwszym powiewem butwienia z ogrodu.

„Naprzód do międzynarodowej walki z faszyzmem" — nakład 3.000 miał być gotowy na sobotę.

## XX

W sobotę czekali na próżno: Rychlik nie przyjechał.

Zaniepokojeni, zgadywali, co się mogło przytrafić Staszkowi, on tymczasem przybył wśród tygodnia i to przed obiadem.

— Od dziś — wyjaśnił — mam urlop. Pierwszy raz; nie wiem nawet, co to jest: urlop!

— Więc zostaniesz na dłużej?

— Nie, jutro przed wieczorem koniecznie muszę być we Włocławku. Ale potem wpadnę do was na dwa dni.

A w sobotę nie przyjechał dlatego, że w Celulozie ogłoszono redukcję, między innymi wymówiono całej „chłopskiej partii" czyli Bajurski z Gawlikowskim poszli „na łączkę". Była akcja, niestety, nic się nie dało zrobić.

Po południu Madzia z Władkiem wybrali się na ryby. Szczęsny pilnował, a Staszek w podziemiu zamurowywał przejście do Juliana. Skończył dopiero przed wieczorem.

Madzia oprawiła swe płotki i certy, rozpalono ognisko na wzgórku, akurat przyszedł Jasieńczyk z mandoliną, więc zebrali się tam wszyscy. Z początku gawędzili, a po kolacji do późna śpiewali do wtóru mandoliny. Było przyjemnie i ładnie. Księżyc świecił. W dole Wisła ociekała żywym srebrem i drzewa nad nimi wyglądy w poświacie jak dekoracje do jakiejś pięknej sztuki.

Nazajutrz obudzili się dobrze po słońcu. Nie chciało się wstawać. Leżeli na swych posłaniach opowiadając wesołe kawały, wtem wpadł do izby Władek.

— Ojciec idą!

Ledwo Madzia zdążyła czmychnąć przez wyłaz, wszedł stary Żebro.

— Spotkałem Jasieńczyka — powiedział rozglądając się po ich klitce. Mówił, że Weronka przyjechała, więc — myślę sobie — wstąpię, dowiem się, co u was słychać.

— Weronka właśnie poszła na przystań — odparł Szczęsny z ulgą, że Madzi już nie ma: stary znał Weronkę, o mały włos wszystko się nie wydało. — Kwadrans, jak wybiegła.

— Szkoda. Mam sprawę do Tomasza, pilną sprawę.

Mrugał znacząco lewym okiem, którego Staszek nie mógł widzieć. Sam na sam chciałby zostać ze Szczęsnym.

— Mówcie śmiało — to swój, towarzysz, wszystko razem robimy.

— A bo to, widzicie, jest bunt w Rzekuciu.

Przebrała się miara, tłumaczył im Żebro. Podatki wysokie, ceny niskie, szarwarki, licytacje, a ziemi z każdym rokiem jest mniej. Grunta w oczach drobnieją i są szatkowane w niemożliwy sposób, jak u Kamyka, co trzy morgi ma w trzynastu kawałkach. Poślad jakiś, paprochy! Na domiar wszystkiego jeszcze ten kominiarz, którego nasłano ze starostwa. Komisaryczny! Widział kto takie złodziejstwo? Trzy złote płać mu rocznie od komina, a on wcale nie czyści, tylko na Siedmiu Braci Śpiących przychodzi, żeby zgarnąć podymne.

Zjawił się miesiąc temu, to go z Rzekucia wyświęcono i na zebraniu gromadzkim podpisy i krzyżyki poskładano, że kominiarzem będzie Jesionowski Piotr, bezrolny, swojak, który do tegoż zgadza się na 2 złote od komina.

Jesionowski kominy już raz przeczyścił jak należy, wszyscy się uspokoili, że dymu z tej sprawy nie będzie. Tymczasem przyszła wiadomość że rządowy kominiarz jedzie do Rzekucia w asyście. Dziś ma przybyć.

— We wsi teraz się gotuje. „Szlachta" kręci na ugodę, ale „chłopi" i „dziadoki" za nic smolucha nie wpuszczą, choćby i z policją! A nie są znowuż tak bardzo zakute, nie! Coś zwąchali, bo do mnie na Oktawie przybiegł Kamyk z Ficowskim. Nie może być, mówią, żebyście, fornale sztrejk sami wygrali. Odezwy były miejskie, i warty na drogach jak u robotników, i wszystkie porządki... „Kto wam pomagał? Niech i nam pomoże!" Odesłałem ich. Dokładnie nie wiem, powiedziałem, może się dowiem... Ale — myślę — nie wypada od tego się uchylić. Nie chcesz wyjść do wszystkich, ja to rozumiem, w takim razie niech kilku od nich przyjdzie tu w zaufaniu.

Gorszej rzeczy nie mógł Szczęsnemu zaproponować. Żeby w dniu przybycia do Rzekucia policji — ludzie stamtąd tu się kręcili!

— Nie, do mnie nie można — odrzekł chmurnie, szukając w myślach jakiegoś wyjścia i uzasadnienia. — Zaraz Mormul przyjdzie, mamy renety zbierać...

— Renety — powtórzył z wyrzutem Żebro. — Ty żeś od nas, rzekucki, pomóc trzeba.

— Ale o co chodzi — wsunął się między nich ubrany już Staszek. — Ja pójdę. Mnie nikt nie zna, mogę jechać na całego.

To była myśl!

Żebro spojrzał na niego z uznaniem.

— Są teraz u Jesionowskiego. Jak iść, to zaraz.

— Idźcie — zgodził się Szczęsny. — Tylko w razie czego pamiętajcie: nie znamy się i Staszka na oczy nie widziałem. Przyjechał do was, do Oktawii, u was nocował.

— Jużci — przytaknął Żebro gotów na wszystkie warunki. — Przemkniem się chyłkiem na folwark, dopiero stamtąd pójdzie do Rzekucia.

— Nie ma obawy, nie takie miało się masówki — uspokoił go Staszek. — Dziś wieczór będę u siebie.

Po ich odejściu, rozważywszy rzecz z Madzią, która wszystko słyszała przez wyłaz, Szczęsny był już prawie pewien, że do buntu nie dojdzie. Kominiarz złotówkę opuści i będzie po krzyku.

Zawołał na Władka, ale go nigdzie nie było, choć dopiero co mówiono, że wszyscy dziś będą zrywać renety. Wyjrzawszy na drogę, zobaczył daleko, na mostku rzekuckim, biegnącą figurkę.

— Urwał się, łobuz, no bo jakże by tam bez niego!

— Dobrze się składa — odparła Madzia — będę mogła popracować.

Poszła do Juliana, a Szczęsny wziąwszy worki i kosiorek, począł zrywać jabłka na skraju sadu, skąd miało się widok na gołoć ściernisk żółkniejących niepowstrzymanie do samej wsi, na bure dachy i czerwony czubek kościółka po tamtej stronie jaru.

Przez listowie widziało się niebo powleczone cieniutką białawą warstewką, w którą zamotało się niemocne już słońce jesienne. Gdy kosiorek sunął do jabłka nurzając się w liściach — szeleściły szorstkim szelestem liści sztucznych, obumarłe, bez soków, choć jeszcze bladozielone, z uczepioną gdzieniegdzie pajęczynką babiego lata.

Było ciepło, cicho i tak nieruchomo w naturze, tak jakoś nienaturalnie, że się wprost czuło całą kruchość tej ciszy.

Szczęsny miał już pełne worki i przenosił po jednemu do składu, gdy uszu jego doszedł dźwięk, który mógł być strzałem.

Przystanął, ale wszystko tchnęło spokojem, ruszył więc dalej, wtem nad wieżyczką kościoła wzbiły się wrony czarną kurzawą i zaraz potem

doszło echo dwóch strzałów, zdawało się, z dubeltówki. Ale nie z dubeltówki: były ostre, karabinowe. I nagle urwane jakby Rzekucie przykryto pierzyną.

— Madziu — zawołał dopadłszy Fordonka — lepiej będzie, jeśli wyjdziesz.

— Co się stało?

— Nie wiem, strzelanina w Rzekuciu...

Otworzył kratę, Madzia wylazła. Zamknęli z powrotem okienko, i ostrożnie stąpając po kamieniach, żeby nie zostawić śladów, bo miejsce to miało być dzikie, nieodwiedzane — poszli przez ruiny w stronę chaty.

— Na wszelki wypadek musisz być w pobliżu wyłazu. Wiesz, jak się ratować. Na tamtym brzegu powiedz tylko Rucińskiemu: „od Szczęsnego do miasta". Już on cię na kolej zawiezie.

W tej chwili ujrzeli na drodze Władka. Biegł od Rzekucia bez czapki, z włosem na wietrze starganym — taki w tym pędzie wybujały i szurpaty jak jeszcze nigdy dotąd.

— Zabili!

Tyle tylko mógł z siebie wyrzucić.

— Staszka zabili... Tu — stuknął się w pierś rozdymaną krótkim, chrapliwym oddechem — prosto w serce!

Palce Madzi zacisnęły się na ramieniu Szczęsnego, chciał się wyszarpnąć, popędzić do Rzekucia. Opamiętał się w porę: Julian!

— Mów. Nie smarcz, do licha, mówżę, jak było!

Władek jęknął — „żebyśta widzieli"...

Słuchali słów śpiesznych, załamujących się — o tym, co zaszło.

Przybyło ich trzech: kominiarz i dwóch policjantów. Najpierw poszli do sołtysa na „szlachecki brzeg". „Szlachta" zapłaciła, wtedy poszli „na piaski", ale wszystkie chałupy były tam pozamykane, psy spuszczone i drabiny pochowane. Nigdzie żywej duszy, bo cała wieś zebrała się w drugim końcu, przy swoim kominiarzu, przy Jesionowskim.

— Rozejść się! — huknęli policjanci.

I sołtys to samo zakrzyknął, że władza każe im się rozejść i przygotować dla kominiarza drabinę na dach oraz trzy złote.

Nikt się nie ruszył, cisza nastała, tylko Kamyk zawołał:

— Na Braci Śpiących! Jak się obudzą!

Policjanci do Kamyka: jak śmie?! Kamyk na to — że właśnie śmie! Mają swego kominiarza, który jest lepszy i tańszy, rządowego nie chcą, niech sobie idzie, jak gromada uradziła, na co papier mają z podpisami i krzyżykami.

Zaczęli go policjanci brać, to się naród obruszył i Jasieńczyk do nich przyskoczył, że to nie jest opór ani podburzanie, ale gromadzka uchwała. A policjant go kolbą po głowie:

— Znam cię, taki sam element!

I chciał go jeszcze raz, ale Staszek złapał za karabin, wtedy drugi policjant strzelił. Staszek poleciał przez ręce, na małą chwilkę wszystko zamarło, a potem jakby kto stęknął „uuuch!" — i już tych trzech zawaliło.

Byliby na śmierć zatłukli za Staszka i Rabanowską, która dostała kulą w rękę, całe szczęście, że Jasieńczyk do tego nie dopuścił. Rzucono ich w końcu na sołtysowy wóz i kazano odstawić do powiatu. A Staszek został u Jesionowskiego na ławce — krew się z niego leje i leje!

Madzia pierwsza tego się chwyciła: jeśli broczy, to pewnie żyje!

Szczęsny jednego był pewien: żywego czy martwego trzeba Staszka ukryć, doktorowi pokazać. I nikt o tym wiedzieć nie może, że on stąd wyszedł.

— Władek, a ojciec? Jest tam teraz albo był?

— Nie, ojca nie ma.

— No, to nie ma komu, słyszysz, nie ma komu... Ty musisz! Powiedz Jesionowskiemu, że niby ojciec kazał: Stacha brać na drabinę od wozu i nieść do Przyłęku, do felczera. A gdy będziecie za Mogiłą, powiedz prawdę: nie do Przyłęku, ale do Oktawii! I pójdziecie w tę stronę laskami, aż do gajówki, wiesz?

— Wiem.

— Tam na mnie czekajcie.

Gdy Władek pognał do Rzekucia, Szczęsny powiedział Madzi, żeby się schowała i nie wychodziła do jego powrotu, bo biegnie do doktora Chrobotka.

Chrobotek mieszkał w pół drogi między Rzekuciem a osiedlem kolejarzy, trzy kilometry od sadu, przy trakcie płockim. Domek tam sobie postawił na stare lata, praktykę rzucił, czasem tylko chłopów leczył za darmo, żyjąc z tego, co sobie odłożył na książeczkę, no i brat mu pomagał. Brata miał inżyniera. Wprawdzie był doktorem wewnętrznym, dokładnie sercowym, ale dwie wojny przerobił w szpitalach wojskowych, na ranach musiał się znać. Do Szczęsnego po jabłka przychodził, a właściwie na żuki i motylki. Z siateczką. Upodobał sobie w jakichś owadach, które trzymały się tylko w Dojmach, pod krzakami szypszyny, za rumowiskiem.

Był u siebie w ogródku — wysoki, wyschnięty, zeszłowieczny — w krótkich spodenkach i koszulce z bielonego lnu. Gołe nogi i ręce pokry-

wał siwy meszek. Głowa lśniła w słońcu czerwoną łysiną zamiast szklanej kuli czy innej bogatej ozdóbki nad niskim żywopłotem.

Na odgłos kroków Szczęsnego obrócił się, spojrzał z ukosa ponad opadłe okulary.

— Zbliż się, chlubo Achiwów, Odyssie z Itaki! Za czym, powiedz, przybyłeś w tak odległe strony? — spytał potrzaskując sekatorem. — W sprawie swojej czy ludu przybyłeś? Mów szczerze!

— Panie doktorze, ja do pana z wielką prośbą...

Opowiedział, co zaszło w Rzekuciu.

— A tak — skinął głową stary — Wikta mówiła. Jakieś rozruchy komunistyczne.

— Krew się leje, droga jest każda chwila — naglił Szczęsny, a Chrobotek ciął ze złością jesienne róże burcząc:

— Ano właśnie. Od razu wiedziałem: nie łajdaczy się, zatem musi komunizować... Sexus i komunizm, tylko to was teraz naprawdę obchodzi!

— Doktorze?

— Ale w jakim celu ja bym go ratował? Żeby mi potem to zabrał — kwiaty, dom i wszystkie entomy? Sakramencka sprawa... W pierś, mówicie? Krwawi? No to zaczekajcie, wezmę, co trzeba.

W jakiś kwadrans poszli polną ścieżką do lasu, gdzie była kiedyś gajówka. Od kilku lat nikogo tam hrabia nie trzymał, bo nie miał już lasów i pieniędzy nie miał; ostatni gajowy odszedł uwożąc za długi chałupę, resztę później rozebrano do czystego kamienia, tego bowiem niesposób było udźwignąć ani porąbać. Kamień ogromny, około metra średnicy, ociosany na płytę stołową, z wyrytymi nazwiskami wielkich panów, którzy przy nim ucztowali polując tu za dobrych czasów.

Przy kamieniu stali Władek z Jesionowskim przytrzymując końce drabiny, żeby się nie przechyliła. Na drabinie leżał Staszek. Był bardzo blady, ale przytomny.

— Widziałeś? Coś podobnego! Tak mi to nie na rękę — skarżył się — nie masz pojęcia...

— Wierzę panu, młody człowieku. Może pan unieść tę rękę? — pytał się Chrobotek rozbierając go. — Dobrze. Odwróćmy się teraz na bok...

Wszyscy trzej patrzyli w napięciu na palce i twarz doktora, jak bada czerwono-fioletowy siniec z niedużą raną na piersi Staszka, obmywa jodyną i eterem, jak szuka wylotu kuli na plecach, na boku — coraz wyżej.

— Ślepy postrzał — mruczał, wtem domacawszy się czegoś pod pachą, znieruchomiał w zdumieniu swego odkrycia. — Patrzcie, taki witz... W czepku urodziłeś się, panie pykniczny, w czepku!

— Co pan znalazł, doktorze? — zagadnął go Szczęsny. — Nie ma komplikacji?

— Głupstwo. Co pan miał na piersi, panie pyknik? — spytał Staszka.

— Klucz miałem w bluzie.

— No to zawieś go pan sobie na sznurku i noś na szyi zamiast medalika. Dzięki niemu żyjesz. Gdzie ten klucz?

Podali mu bluzę. Z kieszeni jej wyjął duży klucz od kłódki. Z blaszką na druciku.

— Zgadza się. Blaszka przebita, widzicie? Pocisk trafił w blaszkę, przebił i osłabiony poszedł wzdłuż żeber. Zaraz będziemy go mieli.

Wyjął z torby narzędzia, zaczął Staszka golić pod pachami.

— Ale cały dowcip polega na tym, że pocisk stanął przy tętnicy pachowej! Jakby się rozmyślił. Tu biegnie tętnica — wiecie? — taka gruba żyła. Gdyby została przerwana, to krew chlusnęłaby fontanną i nim nadeszłaby pomoc... E, szkoda gadać. Ale swoją drogą, to mi się już trafia drugi raz, tak, drugi raz.

Lancetem musnął nacinając i wyłuskawszy, podał kulę Staszkowi. Ten obejrzał — „ścierwo, byłoby zabiło!" — podał Władkowi, od niego wziął kulę Szczęsny.

Chrobotek w tym czasie robił opatrunek i zastrzyk — „na wszelki wypadek, żeby nie było tężca".

— Jak się pan czuje?

— Dobrze. Ja bym nawet poszedł, tylko piekielnie boli.

— Nie, chodzić nie radzę. Spokój potrzebny, nie jątrzyć, nie brudzić. Po dziesięciu dniach zmienić opatrunek.

Zamknął torbę, wziął kulkę z rąk Szczęsnego, podniósł na wysokość zaczerwienionych, starczych powiek.

— No tak, ten sam kaliber i wypadek identyczny — mówił patrząc na pocisk przymrużonym okiem, jak przez pryzmat. — Dwadzieścia pięć lat, może więcej, ale pamiętam. Zamach był na pocztę pod Fabiankami, sprawa potem była, jeden został skazany na śmierć, Olesiński czy Olechniewicz...

— Olejniczak — podpowiedział Szczęsny.

— Racja — teraz sobie przypominam — Olejniczak! A jego towarzysza postrzelono w ten sam sposób, tylko zamiast klucza miał na

piersi zapasowy magazynek, a kula była kozacka. Ale dla mnie, dla lekarza, nie ma przecież znaczenia — kozacka czy polskiej policji...

— Dla mnie też bez różnicy — wtrącił ranny.

— Naturalnie. Tylko, wiecie, gdyby mi kto wtedy powiedział, że tak samo po kryjomu będę się znów grzebał w piersi polskiego robotnika i wyjmował polską kulę, no to nie wiem — wariat, pomyślałbym, albo bluźnierca!

— Zabombony — wyjaśnił mu pobłażliwie Staszek — mieliście tez swoje zabombony.

— Możliwe — „szpakamiś ty karmiony, nie od kształtu głowa, gdy w każdym słowie wietrzysz cel ukryty...“ Czytaj Homera, młody człowieku, bo nasze czasy gówna warte.

Zarzucił rzemień torby na ramię i wyciągnął do nich rękę.

— Dogonię pana doktora — zapewnił go Szczęsny.

— A pogadajcie sobie o swoich sprawach, ja się przejdę sam spacerkiem.

Poszedł sztywnym, czaplim krokiem, a Szczęsny począł śpiesznie tłumaczyć Władkowi, że musi zaraz sprowadzić tu ojca, by przewiózł Staszka bocznymi drogami do majątku Rutkowskiego, Górny Szpetal, 30 kilometrów stąd; tam u fornali, dokładnie u pastucha jednego, ranny wydobrzeje.

Wszystko, zdawało się, załatwił, dziwiło go tylko, że Staszek uporczywie przywołuje trzymanym w dłoni kluczem. Nachylił się nad nim.

— Masz — szepnął Staszek wtykając mu klucz do ręki — zamknąłem na kłódkę.

Wymownym gestem streścił całą sytuację.

Szczęsny nie od razu zrozumiał, ale gdy sobie uprzytomnił, co się teraz dzieje na Piekarskiej i co jutro wyniknie, jeśli kłódka nie będzie zdjęta — to aż go ciarki przeszły.

— Ale z ciebie udko!

— Zawsze tak robię — usprawiedliwiał się Staszek. — Zamknąłem, co robiący byłem pewien, że dziś wrócę.

Szczęsny milczał nie wiedząc, co pilniejsze, za co się wpierw brać: pilnować Madzi i Juliana przed policją, która lada chwila będzie chciała powetować sobie w okolicy? ratować Staszka? mknąć do Włocławka?

— Która może być godzina?

Wszyscy spojrzeli na słońce przeświturające matowo poprzez wsypkę wietrznych pierzastych obłoczków.

— Czwarta chyba dochodzi.

O siódmej płocki statek rzucał kładkę na brzeg pod Rzekuciem.

Do sadu było stąd cztery kilometry, do Oktawii dwa, z Oktawii do sadu — sześć. Można było zdążyć.

— Zostań przy nim — powiedział Szczęsny do Jesionowskiego. — Uważaj. A ty, Władek, biegnij do ojca. Niech bierze konia, dworskiego czy sąsiadów, wszystko jedno, byle koń z furmanką. Musimy zdążyć z owocem na statek, potem powieziecie Staszka.

Odtąd wszystko potoczyło się na złamanie karku. Był bieg na przełaj, było noszenie papieru z Fordonka do „kantoru", pakowanie z Madzią, gorączkowe narady w trakcie, gdy ręce latały, zabijanie skrzyń deskami, ładowanie na wóz...

Dopiero o zachodzie, kiedy statek rycząc odbił od brzegu, Szczęsny nareszcie odetchnął.

Otarł czoło rękawem; włosy skołtunione, pozlepiane potem wystawił na wiatr. Serce biło miarowo i mocno jak statkowa turbina. Na pokładzie piętrzył się ładunek przykryty brezentem, a pod nim — dwanaście skrzyń z półcalowych desek świerkowych, poprzybijanych co dwa cale. W odstępach między deskami widziało się siano i słomę, i pachniało jabłkami. Wszystkie skrzynię były jednakowe i jednakowo pachniały.

O dziewiątej z minutami statek przybył do Włocławka. Szczęsny zostawił na przystani dziesięć skrzyń towaru dla sklepu Romana Korbala przy ul. Św. Antoniego i z dwiema na pożyczonym wózku tragarskim ruszył w stronę Piekarskiej.

Na podwórzu ściśniętej czynszowej kamieniczki oparł dyszel o schnące pośrodku drzewko i pobiegł po schodach skrzypiących, rozchwierutanych na ostatnie piętro oficyny. Namacał po ciemku kłódkę jak serce dzwonu. Otworzył. Ktoś odskoczył od drzwi. Szczęsny postąpił dwa kroki.

— Wychodzić, towarzysze.

Zaszeptano po kątach. Krzesłem szurnięto. Od okna ozwał się głosik prawie dziecięcy:

— A towarzysz Corobiący?

— Corobiący przyjść nie może. Wychodźcie bez obawy i prędko, bo nie mam czasu. Nie wszyscy naraz, pojedynczo...

Poszedł do zlewu, zderzywszy się po drodze z kimś, kto się wymykał ku wyjściu, zda się dziewczyna. Natrafił wreszcie na kran, dopadł ustami i chłeptał długo, łapczywie. Gdy uniósł głowę znad zlewu, nie słyszało się żadnego szmeru ani szeptu.

Zapalił. Jedno mu się już udało: młodzież wypuścił. Bo co by było, gdyby Staszek zamknąwszy młodzież jak zwykle, gdy ta miewała swe „roboty ręczne" — malowanie sztandarków, wycinanie szablonów czy

powielanie — gdyby Staszek nie zdołał mu oddać klucza?! Siedziałoby bractwo nadal zamknięte, bez jedzenia, po ciemku, bojąc się zdradzić głosem czy światłem — dla sąsiadów przecież mieszkanie miało być puste, bez gospodarza, czego widomym znakiem była kłódka od zewnątrz. W końcu kiedyś tam, w dniu wychodnym, przyszłaby od swych państwa matka, otworzyłaby własnym kluczem...

— A niech go gęś kopnie — sklął w duchu Staszka. — Też ma pomysły!

Zamknął ostrożnie pokój i po chwili był na podwórzu.

Ujął dyszel, pchając wózek na jezdnię — brama była jeszcze otwarta — by dalej toczyć go ulicą Trzeciego Maja, przez most nad Zgłowiączką i Toruńską do końca, prawie za miasto, do Domu na Wydmuchu, skąd należało wywołać towarzyszkę Ewę Lubartównę:

— Gdzie złożyć? Macie tu w jabłkach obydwa nakłady.

Potem trzeba przenocować u Staszka albo u Lubartów, wczesnym rankiem trzeba być u Olejniczaka i warszawskim statkiem, o dziesiątej, odpłynąć do Rzekucia. Ale przedtem jeszcze — kupić książkę, o którą prosił Jasieńczyk. Jakaś nowa książka, wiciowcy w Przyłęku koniecznie chcą przeczytać. Kaczkowski czy Kruczkowski napisał, a o czym — ma na kartce w kieszeni — o kurhanie i chamie, w każdym razie coś o chamie.

*
* *

Pora była szara, gdy Szczęsny wrócił — świeżo po zachodzie. Sad oprzędła ciemno-siwa mgła. Zmorzone drzewa prostowały się czasem leciuchno drzemotnym, ledwo uchwytnym tchnieniem listowia. Szli śród nich we troje: Władek, Szczęsny i Brylek. Władek opowiadał, a pies pałętał się między nogami Szczęsnego, przewracając się na grzbiet z radości, to znów w nagłym uskoku warcząc groźnie — pomylone zwierzę o rozdwojonej jaźni.

O Staszka można było być spokojnym. Odwieziony. Ale do Rzekucia — jak wynikało ze słów Władka — z samego rana zjechała policja i komisja śledcza. Aresztowano Kamyka z Jasieńczykiem. Próżno Jasieńczyk wskazywał na głowę, co mu policjant rozbił i że mimo to ich bronił, dosłownie śmierci wydarł. Nie pomogło — element i tyle. Aresztowano też Jesionowskiego za bezprawną praktykę kominiarską i obojga Rabanowskich — tych doprawdy nie wiadomo już za co. Nauczycielowa ma przecież rękę przestrzeloną, a nauczyciela przy rozruchach nie było, w ogóle odkąd wyleli go ze szkolnictwa za cud

z saletrą, wszystkiego się boi i tym strachem żyje tyle lat, łapiąc co podleci, każdą pracę, trochę w mieście, trochę na wsi — wróblowato.

— Ale najwięcej to im zależy na Staszku. Tego podżegacza, mówią, znajdziemy, choćby nie wiem co!

— Szukają?

— Ba!

— Niech sobie szukają. Spóźnili się o całą dobę... A jak Weronka?

— Nic. Was ciągle wygląda...

Spauzował. I już z lekkim przekąsem:

— ...ta Weronka.

— Coś ty tak jakoś... kwaśnie?

— A po co macie mnie za durnia? Weronka! Kiedy wiem, że nie Weronka!

Szczęsny przystanął.

— Skąd wiesz?

Chciał zajrzeć Władkowi w twarz, ale było na to za ciemno.

— Ojciec raz żałował Weronki, że nie umie czytać. A tu patrzę — czyta! Jeszcze jak! Nauczycielka tyle nie umie. I w ogóle — czy ja podług was oczu nie mam? Po co było ukrywać przede mną?

Głos chłopaka brzmiał tajonym bolesnym wyrzutem:

— Nie wierzycie mi, widzę...

Szczęsny rękę położył mu na ramieniu.

— Wcale nie, Władek. Tylko jesteś za młody na takie rzeczy, nie chcieliśmy cię mieszać w to. Ale teraz — dobrze, nie będziemy się kryli... Pomówimy zresztą, najpierw muszę się wyspać. O dwunastej trzeba cię zluzować, prawda? No właśnie.

Władek poszedł dalej przez sad postukując kijem, a Szczęsny skręcił do chaty.

W oknie ktoś stał — tak mu się wydało — a gdy szurnął na progu o drewnianą kratę (Madzia wywalczyła jednak tę wycieraczkę), w środku zabłysło światło. A więc prawdę Władek powiedział: wyglądała!

— Był kto? — spytał wchodząc.

Madzia lampę, której knot przykręcała, uniosła nad głową, by lepiej go widzieć.

— Nie, nikogo nie było.

— A Władek — słyszałaś? — już wie.

— Co jeszcze?

— Ano wie, że nie jesteś Weronką.

— Co jeszcze, pytam się, powiesz? Wchodzisz nie witając się, roz-

mawiasz, jakbyś wcale nie wyjeżdżał. Tak wraca do domu bohater mojej opowieści? Syn cieśli, który... i tak dalej? Fe!

Szczęsny poszedł do pieca kuląc się z lekka, jak gdyby było mu zimno. Dłonie idąc rozcierał niby zmarznięte, a właściwie spragnione, chwytające się samych siebie, by jej nie chwycić na ręce. Chodziłby, twarz zanurzywszy w jej włosach, chodziłby z nią tam i z powrotem! — takie miewał zawroty głowy.

— Mój bohater nie odpowiada?

— Masz rację, tak się nie wraca. Ale ja, widzisz, nie wiem, co to powroty, co dom... Wyjeżdżałem, przyjeżdżałem, nikt na mnie nie czekał.

Madzia także podeszła do piecyka.

— Tym razem byłeś oczekiwany, mój panie. „Piękna dziewczyna chodziła z kąta w kąt zaciskając drobne kształtne pięści. Ruchy jej zdradzały niepokój, z oczu patrzyło zatroskanie jakoweś"...

Zamieszała w rondelku. Ogień paleniska łypał na nią przez szparę fajerki, twarz w jego pełganiu mieniła się ironią i zamyśleniem.

— No tak, jakoweś... Ale ja kupę spraw przez ten czas załatwiłem. Najpierw z młodzieżą, potem z literaturą...

— Jedz — przerwała, podsuwając zupę — możesz przy tym mówić.

Szczęsny siadł na pieńku i z rondelkiem na kolanach począł składać sprawozdanie. Najważniejsze — że dostał od Olejniczaka nowy adres. Mają się przeprowadzić nad jezioro Łuba pod Włocławkiem. Jeden towarzysz dzierżawi. Ma przystań na palach. Mieszka z córką, wdowiec, Madzia będzie kuzynką tej córki.

— A ty?

— Ja mam wrócić do Włocławka.

— Kiedy jedziemy?

— Za parę dni. Pierwszego października kończy się moja umowa z Mormulem. Zbiorę owoc zimowy, rozliczę się i załaduję na statek swoje skrzynie, należą mi się przecież trzy metry owocu na zimę, no nie?

— Dobrze. Gdzie wyładujesz Juliana?

— Na przystani w Pawłowicach. Przyjmie Bajurski, ja pojadę dalej.

— A co ze mną?

— Ty też wysiądziesz w Pawłowicach. Będziesz jechała tym samym statkiem, ale z Płocka, drugą klasą. Jutro powinnaś wyjechać do Płocka, nie ma sensu, żebyś tu dłużej była.

— Nie, jutro nie wyjadę.

— Dlaczego? Po co niepotrzebnie ryzykować.

— Muszę jeszcze napisać o wypadkach w Rzekuciu. Ostatni druczek: „Do chłopów gminy Przyłęk"...

To było słuszne, żeby Julian jeszcze raz się odezwał — dał odpowiedź na kłamstwa, krzywdy i złudzenia. Jak z działa baterii polowej — przed zmianą pozycji — ostatni strzał.

— Muszę wytłumaczyć wiciowcom, że nie tędy droga. Zresztą sam Jasieńczyk widzi chyba teraz z więzienia, czy można dojść do władzy zgodnie, ładnie, nie bardzo zmieniając kapitalistyczny porządek.... Smakuje?

— Owszem. Naprawdę smaczne. Jednak umiesz już trochę, bo z początku gotowałaś... Ja już myślałem, że Julian dostanie przy tobie choroby żołądka!

— Przypuszczałeś, że Julian?

— Ależ byłem pewien, że to twój mąż!

— No wiesz — bąknęła — wszystko bierzesz dosłownie. Właściwie lubię cię nawet za to.

— Lubisz?

— Bardzo. Z nikim nie było mi tak lekko i dobrze. Jesteś niesłychanie widny, dosłowny i masz w sobie bajeczną wprost odwagę czy wiarę, że nic ci się stać nie może. To się udziela.

— No, jak się udziela — wyrwało mu się — to możebyśmy się pobrali?

I wobec jej zdumienia, chciał się żartem ratować: „co ci to szkodzi, Madziu"...

To był kres. Głupiej nie można. Przypadł z papierosem w ustach do rusztu, by od węgielka przypalić, pewny, że zaraz usłyszy śmiech tak serdeczny, zaraźliwy, że tylko się przyłączyć i tym śmiechem wszystko na zawsze zagłuszyć.

Usłyszał głos cichy, surowy:

— I co potem? Jak ty to sobie wyobrażasz? Firaneczki w oknie, stroiczka w doniczce, ja i ty, Szczęsny i Madzia, i wszystko szczęsne...

Niewesoło uśmiechnęła się do niego.

— My krótko żyjemy, Szczęsny, przeciętnie do roku. Potem sprawa, i wyrok, i już tylko skrawek nieba w okienku.

Umilkła. Szczęsny wciąż klęczał przy ruszcie.

— Siedziałam raz z towarzyszką, która miała męża i dziecko. Boże, jak ona się męczyła! Jak ona tęskniła! Jeszcze teraz widzę czasem jej ręce na kracie... Nie — otrząsnęła się — nie wolno nam!

— Sama wiesz, czym jesteś dla mnie — odezwał się głucho Szczęsny. — Ale jak nie wolno, to nie mamy o czym mówić.

Wydało mu się, że chce go objąć łagodnie, ale ramię jej przesunęło się obok: zdjęła tylko z blachy pusty rondelek — „przepalić się może" — i odwróciła się do wiadra, by umyć.

— Więc co zrobimy z Władkiem? — zapytał, żeby coś powiedzieć. — Wie o tobie.

— Władka jestem pewna. Trzeba się nim zająć, i młodzieżą, z którą nawiązałeś kontakt.

Zaczęli na ten temat rozmawiać coraz żywiej, zagadując sprawą to, o czym oboje myśleli, co między nich tak nagle stanęło, a gdy wyczerpali wszystkie możliwości pracy z młodzieżą i wszystko uzgodnili, zrobiło im się jak przedtem ciężko, nieswojo. Szczęsny znów wyjął bibułkę, równał tytoń drewnianymi palcami, Madzia patrzyła w milczeniu, jak mu tym razem idzie nieskładnie, i to było nie do zniesienia.

— Połóż się, prześpij, jutro mamy ciężki dzień.

Wyszedł na dwór. Władka znalazł dopiero nad Wisłą i odesłał do chałupy, choć była najwyżej dziesiąta.

— Chodźmy, Bryluś. Kochasz mnie jednak, zwariowane bydlę, a wiesz, że nie wolno!

Krążył dokoła sadu wzdłuż rowu, który był kiedyś głęboki, ale z czasem prawie się całkiem zabliźnił. Pies biegł krawędzią otwartej przestrzeni węsząc obcych od pola i rzeki, a Szczęsny podążał za nim w mroku ostatnich drzew. Zatrzymywał się niekiedy i stał wsparty o pień. Pies wtedy siadał opodal i przechyliwszy łeb słuchał w skupieniu.

— Takich jak ja, Bryluś, partia liczy sobie na grube tysiące. Ale takich jak ona, wykształconych, co to mogą wszędzie wystąpić, i odezwę napiszą, i książkę nawet — nie, takich mamy niewiele... Dlatego musimy dobrze pilnować, bo o tym, żeby nosić na rękach... Szkoda marzyć, piesku!

Czasem Brylek warczał, że nie tędy idą, i Szczęsny wiedział, że nie tędy, a jednak szedł jak złodziej pod chałupę, gdzie spała dziewczyna, która go przeniknęła. Pamiętał: spała skulona, z policzkiem na dłoni, coś jej się zawsze śniło, bo niekiedy posapywała albo jęknęła, którejś nocy słyszał nawet, jak się roześmiała. Sześćdziesiąt dni mieszkał i pracował z nią tutaj, sześćdziesiąt nocy nasłuchiwał jej ruchów na posłaniu osłoniętym workami na drucie. Znał każdy jej gest, nastrój, spojrzenie, mógł teraz przywołać z mroku tę twarz uśpioną tak blisko, że czuło się jej oddech na skroniach i w tym gorącym tchnieniu kłamstwem było, psu na budę, jakoby kochał dlatego, że wykształcona,

że od niego mądrzejsza! Pragnąłby jej tak samo, gdyby nawet jak Weronka ledwo liczyć umiała na zapałkach.

Oddalał się potem i znów krążył, późno szukając zgubionej nadziei. Noc była ślepa, bez gwiazd; w górze przełamywało się na jesień i tknięte robakiem jabłka spadały gdzieniegdzie na ziemię.

O świcie zbudził Władka, wytłumaczył odprowadzając do rzekuckiej drogi, po kogo ma biec i żeby duchem tu byli.

Wróciwszy zastał Madzię przy piecyku. Rozniecała ogień, ubrana już, uczesana, jak gdyby wcale się nie kładła. Oczy miała ocienione.

Krzątali się przy posiłku, rozmawiali po dawnemu — on może tylko troszeczkę oględniej, ona cokolwiek serdeczniej. Prędko pozmywali, pilno jej było do Juliana, do odezwy jak ostatni strzał.

— Dziś będzie ruch w ogrodzie. Ale możesz pracować spokojnie, w tamtym końcu nie mamy drzew, nikt nie przyjdzie. Tylko nie wychodź beze mnie. I gdybyś usłyszała Brylka, to siedź jak mysz pod miotłą.

Na przybladły błękit zmętniałego nieba wypływało od wschodu słońce soczyście szkarłatne, pyszne jak paw, na ozdobę, bo tylko w kolorach gorące. Promienie jego swawoliły z ukosa zimnym blaskiem na operlonej zieleni, nie sycąc się wilgocią, ugięte krzewy stały wciąż zwarzone, i Szczęsny idąc obok Madzi nie mógł pozbyć się wrażenia, że to już było, że kiedyś chłodnym rankiem tak samo za nią szedł w obrosę przez te zapusty tchnące opuszczeniem i rezygnacją: co najpiękniejsze — już przeżyte, co miało się do powiedzenia — powiedziano.

Wrócił Władek prowadząc młodzież z Rzekucia: Maryśkę Kamykównę, Michasia od Żyżmów, Pawła Nawrotnego i jeszcze kilku, których Szczęsny bliżej nie znał. Wydał im zaraz drabinki i kosiorki, porozstawiał pod drzewami, gdzie został najdroższy owoc, zimowy.

Zrywali ostrożnie, przekręcając krótkim ruchem szypułę, i podawali sobie z rąk do rąk, żeby broń Boże nie spadło, bo obtłuczone prędko się psuje. A Szczęsny sortował renety, szare osobno i królowe osobno, potem tak samo gruszki — bergamoty i faworytki.

W jakiś czas potem, około południa, przydrałował Mormul. Porozmawiał ze Szczęsnym obmacując dochód i zadowolony ruszył w obchód, pokrzykując na zbierających, żeby czuli, kto tu gospodarz. Nikt się tym nie przejmował, robota szła składnie, z przyśpiewkami, raptem Władek zeskoczywszy z drzewa pomknął do Szczęsnego:

— Idą!

Ledwo Szczęsny zdążył rozszczekać Brylka na cały sad, żeby Madzia usłyszała, już się zjawili policjant i jeden w gumowym płaszczu, z rowerem.

Spytali się o dzierżawcę — Mormul z godnością wystąpił, z kciukiem w kieszonce kamizelki, dewizką na nich się wypiął. Spytali, kto sadu pilnuje — Szczęsny przerwał sortowanie: „ja".

— Co pan powie o zajściach we wsi?

— Bo ja wiem... Nie było mnie wtedy.

— A gdzie pan był?

— We Włocławku byłem. Towar akurat musiałem odstawić. Wczoraj dopiero wróciłem, to się wszystkiego dowiedziałem.

— Wczoraj? — podejrzliwie przepytał cyklista.

— A tak. Pan nie wierzy? Nawet kwit gdzieś mam.

Zaczął gmerać po kieszeniach — „gdzie ja to podziałem? żeby tylko nie wypadło"... — znalazł wreszcie: „proszę". Zobaczyli blankiet bagażowy przystani włocławskiej na przyjęcie 10 skrzyń jabłek dla kupca Korbala z datą 25 września.

— W porządku. Możemy się przejść.

Mormul zląkł się, że mu zabiorą Szczęsnego w samą gorączkę, w samo owocobranie.

— Ależ, panowie — wstawił się żywo — to mój krewniak, ja za niego ręczę.

— A wiesz pan, gdzie ja mam podobne poręczenie?

Cywil chciał wyraźnie powiedzieć, gdzie ma, ale policjant z Przyłęku coś mu szepnął do ucha. Znał Mormula, który do wyborów szedł razem ze starostą i na trąbę policji 20 złotych dał.

— Kiedy ja mu tego krewniaka nie zabieram — odparł cywil — tylko proszę na spacerek. On zresztą też może z nami iść.

Szczęsny zawołał do młodzieży, żeby dalej robiła, i zaczął gości oprowadzać. Po zwiedzeniu magazynu przeszli do izby.

— Kto tu mieszka?

— Ja z chłopakiem.

Rzeczywiście widzieli tylko dwa posłania (Władkowe było już zwinięte).

— A te worki po co tu wiszą?

— Siostra była, to sobie zrobiła taki kąt. Zostało po niej.

Nie pamiętał, czy Madzia schowała swe fatałaszki z ostatniej przepierki. A nuż zobaczą pończochy albo majtki? Na szczęście wisiał tylko ręcznik (wszystko jak zwykle zabrała z sobą do Fordonka, przezorna)

Wycieruch w gumowym płaszczu niedbałym ruchem odgarnął poduszkę i koc. Zanurzył rękę w słomę. Chłodek przebiegł po karku Szczęsnego, bo jeśli tamten odsunie posłanie, ukaże się wyrąbany w murze otwór. Trudno będzie się wytłumaczyć, zaczną szperać na dobre — Madzia będzie musiała pryskać na drugi brzeg, ale jak ją powiadomi?

Cywil jednak ziewnął i stanął jak wyżeł pośrodku, ogarniając spojrzeniem całą izbę. Szczęsny potarł kark — „może rzeczy pokazać?" — była w tych słowach ulga i pogarda.

— Nie, co mi tam pokażecie... Chodźmy.

Obeszli sad, do kępy lip i kasztanów, przez które wypaloną cegłą przeświecały szczątki murów pałacowych i biała urągająca niebu kolumna.

— Są tu czyjeś ślady — zauważyli na rumowisku. — Po co tu chodzicie?

— Za potrzebą, panie szefie. Czasem tu się kuca.

— Kuca... — burknął cywil i wyjąwszy latarkę polazł oględnie w dół, po głazach, które Szczęsny na schody po robocie Staszka ponarzucał.

W mroku i zaduchu posuwali się gęsiego po opleśniałych korytarzach, bliżej i bliżej muru, którym Staszek odciął Fordonek. Szczęsny znów potarł kark — jeśli zauważą, że mur jest świeży? jeśli każą rozwalać? Julian wpadnie im w ręce, ale Madzia zdąży chyba wyskoczyć przez okienko.

Nikłe oczko latarki prześlizgnęło się po murze i powiodło ich błędnym ognikiem dalej ku wyjściu.

— Wiesz pan, kogo szukamy? — spytał otrzepując się z brudu gumowany. — Tego prowodyra, tego rannego... Musi być gdzieś niedaleko. Nic wam o nim nie wiadomo? Słyszy się przecież różne rzeczy, co ludzie między sobą mówią.

Szczęsny poniupił się, patrząc pod nogi: „ano, mówią". Wszyscy trzej go osaczyli. Mormul ofuknął:

— Ty nie kręć! Gadaj, co wiesz, bo to sprawa państwowa!

— Wiem, że państwowa. Panowie z tego żyją, nagrodę dostaną, a ja co? Żeby choć na czterdziestkę...

Policjant chrząknął: „tak, to ja rozumiem." Tajniak wyjął złotówkę.

— Zgoda, a więc?

Szczęsny, zerknąwszy na pieniądz, bąknął urażony:

— Złoty dziesięć kosztuje.

Roześmieli się: „patrzcie go, ceny się trzyma! Z białą główką chce!" Tajniak dołożył pół złotego.

— Jak powiesz — już go tykał, pobrzękując monetami na dłoni — to będzie czterdziestka z baleronem, no?

— Kiedy ja, proszę szefa, dokumentnie nie wiem, czy to ten. Ale jakem wracał z Włocławka, akurat „Mewa" stanęła przy naszym statku, burta w burtę. Widziałem tam na ławce jednego — skulony siedział, głowa mu na pierś opadła i powietrze łapał jak ryba. Myślałem — reumatyk. Do Ciechocinka. Bo „Mewa" chodzi tylko do Ciechocinka.

— Jak wyglądał? Młody, pyzaty?

— Nie, nie taki znów młody, twarz pobladła... Ja bym nie zapamiętał, ale ten, co go pilnował, z bródką, podszedł do drugiego przy mojej burcie, najwyżej dwa metry: „źle, bandaże się obsunęły".. I jeszcze powiedział takie słowo, że mi się dziwnym wydało.

— Jakie słowo? — poruszył się gumowany wyjmując notes.

— Może nam, powiedział, zasłabnąć nasz pyknik.

— Pyk-nik? — ucieszył się tamten, i do policjanta: — Pseudo mamy!

A do Szczęsnego:

— Trzymaj forsę. Będziesz jeszcze potrzebował, przyjdź tylko z czymś na posterunek.

Poszedł z policjantem do swego roweru, Mormul za nimi, a Szczęsny wrócił do przerwanej pracy. Sortował nawet wtedy, gdy zniknęli na rzekuckiej drodze. Oczy mu się śmiały złym śmiechem: niech szukają Staszka w Ciechocinku! Nie od razu się połapią, bo na „Mewie" rzeczywiście był chory pasażer, skulony, kapitan potwierdzi... „Myślałem, że to ścierwo jest cokolwieczek mądrzejsze!"

Dopiero w południe, gdy wszyscy poszli na obiad, przekradł się pod okienko Fordonka, w kratę zastukał.

— Masz wałówę. Wszystko zimne, nie miałem czasu ugotować.

— Nieważne.

— Ważne. Napij się maślanki, to ci dobrze zrobi.

Grunt, żeby się posiliła — o tym teraz myślał.

— Ale powiedz nareszcie, co było?

— A nic. Dali składkę na MOPR i pojechali do Ciechocinka.

Opowiedział całą przygodę.

— Szczęśniak — śmiała się do niego zza kraty — ty masz jednak humor!

— Po tobie chyba. Wiadomo, z kim się zadajesz, takim się stajesz... Wszystko się opłaciło, Magduś, cała robota! Bo gdybyśmy muru nie zrobili, wsypa byłaby murowana. Ale swoją drogą, dłużej tutaj być nie możesz. W nocy musisz wyjechać. Zdążysz?

— Zdążę. Jeszcze sześć-siedem godzin i fajrant.

Uspokojony wrócił do jabłek. Wkrótce wszyscy się zeszli i pracowali do zmroku, potem już tylko we trójkę, z Mormulem i Władkiem, do późna pakował jabłka i gruszki, przekładając w skrzyniach sianem. Mormul został u nich na noc.

— Kładźcie się na moje posłanie — powiedział Szczęsny — ja się pójdę zabawić.

— Już cię świerzbi pieniądz, coś go dostał za nic — strofował go Mormul. — Zamiast zbierać grosz do grosza, wszystko tracisz. Dziadem byłeś, dziadem będziesz!

Nazajutrz nie mógł się dobudzić Szczęsnego.

— Ty żeś, psiajucho, nie czterdziestkę, ale widać całą litrę wypił!

— Co się wypiło, to się wypiło — mamrotał Szczęsny kręcąc rozczochraną głową. Spał najwyżej godzinę, bo do stacji było dziesięć kilometrów, w obie strony — dwadzieścia. Dobrze jeszcze, że niedługo wypadło czekać na pociąg do Płocka, wsadził Madzię i zaraz z powrotem, a to by w ogóle nie zdążył.

Przez cały dzień pracował jak pijany. Głowa bolała i oczy piaskiem drapało. Dopiero wyspawszy się, znów pogonił robotę z taką pasją, że Mormul nie mógł się nadziwić. Myślał, głupi, że dla niego. A Szczęsny tak śpieszył dlatego, że umówił się z Madzią na trzeciego października.

Pierwszego wszystko było skończone. Można było rozliczyć się z Mormulem. Zaliczkami na życie wybrał u niego 120 złotych, więc na rękę otrzymał 280. Wziąwszy gotówkę, oświadczył stanowczo, że jutro towaru nie wiezie. Też jest człowiekiem, musi dzień chociażby wypocząć.

W tym dniu, gdy nikogo na terenie nie było, obłożył Juliana sianem i jabłkami, deskami pozabijał. Kaszty tak samo zapakował w drugiej skrzyni, trzecią załadował owocem dla rodziny, resztę swego udziału oddał Władkowi. Władek, w wyniku parogodzinnej rozmowy, otrzymał cały nakład ulotki Madzi do gminy Przyłęk z poleceniem dostarczenia 400 sztuk ojcu, który będzie wiedział, jak je dalej pchnąć,

a 100 sztuk z Michasiem, Marysią i Bolkiem miał porozrzucać w Rzekuciu.

Wieczór spędził Szczęsny u Mormula w Rzekuciu. Kutwa tak był z niego zadowolony, że dwa jajka z chrzanem odżałował i przy kielichu podłej cieczy namawiał do pracy u siebie we młynie. Szczęsny zwodził go obiecanką, że od wiosny na pewno, brał na siebie różne sprawunki, co ma wyszukać we Włocławku, zależało mu bowiem na jak najlepszych stosunkach ze szwagrem, by później przyjeżdżać od czasu do czasu niby w sprawach handlowych, a właściwie — na zebrania komórki młodzieży.

Trzeciego października zwieziono wszystek towar na brzeg za Rzekuciem. Statek spóźnił się o godzinę. Ledwo kładkę rzucono, pobiegli po niej jak do ataku i tak się zwijali, że Mormul sapał przyglądając się pracy siostrzeńca z młodzieżą — pustak, bo pustak, ale w robocie — ogień!

W pewnej chwili, gdy Szczęsny ze skrzynią na plecach był przy kajutach, w oknie mignęła zatroskana twarz Madzi. Odbłysnął jej zuchowatym spojrzeniem — w porządeczku!

Statek ruszył, Szczęsny czapką wywinął do tych tam na brzegu:

— Trzymajcie się ciepło! Sprawunki załatwię — przyjadę!

Niby do Mormula, ale Władek zrozumiał.

Było już po zmroku. Reflektor prószył z dziobu na daleki ciemny szlak, majtek świecąc latarką liczył skrzynie, do trzydziestu naliczył, wtedy Szczęsny udał się za nim po kwity, jeden na dwadzieścia osiem skrzyń, drugi na dwie. Potem przy bufecie, napiwszy się kwasu, zabawił godzinkę, popalił, pogadał i wyszedł na pokład.

Zimny wiatr smagał po twarzy. Kopyście kół mlaskały zgrzytliwie, w wysokościach głębokich, zawrotnych oblodzone gwiazdy chybotały się lekko, seledynowo i myśli zrywały się jak mewy, ale wszystkie wracały na statek, gdzie ona była, tak blisko przecież, bo w którejś kajucie pod pokładem.

Usłyszał za sobą kroki lekkie, zdecydowane — poznałby je wśród tysiąca.

— O czym marzy mój bohater?

— Na gwiazdy patrzę. Wyglądam tej mojej, frygijskiej, którą mi wywróżyłaś, pamiętasz?

Roześmiała się — „jakiś ty dosłowny!" Dłoń swą wsunęła mu pod pachę.

— Nie ma takiej gwiazdy — powiedziała poważnie i cicho, prawie do ucha — była tylko czapka frygijska, w czasie rewolucji francuskiej. Mnie się to widocznie skojarzyło.

Uczuł na policzku jej włosy i od tego łaskotania zrobiło mu się gorąco, w skroniach zaszumiało. Uniósł głowę, odsuwając policzek — „a więc nie ma takiej aster?" Znów miał wrażenie, że leci gdzieś wysoko nad światem.

— Nie wiem, czy ci mówiłem, że miałem dziwnego przyjaciela, jeszcze w Symbirsku. Przezywano go Spinozą. Raz mi klarował...

Słuchała uważnie o kamieniu, rzuconym naszą ręką — co by on myślał, gdyby mógł myśleć? Niechybnie — że leci z własnej woli.

— Wolna wola? Nie wiem... Już Engels gdzieś powiedział, że to tylko uświadomiona sobie konieczność.

Stali czas jakiś bez ruchu. Statek zwalniał zachodząc prawą burtą pod światło w Pawłowicach, gdzie czekał Bajurski, by przyjąć od niego Juliana i towarzyszkę Borzęcką.

*(Dokończenie nastąpi)*

**Igor Newerly**

# W KAMIENIOŁOMIE

— Zawieraj, popieluchu, bo ziąb ciągnie po nogach — krzyknął stary Paszkot, unosząc wąsiska znad miski.

— Coś miał słomiane drzwi w chałupie i kozy ci po kłosku wysmykały? — zaśmiał się gruby Damazy, szeroko rozparty na poplamionym stole.

Głosy dudniły w zadymionym półmroku szopy, od piecyka bił swąd wykipiałej kawy i podpiekanych placków. W rurce uszkodzonego przewodu cienko gwizdało powietrze i dławił się rytm kompresora idącego na zmniejszonych obrotach.

— Na mnie to wszyscy aby huzia — westchnął garbaty Cichoń i powlókł się zatrzasnąć wypaczone drzwi, z których ktoś dawno ukradł klamkę, więc zamykano na haczyk.

— Cóż tak wyglądacie jak z krzyża zdjęci? — zapytał Soból. Przykucnięty pod piecem, przekrzywiając głowę, od drzazgi zapalał grubego skręta. Włosy przygniecione brzegiem kapelusza spadały mu aż na brew.

— A bo, panie Soból, znowu mi żona zległa, a w chałupie zimno. Prosiłem, ale mi Dryl nie dał podebrać węgla z maszynki...

— Czegóż wam się te dzieci tak sypią, człowieku, miejże zastanowienie!

— Bo lubi tę robotę — szturknął go grubym palcem pod bok Damazy.

Cichoń podniósł na nich duże, niebieskawe oczy, pomrugał zaognioną powieką.

— Wszystko ze zimna i ciasnoty, ani się spodziejesz, a już baba brzuchata chodzi. Jak się komu darzy, to się darzy...

Tyle szczerego żalu było w jego głosie, że tylko Damazy wybuchnął basowym śmiechem.

— Wiecie, żarty na bok — zaczął Soból — a warto by składkę zrobić na pępówkę dla małego.

— Oj, warto, warto, bo u mnie aż piszczy — potwierdził skwapliwie garbaty.

— Trzeba odczekać do dekady — dorzucił Bombas, trąc kułakiem po szczeciniastej brodzie — teraz żaden nawet dydka nie wygrzebie...

— Widzicie, jak mu się to spodobało! My będziemy płacić, a on będzie dzieci trzepał — szydził Damazy — ten cap śmierdzący...

— Chleb was rozdyma Damazy — ujął się Soból — sadłem wam serce obrosło, już biednego nie rozumiecie... Macie morgi, ogonów parę, synowa bimber pędzi, po co wy w ogóle do skały przychodzicie? Nie lepiej to w domu, oprzeć plecy o komin, kości wygrzewać, śliną strzykać i patrzyć, czy młódka już niesie pierwszy odciąg do spróbowania...

— On chytry na grosiwo, zobaczycie jak będzie przed listą wyrywał — odezwał się ktoś w półmroku.

— Spod siebie by wyżarł!

— Z sołtysem jedna ręka, a sołtys wiadomo...

— Cicho dziady — uderzył pięścią w stół poczerwieniały chłop — dziady byliśta i dziadami zostanieta, a ja sobie jeszcze ten wózek kamienia wypukam... No, zahandluję czasem, a co nie wolno? Mam przecie kartę jestem — „kryświchtyg". Zazdrościcie, bo z mojej familii żaden do Reichu nie pojechał i nie pojedzie, to ja wam mówię!

Za oknem porośniętym siwymi kwiatami z mrozu stromą smugą pary dymiła lokomotywka i Dryl szamotał się z pompą. Ze zwieszonego gardła owiniętego słomianym warkoczem zwisała lodowa broda. Ostatnie krople spadały pod słońce jak tęczowe iskry.

— Dryl jest taki sam — zamruczał Cichoń wyciągając ręce nad blachą — najpierw mi kazał ruszta wyskrobać, a potem, jak go poprosiłem o garsteczkę węgla, to mi zagwizdał i uciekł z maszynką.

— E, Dryl to lepszy gość, lotnicy do jego Stasi przychodzą...

— Wiadomo, żona Niemka.

— Jaka tam Niemka, z Siemianowic, z naszego Śląska.

— Taki on teraz nasz, jak i ona!

— A wiecie — zaczął Gruszka — co w Borku mówią, że on się na folksdojcza szykuje...

— Bajanie — żachnął się Damazy — Dryl należy do Bractwa, pobożny i sztandar Straży Pożarnej u niego na przechowaniu, pamiętacie, ten z orłem...

— Ale Dryl głupi, a oni takich potrzebują na pęczki — mruknął któryś pod ścianą, zasnuty machorkowym dymem.

Nagle na kuchni huknęło, zasyczała rozbryśnięta kawa. Cichoń w obłoku pary wycierał sobie poparzoną twarz.

— Znowu ktoś zakorkowaną manierkę postawił na żarze — odezwał się Paszkot — a tyle razy się uczy...

— No, co? Ogrzałeś się teraz — szydził Damazy.

— Że to zawsze na mnie musi trafić — przecierał oczy Cichoń — takie już moje garbate szczęście!

Siedziałem w kącie, przysłuchiwałem się pogwarce. Czekałem aż kierownik w szynę uderzy, na koniec przerwy. Wtedy przekręcę kluczem kurek, puszczę powietrze na dół do młotów pneumatycznych, znowu się rozdzwonią w mroźnym powietrzu rozdygotane ostrza borów.

Przez ten rok poznali mnie już, obwąchali, przyjęli do gromady. Byłem członkiem załogi, choć nieraz łapali mnie przy motorze z książką w ręku. Zwłaszcza mi Soból zaufał, nieraz wymienialiśmy wiadomości zasłyszane z radio, zniekształcone długim przekazywaniem z ucha do ucha. Ludziska się niecierpliwili, przyspieszali wydarzenia, dodawali nieprawdziwe, ale bardzo pocieszające komentarze. Zupełnie zabawa w głuchy telefon.

Tak, Soból miał do mnie zaufanie, zwłaszcza od chwili gdy zobaczył, że czytam Lenina „O dziecięcej chorobie lewicowości".

„Skąd pan to ma, panie Kazku?" — zapytał zmrużywszy oko.

„Z biblioteki, od Gumpla..."

„Jakże się tam uchowało, po tylu czystkach?"

„W dziale medycyny, pod: choroby dziecięce. Szukałem powieści dla kierownika i trafiłem przypadkiem..."

Zaśmialiśmy się, a potem dodał znacząco — „Jakby pan chciał coś takiego, to i u mnie się znajdzie..." Gdy zapytałem go później, czy jest w PPS-ie, odpowiedział wymijająco — „nie lubię półśrodków".

Poznałem jego żonę; cicha, blada kobieta, szybko się męczyła, lubiła się zamyślać z odrzuconą głową i splecionymi rękami wciśniętymi między kolana. Dziecko mieli spore, potem się jednak pokazało, że to nie ich, tylko dalekich krewnych, wzięte na wychowanie.

Kiedyś powiedział, gdy wypiliśmy już parę kielichów — „moją żonę w czasie włoskiego strajku w Sempericie policja wyrzuciła z piętra. Nie będziemy już mieli dzieci... Właśnie wtedy się spodziewała..."

„Pański dziadek, to był porządny człowiek — wspominali z uznaniem robotnicy — nie tylko darmo leczył, ale jeszcze dołożył na aptekę... Nieraz do niego i dwa dni ludzie ciągnęli furkami, het, aż zza Jordanowa".

Uznanie, jakim go darzyli, choć lata minęły od jego zgonu, pozwalało mi łatwiej wejść w zamknięty krąg starych kamieniarzy. Większość z nich miała po kawałku pola, chałupę, prowadziła na wpół chłopski tryb

życia. W czasie żniw czy w porze kopania ziemniaków przerzedzały się stanowiska, przepadali na parę dni, nawet nie szukając po lekarzach usprawiedliwienia.

Oparcie o własny kąt i zagon robiło ich jeszcze twardszymi, mogli każdy strajk przetrzymać, nie spieszyli się z ustępstwami. Łamistrajków, których dyrekcja próbowała wprowadzić do kamieniołomu, witali gromadą w ponurym milczeniu i mimo ściągniętych policjantów bili okrutnie styliskami, że nikt się nie odważył im w drogę wchodzić.

Gdyby nie ucieczka z jenieckiego obozu i słabe papiery, pewnie bym między nich nie trafił. Z początku dano mnie do kamienia, ale rychło odbiłem sobie dłonie, ciało pękało i nie chciało się goić. Potem podsypywałem tory, oczyszczałem wajchy, wreszcie awansowałem na mechanika przy kompresorze. Czasem, gdy robota poganiała, pomagałem Łabusiowi ładować dziury i odpalać założone naboje.

Poczułem się w skale bezpieczny, zdartych butów podbitych oponą, wybielonych portek nie uważałem za przebranie, czułem, że mnie uznano za swego, byłem po prostu jednym z wielu.

Kierownik, który do mnie raz po raz zachodził z kancelarii, żeby się dowiedzieć, jak się nazywa sławny śpiewak włoski lub dynastia panująca w Japonii — było mu to potrzebne do rozwiązania krzyżówek *Krakauer Zeitung* — znudzony setnie, drzemiący w monotonnym mruczeniu kompresora, żalił się nieraz z zazdrością: „Pan już zupełnie do nich przystał, pan już zaczyna jak oni na Wschód się oglądać..."

— Panie Kazku — przerwał mi Soból rozmyślania, przysiadając się w kąt — masz pan dziś czas wieczorkiem? Może byśmy się zeszli, jest taka jedna sprawa — zachodził ostrożnie.

— Dobrze. Będę o ósmej.

Zaśpiewała wibrującą nutą uderzona szyna, odpowiedziała jej gwizdem lokomotywka na znak, że wozy wyciągnięte.

Ciężko poruszyli się za stołem robotnicy, zaczęto z trzaskiem składać blaszane miski. Koniec przerwy obiadowej. Wychodzili po jednemu, przez szeroko otwarte drzwi powiało mrozem.

— Cichoń — krzyknął piskliwie Dryl, wsuwając do budy głowę, w czarnej, wyszmelcowanej mycce. Okularki miał w niklowej oprawce zsunięte na koniec kaczego nosa. — Jazda zaraz do pompy, trzeba odkuć lód! Dosyć kolendowania pod piecem!

— A da mi pan w plecak trochę węgla? — próbował się targować.

— Jak każdemu dam, to będę pod kotłem musiał śniegiem palić, oj, Cichoń, Cichoń, przecie wy już macie ładowany plecak i dopiero go wam kostucha zdejmie — zachichotał piskliwie, wycierając naoliwioną szmatą usmolone ręce.

— Mówią tu o was — zatrzymał się na progu Damazy, położył maszyniście ciężką rękę na ramieniu — że się chcecie przebrać w niemiecką skórę?

— Głupota — żachnął się Dryl, ale zaraz podniósł znad szkieł oczka czarne jak ziarnka jałowca — a który to taki prorok?

Ale właśnie puste wozy zjeżdżały z churgotem serpentyną, przekręciłem klucz, zaszumiało powietrze w przewodach, jakby z ulgą zagadały zwolnione tłoki w kompresorze. Nie dosłyszałem, co mówili.

Damazy tylko wskazał na grupę kamieniarzy, którzy schodzili ścieżką po wysypce. Młody Gruszka ukradkiem zgarnął śniegu i twardo ścisnąwszy rzucił w łeb Paszkotowi. Ten poprawił przekrzywiony kapelusz, nastroszył wąsy i popatrzył z wyrzutem ku górze, ale nie mógł rozpoznać, który to, ludzie szli ciężkim krokiem, gęsiego zstępowali w czeluść kamieniołomu.

— Panie Cichoń — powiedziałem, widząc że opustoszało — bierz pan węgiel spod pieca, skrzynia jeszcze pełna...

— Stróże będą pomstować, że im za mało na noc zostało.

— Nie bój się pan, oni już opał skombinują. Sypże pan do kartonów z amunicji, papier nawoskowany będzie jak raz na podpałkę.

Przyklęknął i zaczął palcami wygrabiać okruchy, grubsze chował pod wystrzępioną kurtkę, ściągniętą rzemieniem.

Motor grał równo. Wyszedłem przed budę, oparłem się o poręcz. Obok przystanął kierownik, o jastrzębim profilu, twarz miał czerwono pożyłkowaną, suchą, oczy jasne jak szkło z monopolówki.

Przed nami był amfiteatralny lej wyrąbanej skały, piętra dziesięciometrowe. Wozy dosięgały już dna pomykając parami serpentyną. Kamieniarze, którzy je spuszczali, kręcili teraz gwałtownie korbami hamulców.

Zastukały kulawo młotki, ptasim trylem zadzwoniły świdry. W dole widniały postacie rozkraczonych wiertaczy, owianych dymnym obłokiem wydmuchniętego pyłu wapiennego.

Niebo było zaniesione burym kłębowiskiem, tylko tuż ponad ośnieżoną czapą pagóra połśniewało pasmo błękitu.

— Jak się nazywa jezioro na północy, trzy sylaby?

— Chyba tylko — Ła-do-ga — wyskandowałem.

— Tak, pewnie Ładoga, zaraz pójdę sprawdzić — popatrzył chwilę na ołowiany krajobraz, wrona ciężko uleciała ze słupa, z drutów pogrubionych od sadzi poprószyło mroźnym igliwiem. Więc nagle szepnął — na frontach ciągle zastój?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

— Znikąd nadziei, znikąd nadziei — popatrzył na mnie pustą źrenicą — żołądek mnie pobolewa...

Zgarbiony powlókł się do kantorka. Wiedziałem, że ukryty za drzwiami od szafy pociągnie sobie łyk ziołowej nalewki.

* * *

— Znam ten sklep — powiedział, popijając gorącą herbatę z „Rumikolu". Na powierzchni stała jeszcze mdła pianka po pastylce sacharyny.

Słychać było jak Sobolowa trze ziemniaki na placki, z kuchenki sączył się ostry zapach rozgrzanego oleju.

— No, więc? — napierał — Jak myślicie?

— Najlepiej granatem.

— A jak nie ma? Kręcicie się koło Łabusia, macie dostęp do lontów i spłonek... Czasem się zdarzają i niewypały do rozładowania, wtedy jeszcze łatwiej...

Myślałem przed spotkaniem, że da mi do przeczytania nową porcję bibuły, nie przypuszczałem, że to taka — amatorska robota.

Sklep miał specjalne wystawy: raz ogromne fotografie brodatych Żydów, dobywających spod pachy garść wszy i napis, który miał uszczelnić mury krakowskiego getta — „ROZNOSICIELE TYFUSU!", to znów dziarski esesman rozdeptywał pająka w czapce podobnej do odwróconego lejka z ogromną czerwoną gwiazdą. Stosy broszur, „autentyczne zdjęcia", zwycięskie komunikaty. Nie brakowało również tygodnika białogwardzistów, zatytułowanego dźwięcznie — „Miecz".

— Nasz amonit działa po linii najmniejszego oporu...

— To damy mu ściankę do targania, co powiecie na kawałek żeliwnej rurki, zaszwejsowanej, napchać w środek...

— Lont musi być krótki — dopowiedziałem rzeczowo — podpalić można, jak się nieraz robi, od papierosa... Tylko, że tam ulica, szkoda ludzi.

— Trzeba wybrać stosowną porę.

Mówił tak spokojnie jak o konieczności kupna kilograma paskowej słoniny. Nawet się uśmiechał, tylko oczy miał uważne. Na czole, zwykle głęboko osłoniętym zniszczonym kapeluszem, świeciły kropelki potu.

— Można zrobić haczyk z drutu — doradzałem — zaczepić o kratę, wieczorem ulica pusta, lont ledwie kopci...

— Wieczorem niedobrze. Przez noc uprzątną. Trzeba rano, żeby ludzie zobaczyli, niech się rozniesie... Od razu zgadną — kto i za co...

Sobolowa popchnęła nogą uchylone drzwi, postawiła przed nami talerze pełne chrupiących placków. Z ogromną czułością popatrzyła na męża, spostrzegł, że to zauważyłem i poklepał ją po obnażonym przedramieniu z zakłopotanym uśmiechem.

— Dobra kobiecina — szepnął, gdy tylko wyszła — stale mnie namawia, żebym sobie wziął drugą, bo wie, że lubię dzieci... Ale to takie gadanie... No więc, stoi umowa?

— A kto pójdzie na tę robotę?

— Nie wasza głowa. Dostarczcie mi tylko ze trzy laski amonitu, spłonkę i kawałek lontu. Za cicho jest ostatnio, trzeba narodowi dodać ducha. Niech wiedzą, żeśmy nie posnęli tej zimy jak borsuki.

Przez naddartą zasłonę papierową, za szybą, w której mgliście odbijały się nasze głowy, widziałem w świetle latarni, jak sypie kłakami pozlepiany śnieg.

— No, to do jutra... Zdaje mi się, że popuścił mróz.

W parę dni później przemaszerowałem ulicą Grodzką. Czarny przerębel pełen strzaskanych tafli grubego szkła, rozniesioną wystawę osłaniano właśnie parawanem z desek. Dwóch cywilów z psem patrzyło uważnie po przesuwających się ludziach. Wiadomo, z baczkami, kapusie.

Dobra robota, pomyślałem, gdy za mną poszeptano — „Bombę założyli komuniści, podobno kierownikowi tego sklepiku cały brzuch gruzem nafaszerowało..."

*
* *

Nie można powiedzieć, żeby ta wiosna przyszła niespodziewanie. W kamieniołomie po ścianach zaszkliły się strużki wody, błękitnawe jeziorka karbował niecierpliwy wiaterek.

W południe skała poczynała świecić. A Franek Gruszka i Antoś Smolarski na życzenie przenosili małą pompę, zwaną „żabą", i kiwali się rytmicznie, to osnuci dymkiem „junaka" z zadartą głową suszyli zęby do słońca.

Wydarzenia na dalekich frontach na pozór nie docierały w rozległy lej wyrobiska. Tu jednako kapały uderzenia młotów, świergotały świdry wysokim trelem, odzywała się trąbka i ociągając się odchodzili pod szopę robotnicy, by popatrzyć, jak ławą idą wybuchy, urywa się skalna burta i jednym chluśnięciem wali się kamień.

Łabuś z nosem podobnym do zapiaszczonej truskawki, wygrażał „pastorałem", żeby wagonów nie spuszczano, bo tor jeszcze przysuty. Drążek, którym ubijał ładunki w otworach, pożółkł i spękał zgryziony amonitem.

Ze skały trudno było nam wyżyć, choć byś się nie wiem jak urobił, a ukraść też nie było co... Chyba te zbutwiałe szwele spod toru, które podziabane kilofem i związane drutem dawało się wynieść cichaczem do domu na podpałkę.

Więc wiara wyruszała na rajzę, urywano się w sobotę od południa, jeżdżono pod Miechów, do Królestwa, żeby jakiegoś świniaka gwichnąć za ucho i przywlec pospółki, albo worek tytoniowych liści, które przez zimę gospodarze wędzili, doprawiali miodem, fermentowali na Wirginię, jak przynajmniej twierdzili smakosze, spluwając cierpką śliną.

Łabuś kazał mi czasem posprawdzać tygodniowe rachunki. Siedział nade mną w okularach, porosły siwiejącą szczecią, międlił kostkę upitwanego razowca i mruczał: — „pamiętaj pan, że to się musi zgodzić co do grama, bo Oświęcim blisko".

Pamiętałem. Zgadzało się zawsze, zwłaszcza jeśli udało mi się uciułać parę lasek, w czerwonym papierze, zupełnie podobnych do „cykorii Francka" ze Skawiny.

Teraz to ja przynosiłem Sobolowi pozamazywane, bibulaste arkusze gazetki na powielaczu. „Gwardzista" nie wystarczał, historia naszego terenu wymagała osobnych kronikarzy. Jakże trudno przychodziło nam zestawić pseudonimy dobrze znanych towarzyszy z nazwiskiem wydrukowanym na ceglastej liście rozstrzelanych zakładników.

Spalono magazyny na Czerwonym Prądniku. Wykonano parę wyroków na zdrajcach. Raz po raz wypożyczałem maszynkę i rwały się tory, arterie prowadzące na wschodni front.

Nocami zbierali się gwardziści, uderzali niespodziewanie na Liegenschafty, w ciemnym niebie pożar potrząsał kogucim grzebieniem, jak gałęzie łamane wichurą trzaskały dalekie wystrzały. Powracali przed świtem, ukrywali karabiny w snopkach, wciskali granaty pod strzechę. Tylko na przełaj, poprzez pola znaczył się w zroszonej saradeli ślad ich przemarszu, ale zaraz go słońce zaciemniło.

W skale też nie brakowało nowości. Od pewnego czasu z Drylem lokomotywką zaczął wyjeżdżać volksdeutsch Klack. W czerwonawych, wysokich butach, tabaczkowych bryczesach z przesadnymi bufami łaził pośród robotników. Bacznie przyglądał się pracującym spod ściągniętego na oczy kapelusika ze szczątkowym rondem i borsuczą kitką.

Łabuś czołgał się na brzuchu próbując wydostać ze szczeliny między głazami spłonkę, która mu wypadła z drżących palców.

— Nie ma żartów — pogroził mu palcem Klack, a potem dodał rzewnie — jak ktoś już musi wisieć, to nie chcę ja!

Słyszałem potem jak bił pięścią w stół i miotał się po kantorku. Kierownik znał od niego lepiej niemiecki, więc nie dawał się łatwo zakrzyczeć. A jednak po każdej takiej wizycie wołał mnie i szeptem pouczał:

— Ja nie mogę, ale niech pan powie robotnikom, żeby dali spokój z tą bzdurną konspiracją! Niech się pilnują, bo ten cholerny Kłak coś zwęszył, znam go niemal od dziecka, nic się nie zmienił, zawsze był uprzykrzonym gówniarzem!

Cichoń chodził ze zwieszoną głową, chciał spróbować łatwego zarobku, pożyczył od Damazego kilkaset złotych, przywiózł worek bakunu, skrajał na maszynce. Rozrzucił na cały stół wilgotnawe siano, żeby przeschło, liście trzeba było skrapiać, bo się pod ostrzem trociły. Tego popołudnia właśnie mu się koza okociła, zostawił ją więc w izbie, a to diabelstwo przez noc zeżarło mu prawie wszystek towar.

— Jeszcze ta szkoda doszła — użalał się Sobolowi — że mi się koźlaki zmarniły, strute mlekiem... Przez cztery dni szło żółte i gorzkie, kosztowałem, ale nie szło wypić, otrzepywało człowieka.

Soból próbował go pocieszać, ostatnio dużo przestawali razem.

Za zwłokę w zwrocie długu, po szychcie wędrował Cichoń okopywać ziemniaki u Damazego. Uważał to już za swój los. Na nim najlepiej widziałem, jak bieda ogłupia i łamie godność ludzką.

— Kładę mu w uszy, żeby się nie dawał — mówił z żalem Soból — przecie chłop nie jest sam, ale trudno mu uwierzyć w pomoc gromady, za długo nim życie poniewierało.

Lubiłem wymknąć się na trawiasty pagór ponad kamieniołomem, rozwalony w trawie cienkiej i puszystej jak gęsty włos, spoglądałem ku miastu. Nawet w najpogodniejszy dzień wisiała nad Krakowem fioletowa mgiełka, a w niej iskrzyły się rogate krzyże, świeciła złotem korona Mariackiej wieży.

Dobrze było pomyśleć, a raczej całym ciałem poczuć — jestem, żyję,

ddycham aromatem drobnych skalnych goździków, którymi był sprys-
any stok. Słońce gładziło mi plecy jak dobra, przyjazna dłoń.

W dole wiertacze wloką gumowe węże powietrznych przewodów, dzwonią śpiewnie młoty pneumatyczne. Sen mnie morzył po całonocnej racy nad rozklejaniem odezw. Przymykałem oczy tylko na moment, długo słyszałem metaliczne granie, a gdy budziłem się z dreszczem lęku, amieniołom był już pusty. Stróż siedział na progu, oczyszczał mlecze lla królików, które chował za budą, w drucianych kojcach. Tylko wierszcze po całych Krzemionkach dzwoniły natarczywą nutą.

U Gruszki była rewizja, nie zastali go, nocował w blokach u narze-zonej, dopiero rano powrócił. Dom obstawiono, spostrzegł się, próbował viać. Zabili go wpędzonego między obdrapane, ślepe ściany magazynów. eżał we krwi między bujnym, wiosennym chwastem.

A jeszcze cztery dni temu zapraszał mnie na widowisko. „—Będziemy obić kumetę, bo tak się akcja nazywa... Coś niby wianki na Wiśle, tylko, e po torach... Wiem, że nie macie czasu, towarzyszu, ale przyjdźcie, vam się też należy jakaś rozrywka, zresztą może o nas napiszecie".

Był z dziewczętami z ZWM-u, w rozpiętej koszuli, opalony jak pias-karz, z torbą przez ramię, z której wystawała flaszka, zatkana zwitkiem papieru. Dziewczęta chichotały, wyraźnie się przekomarzali, podając obie torbę, przechyleni za poręcz. Myślałem stojąc z boku — co oni licha tam jedzą — bo rzucali jakieś łupiny na platformy pełne sześcia-ów prasowanego siana, przysłonięte plandekami. Pociągi zwolna prze-iągały gwiżdżąc żałośnie, chwilami całą grupkę owiewał dym zmieszany parą.

Pokazał mi później płytkę celuloidową z naftą, w której pływał kawa-eczek metalicznego sodu.

— Już po wszystkim — strzepnął ręce, a gdy wyraziłem rozczaro-vanie, dodał z drwiącym uśmieszkiem — brak wam wyobraźni... Od Niepołomic za jaką godzinę powinno zadymić. Taką kitę powlecze, że każdy od razu powie — ale „kumeta!"

Zwłok przez trzy dni nie wolno było ruszyć. Pilnowali żandarmi automatami.

— Ktoś go musiał zdać — mówiono w kamieniołomie — szkoda chłopaka, wesoły był, a latoś miał się żenić... Na widok Klacka, skrzypią-ego czerwonymi butami, milczkiem siorpano zupę i rozchodzono się po stanowiskach.

Tymczasem bojówki się dozbrajały. Staszek Biel ubezpieczał robotę kominem w kieszeni. Wyruszali z dziewczętami do Lasku Wolskiego,

w sfatygowanej teczce nieśli spory młotek i kleszcze, cegła mogła już podpadać.

— Jeśli Bóg łaskaw — mówił Staszek, zacierając łapy pełne odcisków — a żołnierz się z dziwą zawieruszył na ustronną ścieżkę, już był nasz... Starczyło go zdzielić teką po szarotce i walił się w krzaki. Można go było oskubać jak choinkę.

Zabierano broń, pas i buty, żeby napaści odebrać cechy polityczne, o zmierzchu pogromca Europy przemykał się w gaciach ku koszarom. Nie było trupa, więc nie było represji, a naoliwiona parabelka cieszyła oko.

— Nie wariujcie, chłopaki — tłumił zapały Soból, gdy robotnicy wychodząc znajdowali w pustych blaszankach po kawie podrzuconą gazetkę — bo i na kamieniołom mają oko... Żadna zasługa dać się sprzątnąć!

A Niemcy włazili na Elbrus, w chmurach pyłu rwali po stepie, żelaznym pierścieniem opasali Leningrad, jednak w komunikatach powtarzał się natarczywie zwrot — *schwere kämpfe.*

Pokazywał mi kierownik umieszczone na trzeciej stronie *Krakauer Zeitung* długie rzędy żałobnych obwieszczeń.

— Ładne krzyżówki — przeliczał palcem poplamionym od nikotyny — dziś jest dziewięciu samych eisenekreutzträgerów! No, założmy się, że jutro dociągniemy do tuzina!

Nie zdążyłem ustalić wygranej, kiedy przed kantorek zajechała ciężarówka z przyczepą, zeskoczyli uzbrojeni strażnicy. Przywieziono nam amonit.

— Prochownia u nas ryta w skale, najpewniejszy magazyn — wyjaśniał Klack, celując mi w brzuch ogromnym kluczem jak lufą rewolweru — stąd będą teraz brali do innych... Wołać ludzi, nosić skrzynki!

Dojazd był ciasny i dość stromy. Od dawna się mówiło, że trzeba poszerzyć wysypkę, żeby wóz miał miejsce do nawracania. Gromadą wsparci ramionami o pakę, podepchaliśmy przyczepę, dalej już trzeba było na własnym karku dygować skrzynki.

Ruszyła karawana zupełnie jak w podłym filmie afrykańskim.

Tego dnia wybuchła piekielna awantura, bo kierownik się bronił przed niebezpiecznym depozytem. „Ja nie będę za wszystkich odpowiadał — wołał, wysuwając dolną wargę — czasy są niepewne, a jak mi jutro zrobią napad?"

Drzwi były niedomknięte, zmniejszyłem obroty, żeby lepiej słyszeć. „Kogo pan ma na myśli — zapytał czujnie Klack — my te kłopoty potrafimy w zarodku uśmierzyć! — A potem dodał twardo — „Ja mam na wszystkich oko, ja..." Przerwał nagle i popatrzył na mnie podejrzliwie, stałem z oliwiarką tuż przy uchylonych drzwiach. Zatrzasnął je gniewnie.

Gdy wyszedł chwilę później, kierownik przywołał mnie skinieniem i szepnął: — Czy wie pan, co mi powiedział na odjezdnym? *„Was seinen Anfang hat muss auch ein Ende haben..."*

Na stole spostrzegłem mały notesik, rzuciłem się, żeby go przejrzeć, pod datą sprzed trzech dni, pod obliczeniem kontrolnym wydanej amunicji znalazłem nazwiska: Soból, Krajewski, Szymczak, Tomala. Gruszka był już wykreślony. Lista nie zostawiała złudzeń.

Kierownik popatrzył tępo w okno, nagle wrzasnął: — Zmiataj pan, ja nie chcę o niczym wiedzieć!

Rzuciłem notes pod stół. Wyskoczyłem do maszynowni. Przed oknem powiało dymem, z gwizdem wpadła lokomotywka. Klack powracał po zgubę.

Powiadomiłem zainteresowanych, nie było czasu na zwlekanie. Ale Soból tylko pogłaskał ręką powietrze: — To się jakoś zrobi, to się musi ułożyć... Na razie nie ma jeszcze gwałtu.

Jakto nie ma? Aż mnie oburzyła jego opieszałość, przecież szło o moją skórę.

W dwa dni później przyjechał Sauer z platformą po amunicję dla kamieniołomów w Mydlnikach. Klack dopilnowywał ładunku, stawiał kreski po każdej wyniesionej skrzynce.

Przyczepa była już załadowana, należało przetoczyć ją z pochyłości, żeby zaczep wskoczył na hak przy ciężarówce. Klack widząc jak niezdarnie manewrujemy, sam objął komendę i nakierował żelazny dyszelek. Nacisnęliśmy na pakę.

Nie wiem, ile w tym było przypadku, a ile wyliczenia. Platforma potoczyła się lekko, szerokie koło wlazło na kamień, dyszelek szarpnął Niemcem, wciągając go między auto a przyczepę. Kółko nie trafiło na hak, tylko wlazło pod ciężarówkę, skrzynie dobiły z trzaskiem, bądź co bądź siedem ton, nie w kij dmuchał.

Obiegłem transport. Klackowi ścisnęło głowę. Prawie wisiał w powietrzu. Potrzepał kończynami i już był gotów.

Nawet nie robiono dużego dochodzenia. Posłano mnie, żebym naciupał redliny, kawałkami drutu umacnialiśmy ościsty wianek. Miała być de-

legacja z kamieniołomu. Damazy przyszedł w granatowej dwurzędówce, przygładzał podstrzyżony wąs.

— Zawsze to jednak był nasz opiekun — mruczał — trzeba go uszanować!

Nie żałowałem gałązek, jakże to on powiedział, powracało mi z uporem: *Was seinen Anfang*... Czyli, że każda sprawa musi dobić do swego kresu.

Chłopcy nie bardzo klęli, pogoda była ładna, a kierownik obiecał, że im za pogrzeb godziny zapisze. Dryl powiózł ich na pustej platformie — ekstracugiem.

Zachodziliśmy w głowę, kto jest u nas uchem dyrekcji, różne padały podejrzenia, aż Staszek Krajewski dokonał odkrycia. Siedzieliśmy jak zwykle w budzie, Cichoń piekł kartofle w popielniku, zbabczałe, bez soku, na które by pies z kulawą nogą nie popatrzył.

— Wpadłem wczoraj do Dryla, żeby mi przewiózł parę pustaków, bo muszę ściankę w izbie postawić, wieczór już jest... Gadamy o tym i o owym, delikatnie... Patrzę, a ten ma na nogach nowe papucie, czerwone z pięknym haftem... Przyjrzałem się lepiej, a to skrzydła z naszego orła, pociął sztandar Straży Ogniowej, co miał na przechowaniu... Tłumaczył, że to żona, że nawet trudno się dziwić, bo to już i niebezpiecznie było trzymać... Nie plunąłem mu w ślepia, bo chciałem, żeby mi pustaki pod dom odstawił... Ale sukinsyn, co?

Ludzie pomruczeli, zaklęło paru. Nie pokazaliśmy, jak nas ta wiadomość obeszła.

— Trzeba trochę pomyśleć, towarzysze — zafrasował się Soból gdyśmy już zostali sami — albo to głupota, albo cała sprawa śmierdzi zdradą... A tu trzeba odczekać jak na złość, nie można wszystkich hurtem — pokazał na uniesionym kciuku, jakby łeb kurakowi ukręcał.

Cichoń, o którym zapomnieliśmy, skulony pod piecem patrzył na niego z uwielbieniem.

*

* *

Dzień był rozległy. Niebo aż rwało oczy. Po rośnym ranku słońce przygrzało, powietrze zaczęło pulsować nad lejem kamieniołomu. Na białej ścianie skalnej, gdy powiew przeciągnął, sunęły lekkie cienie obłoków.

Stałem oparty o poręcz, ustalałem z kierownikiem datę końca wojny, gdy kawowy Opel cicho zajechał przed kantorek. Wysiadło trzech cywi-

lów. Od razu ich poznaliśmy, te marynarki dźwignięte na prawym pośladku, krok gończych, sztywne stąpanie i oko, które zaczepia jak haczyk na ryby.

Odwołali na bok starego. Widziałem, jak rozglądał się bezradnie. Stałem ścierpnięty. Parę kroków dalej Cichoń w zimowej, postrzępionej kurcie zgrzytał łopatą, oczyszczając tor z zielska.

Kierownik najpierw popatrzył na mnie, potem machnął ręką, jakby mówił — szkoda cię — i zawołał Cichonia.

— Pójdziecie na dół i zawołacie pana Sobola... Wiecie, gdzie robi?

— Wiem — pokiwał głową garbaty.

— Żadnego gadania — dorzucił cywil — niech tu zaraz przychodzi.

Cichoń odstawił łopatę pod ścianę i ruszył ścieżką ku wysypce.

Za ścianą głucho gadał kompresor, a w dole młoty pneumatyczne świergotały jak skowronki. — Jak go tu ostrzec, jak dopomóc? Przecież ten ciamajda... — myślałem z rozpaczą, patrząc jak zstępuje po stromych schodkach. Jeszcze przez chwilę widziałem plecy zgięte w kabłąk i oklapły kapelusz jak u pastuszków Wlastimila Hoffmanna.

Wędrował wzdłuż toru, przełaził między lorami. Robotnicy nie przerywali roboty, zawzięcie ładowano kamień.

Dobrnął wreszcie do stanowiska Sobola. Musiał powtórzyć rozkaz, bo Soból odstawił kary, które po desce wepchał na wóz, nałożył kamizelkę na niebieską, spraną koszulę, wziął marynarkę pod pachę i ruszyli ku nam.

Zniknęli w cieniu pagóra, u stóp wysypki.

Daff, daff, daff — zadławił się kompresor, zaświstało powietrze w odkręconym wężu wiertarki. Metalicznymi kroplami kapały uderzenia młotów. Czułem, jak mi wilgotnieją dłonie, lepią się do nagrzanej poręczy.

Trzej gestapowcy rozstawili się półkolem przed schodami.

Patrzyliśmy w napięciu.

Nad ostami, które porastały wysypkę, pokazał się oblazły kapeluch, tępa, jakby zakopcona twarz Cichonia. Oczekiwaliśmy, że za nim pokaże się tamten. Ale Cichoń był sam.

Spokojnie minął Niemców, podszedł do ściany, ujął opartą łopatę.

— No, co z Sobolem? — zapytał kierownik.

— Nie przyjdzie, nie chciał iść... Na dole, pod samą wysypką zawrócił i powędrował torami, serpentyną na Zakrzówek.

— A coś ty mu powiedział? — skoczył ten w gabardinowym płaszczu.

— To co mi kazano: żeby zaraz szedł do kantorka, bo po niego autem przyjechali...

— Ach, ty bydlaku! — wrzasnął gestapowiec i wyrżnął go pięścią w ucho, drugi już kopał w wątrobę.

Cichoń zaskowyczał i upadł. Twarz jego wyrażała bezbrzeżne zdumienie, włosy opadały strąkami, a z wytrzeszczonych niebieskich oczu obficie płynęły łzy.

Naraz gestapowców ogarnęło zniechęcenie, bo cóż im za przyjemność bić takiego idiotę, który nic nie pojmuje...

— Pan nam za to odpowie — wygrażali kierownikowi — my tu jeszcze wrócimy... Gdzie on mieszka? Prędzej, prędzej!

Stary wystękał adres.

Wskakiwali do wozu, zniknęli w białym tumanie kurzu, którego smak jałowy długo czułem w ustach.

— Co teraz będzie? — skulił się kierownik — No, co teraz ze mną będzie?

Dźwignęliśmy Cichonia pod pompę. Czuł się nieźle.

— Dobrze, że mi zębów nie wybili — smarkał długo krwią w strumieniu lecącej wody. — Ja ta znów nie taki, żeby zaraz zemgleć.

Kierownik poszedł po szklaneczkę nalewki z „trawką".

Cichoń pociągnął mnie za rękaw i zmrużywszy oczy szepnął: — Dziś, nad Wisłą, koło przejazdu na Salwator, Soból będzie — potem westchnąwszy pełną piersią dodał — Pamiętajcie, towarzyszu.

Patrzyłem na niego zaskoczony. To był już inny człowiek.

*
* *

Niemcy do kamieniołomu nie powrócili. W Borku u Sobola zrobiono rewizję, ale niewiele znaleziono. Powiedziano żonie — gdyby nadszedł — ma się natychmiast zgłosić na Pomorską.

Na to jednak mogli długo czekać.

Wieczorem spotkałem się z Sobolem. Usiedliśmy nad brzegiem, siwe, zmącone wody Wisełki pomykały żwawo.

— Muszę teraz odskoczyć. Nie przyspieszajcie sprawy, bo narobicie głupstw...

— A Dryl?

— Dryla musicie załatwić, ale za jakiś czas, jak się u nas uspokoi...

— Idziecie do lasu?

— Nie wiem jeszcze, ale chyba nie, ludzi wszedzie potrzeba.

— Zajdę do was do domu, może powiedzieć coś żonie?

— Na razie tam się nie kręćcie. Na pewno obstawiony. No, cóż? Niech czeka, niech ma cierpliwość... Ona jest twarda — dodał z odcieniem dumy — Nie pierwszy raz się rozstajemy.

Słońce zachodziło za kopcem Kościuszki, kędzierzawą plamą wystąpił cmentarz pod zróżowiałymi obłokami.

Pod nami woda zaklaskała po kamieniach, odblask jej jak łuna zaświecił w twarze.

— Czy ja powinienem wracać do kamieniołomu?

— Zazdrościcie mi — uśmiechnął się gorzko — ej, młodzi, młodzi... Wy byście już chcieli budować na rusztowaniach, na oczach całego świata zatykać wiechę... A tu trzeba pasować człowieka do człowieka, jak ciosowe kamienie. Każdy z was widzi tylko cząstkę, aby tyli kawałek — pokazał palcami — trudno pojąć, że kładziemy fundament pod budowlę, która będzie trwać.

**Wojciech Żukrowski**

WŁADYSŁAW SZREMOWICZ

# Wyrwane kły

— Kran śmiało na dół — rozlega się głos z niewielkiego pudełka. Siedzący obok człowiek daje znak kraniście na pływającym dźwigu, potem przekłada włącznik i bez pośpiechu rzuca krótkie:

— Dobra.

Wysokosiężne ramię żurawia zawisło nad samą burtą. Ześlizguje się ciężki hak i chlusta do wody. Dopiero po dłuższej chwili przez głębinowy telefon pada kilka słów. Znów na rdzawym tle zwalonego żelastwa ukazuje się jasna dłoń sygnalisty.

W kabinie kranisty szurgot potężny, wyprężona lina ocieka wodą. Ciężar zawisł nad okrętem, rzucając cień na pokład. I oto kilkanaście ton stali z łomotem spoczęło na właściwym miejscu. Robota to naprawdę milimetrowa.

— Złom dla produkcji traktorów — śmieje się stary bosman.

Na głębokości 15 metrów pod wodą, gdzie elektryczna lampa niewiele rozjaśnia mętne wody portowe, Alfons Kąkol nie ma czasu na rozmyślania. Wystrzępione siłą wybuchu brzegi wyrw przy najlżejszym naruszeniu skafandra zagrażają życiu. Nikt również nie może przewidzieć nagłego ruchu czy niespodziewanego obrotu kolosa ze stali liczącego 20 tysięcy ton. „Gneisenau" jeszcze potrafi ukąsić.

Kąkol tymczasem najpierw starannie wymierzy co i jak, potem palnikiem wygładzi kilku- lub kilkudziesięciometrowe połacie, wywierci dziury dla bolców i nitów, aż wreszcie, kiedy wysoko nad wodą na roboczym pontonie cieśla wespół ze spawaczami wykona drewniano-stalowe segmenty, szczelnie załata tym „plastrem" wyrwę. Potem będzie chodził, opukiwał i kontrolował ilość przecieków, a jednocześnie z pomocą dźwigu zbierał leżący tu i ówdzie na dnie morskim żelazny złom. Aż na koniec on i jego grupa zajmą pierwsze miejsce we współzawodnictwie załóg Polskiego Ratownictwa Okrętowego.

Opowiadanie jego towarzysza pracy, nurka Bronisława Sadowskiego, przesuwa się przed oczyma jak film i pokazuje, że takie zwycięstwo to rzecz niełatwa.

— Byłem cztery pokłady pod nami — uderza ołowianą podeszwą nurka o pokład — i wszedłem do turbiny. Właśnie usuwałem za pomocą dźwigu blachę, kiedy nagle porwał mnie szalony wir. Już poczułem się w gardzieli śmierci. Krzyknąłem do sygnalizacji — odpowiedzieli, że przyjdą. Wiedziałem, że trzeba wytrzymać. Wir wody był straszny, walczyłem. Już myślałem, że nadwyrężony szamotaniem skafander przerwie się, no, a wtedy... — z bladym uśmiechem machnął ręką. Dają mu gorącej herbaty.

— Napracowali się obaj, ale mnie wyciągnęli z tej matni. Jońca i Kierzka, moi koledzy!

— Ale gadania dość — kończy — czeka nas większa robota!

*

Ar ziemi na powierzchni — to tyle, że można zawrócić zaprzęgiem i pługiem. Tutaj zaś w boku powalonego olbrzyma zionie wyrwa ponad trzyarowa, która dokładnie zmierzona liczy 8 × 40 m. Wyrwa ta, spowodowana wybuchem ładunku torped, jest główną przeszkodą w podniesieniu wraka.

Dziesiątki metrów żelaznych dźwigarów, setki ton betonu, tysiące roboczo-

godzin podwodnej pracy poszły na jej zalepienie.

W zasadzie sprawa jest jasna, a droga do celu prosta: w spoczywających na dnie portu pancernikach należy uszczelnić wyrwy, zatkać kilkudziesięciometrowej długości szczeliny i setki drobnych przecieków. Trzeba zalepić dziewięć głównych i nie wiadomo ile drobnych zaworów dennych. Potem wydobyć pompami wodę z wnętrza kadłubów, a pływające wówczas wraki odholować na miejsce rozbiórki.

— Duńska firma o przeszło wiekowej tradycji zażądała na to pięć lat — mówi Aleksander Młodnicki, naczelny dyrektor Polskiego Ratownictwa Okrętowego w Gdyni. — Tak długo nasza żegluga nie może czekać!

Sprawę wzięła w obroty Rada Zakładowa przedsiębiorstwa wespół z kierownictwem technicznym. Gdyńscy ratownicy sumiennie przeglądali, badali posiadany sprzęt, z wszystkich stron analizowali teren swej przyszłej walki.

Kolektyw po długiej naradzie orzekł:

— „Gneisenau" zostanie wydobyty! I „Zähringen" zostanie wydobyty! Wyrwiemy stalowe kły, usuniemy zaporę przy wejściu do portu!

Ratownicy naznaczyli sobie termin do późnej jesieni r. 1951. Kto przedtem zwiedzał motorówką port, ten dobrze sobie przypomina, jak niedaleko przystani ms „Batorego" z ust przewodnika padało takie objaśnienie:

— Uchodząc w 45 roku faszyści zablokowali nam port w dwóch miejscach: u samego wejścia przy falochronach pancernikiem „Gneisenau", oraz w zwężeniu przy początku kanału przemysłowego wrakiem liniowca „Zähringen", który ostatnio służył im jako okręt-cel. Wrak tego ostatniego rychło został zepchnięty na bok przez marynarkę radziecką, lecz tamten tkwi jeszcze ciągle w bramie wejściowej!

Tę bramę na oścież miał otworzyć polski „ratownik". A równocześnie w laboratoriach i gabinetach uczeni zabrali się do obliczeń, jakie będą przypuszczalne zmiany w falowaniu wód na obszarze portowym w związku z usunięciem zawalidrogi.

Dla wszystkich na „Smoku", na „Herkulesie", na „Światowidzie" i z ekipy portowej nr 1 nadeszło 350 dni ciężkiej pracy. Roboty postępowały miarowo i szybko, wyprzedzając wszędzie krzywą harmonogramu.

Codziennie wieczorem, gdy dzień znikał za leśnym wzgórzem Chylonii, nurek Alfons Kąkol odsuwał z czoła czerwoną myckę, tradycyjną odznakę zawodową, wskazywał cybuchem lulki na mokrą skorupę pancerną i mówił do kapitana na „Smoku", marynarza, kaszuba jak on:

— Njee August, doch wneet my go bandzema mieely...

*

— Te, Mietek, uważaj, z prawej masz właz!

Zanurzając się po kolana w mule idą środkowym gankiem okrętu. Co chwila noga uderza o łańcuch, o wystający kawał żelaza, plącze się w zwojach lin. Małe elektryczne latarki ledwo wskazują drogę w brudnawej wodzie. Mijają wejścia do kabin i sal, schodki wiodące w dół, może do maszynowni. Są w sercu stalowego widma, które kierowane falą radiową przez całe lata służyło faszystowskim artylerzystom jako szkoła zaprawy do agresji.

Głęboko w podwodnych czeluściach „Zähringen" Żurawski i Firlej prowadzą wywiad operatywny. Zaledwie kilka pokładów nad nimi grzeje południowe słońce, słychać wesołe nawoływania ratowników przy pracy. Tutaj ciemność, a gdy ci dwaj chcą się ze sobą porozumieć, muszą przytknąć hełm

nurkowy do hełmu, by się wzajemnie usłyszeć.

Ganek urywa się; gmatwanina żelastwa — to ślad głównego wybuchu, który powalił olbrzyma. W oddali z obu stron majaczą wyrwy, po sto metrów kwadratowych każda. Obecnie nie ma już wolnego przepływu dla fląder i węgorzy, bo pięciu nurków wraz z całą nadwodną ekipą zaskorupiło otwory żelazem.

Wspinaczka po skręconych płytach podpokładów, po zagiętych do wewnątrz blachach poszycia, ostrych teownikach i stromych wręgach kadłuba wymaga od nurków uwagi i dużego wysiłku fizycznego. Z kamiennym spokojem oba cienie w skafandrach i hełmach przemierzają ten fantastyczny tor przeszkód. Dochodzą do ścian, badają miejsca „zacementowania". Jeden z nich ręką wskazuje kierunek podwodnego prądu, zdradzającego istnienie jakiegoś przecieku.

A znacznie później, już po zdjęciu podwodnych zbroi, po umyciu się i przebraniu — wysoko, na odbudowanej kabinie sterniczej zdają kierownikowi ekipy rzeczową relację. Stamtąd dobrze widać całą gromadę zajętych swymi czynnościami spawaczy, blacharzy, kowali, tokarzy, stolarzy, kucharzy i cieśli.

Kierownik Frysztak, mimo że słońce mocno grzeje, szczelnie otula się w koc. Zwolnienie lekarskie schował do kieszeni, bo w chwilach walki chce być ze swoimi ludźmi. Teraz ważą się losy całego przedsięwzięcia.

Kozłowski jest ratownikiem od niedawna. Podając Bochentynowi klucz do nakrętek kiwa głową, gestem podkreślając wypowiedź:

— Łatwo być marynarzem, odbębniać swe godziny wachtowe. Ale tu osiem godzin nie frajer! Pamiętasz lód w styczniu i mrozy...

Osiem godzin pracy racjonalnie wykorzystuje spawacz Kaczmarek. Bez potrzeby słowa nie powie, roboty nie przerwie za pierwszym dzwonkiem Pracuje pilnie, sumiennie, jak dla siebie. Bo też pracuje dla siebie! Podczas przerwy najpierw wykańcza robotę, potem zabezpiecza acetylen, porządkuje narzędzia, przeciąga się, aby rozprostować kości i teraz dopiero szybkim krokiem przechodzi do okrętowej jadalni.

Na wraku jest świetlica, jadalnia i kuchnia, nie licząc szatni, umywalni, apteczki i innych warsztatowych pomieszczeń. A w kuchni króluje stary, doświadczony w tym zawodzie ratownik, Jan Magrian, który jedynie z konieczności włożył biały fartuch i zamiast świdrem w żelazie wierci warząchwią w zupie.

Po przerwie obiadowej zajrzyjmy na dziób!

Przy burcie stoi Roman Kuźma i na słabej lince spuszcza do wody zakrętki i bolce. Powierzono mu bieżące zaopatrywanie nurków — przed chwilą podał im młotek, drewniane kołki, pakuły i cebrzyk łoju na uszczelnienie. Tymczasem Krampa manipuluje przy trzech butlach stalowych, przekłada gumowe węże, otwiera niklowe zawory.

Zapałka, ogieniek, syk, świst, szum.

Regulując płomień, zwinnie porusza palnikiem do spawania. Przygląda się uważnie kształtowi płomienia i teraz powolutku spuszcza go również pod wodę.

*

Dwaj ratownicy-mechanicy ze „Smoka" zajęli się palnikami do spawania i cięcia metali. Czy w Polsce przedwojennej interesowali się postępem technicznym? Chyba nie, bo przecież rozwój nowej techniki obracał się przeciwko nim samym, przeciwko robotnikom.

Dziś co innego! Tak twierdzą wszyscy. I spawacz, i nurek Antoni Mońka, i warsztatowiec Władysław Bielecki — ludzie starsi, którzy dobrze rozważą, zanim coś powiedzą.

Pierwszym wyczynem były komplety lamp okrętowych, które zrobili w okrętowym warsztacie. Potem, kiedy się okazało, że przy cięciu stalowych płyt dotychczasowym sposobem grozi przestój, wzięli się do poważniejszej pracy racjonalizatorskiej. Ich palnik „Bielmoń" wprowadza w zdumienie fachowców, jest „rozchwytywany" przez nurków ze względu na możność obsługiwania go jedną ręką i gwarancję bezpieczeństwa w pracy.

Takich jak Bielecki i Mońka jest więcej na pokładzie „Gneisenau". Oto uśmiecha się tęgi mężczyzna, który niedawno przeszedł do ratownictwa z marynarki wojennej. Wczoraj był przodownikiem wyszkolenia bojowego i politycznego, dziś jako rezerwista pracuje w ratownictwie. Ten to właśnie mechanik Uklewski zabrał z pokładu pancernika starą lawetę działa i skonstruował armatę do przestrzeliwania stropów (ciężkich lin) pod stępką zatopionych jednostek.

Pracą „zwykłą", jak zajdzie tego potrzeba — 24-godzinną na dobę, wykazać się mogą mechanicy Leszczyński i Sikorowicz. Ich brygady uruchomiły przy pomocy olbrzymich dźwigów dwadzieścia pomp na pokładzie wraka, połączyły je gmatwaniną rur i stale pilnują pracy tych żelaznych płuc. Na pompach spoczywa zadanie opróżnienia kadłuba z wody; od ich stanu i wydajności obsługi zależeć będzie ostateczne zwycięstwo. Właśnie wysięgnica drugiego dźwigu pływającego jest obarczona ciężarem takiej pompy. Człowiek w szklanej kabinie manipuluje ostrożnie, by nie uszkodzić mechanizmu. Zwłaszcza że dźwig nie należy do ratownictwa okrętowego, został wypożyczony z innej placówki.

Wszędzie wala się jakieś żelastwo. Dźwiga go „Gneisenau" na grzbiecie, jak jeż, który tarzał się w jabłkach. Tu leżą odcinki rur, tam butle stalowe, złącze lub żelazne, dziurawe kosze, stosy desek i belek, resztki nadbudowań okrętu i niezliczone przewody. Aby przejść tych dwieście metrów, trzeba stracić chyba z kwadrans!

Koło dziobu dźwig balansuje czterdziestotonowe płyty pancerne, wspaniały i niezniszczony korozją surowiec dla naszych hut. Niemłody już Leon Szewałło był w sanacyjnej Polsce poniewieranym robotnikiem wiejskim. Widzimy go teraz, jak zakłada strop na szelkach, i oto ciężar nie zagrażając otoczeniu zawisł wysoko na haku. Od wyzwolenia mija zaledwie siedem lat, a już zagospodarowaliśmy cały 500-kilometrowy pas wybrzeża, założyliśmy przedsiębiorstwa morskich specjalności, budujemy własne statki pełnomorskie i co najważniejsze: wychowaliśmy człowieka!

Minąć trzeba czeluście kolistych fundamentacji dział, mogące pomieścić sporą kamienicę wielkomiejską. Stanąć należy na samym krańcu pokładu, przy dziobie, którego właściwie wcale nie ma. Urwały go pociski wojenne. By z tak poszarpanego kadłuba uczynić zdolną do pływania jednostkę, musieli nasi ratownicy dorobić całkiem nową dziobnicę — z betonu. Grodzia trzyma napór wody jak tama przy sztucznym jeziorze.

Na prawie suchym dnie statku pluszcze mętna woda z kręgami opalizującej oliwy. Teraz tu jeszcze spokój. Ale niedługo i tutaj ruszymy do szturmu!

*

Jak lekarz nad pacjentem, w kabinie „Smoka" czuwa nad całokształtem robót kapitan Witold Poinc. Rozmieścił

dokoła zatopionego olbrzyma holowniki, barki, dźwigi, pontony, motorówki i wszelkie ratownicze mechanizmy.

I gdy wreszcie po nocy ścisłych obliczeń wydał w jasny wrześniowy dzień długooczekiwany rozkaz, twarze wszystkich obecnych zajaśniały szczerą, ogromną radością.

Do boju! Do walki o stal potrzebną dla życia, dla pokoju!

Zadrżały pompy, potoki wody chlusnęły na pokład. Skakać teraz trzeba, by się nie zmoczyć do nitki. Skakać trzeba, żeby opanować zdenerwowanie. Ludzie trwają na pozycjach, czekają. Nurkowie nie przerywają swych niebezpiecznych wędrówek, przeciwnie — zagęszczają sieć podwodnych patroli. A tam pod pokładem kłębią się, poruszane pompami ssąco-tłoczącymi, masy wody i mułu.

Punkt kulminacyjny bitwy o zdobycie kolosa nastąpił w nocy 6 września 1951 r. Wreszcie padł meldunek, że stępka „Gneisenau" oderwała się od dna morskiego i wrak trzyma się jedynie wybrzuszeniem rufy. Plan strategiczny okazał się słuszny i co najbardziej istotne — nie zawiódł człowiek...

W chwili gdy nastąpił szturmowy atak, trzeba było widzieć te spracowane, umorusane twarze, te postacie trwające na powierzonych stanowiskach bez przerwy od blisko dziesięciu dni. Włosy rozczochrane, ruchy ociężałe, oczy spieczone słonym powiewem gorzały w oczekiwaniu zwycięstwa.

W chwili, gdy od końca do końca pokładu przetoczył się okrzyk, gdy dobił do przycumowanych statków pomocniczych, wszyscy padli sobie w objęcia.

Nie był to jednak dzień ostatecznego zwycięstwa.

Dowódca czuwa nadal. W cieniu budki sterowej pomostu nawigacyjnego „Smoka" stoi kapitan Poinc, dawny marynarz, dziś najlepszy w Polsce ratownik, odznaczony Sztandarem Pracy, znany i poważany w innych krajach jako wybitny specjalista.

Kapitan nie tai swego zdania:

— Co prawda wrak oderwał się od dna, lecz nasza głowa w tym, by się utrzymał na wodzie. Musimy wykryć i zatknąć ostatnie otwory w jego poszyciu. Wypompować resztki wody i mułu, oczyścić wnętrze, a wreszcie zawlec pancernik na bok, w celu rozprucia.

Brudny, zaoliwiony, umazany mułem dennym, zgłasza się do kapitana nurek Janusz Sadowski. Jest to młody absolwent tegorocznego kursu nurkowego, a były pracownik filmu.

— Byłem na piątym podkładzie dolnym — zdaje meldunek ze swej kontroli kadłuba w trakcie wydobywania.— Wody dla pomp jest tam zaledwie na pół godziny. Chcę jeszcze dotrzeć do zenz i tam bezpośrednio podłączyć wąż pompy. Ale pompy trzeba spuścić o pokład niżej.

Oznacza to, że pompy będą już wyciągnąć resztki wody z najniższych pomieszczeń kadłuba.

*

Środa, dnia 12 września roku 1951, godzina 16.45.

Sytuacja: rufa pływającego o własnych siłach wraka wysunęła się z wody na jakieś trzy metry. Ale dziób nadal opiera się nieco na mule dna. Kolos w dalszym ciągu tarasuje wejście do portu. Kilkanaście pomp pracuje bez przerwy na pełnych obrotach, głęboko pod czwartym czy piątym pokładem, ze względu na ograniczony słup wody, który są w stanie odciągnąć. Stalowe cielsko drga, lecz nie ustępuje.

W akordowym tempie brygady PRO i Centrali Złomu wypalają prostokątne przepusty dla pomp we wszystkich po-

ładach. Robota idzie opornie, zwła-
zcza gdy palnik natrafia na palące się
rącym dymem przewody kablowe. Za-
iera to wiele cennego czasu. Czas ten
tarają się nadrobić — kranista Alek-
ander Siesarow i jego pomocnik Józef
Kwaśniewski, którzy za pomocą potęż-
ego haku robią porządek wśród złomu
a pokładzie i — przy współpracy nur-
ów — porządkują dno dokoła „Gnei-
enau".

Kapitan Augustyn Dominik kazał
rzerzucić trzy deski znakujące z dziobu
a beton nabrzeża falochronowego. Po-
em przez cały czas śledzić będzie ruch
ziobu okrętu, jego oddalanie lub też,
iebezpieczne dla akcji, zbliżanie się
tali do betonowych kesonów.

Lewa burta pancernika zwrócona ku
norzu. Z prawej burty, zwróconej w
tronę portu, zacumował komplet stat-
ów ratowniczych. U śródokręcia stoją
- dźwig pływający nr 1, dalej „Smok"
ak wielka ruda pijawka i dźwig pon-
onowy nr 2. Przy dziobie stanął ho-
ownik „Herkules", a przy rufie — po-
ężny „Światowid", najmłodsza jednost-
a polskiego ratownictwa. Już poprzed-
iego dnia usiłowano szarpnięciem od-
ągnąć wrak z miejsca, lecz nic nie
skórano. Teraz wszyscy czekają pełni
iecierpliwienia.

Powierzchnia pokładu wygląda jak
stawiony obficie stół: tu góry żela-
wa, jakieś podmorskie resztki, dalej
owizoryczne budki robotnicze i szu-
eniczki dla podtrzymywania przewo-
ów elektrycznych. Kapitan Stefanow-
i, inspektor ratownictwa, chodzi spo-
jnie od placówki do placówki, roz-
awia z ludźmi, lecz zagrzewać ich nie
trzebuje.

Ręka Poinca szarpnęła linkę gwizdka.
gnał ze „Smoka". Stefanowski wie,
ma być okiem dowódcy przy rufie.
anęło tam dwóch.

— Chłopcy, do bandery! — padają
wa.

Prostopadle do burty odbijają dwa holowniki. Słychać brzęk ich telegrafów maszynowych.

— Trzeba, żeby nasza rufa przebiła pięciomerową górkę piachu i mułu — objaśnia usprawiedliwiająco elektryk Bronisław Tomczyński. On to noc w noc, przez długich 350 dni pracy nad wrakiem oświetlał starannie całą arenę walki. Przecież jakże łatwo, nawet w jasny dzień, wpaść w któryś z licznych otworów.

Na rufie zebrało się kilkunastu ratowników. Mogą się każdej chwili okazać najbardziej potrzebni. Tymczasem każdy z nich skonstruował sobie prymitywny pelengator (namiernik optyczny) dla dokładnego określenia ruchu kadłuba. Ze dwadzieścia par oczu upatrzyło sobie jakiś przeciwległy, stały punkt na Oksywiu, bo każdy z nich chce być tym, który pierwszy stwierdzi poruszenie się wraka.

„Gneisenau" drgnął. Rzeczywiście drgnął po raz pierwszy, a więc trud nie poszedł na marne.

— Ruszył! — pierwszy krzyknął mechanik Wiktor Bettin. Wyrwał koledze biało-czerwone płótno i zatknął na trzonie porośniętego glonami i muszelkami kabestanu (pionowej windy okrętowej). Wiatr rozdął banderę handlową. Oto nasz symbol pokoju, postępu: na wojennym okręcie wroga powiewa nasza flaga.

Okrzykom, radosnym wiwatom nie ma końca. Padają sobie w objęcia kapitan i nurek, cieśla, spawacz i przewodniczący Rady Zakładowej. Gratulują sobie mechanik, radiotelegrafista, smarownik.

Przecina tę radosną wrzawę głos kapitana Poinca z tuby pomostu nawigacyjnego. Zadaje pytanie i otrzymuje odpowiedź: holowniki ciągną swój ciężar na pełnych obrotach, a mimo to — „Gneisenau" stanął! Więc jednak ta po

trzykroć przeklęta górka podwodna. I nic dalej, stanął i stoi. Bez ruchu.

Rzut oka ku otworom w pokładzie. Pompy? Pracują miarowo. To dobrze, dwa licha naraz byłoby gorzej.

Decyzja dowódcy: wrak odciągnąć z powrotem, z całej siły uderzyć na podwodny pagórek, przeholować, stanąć na miejscu, a potem na nowo.

Przez reling „Smoka" asystent pokładowy Nagórski przerzuca stalową linę, którą podajemy przez „Gneisenau" aż na przyległy falochron. Tam zacumowują na mocnym polerze. Za napęd posłuży winda „Smoka". Statek ten przydusi rufę wraku do falochronu.

Jeszcze marynarze wykonują to polecenie, kiedy następuje drugi uroczysty moment: przez na razie tylko uchylone główne wrota do portu gdyńskiego przepływa pierwsza od sześciu lat jednostka: niewielka motorówka ratownicza „Basia", sterowana przez mechanika Elwarta. Zatacza łuk, witana wesołymi okrzykami załogi.

Godzina 18.20. Biała mgła wstaje nad dalekim kanałem przemysłowym. Z jej pióropuszy wyrasta bryła zbożowego elewatora, portowe dźwigi i maszty na statkach. Powoli słońce odpływa ku zachodowi. Widziało dzień wielkiego trudu.

Lecz na tym nie koniec pracy! „Światowid" zluzował hol, „Herkules" natomiast przepłynął do rufy i zrzucił tutaj szpring (lina lżejsza). Ta słaba linka ma zapobiec oślizgnięciu się holownika.

Na „Gneisenau" krzątają się marynarze z odbijaczami linowo-korkowymi. Chronią blachy „Herkulesa" od bezpośredniej, zgubnej dla karła styczności z pancerzem olbrzyma. A mechanicy tymczasem przygotowują pompę-piaskówkę, którą — gdy tylko manerw się uda — chcą spuścić do pomieszczeń na samej rufie.

W zapadającym zmroku czas się dłuży. Ktoś — częstując papierosami — stara się nawiązać rozmowę o tym, jak przed niemal dziewięciu laty dwa pancerniki i krążownik faszystów bezkarnie przepłynęły pod nosem Anglików, jak angielska marynarka nie usłuchała ostrzeżeń francuskiego Ruchu Oporu, jak „Gneisenau" miał być zagrożeniem dla floty radzieckiej na Bałtyku, jak pancernik rychło ukończył swą niesławną karierę...

Nagle przez tubę megafonu pada rozkaz. Zgodne ruchy ręką Nagórskiego na „Smoku" i Gruszy na „Herkulesie". Zagrały obie maszyny. Naprawdę trudno rozpoznać w zmroku, czy poskutkowało.

— Tak, tak — wołają ci z falochronu. Wrak uzyskał rezerwę na przyszły rozpęd.

Odcumowali szpring. „Herkules" odchodzi efektownym kołem. Rozlegają się dzwonki telegrafu maszynowego. Jeden holownik rufą podchodzi do „Gneisenau", drugi, „Światowid", stoi nieruchomo przy falochronie. Kilka cieni na rufie wraku podejmuje rzutkę, przeciągają linę, umacniając hol. Ratownicy na pancerniku zamierają w bezruchu za swymi „pelengatorami".

Syrena ze „Smoka" daje dwa gwizdki — to rozkaz Poinca: „Na stanowiska bojowe!" Potem melodyjna odpowiedź dwa tenory „Światowida" i dwa basy z „Herkulesa". Winda na „Smoku" luzuje hol, bo zaraz rozpocznie się ruch przeciwległy — odciąganie od falochronu.

Dla wszelkiej pewności kapitan Stefanowski krzyczy przez tubę do holowników:

— Całą!

„Światowid" przez ciemność odpowiada:

— Całą. Całą.

Na wraku jeden zaklął z cicha, dobitnie:

— Cholera. Żeby nam czasem spod nóg nie uciekł...

Bez obawy! Już on Wam nie umie, polscy ratownicy. Zdobyliście tys. ton stali, milionowej wartości suwiec dla pokojowej produkcji. Pozwoie hutnikom przekuć oręż agresji na ktor spółdzielczy, na „kaczy dziób" rnika, na stalówkę poety...

Gdy w szalonym napięciu nerwów par oczu z wraku, z pobliskich jeostek, z falochronów, z dźwigów płyjących wlepia się w małe światełka przeciwległej stronie basenu, ktoś gle cichym, lecz pewnym głosem inuje wesołą piosenkę ziemi radziecej:

— Daloko, towariszcz, daloko...

Daleko, daleko, patrzcie, światełka! z najmniejszego drgnięcia, powoli, wolutku odpływa zawalidroga. Reksy świateł padają na wodę — jest żka, leniwa, jak gdyby sprzeciwstaająca się naszym zamiarom. Cóż znaw woda, jeśli przeciw niej stanie siła owieka! Droga do portu stoi otwom!

U głowicy południowego falochronu, zy dziobie „Gneisenau", coraz szerzej zwiera się kąt między burtą a krawęą betonu. Augustyn Dominik, który przetrwał samotne godziny, zaciera ce, bo falochronu pancernik nawet musnął.

— Milimetrowa robota — stwierdza uznaniem.

Kogo chwali? Poinca, siebie, kolegów holownikach? Raczej wspaniałe anie w ciężkiej, naprawdę twórczej acy całego zespołu ratowniczego.

Nad potężnym okiem stalowym na ie przeskakują jak perełki nizane na sznurek dalekie światełka Oksywia. Tak więc wygląda zwycięstwo, suma drobnych przeskoków przeradzająca się w olbrzymią zmianę.

— Na dzisiaj dość — stwierdza dowódca — o przeszło dwieście metrów odholowaliśmy rufę. Jutro o pełne 180 stopni odwrócimy okręt. A potem do falochronu!

Cicha, gwiaździsta noc. Holowniki rzuciły liny. Sapiąc podchodzą do wraku. „Światowid" podaje cumę z lewej, „Herkules" z prawej burty, u dziobu. Ciszę przerywa miarowy stuk pomp na „Gneisenau". Tam czuwa Bettin nad utrwaleniem zdobyczy.

A w ciszę nocną bije wesoły gwar ratowników. Obchodzą swe wielkie święto...

*

W godzinach rannych następnego dnia dokończono dzieła. Bez większych wysiłków kadłub przyholowano do falochronu. Tam wrak podał cumy na całej długości. Rozpoczął się finał jego historii: pocięcie śmiercionośnej ongiś stali na złom.

Po tygodniu już nie był sam, bo dzięki naszym ratownikom i „Zähringen" uzyskał również drogę wolną do hut.

Wyrwali kły faszystowskiemu narzędziu agresji!

Spokój każdego z tych ludzi — to spokój człowieka, który wykonał Wielki Plan.

**Władysław Szremowicz**

# Z prac publicystycznych Jerzego Borejszy

*OD REDAKCJI. Zmarły 19.I.1952 r. wybitny działacz i publicysta Jerzy Borejsza znany był czytelnikom w Polsce Ludowej z wielu znakomitych prac publicystycznych. Chcemy na tym miejscu przypomnieć niektóre jego publikacje ogłaszane przed 1939 r. w Sygnałach i Lewarze oraz podczas wojny w Nowych Widnokręgach wydawanych przez Związek Patriotów Polskich w Moskwie. Podajemy urywki kilku prac przeważnie polemicznych. Ze względu na kontrolę cenzury reżimu sanacyjnego publicysta lewicowy nieraz używał określeń umownych lub zastępczych. Takim określeniem zastępczym jest „krytyka socjologiczna", termin, którego w owym czasie używał Borejsza mając na myśli krytykę marksistowską. Nie należy tego określenia mieszać z wulgarną krytyką socjologiczną, która rozwijała się u nas w latach 1945—48 i którą Jerzy Borejsza niejednokrotnie zwalczał.*

*Lewar nr 4, 22 maja 1934*

Tematyka powieści Szołochowa Zorany Ugor jest socjalnie złożona. Mamy tu nie zaczątkowy okres walki klas, ale rozgrywkę jej ostateczną w procesie kolektywizacji wsi kozackiej. Od komunisty, partyzanta Makara Nagulnowa, poprzez całą gamę stopniowania klasowego, biedotę chłopską, średniactwo, kułaków, aż do esauła Połowcewa, wodza kontrrewolucji — wszyscy mają tu poczucie znaczenia „na skalę światową" — jakby powiedział Makar — każdego szczegółu tej rozgrywki sił: i kur skolektywizowanych, i opadu deszczowego, i różnicy głębokości orki od $3^1/_2$ do 2 werszków, i piasku, który z namowy Połowcewa rozsypują po to, by spowodować chorobę byków. W napięciu tej walki dynamika czasu, każdej niemal godziny uwidacznia się chociażby wtedy, gdy przybycie na czas do Grzmiącej Doliny trzech gazet Młotu z artykułem Stalina o Zawrocie głowy wskutek powodzenia, bijącego w lewe błędy kolektywizacji — paraliżuje próbę wywołania powstania przez esauła. W Zoranym ugorze na tle budownictwa socjalizmu widzimy szybkie przenikanie nowych zdobyczy techniki agrarnej na wieś, odbijających się od razu na psychice własnościowej chłopa, wypierające poczuciem solidarności kolektywnej głęboko zakorzeniony indywidualizm chłopski.

Akcja powieści toczy się jak gdyby dwuplanowo. Na pierwszy plan wysuwa się walka dwóch światów: kontrrewolucji, której świadomym wyrazem jest Połowcew, i rewolucji, socjalizmu, której wcieleniem jest Dawydow.

Esauł Połowcew i robotnik Dawydow, dwa z gruntu przeciwstawne typy, zmagają się ze sobą na odcinku Grzmiącej Doliny, działając z jednej strony sabotażem, niszczeniem dorobku biedoty wiejskiej, budzeniem reakcyjnych sił, z drugiej zaś spokojnym pokonywaniem przeszkód, ulepszaniem zasiewu, orki, paszy dla bydła, dbaniem o podniesienie poziomu ogólnego dobrobytu. Na drugim planie dochodzi do zgrzytów — a nawet starć — między starszym a młodszym pokoleniem re-

wolucji, bardziej lub mniej do nowego etapu walk przystosowanym. Wojenny komunizm, partyzańszczyzna głęboko zapuściła korzenie w duszy Makara, by napotkać na sentymentalny oportunizm Andrzeja Razmiotnowa — a oba te odchylenia, lewe i prawe rozbijają się o żel-betonową linię generalną Dawydowa.

Bohaterowie Z o r a n e g o u g o r u noszą na sobie piętno tych walk, odzwierciedlając różne jej etapy. Średniakowi Majdannikowi, który przełamał w sobie wszystkie reszty indywidualisty drobnomieszczańskiego i staje się udarnikiem brygady, przeciwstawia Szołochow zawchoza Jakuba Łukicza, w którym walka klas znalazła tragiczne rozdwojenie: pomaga kontrrewolucjoniście Połowcewowi, ciągnie go tam kułacki instynkt, a przecie narasta w nim psychiczna nadbudówka członka kolektywu. To tragiczne rozszczepienie wewnętrzne Jakuba Łukicza z drobnomieszczańską, chwiejną logiką, przechyla się oczywiście w tę stronę, gdzie widzi przewagę i sukces. Może właśnie po to wprowadził go Szołochow, by na jego tle tym bardziej wyjaskrawić wewnętrzną zwartość, dojrzałość duchową takich Nagulnowów albo Dawydowów.

W całej książce ani cienia retuszu idealizującego; błędy i słabostki ludzi, narośla biurokratyczne, trudności i klęski — wszystko zostało ukazane twardo, szeroko i brutalnie. Szołochow w konsekwencji swej powieści wyzbył się „dziecięcych chorób" i nalotów dekadenckich pierwszego okresu literatury sowieckiej. Stworzył zdrowy realistyczny epos chłopski.

*(Od Fontamary do Grzmiącej Doliny)*

*Lewar nr 1, 10 stycznia 1935*

Nie wszystko w artykule C h o r o b y d z i e c i ę c e p o l s k i e j p r o z y p r o l e t a r i a c k i e j (Lewar nr 8) można było zrozumieć. Ale to, co się zrozumieć dało, wystarcza, by tego rodzaju krytykę ocenić jako co najmniej niedojrzałą. Artykuł ten bowiem zawiera wszystkie „dziecięce choroby" i „chwasty" marksistowskiej krytyki literackiej w Polsce.

O powieści K o r d i a n i c h a m mowa jest dwukrotnie: raz, że „autor (tj. Kruczkowski) w swym dążeniu do jak najlepszego opanowania realistycznej metody chwilami zbyt mechanistycznie stosuje zasady materializmu (kwestia przyczyn powstania listopadowego), po wtóre, że zastąpił „realizm mechanizmem". Wobec tego, że twierdzenia tego artykuł nie udowadnia, wynikałoby, że jest ono pewnikiem, że wypływa z podsumowania dotychczasowych wyników dyskusji. A tak nie jest.

Szablon, epitet — to ucieczka przed potrzebą myślenia, to namiastka analizy, to istna plaga, którą tępić należy. Wystarcza, by pierwszy lepszy dyletant, leniuch albo nieuk znał kilka terminów powierzchownie z marksizmu wziętych, by już zabawiał się w „marksistowską" krytykę tj. wynajdywanie etykiet, epitetów i odpowiednie ich nalepianie.

Krytyk literacki musi mieć przede wszystkim przed oczyma robotnika, który ma zaledwie kilka godzin na czytanie, chce czytać to, co jest najcenniejsze. A gdy twierdzą w jego piśmie, że K o r d i a n i c h a m wpada w mechanizm — czasu na tę książkę tracić nie będzie. K o r d i a n i c h a m dotychczas jest najcenniejszym i najsumienniejszym dorobkiem prozy ro-

botniczej w Polsce. Natomiast sprawa, czy w powstaniu listopadowym był „nurt demokratyczno-patriotyczny" czy też nie, żadnym powierzchownym epitetem nie da się rozstrzygnąć.

Bowiem szablon — to wypaczony marksizm dyletantów i nieuków. Nie tylko na odcinku literackim.

Reportaż nie jest tylko „obrazową publicystyką" — ale formą artystyczną wyrażania sztuki proletariackiej.

Reportaż może współistnieć równocześnie z najbardziej udoskonaloną powieścią niereportażową, a przeciwstawianie ich sobie w szczeblach rozwoju jest błędne.

Metoda pracy reportażu proletariackiego — to drobiazgowe często, sumienne badanie i fotografowanie faktów, obrazów, zjawisk, artystyczne wycinanie i montowanie ich celem wydobycia ich dialektycznej treści, wreszcie ich odpowiednie naświetlanie i cieniowanie. Oczywiście jasne jest, że metoda pracy reportażu proletariackiego przypomina metodę pracy naturalizmu, a szczególnie „powieści eksperymentalnej" Zoli. Zasługą Zoli zresztą jest pozytywne ustosunkowanie się do miasta i do techniki, badanie niemal naukowe materiału powieściowego; niewątpliwą również zasługą jego jest zerwanie ze „wstydem" w powieści, i tam, gdzie szczegóły życia seksualnego, lub nawet wyjaskrawienie tegoż potrzebne mu były dla otrzymania efektu artystycznego — tych szczegółów nie stylizował.

Ta wspólna metoda pracy naturalizmu i reportażu proletariackiego wypływa oczywiście stąd, że obydwie formy wyrosły w okresie rozwoju kapitału finansowego i rewolucyj proletariackich. Ale różnica między nimi jest różnicą światopoglądów, różnicą kątów patrzenia: drobnomieszczańskiego i proletariackiego. Wówczas kiedy Zola obwieszcza, „że polityka to katorga", kiedy wymaga od naturalisty rzekomej „naukowości, obiektywności, apolityczności"; wówczas gdy naturalista wraz z Augustem Comtem socjalne zjawisko zalicza do fizjologicznego, gdy w prawie dziedziczności i w patologii szuka wyjaśnień zła socjalnego, podczas gdy wreszcie naturalizm przynosi ze sobą „szaloną nerwowość, szalony brak woli, pesymizm fatalistyczny i patologiczne tematy" (W. M. Fritcze) — reportaż proletariacki klasowo, politycznie ujmuje fakt, zjawisko, kraje rzeczywistość skalpelem materialisty-dialektyka, szuka w niej rewolucyjnej, a więc optymistycznej treści, odrzuca lombrosowskie i comptowskie kombinacje, by odkryć tło socjalne; reportaż proletariacki przynosi ze sobą radość twórczą, tempo wzrostu, wolę czynu. Jest to zatem różnica światopoglądów, przy częstokroć tej samej metodzie pracy. Ta sama różnica jak np. między racjonalizacją pracy faszyzmu i socjalizmu.

Ale na tej zasadzie (wspólnej metoty pracy) doszukiwać się w reportażu proletariackim naturalizmu, to tak samo, jak w racjonalizacji pracy socjalistycznej — doszukiwać się faszyzmu.

*(Niedojrzała krytyka)*

*Lewar nr 2, 25 stycznia 1935*

Nauka burżuazyjna dotychczas broni szminki swojej obiektywności, ponadpartyjności, ponadklasowości — usiłuje nadal utrzymać siebie i swoich artystów w przekonaniu, że rozwój jej jest poza czasem i przestrzenią rozwoju sił społecznych. Doprowadza to często do humorystycznych epizodów. Oto na

łamach jednego z pism akademickich — co ostatnio zgodnie z modą w tytułach mają i bunt, i młodość, i rewolucję, a w treści zamaskowaną reakcję— na jednej i tej samej kolumnie ukazał się artykuł, kpiący z naukowców, co marksistowsko-dialektyczną metodę łączą ze sprawami czysto naukowymi, bodaj czy nie sztucznego nawozu, a tuż obok, może przez roztargnienie, redaktor umieścił artykuł o tym, że „rasizm polityczny jest niczym innym jak skrajną formą reakcji przeciwko enviromentalizmowi, środowiskości i całemu duchowi zeszłego wieku, przerzucił bowiem *gros* ciężaru w kształtowaniu się fizjonomii człowieka i społeczeństw ludzkich na czynniki wewnętrzne, dziedziczne". Gdy nauka burżuazyjna czepia się ze wszech sił swej „obiektywności"—nauka proletariacka przyznaje się do swej partyjności: do materializmu dialektycznego. Obiektywizm jednej prowadzi do reakcyjności — partyjność drugiej do zmiany istniejącego ustroju. Bodajże najbardziej różnica ta uwidacznia się na odcinku nauk społecznych.

„Obiektywista — czytamy w pracy przeciwko obrońcom „obiektywnej" nauki — mówi o konieczności danego historycznego procesu, materialista stwierdza dany układ społeczno-ekonomiczny, ale również wynikające zeń stosunki przeciwstawne. Obiektywista, gdy wykazuje konieczność danego łańcucha zjawisk, może przekształcić się w apologetę tych stosunków; materialista obnaża przeciwieństwa klasowe i tym samym określa swoje stanowisko. Obiektywista mówi o „historycznych tendencjach, których nie można przemóc"; materialista mówi o klasie, która danym gospodarczym układem „przewodzi", przy czym wykazuje te lub inne formy oporu innych klas. W ten sposób jest materialista z jednej strony bardziej prostolinijny aniżeli obiektywista, i jego obiektywizm oświetla zjawiska głębiej i dokładniej. Nie ogranicza się koniecznością danego procesu, ale stwierdza jasno, jaki układ społeczno-ekonomiczny nadaje treść temu procesowi, jaka klasa określa sobą tę konieczność... Z drugiej strony zawiera materializm w sobie, element partyjności, tym samym że przy wartościowaniu każdego zjawiska waży się bezpośrednio i otwarcie stanąć na stanowisku określonej społecznej grupy". Nie tylko na odcinku nauk społecznych, ale na każdym innym odcinku wraca zagadnienie partyjności i obiektywizmu w tej lub w innej postaci.

Postęp i rozwój nauk przyrodniczych zawiera w sobie sprzeczność w stosunku do klasowych interesów burżuazji: z jednej strony rozwój ten jest istotną koniecznością dla produkcji kapitalistycznej — jednocześnie jednak rozwój nauk przyrodniczych podkopuje podstawy ideologiczne istniejącego ustroju, podkopuje światopogląd świata ucisku klasowego, potwierdza sobą słuszność filozofii dialektycznej. Nauka burżuazyjna, spełniając socjalne zamówienie klasy panującej, równocześnie interesom jej — na innym odcinku — się przeciwstawia.

Stąd konieczność, po wykorzystaniu w technice zdobyczy nauki, zaprzeczenia tych zdobyczy w filozofii. Fizycy, i biologowie, dokonywujący rewolucji w nauce, muszą jednocześnie dbać o to, by te zdobycze nie zburzyły pokoju społecznego, tego ładu, z którym oni są tysiącznymi węzłami wszelakiego rodzaju związani, dla którego pracują, od którego są uzależnieni. Stąd tam, gdzie nauka naprawdę zdobywa nowe tereny — przyśpiesza postęp — musi ona w państwach kapitalistycznych dorabiać doń reakcyjną filozofię.

Oto przykład pierwszy z brzega dorabiania reakcyjnych teoryj do zdobyczy nauki: dziesiątki lat burżuazyjni profesorowie uniwersytetów w Hiszpanii nauczali, że przyczyną nędzy i głodu chłopstwa nie są bynajmniej panujące tam stosunki półfeodalne, ale że sytuacja agrarna Hiszpanii jest funkcją klimatu. Tu żadne rewolucje nie pomogą.

Ale rozwój kapitalizmu na wsi hiszpańskiej spowodował z kolei rozwój badań naukowych w stacjach eksperymentalnych, które doprowadziły do rezultatów agronoma Gascona; na hektarze ziemi w Palancia, gdzie dotychczas wydajność nie dosięgała 1000 kg zboża, otrzymywał 2695 kg. Na zjeździe agronomów w Madrycie, inżynier-agronom Pascal Carrion, najprawdopodobniej z marksizmem nic wspólnego nie mający, tylko sumienny pracownik naukowy, stwierdził, że klimat co prawda określa wybór rodzajów kultury rolniczej, ale nic więcej; słabą wydajność gleby należy — wobec tych postępów nauki — przypisać tylko „obliczu ekonomiczno-socjalnemu zagadnienia rolnego".

Mit klimatu prysł; nauka, pracująca dla zwiększenia nadwartości kapitalistycznej na wsi — podważyła ideologiczną przesłankę społecznego ładu wyzysku. Do zdobyczy nauk przyrodniczych trzeba więc dorobić nową teoryjkę, która by wnioski socjalne tych zdobyczy unieszkodliwiła: p. profesor uniwersytetu w Grenadzie, Fernando de los Rios, socjalista (a jakże!), ma w zanadrzu nową reakcyjną teoryjkę, przez burżuazyjnych myślicieli zresztą często stosowaną, o psychologicznych przyczynach niedoli chłopstwa. Otóż powiada p. profesor, że:

„Badanie warunków psychologicznych rasy stanowi jeden z podstawowych czynników rozwiązania kwestii rolnej, bowiem praca jest funkcją sposobu ujęcia życia".

Mamy zatem, na miejscu klimatu — przyrodzone warunki psychologiczne. Rewolucja społeczna znów nie ma nic do roboty!

Nauka (fizyka, biologia) burżuazyjna musi łatać niebezpieczeństwa, wynikające z jej rozwoju — dorabianymi teoryjkami. W okresie wojen imperialistycznych, faszyzmu, rewolucyj, gdy ideologia burżuazyjna w zupełności oparła się o religię, głównie o katolicyzm, również jej nauka musi bardziej niż kiedykolwiek szukać pomostu do religii.

Stąd dwie dusze pana profesora.

Profesor uniwersytetów burżuazyjnych, który w rzadkim wypadku zdobywa się na wielką odwagę cywilną, by stanąć po stronie uciskanych, co nawet w krajach demokracji grozi utratą placówki pracy naukowej, profesor, którego słuchacze są w lwiej części synami burżuazji i przeważnie ostoją faszystowsko-reakcyjnych korporacyj — musi pogodzić ze sobą zdobycze swojej pracy naukowej i religię, dwie sprzeczności.

Stąd jego dwie dusze, stąd szukanie tego kompromisu w bardziej lub mniej mętnej połowicznej, reakcyjnej filozofii, szukanie „dróg religijnego przeżywania świata, które by nie tracąc nic z siły emocjonalnej dawniejszych religii, wytrzymały próbę konfrontacji z nauką".

Nie chodzi tu bynajmniej o świadomy, z góry planowo ułożony proces fabrykowania reakcyjnych filozofii — proces ten określa byt społeczny, często bez subiektywnej świadomości twórcy tych teoryj. Nie chodzi tu o to, rzecz jasna, że Jeans, albo Huxley, bądź Eddington, Plankc albo Schroedinger „na obstalunek" tworzą koncepcje filozo-

ficzne. Dla ścisłości należy zaznaczyć, że często idealizm ich jest chorobą wynikłą z rozwoju ich dziedziny, rozwoju, który powoduje chwilowy zamęt i chaos.

Jeśli jednak przedmiotem pracy niniejszej jest światopogląd współczesnej nauki burżuazyjnej — to rozpatrywać tę sprawę będziemy pod kątem reakcyjnych, faszystowskich wykładni społecznych tych teoryj. Istny zalew rynku księgarskiego w Polsce pracami filozofizycznymi profesorów burżuazyjnych, przy braku kontrofensywy marksistowskiej literatury źródłowej, ma swoje socjalne przyczyny i skutki.

Socjalne odszyfrowanie filozofii burżuazyjnej nauki jest nader utrudnione mętną terminologią, niejasnościami, niedopowiedzeniami, tchórzliwymi sformułowaniami. Gdy ideologia rewolucyjna, marksistowska, jasno, prosto, odważnie daje swoje sformułowania — filozofia burżuazji lotem nietoperza kryje się po zakamarkach, ciemnych norach i zaułkach mętnych terminologii i sformułowań w okresie reakcji, faszyzmu i wojen imperialistycznych.

*(Dwie dusze pana profesora)*

*Lewar nr 3, 5 kwietnia 1935.*

„Świadomość nasza jest jakby świadomością muchy, złapanej w ściereczkę od kurzu, przesuwanej po całej powierzchni obrazu. Obraz ten istnieje jako całość, lecz mucha może poznać tylko tę chwilę czasu, z którą styka się bezpośrednio, aczkolwiek może jest w stanie przypomnieć sobie skrawek obrazu, przez który została przesunięta przed chwilą, lub nawet łudzić się wyobraźnią, że bierze czynny udział w malowaniu części obrazu, leżącej pod nią bezpośrednio". (Nowy świat fizyki — str. 121).

Przykład powyższy jest bardzo charakterystyczny i typowy dla „teorii" poznania, jaką Jeans stara się przemycić w swoich tzw. popularyzatorskich książkach. Tutaj filozofujący astronom utożsamia poznanie ludzkie z poznaniem zwierzęcym, sprowadza wrażenia do fizjologicznego aktu, zamazuje różnicę, jaka istnieje między wrażeniami zwierząt a społecznego człowieka. James Jeans wpada w sieci zwykłej muchy.

Engels w uwagach (1881 — 1882) opublikowanych w D i a l e k t y c e p r z y r o d y — na marginesie książki Johna Lubbocka M r ó w k i, p s z c z o ł y i o s y pisał: „Mrówki mają inne niż my oczy, widzą one chemiczne (?) promienie świetlne, myśmy jednak w poznaniu tych niewidocznych dla nas promieni posunęli się znacznie dalej niż mrówki. Już to, iż potrafimy dowieść, że mrówki widzą rzeczy dla nas niewidoczne, i to, że dowód ten opiera się na spostrzeżeniach, które poczyniliśmy wyłącznie naszymi oczami, świadczy, że swoista konstrukcja ludzkiego oka nie stanowi absolutnej granicy ludzkiego poznania.

Do naszego oka dołączają się jeszcze nie tylko pozostałe zmysły, lecz również czynność naszego myślenia..."

Marksizm nie upraszcza zagadnień teoriopoznawczych, ale wykrywa więź dialektyczną między wrażeniem a rozumowaniem, analizuje proces poznania, który częstokroć odbywa się potokami. Jeans natomiast różnicy między muchą a człowiekiem dostrzec nie może, utożsamia prostacko skomplikowany proces poznawania ludzkiego, idący od kontretnego do abstrakcji, wyłuskujący ze skorupy zjawiska jego ją-

dro, treść, istotę — z fizjologicznym bytem.

Po co to uproszczenie Jeansowi? Po to, by móc stwierdzić przepaść między rzeczywistością a nauką, po to, by dojść do wniosku, że ostateczna rzeczywistość wszechświata jest w chwili obecnej, a może na zawsze, nieosiągalna dla umysłu ludzkiego; że zjawiska „ukazują się nam w przededniu", że są to „wieści szyfrowane"; że tak jak twierdził Platon, „siedzimy uwięzieni w naszym lochu, odwróceni plecami do światła, z oczyma wpatrzonymi w cienie, przesuwające się po ścianie".

Ale już w samej zdolności stwierdzenia — jeśli przyjmiemy przykład Platona — że jesteśmy odwróceni plecami do światła, że po ścianie przesuwają się tylko cienie, że to są cienie zjawisk, tkwi nasza zdolność docierania do rzeczywistości. Tu Jeans wpada w gmatwaninę, z której wydostać się nie może, gdy omawia zagadnienie rzeczywistości.

Czy rzeczywistość istnieje poza naszym umysłem? Czy jest aby tylko tworem naszego umysłu? Czy może wszystko, co nas otacza jest tylko... iluzją, fantazją? Marksizm odpowiada jasno, odważnie: „w świecie nic nie istnieje poza materią w ruchu, ruch materii odbywa się tylko w czasie i przestrzeni".

Na próżno pragnąłby czytelnik dowiedzieć się, jakie według Jeansa stanowisko w tej sprawie zajmuje lub powinna zajmować współczesna nauka. Astronom i matematyk, który usiłuje dać filozofię nauki współczesnej — tak, panie Brzeńcza z Państwa Pracy, filozofię nauki współczesnej — wprowadza istne zamieszanie pojęć w tej dziedzinie. Jeśli „Eos" kończy przypuszczeniem, że świat jest tylko złudzeniem, sennym widziadłem człowieka — to w Nowym świecie fizyki Jeans twierdzi: „coś więcej musi istnieć i poza sferą naszych myśli, choćby po to, aby być zaczątkiem takiego lub innego pojęcia w naszych myślach; temu „czemuś" możemy czasowo nadać nazwę „rzeczywistości" i właśnie ta rzeczywistość stanowi przedmiot badań nauki".

Jeans stale i wciąż nieścisłościami, mętnymi określeniami wprowadza chaos pojęć: chaos ten nie wychodzi jednak poza ramy idealizmu. Eklektyzm jego ma z jednej strony granicę w kantyzmie, z drugiej w subiektywnym idealizmie Berkeley'a. „Wszystkie ciała tworzące potężny gmach wszechświata, nie miałyby żadnej rzeczywistości, gdyby nie umysł. Dopóki nie są one dostrzeżone przeze mnie lub nie istnieją w myśli mojej, albo innego stworzonego ducha, to nie istnieją one wcale, lub też jedynie w umyśle jakiegoś Wiecznego Ducha". (Nowy świat fizyki — str. 139).

Czytelnik zechce zauważyć, że jeśli w niektórych wypadkach jak wyżej Jeans wprowadza przepaść między „rzeczą samą w sobie", istotą rzeczy — a zjawiskiem (co charakteryzuje kantyzm), to w przeciwieństwie do tego w szeregu innych wypadków utożsamia nasze wrażenia z „istotą rzeczy".

Już nie z punktu widzenia marksistowskiej filozofii materializmu dialektycznego — dla którego ten cały zmyślony gmach idealistyczny jest tylko wsteczną ideologią — ale z punktu widzenia nawet myśli idealistycznej cała tzw. „filozofia" Jeansa jest zlepkiem dyletancko ujętych sprzecznych ogólników. Toteż nic dziwnego, że w czasie gdy na nasz rynek jeszcze wwozi się tę tandetę „popularyzatorską", w Anglii mnożą się ostatnio ostre krytyki ze strony najbardziej poważnych profesorów burżuazyjnych. Tak np. pismo Sciencia ogłasza ostrą krytykę działalności popularyzatorskiej Jeansa i Ed-

dingtona pióra prof. A. Clifforda. Pisze on między innymi:

„Niełatwo wyrobić sobie jasne pojęcie o tym, co myślą dziś najwybitniejsi uczeni. Uznaje się ogólnie, że nauka XIX wieku była w pewnej mierze błędna. Ale była ona jasna i przejrzysta. Nauka XX w. jest bardziej spekulatywna, za to profanowi wydaje się pełna sprzeczności i absurdów. Jej popularyzatorzy ulubili sobie specjalnie paradoks i nie znoszą odwoływania się do rozsądku. Szczegóły ich opisów wychodzą niewyraźne i zamazane, chyba że zadziwią nas jakimś ścisłym obliczeniem cyfrowym o takiej wielkości, iż zdaje się ona tkwić poza możliwościami objęcia przez rozum ludzki".

Indeterminizm nie przeszkadza Jeansowi być jednocześnie fatalistą. Fatalizm Jeansa — noszący na sobie schopenhauerowskie piętno — objawia się stale, ilekroć stawia on schyłkowe, pesymistyczne perspektywy rozwoju wszechświata. Fatalizm Jeansa uwidocznia się również w jego stosunku do poznania ludzkiego. Tutaj zapomina Sir Jeans o „strąceniu prawa przyczynowości" i staje się bezwzględny, nieodwołalny, nieomylny.

W New Background of Science powiada Jeans:

„Słynne powiedzenie Schopenhauera: „człowiek może czynić co chce, lecz nie może chcieć — czego chce" — zawiera dwa różne stwierdzenia... przypuszczano, że to (część pierwsza: stwierdzenie) jest w sprzeczności z fizyką XIX wieku, ale nie jest ono w sprzeczności z fizyką dnia dzisiejszego. Być może, że będzie to w niezgodzie z fizyką dnia jutrzejszego" (str. 281).

Jak zawsze tak i tutaj Jeans, chcąc pogodzić ze sobą sprzeczne pojęcia — ratuje się sceptycznym stwierdzeniem, że być może przyszłość przyniesie ze sobą zaprzeczenie obecnego dorobku nauki. Ukryty sens jednak tego indeterminizmu przeplatanego fatalizmem tkwi w stwierdzeniu:

„być może, że przyszłość nie jest tak niezmiennie wyznaczona przez przeszłość, jak się nam to zdawało dotychczas, może ona przynajmniej częściowo spoczywać w rękach bogów". (Nowy świat fizyki, str. 30).

Omówiliśmy obszernie reakcyjną filozofię zawartą w „popularyzatorskich" pracach Jeansa. Jej elementami składowymi są: pesymizm, bezwzględny relatywizm, idealizm i indeterminizm. Jest rzeczą fizyków-marksistów wykazać, czy i o ile materiał naukowy zawarty w tych pracach odpowiada postępowi wiedzy.

Eklektyzm Jeansa, jego mgławicowość i sprzeczność wewnętrzna nie jest przypadkowa, jest ona skutkiem socjalnego zamówienia, jakie jego prace „popularyzatorskie" przez pewien okres czasu spełniały: rola jego w Anglii chyli się obecnie ku końcowi.

Dość przeprowadzić w Polsce lotną statystykę w czytelniach, by przekonać się, jak bardzo młodzież i inteligencja, stojąca bez wątpienia na znacznie niższym poziomie aniżeli angielska, rozczytywuje się w tej literaturze. Wówczas gdy takie arcydzieła jak Anty-Dühring i Dialektyka przyrody czekają na wydawcę — pięć książek Jeansa, pod płaszczykiem rzekomej popularyzacji wiedzy współczesnej, zatruwa wsteczną ideologią szerokie rzesze inteligencji i młodzieży.

*(Od muchy do człowieka)*
*(Dwie dusze pana profesora — III)*

I

Tematem osiowym drugiej z kolei powieści chłopskiej Leona Kruczkowskiego pt. P a w i e p i ó r a jest rozparcelowanie gromadzkiej własności, pastwiska, na rzecz kułactwa w zachodniogalicyjskiej wsi w latach 1913 — 1914.

Antynomia klasowego układu sił przedwojennej wsi galicyjskiej jest przeprowadzona konsekwentnie i wytrwale aż do końca. Pauperyzacja wsi, wydzielenie się z „jednolitej" masy chłopskiej kułaków, a na tym tle proces rozpadania się starego ruchu ludowego i powstawanie grupy Witosa — wszystko to oddane zostało z wymową, na jaką zdobyć się może tylko marksista. Na kanwie walki klasowej zobrazowano obyczajową stronę wsi — bez idealizacji, bez szminki — kąpiele pana rządcy, miłość Tereski i miłostki Karelusowej, troski starego Karelusa o „dobrą opinię" swego wychowanka itp.

Rozparcelowanie pastwistka stanowi kulminacyjny punkt akcji: pomysł Płonki sprzedaży gromadzkiej własności wsi, celem stworzenia funduszu na budowę kościoła i plebanii, nie jest przypadkowy i ma ukryty sens polityczny. Ten wysługujący się możnym pisarczyna wiejski, rozumie potrzebę przeciwstawienia kułactwa „wywrótowemu" ruchowi wsi, znalezienia punktu oparcia dla „ładu i porządku" w zamożnych gospodarzach. Klin walki klasowej wrzyna się i rozwala zmurszały pień „jedności włościańskiej".

Jeśli argumentacja Płonki — wzrost wichrzycielskich nastrojów we wsi i potrzeba zatamowania ich przy pomocy bogatej warstwy włościaństwa jest typowa, to jednak wyjaśnienie procesu rozparcelowania pastwiska tylko wewnętrznym rozwojem sił w samej wsi — w oderwaniu od rozwoju kapitalizmu w przedwojennym państwie austriackim — nie ujmuje całokształtu sprawy. A braku tego byłby autor uniknął, gdyby przynajmniej na odległym planie zarysował przeciwieństwa między interesami ludu wiejskiego (i nie tylko wiejskiego) — a interesami burżuazji miejskiej w Galicji i polityką gospodarczą rządu wiedeńskiego, polityką imperializmu austriackiego.

Polityka ta szła w kierunku zahamowania rozwoju przemysłu galicyjskiego. W Galicji (r. 1912) tylko 5 zakładów przemysłowych zatrudniało ponad 300 robotników, a łącznie zatrudniały one 5341 osób, gdy w Austro-Węgrzech w takichże zakładach było wtedy 225000 robotników, czyli 42 razy więcej aniżeli w Galicji. Natomiast dążył rząd wiedeński do rozszerzenia wewnętrznego rynku zbytu w Galicji, dokądby mógł wywozić fabrykaty przemysł austriacki, banki były zainteresowane w rozszerzeniu możliwości lokaty swych kapitałów — w tworzeniu zamożnej warstwy bogaczy wiejskich. I dlatego — obok przyczyny wskazanej w powieści żandarm galicyjski bronił parcelacji pastwiska.

Na ten brak należało zwrócić uwagę dlatego, że — jak wnikliwie i subtelnie zauważył p. Leon Pomirowski w G a z e c i e P o l s k i e j (31.III.35) — „Kruczkowski to pisarz o zdecydowanej postawie społecznej. Należy do radykalnej grupy politycznej, która wyraźnie określa — w szeregu innych — i literackie obowiązki. Właśnie obowiązki."

II

Pana Leona Pomirowskiego razi w P a w i c h p i ó r a c h „niewyszukana tendencyjność", wysuwanie „na

plan pierwszy zagadnienień dydaktycznych", „efektów propagandowych" i to wreszcie, że „autor nazbyt już tendencyjnie wyczernił i uprościł typy wrogów proletariatu, czyniąc z nich stuprocentowych obłudników, wyzyskiwaczy lub beznadziejnych głupców".

Trudno polemizować na gruncie stwierdzeń, czy tendencyjność P a w i c h p i ó r jest niewyszukana, a np. tendencyjność M a t e u s z a B i d g y Kadena-Bandrowskiego lub — dla przykładu — L u d z i s t a m t ą d Marii Dąbrowskiej jest wyszukana. Jedno nie ulega wątpliwości: że w powieści Kruczkowskiego, tak jak zresztą u Kadena i innych, jest tendencja społeczna i to biegunowo przeciwna tendencji tamtych. I ta przeciwstawność tendencji społecznej warunkuje też formy jej wyrażania: jeśli Kruczkowskiego stać na otwartą przyłbicę, na wyrażenie bez obawy swych sympatii i antypatii bez zniekształcenia rzeczywistości, a z „drapieżnym realizmem" — to reakcyjni pisarze muszą maskować, ukrywać swoje tendencje za niby-rewolucyjną krytyką parlamentaryzmu ludowców itd.

Tendencja Kruczkowskiego jest niewyszukana w tym sensie, że jej wyszukiwać nie trzeba, że tchnie ona z każdej karty jego książki, pisanej ze szczerym odczuciem nienawiści klasowej.

Czyżby jednak naprawdę „wrogowie proletariatu" u Kruczkowskiego byli „prostolinijni", „bryłowaci", „uproszczeni"? Bynajmniej. Ludowiec, średniak Augustyn waha się na zebraniu rady gminnej, przeżywa walkę wewnętrzną, w powieści Kruczkowskiego droga Augustyna do obozu wrogów biedoty jest wykazana poprzez szereg wahań, w rozwoju, i dlatego jego zdrada nie zaskakuje czytelnika; pisarz Płonka, świetnie, plastycznie oddany typ, z jego uniżonym lizuństwem, budzi obok nienawiści — wstręt i odrazę. Karelus ma swoje ludzkie słabostki w odniesieniu do swego wychowanka, ba, nawet „wyrzuty sumienia" gdy oddala z pracy parobka, przyczyna oporu Madeja przeciwko żandarmom jest uzasadniona jego uprzednią tułaczką, jego sposób myślenia jest ukazany w rozwoju.

Ale Kruczkowski w tych „ludzkich" cechach swoich figur nie widzi motywów dla karmelkowatego, mazgajowatego pobłażania: nad wszystkim i we wszystkim dominuje w nim stanowisko klasowe.

W osobie księdza Kolasińskiego zdaje się po raz pierwszy w literaturze polskiej został klasowo odmalowany sługa boży. Po przeczytaniu P a w i c h p i ó r, a szczególnie sceny, gdy Jamrózek przychodzi po śmierci matki, zwolennicy wyszukanych tendencji niech przeczytają sobie scenę w końcowej noweli M. Dąbrowskiej L u d z i e s t a m t ą d. Tam również jest ksiądz i nienawiść klasowa...

Umiejscowienie osób, grupowanie i odmalowanie ich cech w P a w i c h p i ó r a c h dokonane jest z rozwagą, umiarem i celowością. Subtelna ironia w odniesieniu do socjalistki, panny Kazimiery, ustępuje miejsca nielitościwej chłoście w stosunku do takiego np. Płonki. Pewna nuta sympatii w stosunku do zubożałego Żyda — karczmarza Mendla, którego Kruczkowski wprowadza celowo, by na tej postaci zdemaskować reakcyjność klasową antysemityzmu — ustępuje miejsca nienawiści w stosunku do przedstawiciela emigranckiego biura, Żyda — i jego wspólnika kułaka-lichwiarza i karczmarza-katolika.

Nic dziwnego, że Mendel razi pisarza kołtunerii endeckiej Adama Grzymałę-

Siedleckiego (Kurier Warszawski 26.III. 35), który zarzuca autorowi, że ze względu na swą ideologię „z czułością odnosi się do Żyda-karczmarza, nie bez pasji znęcając się nad chłopem, który ośmielił się czynić Żydowi „krzywdę" przez założenie sklepiku konkurencyjnego".

Może niesłusznie, zbyt w cieniu postawiona jest postać Jędrka Karcza, który w Pawich piórach odgrywa rolę podobną do kowala Derkacza w Kordianie i chamie. Ale gdy kowal Derkacz, który wszak żył w okresie, gdy ruchu proletariackiego nie było — jest oświetlony w plenerze, postać Karcza nie posłużyła Kruczkowskiemu, niestety, do rozwinięcia szerszej perspektywy. Tylko w końcu powieści, w dialogu o niepodległości wysuwa się Karcz naprzód.

III

Nienawiść klasowa w Pawich piórach oddana jest w obrazach pełnych epickiego spokoju i realistycznego artyzmu. Talent Kruczkowskiego przejawia się zarówno w krótkich soczystych opisach przyrody, jako też w świetnie pomyślanych, pełnych dramatycznego napięcia scenach jak np. rozmowa dwóch inteligentów w wagonie pociągu, podczas gdy obcasy ich butów opierają się o leżącego pod ławką małorolnego chłopa Madeja.

Kruczkowski zerwał ze statycznym, rozwlekłym często, zamkniętym w sobie opisem, pejzażem. W przeciwstawieniu do ckliwo-sentymentalnego folkloru kułackiej literatury chłopskiej — odcyfrowuje Kruczkowski klasowość obyczajowości. Charakterystyczne, że np. jedyny raz, gdy autor ukazuje chłopa w polu — opis pracy Madejki na polu Karelusa — czyni to po to, by wykazać wyrachowanie kułaka, gdy rzekomo z pomocą przychodzi biedocie. Pejzaż — zwarty, mocny — ukazuje autor, gdy jest mu on potrzebny do zaakcentowania pewnych nastrojów jak na przykład wschód słońca w końcowym rozdziale.

W pewnych ustępach powieści, szczególnie gdy chodzi o wstawki w postaci dyskusji politycznych, dopatruje się niektórzy obniżenia poziomu artystycznego książki. Trzeba jednak pamiętać o tym, że jest to „rozpolitykowana" wieś galicyjska, gdzie „polityka" po chałupach chłopskich już przed wojną kwitła tak jak dziś prawie w chałupach całej Polski. Trzeba pamiętać że Kruczkowski nie stylizuje, nie upiększa, nie ozdabia. Wreszcie, co najważniejsze, nie wyręcza się on tym wstawkami dla zastąpienia toku całej akcji. Gdyby bowiem pozbawić powieść tych dialogów politycznych, wymowa całej akcji wcale nie ucierpiałaby na tym, natomiast realny obraz wsi straciłby bardzo wiele.

Dla krytyki, przeżartej formalizmem przyzwyczajonej do połysku wylakierowanych, wymuskanych i wygładzanych powieścideł, abstrahującej od wewnętrznego związku formy z treścią — „uchybienia" artystyczne Kruczkowskiego posłużyły jako okazje do ataku. Marksista, gdy podchodzi do formalnej krytyki utworu, pamiętać musi, że trudności, na które napotkał w swej chłopskiej powieści Kruczkowski, piętrzyły się również i przed Szołochowem w Zoranym ugorze i przed Panfiorowem w powieści Bruski. Ostateczny montaż konstrukcyjny powieści realistycznej często jeszcze potyka się o przerost treści. Zapewne, zarówno Kordian i cham, jak i Pawie pióra swoją tematyką i jawną tendencją społeczną, swoim „drapieżnym" realizmem sprawiły nielada kłopot epigonom formalizmu. Bezsprzeczny talent Kruczkowskiego kłopot ten zwiększa.

Toteż jeśli dla formalistów i ich pomocników dialogi polityczne brzmią jak zgrzyt, dla nas są one rytmiką — wyższą, bo dialektyczną — powieści. Tym niemniej należy zaznaczyć, że niektóre dialogi są zbyt może schematycznie traktowane, za mało uplastycznione.

IV

Pawie pióra to poważny i sumienny wkład w podwaliny proletariackiej literatury w Polsce. Dotychczasową swoją pracą Kruczkowski dobrze zasłużył się prozie proletariackiej, jeżeli już Kordian i cham był czytany i dyskutowany wśród młodzieży wiejskiej, to Pawie pióra tym bardziej dostaną się pod strzechy chłopskie.

Autor Maman do wzięcia, A. Grzymała-Siedlecki, pociesza się tym, że Kruczkowski jest do „wzięcia", że się da oswoić i ugłaskać — pociesza się tym, że z „takich z biegiem lat powstają zdecydowani i krańcowi konserwatyści". Pomirowski w Gazecie Polskiej usiłuje wmówić czytelnikowi i samemu Kruczkowskiemu — że autor Kordiana i chama i Pawich piór stoi w literaturze polskiej na tych samych pozycjach co Kaden-Bandrowski i Jalu Kurek. Tygodnik Ilustrowany zamieszcza „ciepłą" recenzję z Pawich piór. Literaccy przedstawiciele reżymu pojmują doskonale swoje zadanie: hamowanie rozwoju literatury proletariackiej przez przeciąganie najwybitniejszych jej młodych przedstawicieli na stronę reakcji. Bo zdecydowana, bojowa ideologia marksistowska, tchnąca z każdej stronicy Pawich piór — nie pozostawia dla tych panów żadnych wątpliwości co do dzisiejszej społeczno-politycznej postawy autora. Któż nie pojmuje politycznej wymowy scen, przedstawiających „entuzjastyczne" powitanie wojny przez wieś galicyjską, którą nacjonalistyczni prorocy ogłaszali „świętą wojną ludów", a którą lud w powieści Kruczkowskiego wita płaczem bab i ponurym milczeniem chłopów? Któż w epilogu książki, w dyskusji politycznej między dorabiającymi się klasowej świadomości chłopami — strzelcami a „wszechstanowym" nacjonalistą, studentem instruktorem, i w sensie wymarszu kadrówki, nie dojrzy przesłanek umożliwiających autorowi w przyszłości, w zamierzonej powieści współczesnej, klasowe rozszyfrowanie patriotycznego mitu, przesłanek umożliwiających skonfrontowanie rzeczywistości dnia dzisiejszego z tą rzeczywistością, do której w sierpniu 1914 r. tęsknili Jędrek Karcz i młody Jamrózek?

Wszystko to wiedzą i widzą Pomirowscy i Siedleccy. Stąd ich wysiłki w kierunku przełapania Kruczkowskiego, stąd pochlebstwa i sugestię, których jedynym celem: wyrwanie mu jadowitych zębów.

Toteż dla literackiego i ideologicznego rozwoju Kruczkowskiego najbardziej decydująca będzie jego trzecia powieść, poświęcona współczesności.

Okaże się wtedy, czy młody autor zdoła zająć konsekwentne stanowisko marksistowskie, czy prawidłowe wyciągnie wnioski płynące z obu poprzednich powieści.

Jeżeli tak — to zdenerwowanie literackich przedstawicieli reżymu z powodu Pawich piór okaże się w pełni uzasadnione.

*(Pawie pióra)*

Freudyzm stał się dla całej plejady literatów podstawą, na której budują swe koncepcje światopoglądowe. Niektórzy psychoanalitycy, jak np. Siegfried Bernfeld w artykule: Czy freudyzm jest światopoglądem zastrzegają się, że „psychoanaliza jako światopogląd jest zjawiskiem niesympatycznym i szkodliwym, przed którym należy jak najbardziej przestrzec grono wychowawców psychoanalityków“ [1]). Atoli pewne prądy w literaturze, które nazywamy panseksualistycznymi, słusznie czy niesłusznie, z większą lub mniejszą znajomością wiedzy psychanalitycznej znalazły we freudyzmie jak gdyby teoretyczną podściółkę dla teoryj, które Emil Zegadłowicz określa następującymi słowami: „Kto nie widzi we wszelkich sztukach i w tworzeniu wszelkim motoru pierwotnego: płciowego, ten patrzy na życie i przemiany spostrzegawczością skastrowanej małży“ [2]). Nazywamy więc literaturą panseksualistyczną taką, w której element seksualny zostaje w odpowiedni sposób uszeregowany, by okazał się motorem rozwoju, dynamiki, przekształceń, obrazu.

Marksista analizuje zjawisko literackie uwarunkowane zmianami społeczeństwa, które powodują, iż dany utwór w danym okresie cieszy się powodzeniem, że znalazł grunt podatny w masie czytelniczej i stworzył, poprzez niezawodnych diagnostów tych nastrojów — wydawcę i nakład — podświadomy czy świadomy popyt na taki gatunek twórczości.

Tendencja, którą reprezentuje obecnie Emil Zegadłowicz w swych Zmorach Pokoju dziecinnym, a nade wszystko w późniejszym utworze, nie jest ani szczególnie nowa, ani specyficznie wyrosła tylko na gruncie polskim.

Już w niemieckim przedwojennym młodzieżowym *Wandervoglu* zaznaczyło się poważny przerost przeżyć seksualnych, który przybrał katastrofalne rozmiary w okresie powojennym, w okresie bankructwa iluzyj, związanych z imperializmem niemieckim. W tych czasach powojennej inflacji przerost życia seksualnego rozszerzył się w społeczeństwie niemieckim w zawrotnym tempie. Zakorzeniwszy się wśród bezrobotnej, włóczęgowskiej młodzieży która usiłowała nadać rozwiązłości seksualnej polot idealistyczny, przy pomocy ukrycie homoseksualistycznych teoryj Vogla, ów mistycyzm seksualny rozrósł się następnie w licznych sektach modnych wtedy *führerów* w rodzaju Starka lub Hauessera. W piśmie tego drugiego, *Ich*, masowo kolportowanym wśród niezliczonych rzesz zwolenników, firmowanym przez wielu profesorów i nawet lekarzy, można było obok mistycznego bełkotu o nadczłowieku, odnaleźć niezliczoną ilość sformułowań panseksualistycznych. Klientelą społeczną owych „proroków“ był spauperyzowane drobnomieszczaństwo zbuntowane przeciw gorzkiej rzeczywistości, wyładowujące swą rozpacz w mistycyzmie i w przeżyciach seksualnych. W Nadrenii i na Śląsku niemieckim, w Hamburgu i w Prusach Wschodnich można było w owym okresie zauważyć rozplakatowane obwieszczenia o przybyciu do miasta takiego lub innego *führera*, imponującego zdeklasowanym elementom swoją patetycznie obwieszczaną siłą, mocą i rzekomą rewolucyjnością.

---

[1]) Almanach für das Jahr 1929. Internationaler Psychoanalitischer Verlag. Str. 29.

[2]) Emil Zegadłowicz. Pokój dziecinny. Gorzeń Górny. 1936. Str. 29.

Podobny zupełnie nurt, wyrosły na tle deklasowania się pewnych elementów, na tle wyczerpania środowiskowego rozwinął się i we Francji, chociażby wokół poety-indywidualisty francuskiego E. Armanda, wydawcy i redaktora pisma *l'en dehors*. Armand wzniósł sprawę wolnej miłości i swobody wyżywania się seksualnego, jako też hasło zerwania więzi przymusu, łączącej rzekomo jednostkę ze społecznością, niemal do rzędu osi świata. Zgrupował wokół swego pisma szereg elementów włóczęgowskich, łotrzykowskich, słowem „ludzi marginesowych", którzy tworzyli koła przyjaciół *l'en dehors*. Ten oto nurt aspołeczny, antyspołeczny, buntowniczy, lecz nie rewolucyjny, epigonistycznie naturalistyczny objawił się potem w Podróży do kresu nocy Céline'a, utworze, wyrosłym z tego samego klimatu. Ta sama publiczność, która we Francji zachwycała się Céline'm, w Niemczech znalazła inny rodzaj „niesamowitej okropności" w utworach H. G. Ewersa...

Niektórzy, mieszając pojęcia buntownictwa i rewolucyjności, pragnęli doszukać się w utworze Céline'a rewolucyjności. Są to jednak dwa pojęcia różne. Buntownictwo — to protest przeciw rzeczywistości, niezadowolenie z istniejącego świata, otoczenia, nie zawsze idące w parze w dynamiką przebudowy, przewartościowania świata otającego, twórczego stosunku do otoczenia, częstokroć wynikające właśnie z psychicznego i socjalnego zmęczenia. Rewolucyjność — to twórcze i świadome dążenie do przebudowy drogą przełomu znienawidzonej rzeczywistości.

Kraj przeżywa od lat ciężki kryzys nie tylko systemu, ale również ideologiczny. W najszerszych warstwach społeczeństwa narasta protest przeciw rzeczywistości, który szuka dróg swego wyładowania. Znalazł on swój wyraz we wzroście liczebności i działalności organizacyj robotniczych i chłopskich. Protest ideologiczny zrodził potrzebę odbrązowienia pewnych „wstydliwych zakątków historii", potrzebę rewizjonizmu historycznego. Ten twórczy rewizjonizm zapoczątkował nie kto inny jak Leon Kruczkowski w swym Kordianie i chamie. To szukanie wyjścia znalazło wreszcie swój wyraz w całej fali nowych powieści, reportaży, poezyj.

Ów protest przeciw rzeczywistości zrodził się również w najszerszych masach drobnomieszczaństwa i w części mieszczaństwa. Szczególnie ostro zaznaczył się w kołach najbardziej kryzysem dotkniętej inteligencji. Brak wyjścia z kryzysu, pewne zniecierpliwienie, oddziaływanie wtórne sukcesów reakcji w innych krajach, zmęczenie środowiskowe, wzrastające deklasowanie i ubożenie mas inteligenckich, właściwa tej warstwie skłonność do bierności — wpłynęły na wynaturzenie tego niezadowolenia. Szuka ono swego ujścia. I znalazło w odpowiedniej literaturze.

Cechą specyficzną rozpatrywanego procesu w literaturze polskiej jest dwuramienność literatury tego typu, która zyskała ostatnio poklask wśród czytającej publiczności. To, co u Céline'a znalazło swój wyraz w jednym utworze, swoisty romans łotrzykowski i powieść panseksualistyczna, u nas płynie dwoma nurtami: z jednej strony mamy literaturę „ludzi marginesowych", od Uniłowskiego poprzez Piaseckiego do Ukniewskiej i Worcella — z drugiej literaturę panseksualistyczną. I znowu nie chodzi nam o sam fakt poruszenia w literaturze sprawy „ludzi marginesowych", zupełnie zrozumiały, skoro liczba ich mnoży się obecnie. Nas interesuje przede wszystkim postawa autora wo-

bec tych ludzi. Przecież Wanda Wasilewska w swej nowej, a raczej pierwszej dojrzałej powieści Ziemia w jarzmie daje również obraz człowieka marginesowego, jakim jest jej Anna. Ale Anna Wasilewskiej jest ukazana na tle procesu, Anna ma perspektywę wobec życia, gdy mnożąca się obecnie literatura w rodzaju Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy gubi swych bohaterów w ubrązowieniu tego środowiska. To współistnienie dwóch nurtów — dodajmy — świadczy o powtarzalności zjawiska, rozpatrywanego przedtem. Jeśli natomiast we Francji i Niemczech literatura tego typu zjawiła się po kataklizmie, to u nas przepowiada ona jak nieomylny zwiastun nadchodzącą burzę.

Literatura panseksualistyczna daje więc namiastkę rewizjonizmu historycznego i namiastkę radykalności.

Czy Zmory są tylko buntem, protestem — i „oczyszczeniem" z dotychczasowego kompleksu myśli, sposobu reagowania? Czy Zegadłowicz stał się realistą, by w swoich Wadowicach dojrzeć proces, wyodrębnić elementy twórcze od rozkładowych? Czy — na odwrót — sfotografował potworność, napiętnował ją, ale wyjścia z niej nie dojrzał? Bo Zmory, to przecież nie tylko proces dojrzewania płciowego Mikołaja Srebrempisanego. Zgodzić się można, iż epilog: normalne przeżycie płciowe w tym ogniwie akcji — był wyzwoleniem. Ale Zmory, to drobnomieszczańskie miasteczko, to protest przeciw jego zakłamaniu, to wszystkie cienie tego miasta bez świateł. To Wadowice, gdzie jedyni socjaliści są pijakami lub karykaturami społeczników. To miasto, które jest zupełnie wypełnione wódką, chucią lub ponurym pesymizmem. Ten łańcuch zjawisk nie znalazł w Zmorach wyzwolenia.

Czyżby nie było innych Wadowic?

Niezmiernie wymowny jest list jednego z czytelników Zmór, byłego ucznia gimnazjum wadowickiego:

„Na czoło wybija się zagadnienie seksualne, któremu Pan dużo poświęca miejsca. Muszę przyznać, że nie wiedziałem, acz „żyłem w Wadowicach z żywymi", iż zagadnienie seksualne odgrywało taką rolę i przybierało takie kształty, jak to Pan maluje. Nie spotkałem się z owymi zmaganiami, jakie normalnie okres dojrzewania młodzieży narzuca. Czy dlatego, że od lat najmłodszych zajmowałem się intensywnie kwestiami ideowymi? Czy może walka o chleb tak mnie pochłonęła, żem sam okres dojrzewania przeżył bez wstrząsów, żem ich nie dostrzegł u kolegów? Pozostanie to dla mnie zagadką".[3])

*(Obcy nurt)*

[3]) Piszemy listy, str. 96.

*Sygnały nr 51, 15 sierpnia 1938.*

W dziedzinie krytyki plastyki w znacznie większym stopniu jeszcze aniżeli w krytyce literackiej nie została przeprowadzona linia demarkacyjna między „badaczami", których zawód nie jest związany z jakąkolwiek nauką i którzy nie wyszli jeszcze poza granice różdżkarstwa estetetycznego, w przekonaniu, że są obdarzeni jakąś ponadziemską, nadprzyrodzoną mocą, pozwalającą im w drodze intuicji określać, czy dany artysta posiada talent, czy też nie — a krytykami, uznającymi zdobycze współczesnej nauki. Tamci „badacze",

pozostając na poziomie średniowiecznych znachorów, nie zdołali jeszcze łaskawie zauważyć, że związane ze sztuką dziedziny, jak socjologia sztuki, estetyka psychologia itd. poczyniły wielkie postępy. Nie zechcieli łaskawie zwrócić uwagi, że różdżkarstwo w odszukiwaniu talentów należy już do zamierzchłych czasów. Natomiast łaskawie obdarzają nas swoimi subiektywnymi, lirycznymi utworami, będącymi raczej odzwierciedleniem nie tyle wartości dzieł sztuki, ile przypadkowych zjawisk, oddziałujących na psychikę w chwili patrzenia na dzieło sztuki.

Historia zna liczne przykłady lirycznych ekspresji na tle utworów plastycznych. Znamy szereg inwokacji, sonetów, liryk na tle znakomitych dzieł malarskich lub rzeźb. Ale utwory takie należą do poezji, piękne metafory poetyckie, rytm i rym uprzyjemniają nam ich lekturę. Należy żałować, że część krytyków, święcie wierzących w swe posłannictwo i posługujących się tylko swą intuicją, zechciała opuścić dziedziniec poezji, gdzie znalazłaby świetne pole dla popisu w liryce refleksyjnej.

Odjazd krytyków plastycznych — związanych zresztą z modną gdzieniegdzie filozofią, negującą znaczenie nauki i przyjmującą tylko irracjonalistyczne przesłanki — do świata poezji, zwolniłby nas, dyletantów, od obowiązku szukania w licznych „recenzjach" obiektywnej prawdy.

Dla czytelnika jest równie ważną rzeczą znajomość tego, co krytyk pisze, jak również i tego, jaki jest jego punkt wyjścia, metoda pracy. Dopiero po zbadaniu metody pracy rozlicznych recenzentów można zorientować się w przyczynach różnicy zdań i to przyczynach, wykraczających poza klikowe zmowy, grzecznościowe recenzje, chwilowe nastroje lub też potrzebę przenoszenia do prozy metafor poetyckich pana recenzenta.

Jeśli krytyk posługuje się metodą socjologiczną, wówczas czytelnik wie, iż krytyk ten nie tylko bagatelizuje, ale odrzuca pozasocjologiczne wyjaśnianie spraw tematyki i rozwoju formy, że sprowadza pozornie irracjonalistyczne pierwiastki do przesłanek dających się świetnie w sposób racjonalny wyjaśnić. Rzecz jasna, krytyk po dłuższym obcowaniu z dziełami sztuki nabiera kultury, znawstwa, wyczucia i zdolności głębszego odczuwania. Nie jest to żadna magiczna, nadprzyrodzona, mistyczna siła, skoro — niech pięknoduchy nie mają tego za złe — analogiczne estetyczne przeżycia ma stary szewc, spoglądający na pięknie wykończony bucik.

Tak samo jeśli krytyk sztuki posiada inny, nie socjologiczny punkt patrzenia na rzeczy, ale wypływający z naukowej hipotezy lub teorii, dyskusja z nim może wkroczyć na udeptaną ziemię pewnych obiektywnych pojęć, terminów i wyobrażeń. Ale z subiektywistyczną, irracjonalną krytyką nie można dyskutować. Co najwyżej należy ją z kolei przesłać do recenzji z punktu widzenia jej własnych wartości formalnych.

W związku z określeniem metody pracy krytyka, dla zrozumienia jego ujmowania dzieła sztuki rzeczą najbardziej istotną jest pewna dyscyplina semantyczna, to znaczy brak dowolności w używaniu terminów. Dowolność taka istnieje u nas nie tylko w dziedzinie krytyki plastyki, ale i w każdej innej dziedzinie piśmiennictwa.

Większość dyskusji na łamach periodyków przekształciła się ostatnio w wielki bal maskowy, podczas którego dyskutanci dowolnie zmieniają maski i terminy. Nie ma ani jednego terminu, co do którego w toku dyskusji nie

okazałoby się, że użyto go według własnego widzimisię.

Zdawałoby się więc na przykład, że termin „marksizm" został już dostatecznie ustalony. Zdawałoby się, że twórczość Stanisława Brzozowskiego daleko odbiega od tego, co nazywamy marksizmem. Lecz zjawia się rewelator, nazywający Brzozowskiego marksistą, który wytrwał w socjalizmie do końca. Gdy na tego rodzaju rewelacje z balu maskowego zwraca się uwagę, że jednak ani filozoficznych, ani społecznych, ani krytyczno-literackich dzieł Brzozowskiego nie można określić mianem marksizmu, rewelator oburzony woła: „marksizm to nie materializm dialektyczny, a poza tym Brzozowski uwielbiał Marksa".

Rzecz jasna, jeśli słoniem nazwiemy kręgowca o dużych rozmiarach, lubiącego zajadać orzeszki — niżej podpisany nie podejmuje się w żadnym wypadku udowodnić, że sam nie jest słoniem. Jeśli marksizm pozbawić filozofii — a tym samym jego teoretyczno-poznawczych koncepcji i jego poglądu na sztukę — jeśli odjąć marksizmowi klasową teorię, jeśli wreszcie narodowy socjalizm nazwać socjalizmem (skoro sam się tak nazywa), to Brzozowski był marksistą i socjalistą, tak jak niżej podpisany jest słoniem. Ale walka klasowa, konsekwentnie wdzierająca się w każdą dziedzinę życia społecznego i sztuki, to są kły marksizmu, a dialektyka i materializm, to jego trąba, przy której pomocy leje zimną wodę na mętne łby. Co prawda toczono zaciekłe walki w wiedeńskim ruchu socjalistycznym, spierając się o to, czy neokantyzm Maksa Adlera da się pogodzić z teorią walki klasowej i czy można go nazwać marksizmem, ale jeśli nawet zająć najbardziej „liberalne" stanowisko, Brzozowski nie był neokantystą, lecz solipsystą; Brzozowski raz po raz odżegnywał się od teorii walki klas; Brzozowski odrzucił marksizm nie w jakichś „niedociągnięciach", „metodycznych brakach", lecz w podstawowych, zasadniczych sprawach; w czyim więc interesie leży ten improwizowany bal maskowy, z przebieraniem się w kostiumy? Śmiem twierdzić, że ani w interesie marksistów, ani zdawałoby się w interesie niemarksistów.

*(Trawka Bronisława Linke)*

*Sygnały nr 62, 1 lutego 1939.*

Rewizjonizm w ruchu socjalistycznym nie jest zjawiskiem powstałym dopiero w okresie faszyzmu. Odwrót myśli mieszczańskiej od materializmu, który nastąpił pod koniec — a nie w pierwszej połowie — zeszłego stulecia, znalazł oddźwięk i w ruchu socjalistycznym, i w próbach rewizji światopoglądowych podstaw socjalizmu, które każdy może sobie, rzecz jasna, dowolnie dorabiać, nie fałszując jednak przy tym faktu, że naukowy socjalizm, tj. marksizm łączy się z określoną teorią filozoficzną, a mianowicie z materializmem dialektycznym. Wykazał to Lafargue w dyskusji z Jauresem, i Plechanow w dyskusji z narodowolcami. Nie należy podawać w wątpliwość szczerości lub uczciwości tych, dla których socjalizm jest sprawą taktyki oderwanej od koncepcji teoretycznych; nie powinni jednak przy tym twierdzić, że jest to opinia socjalizmu naukowego, skoro tak nie jest. Nieraz zdarzały się okresy, gdy marksizm przestawał być modny w kołach snobizujących inteligentów, gdy pod naporem czarnosecinnej tłuszczy wypierano się tchórzliwie

łączności z Karolem Marksem albo Engelsem. Ale czyż godzi się dla własnej wygody i usprawiedliwienia swej rejterady mieszać materializm mieszczański z materializmem dialektycznym?

W czasach reakcji dbać musimy nade wszystko o wytrwałość ideologiczną; nie ulega wątpliwości, że czasy faszyzmu zbliżyły do nas szereg potężnych prądów ideologicznych, nie oznacza to jednak, by istota owych prądów albo też istota socjalizmu uległa zmianie.

Zdaje się, że jeśli chodzi o dyskusje ideologiczne, utarł się przesąd, jakoby ideologia stanowiła tylko nadrzędną, wtórną nadbudowę, wypływającą w prosty i mechaniczny sposób z podstawy ekonomicznej. Ideologia — w myśl twierdzenia wulgaryzatorów — jest tylko wypływem pewnego układu sił gospodarczych i ma zmieniać się automatycznie wraz ze zmianą tego układu. Przesąd ten jest nagminny, jak szereg innych przesądów w stosunku do socjalizmu.

Socjalizm naukowy nie tylko odrzuca podobne uproszczenia, ale przyjmując z systemu Hegla teorię *Wechselwirkung*, uznaje współzależność czynników, odwrotne oddziaływanie skutku na przyczynę. Toteż przyjmując czynnik rozwoju sił wytwórczych jako ogniwo główne, socjalizm wielokrotnie w pracach swych twórców podkreślał, że ideologia wpływa drogą wtórnego oddziaływania na bieg wypadków w każdej dziedzinie życia społecznego, stanowiąc bądź to ważki hamulec, bądź też katalizator, czynnik przyśpieszający przemiany. Przemiany bowiem są nie tyle skutkiem mechanicznego rozwoju obiektywnych warunków, ile wypadkową współdziałania realnego układu sił i czynnika subiektywnego, uwarunkowawanego ideologicznymi przesłankami.

Stąd, z tych prawd, które zna każdy, kto poza kilku lichymi broszurami propagandowymi zechciał przeczytać dzieła klasyków socjalistycznych, płynie troska, przekazana młodszemu pokoleniu, o zachowanie starych sztandarów ideologicznych. Stąd czujne oko w stosunku do wszelkiego rewizjonizmu, stąd nieustępliwa obrona zasadniczych, podstawowych założeń. Ideologia nie jest bowiem wieżą z kości słoniowej, wznoszącą się ponad rzeczywistością, ale krwią i kośćmi sprzęgnięta jest z codzienną rzeczywistością społeczną.

*(Stare sztandary i nowe czasy)*

*Nowe Widnokręgi nr 3, 1 lutego 1944.*

Po wygnaniu Niemców ze Smoleńska odnaleziono obok grobów dziesiątków tysięcy zamordowanych przez zbirów hitlerowskich Rosjan — groby 11 tysięcy polskich oficerów i żołnierzy. Odkopano je po to, aby tym, którzy mieli jeszcze cień wątpliwości, powiedziały zza grobu prawdę o zbrodni na Koziej Górze.

Zarówno stan trupów, wskazujący dokładnie czas dokonania mordu; zarówno sposób wykonania zbrodni; zarówno dokumenty i listy, znalezione przy trupach, jako też zeznania dziesiątków świadków spośród ludności wsi okolicznych, jako też zeznania Polaków, b. jeńców tych obozów, którzy pozostali przy życiu, a wreszcie opinie rzeczoznawców i członków komisji radzieckiej — usuwają resztki wątpliwości z tragedii katyńskiej.

Przypomnijmy tylko pokrótce jej tło i jej przebieg.

Wrzesień — październik 1939. Czer-

wona Armia wkracza na ziemie Zachodniej Ukrainy i Białorusi, zwracając Ukraińcom i Białorusinom ziemie, do których — w usprawiedliwionym swym przekonaniu — mają oni całkowite prawo. Czerwona Armia zajmuje ziemie, które oddalają punkt wyjściowy przyszłej nieuniknionej wojny od najważniejszych centrów rosyjskich. Na tych ziemiach zostaje część armii polskiej, cofającej się pod naporem wojsk hitlerowskich. Ta część armii zostaje internowana w obozach jeńców. Podobnie neutralna Szwajcaria internowała wojska francuskie i polskie w tej wojnie, tak samo Szwedzi internowali lotników niemieckich czy angielskich.

22 czerwca 1941 roku wybuch wojny między Trzecią Rzeszą i ZSRR zastał tysiące polskich żołnierzy i oficerów w obozach jeńców, między innymi w obozach jeńców pod Smoleńskiem.

Lipiec 1941 roku — Czerwona Armia cofa się przed nacierającą armią hitlerowską, której udaje się dotrzeć do bramy smoleńskiej, Naczelnik obozu jeńców daremnie zabiega o wagony dla odesłania w głąb kraju jeńców-Polaków, zwraca się między innymi 12 lipca 1941 r. do naczelnika stacji Gniezdowo, Iwanowa, z prośbą o dostarczenie mu wagonów. Ale tory kolejowe zawalone są pociągami z wywożonymi maszynami, fachowcami-robotnikami. Wywieść jeńców nie było możności. Czemu jednak jeńcy-Polacy nie odeszli wraz z cofającą się Czerwoną Armią? — Nie wiemy. Może — jak wielu innych — przypuszczali, że Rosja już jest pokonana, i po cóż uciekać? Może mieli nadzieję, że pod Niemcem prędzej przedostaną się do swoich rodzin, do Polski. Może działała tu nawarstwiona niechęć do tych, co ich internowali. Faktem jest, że pozostali...

Przypomnijmy, że w lipcu 1941 r. zostały nawiązane stosunki między rządem radzieckim a rządem gen. Sikorskiego.

Do września 1941 widziano jeszcze partie wojskowych Polaków, pracujących na drogach między Mińskiem i Witebskiem. Na jesieni 1941 r. tworzy się w Związku Radzieckim Armia Polska i na jesieni 1941 r. odbywają się masowe mordy hitlerowskie na Koziej Górze. Zestawienie tych dwóch faktów daje nam klucz do zrozumienia, dlaczego właśnie wtedy zaczęto rozstrzeliwać jeńców-Polaków. Dlatego, że wtedy formowała się Armia Polska, co mogło stać się magnesem przyciągającym dla tej masy żołnierzy; dlatego, że hitlerowcy obawiali się, że jeńcy zaczną uciekać i stworzą mocne kadry tej armii. Jeśli do tego dodamy hitlerowski system masowego tępienia inteligencji polskiej, nienawiść hitlerowców do narodu polskiego, atmosferę Oświęcima, Majdanka i Treblinki — zrozumiemy tło mordu na Koziej Górze.

Ale najistotniejsze było jedno: strach Niemców przed powstającą w ZSRR armią polską, w której znalazły się tysiączne masy oficerów, podoficerów i żołnierzy polskich, bynajmniej nie rozstrzelanych przez władze radzieckie. Tak samo jak władze radzieckie stworzyły warunki pracy naukowej dla takich przedstawicieli inteligencji polskiej jak Kazimierz Bartel, Boy-Żeleński, których hitlerowcy zamordowali.

Dopiero w kwietniu 1943 r., posługując się rzekomym zeznaniem starca — chłopa Kisielowa, rzuca Goebbels na szalę propagandy międzynarodowej krwawą kartę katyńską.

Czemu właśnie w kwietniu 1943 roku? Czemu właśnie wtedy wyciąga z grobów trupy pomordowanych przez jego zbirów oficerów i żołnierzy polskich?

Po to, aby zrozumieć, czym stała się tragiczna karta katyńska — i to właśnie wtedy — w ręku doktora Goebbelsa, musimy wrócić wstecz do metod jego gry.

W 1937 roku w czerwcu przybywa dr Goebbels do Warszawy, aby w sali Towarzystwa Higienicznego, pod auspicjami prof. Tadeusza Zielińskiego — tego niesamowitego zespolenia w jednej osobie wielkiego uczonego i lokajskiej duszy, która w młodości płaszczyła się przed reakcją caratu, by na starość lizać buty hitlerowskiej reakcji — pod auspicjami Ferdynanda Goetla i Leona Kozłowskiego wygłosić odczyt o kulturze hitlerowskiej. Kilka lat trwała ta kulturalna działalność hitlerowska na terenie Polski.

W roku 1940 ukazuje się wydana przez niemieckie biuro propagandy — *Deutsche Informationsstelle* — 450 stron dużego formatu licząca książka o rzekomych okrucieństwach wobec Niemców w Polsce: *Dokumente polnischer Grausamkeit*. Książka zawiera kilkaset fotografii trupów, szkieletów, trupich czaszek zamordowanych dzieci, niemowląt, protokołów oględzin lekarskich, zeznań świadków — „niezbicie" udowadniających, że to Polacy mordowali dzieci i matki niemieckie, zatruwali gazami żołnierzy hitlerowskich, po czym obcinali im organy płciowe itd. Zacytujemy jeden ustęp z tej książki: na str. 411 czytamy, że propaganda angielska i francuska zdołała w narodzie polskim rozbudzić zwierzęce instynkty. Słuchajcie!

„Heca ta trafiła na grunt charakteru narodowego, który i bez tego miał skłonności do najdzikszych instynktów i nieopanowanych namiętności. Wojska polskie ponoszą winę najokropniejszych zbrodni wojennych przeciwko niemieckim siłom wojskowym. Przy tym wykroczyły one nie tylko przeciwko najelementarniejszym prawom ogólnym ludzkości, ale i zlekceważyły prawa wojny, których lekceważyć nie może żaden naród, stojący w szeregu narodów kulturalnych".

W zakończeniu książki stwierdza się, że Polacy w bestialski sposób zamordowali przeszło 58.000 Niemców. A zatem Goebbels znowu w todze obrońcy kultury!

Mija kilka lat mordowania bezbronnej ludności polskiej, rozstrzeliwania tysięcy Polaków, bestialskiego znęcania się w obozach. Aż nagle w kwietniu 1943 roku zjawia się dokument niemiecki o rzekomym okrucieństwie rosyjskim w stosunku do Polaków w Katyniu. Goebbels niewiele się trudzi. Identycznie tych samych argumentów, których używał w 1940 roku przeciwko Polakom, używa teraz przeciwko Rosjanom. Zmienia tylko karty. Polacy występują tym razem jako naiwne, kulturalne dzieci. Rola Anglików i Amerykanów jest identyczna jak w wariancie polskim. A teraz o Rosjanach powtarza się:

„Tylko naród, który i bez tego ma w swoim charakterze skłonności do najdzikszych instynktów i nieopanowanych namiętności, naród, który pozostaje poza rodziną kulturalnych narodów — mógł pozwolić sobie na podobne czyny" (Radio berlińskie — 17 kwietnia 1943).

I znowu następują dowody, niezbite i bezsporne, rzecz jasna, że wszelkie okrucieństwa są dziełem rąk Rosjan. I doktór Goebbels jest znowu obrońcą kultury!

Cóż jednak skłoniło propagandę hitlerowską właśnie w kwietniu 1943 roku do rzucenia krwawej karty katyńskiej na szalę wypadków międzynarodowych? Czemu doktór Goebbels właśnie w tym momencie tak szulersko zamienił kar-

ty? Rzecz jasna — nie chodziło o Katyń. Chodziło o to, że w Berlinie zrozumiano, iż wojna z Sowietami jest przegrana. Jedyną szansą uratowania się przed niechybną katastrofą byłaby już nie gra strategiczna, nie żadna wojna błyskawiczna, tylko na wielką skalę zakrojona prowokacja polityczna, która mogłaby skłócić sojuszników. Nie błyskawiczna wojna — ale błyskawicznie skonstruowana prowokacja. Chodziło o to, aby — jak wnet zobaczymy — dopomóc reakcji polskiej, prowadzącej nagonkę przeciwko paktowi polsko-radzieckiemu, do storpedowania tego paktu. Aby krew, która spłynęła z ręki jednego i tego samego zbira na ziemi smoleńskiej, krew polską i rosyjską skłócić ze sobą.

Nie udało się Goebbelsowi prowokacją katyńską odnieść sukcesu na wielką skalę. Opinia publiczna w Anglii i Stanach Zjednoczonych przeszła nad zmyśleniami hitlerowskimi do porządku dziennego. Zamiast sporu między sojusznikami nastąpiły konferencje moskiewska i teherańska.

Zbliża się katastrofa hitleryzmu. Żaden cud strategiczny nie zdoła uratować armii niemieckiej, bitej na Ukrainie, na Białorusi, pod Leningradem, we Włoszech i Jugosławii. Przewaga wojenna jest zdecydowanie po stronie sojuszników. Berlin leży w gruzach. Na cóż jeszcze mogą liczyć przywódcy hitlerowscy? Pozostała im jedyna droga ratunku, ostatnia nadzieja. Skłócenie sojuszników wokół sprawy polskiej.

I doktór Goebbels rzuca znowu kartę polską. W *Das Reich* z 27 stycznia 1944 r. ukazuje się artykuł tego szulera międzynarodowego, w którym staje on w obronie wschodnich granic Polski, przypomina Anglikom i Amerykanom ich obowiązek obrony Polski.

Goebbels pisze:

„Gdyby historia mogła wrócić wstecz do wrześniowych dni 1939 r., Polacy, wzbogaceni dzisiejszym doświadczeniem, na pewno by w uroczystej procesji przynieśli nam na złotym talerzu klucz Gdańska".

Po czym herszt zbirów pragnie sentymentalnym bełkotem usprawiedliwić morze krwi, okrucieństw i bestialstw, popełnionych przez jego bandy.

„Stara Europa była nieuleczalnie chora. Powinna była przejść szkołę cierpień tej wojny po to, aby znowu siebie odnaleźć. To kosztowało wiele dóbr materialnych i wiele krwi. Ale któż liczy ofiary, gdy mowa o tak wzniosłych celach?"

I czując już stryczek, który wnet zawiśnie na jego szyi — doktór Goebbels znowu broni kultury, liczy na kartę „polską", która ma jego bandę uratować.

Stoimy zaprawdę wobec godziny wielkiej próby dziejowej. Karta „polska" nie zdoła zdobyć dla Goebbelsa sympatii narodu polskiego, jak nie zdoła bynajmniej osłabić sojuszu koalicji wielkich mocarstw, jak nie zdoła zapobiec katastrofie hitlerowskiej machiny militarnej.

Ale katyńska karta zdołała doprowadzić do zaognienia stosunków polsko-radzieckich. Krew, przelana przez zbirów hitlerowskich, posłużyła im jako atut do skłócenia polsko-radzieckiego. Gdyż między terminem, wybranym przez Goebbelsa dla prowokacji katyńskiej, a całą akcją klik reakcyjnych w Londynie istniała naprawdę co najmniej dziwna zbieżność, która odtąd przejawia się stale.

Komunikat niemieckiego biura informacyjnego z dnia 11 kwietnia 1943 r. dziwnie zbiegł się w czasie z ostrą kampanią grupy Sosnkowskiego — Bieleckiego — Doboszyńskiego przeciwko

rządowi gen. Sikorskiego za jego politykę paktu z Sowietami. Zbiegł się w czasie z kradzieżą dokumentów dyplomatycznych, dotyczących tego paktu, dokonaną przez Doboszyńskiego. Zbiegł się w czasie z „przewrotem", przygotowywanym w Londynie przeciwko rządowi gen. Sikorskiego. I co najmniej dziwne jest, że w swoich enuncjacjach katyńskich doktór Goebbels był tak dokładnie poinformowany o wewnętrznych sprawach naszej emigracji londyńskiej.

Ku wielkiej radości Goebbelsa i Sosnkowskiego krwawa prowokacja katyńska spowodowała zerwanie stosunków polsko-radzieckich. Był to bodaj jedyny tryumf Goebbelsa w 1943 roku. I do tego bardzo krótkotrwały — bo wnet zaczęły się na terenie ZSRR formować polskie jednostki zbrojne, a w kraju, wbrew nawoływaniu tzw. rządu londyńskiego, rozgorzała walka partyzancka.

Zbliżają się armie radzieckie, zbliża się I Korpus Polskich Sił Zbrojnych do kraju. Nadaje goebbelsowska rozgłośnia wiadomość o rzekomej ucieczce ludności polskiej przed Czerwoną Armią — w ślad za nią, kubek w kubek taki sam komunikat nadaje PAT. A. Nowakowski w Wiadomościach Polskich spieszy rozgłosić wiadomość o nowych bestialstwach Rosjan, ba — o rzekomym rozstrzelaniu przez nich aż 70.000 Polaków na Wołyniu.

Ta zbieżność, ciągnąca się od prowokacji katyńskiej, nie jest, rzecz jasna, przypadkowa.

*(Tragiczna karta katyńska)*

*Nowe Widnokręgi nr 7, 1 kwietnia 1944.*

*„Takie były zabawy, spory*
*w one lata*
*Śród cichej wsi litewskiej,*
*kiedy reszta świata*
*We łzach i krwi tonęła..."*

Tymi słowy określił Adam Mickiewicz swą postawę wobec tej przeszłości, którą odmalował w Panu Tadeuszu. A jeśli w swej epopei zawarł rzeczywisty obraz życia, które odeszło — zdawał sobie sprawę, że ono nie powróci i powrócić nie powinno, że to świat bezpowrotnie ginący. I nad całym obrazem góruje — jak refren pozgonny — tak często powtarzane słowo: ostatni.

Ta Polska, która tak boleśnie odeszła we wrześniu 1939 r., swej epopei literackiej nie zrodziła. Może zrodzi. Ale ta niedawna przeszłość powraca w każdym z nas jakimś odłamkiem czy ułamkiem przeżyć i wspomnień. Nie wiadomo skąd, ni stąd ni zowąd wyłania się z „głuchej prowincji serca" obraz Warszawy czy Wisły, wsi rodzinnej, czy mieszkania w miejskiej kamienicy. Pewien stary kolejarz, kiedy przechodziłem z nim jedną z krętych uliczek Tyflisu, zawołał: „Panie, toć to tak jak Daniłłowiczowska, kiedy na nią patrzeć przez okienko więzienne". I w pamięci jego ułamek Polski powrócił wspomnieniem tej Daniłłowiczowskiej, widzianej przez kratę więzienną.

Były radca poselstwa polskiego w Paryżu, poeta Jan Lechoń, tęskni w Nowym Jorku za Polską. W długim artykule pt. Knajpa i kawiarnia ten długoletni współpracownik beckowskiego aparatu MSZ, który, jak przyznaje, większość życia spędził w kawiarni, pisze:

„Nikt z Polaków, który wielbi Pana Tadeusza — a ilość ich oczywiście

wzrasta w miarę rosnącej tęsknoty do kraju — nie potrzebuje dowodów na to, że kuchnia narodowa jest tak ważną częścią narodowej tradycji, ma taki dar budzenia wspomnień, iż śmiało uchodzić może, choć nikt tego nie śmie powiedzieć, za element patriotyzmu. Zapach Polski, to nie tylko zapach łąk i lasów, zapach bzu na wiosnę w Ogrodzie Botanicznym, kasztanów w czerwcu pod Wawelem i zeschłych liści jesienią w Łazienkach — ale tak samo ów błogi zapach, jaki unosi się spod pokrywy w barze, kryjącej ów mickiewiczowski przysmak federacyjny, polsko-litewski bigos albo mocną woń papryki, która biła nam nie do nosa, ale po prostu do serca, ilekroć czytaliśmy ów klasyczny, arcypolski napis: „we czwartek flaki".

Można, rzecz jasna, uważać, że ten „romantyzm" kuchennych zapachów arcysarmaty Jana Lechonia i to w chwili głodu i terroru w Polsce jest co najmniej niesmaczny; ale jest to już kwestia smaku, którego ludziom jego obozu nawet w sprawach kultury zawsze brakło.

Gorzej, że i politycy z obozu p. Lechonia rozpoczęli obecnie w Londynie maskaradę, strojąc się w szaty romantyzmu.

Pan Raczkiewicz i p. Nowakowski, Cat-Mackiewicz i rozgłośnia Świt powołują się wciąż na romantyzm, idealizm, realizm, zaklinają się, że wszystko co czynią, poczęte jest z ducha romantyzmu polskiego. Rozgłośnia Świt w swej audycji z dnia 17-go marca zapewnia dookoła Wojtek, że jest romantyczna. Rozromantyzował się polski Londyn.

Romantyzm polski — to wielkie słowo, to karta dziejów narodu, i to jedna z jego kart najchlubniejszych. Ten wielki zastrzyk uczuciowy do żył narodu w najcięższym jego okresie wykrzesał postawę bohaterską nie tylko z jednostek, ale z pokoleń, walkę Polaków o wolność związał z walką z wszelką reakcją, z walką o wolność ludów; do zaściankowego, stęchłego, prowincjonalnego światka megalomanii nacjonalistycznej romantyzm polski wniósł umiłowanie i zrozumienie nowych prądów w Europie, związał postęp polski z dekabrystami i Puszkinem, w osobie Mickiewicza ucieleśnił byronowską walkę o wolność narodów.

Ale romantyzm nie był bynajmniej ruchem jednolitym. Ani w Polsce, ani w Rosji, ani w Niemczech, ani we Francji i Anglii. Istniał w romantyzmie nurt bezwładu wobec rzeczywistości — a więc kapitulacji wobec wstecznictwa, romantyzm drapujący się w togę cierpiętnictwa, rzekomego bólu, klęski, niemocy woli, maski rzekomo chrześcijańskiej rezygnacji. To pogardzanie rzeczywistością dla mistycznych nastrojów, ta atmosfera jałowych tęsknic i marzeń, mesjanistycznych złud stworzyła podatny grunt dla działalności oszustki Wińczówny-Makryny Mieczysławskiej, i co najmniej podejrzanego agenta carskiego panslawizmu, Andrzeja Towiańskiego. Temu wstecznemu nurtowi w romantyzmie polskim przeciwstawiał się romantyzm czynnej postawy wobec życia, romantyzm walki i zmagań w imię zmiany rzeczywistości, a więc nurt z natury swojej związany z realizmem, nurt, który dał kulturze polskiej Beniowskiego i Pana Tadeusza, Dziady i Lillę Wenedę. W tragicznych zmaganiach wewnętrznych Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego odkrywamy walkę tych dwu nurtów. Czyż jednak może być bardziej wspaniały obraz zwycięstwa romantyzmu czynu i walki, jak zerwanie Słowackiego z Towiańskim, jak jego odpowiedź Krasińskiemu, jak wal-

ka Mickiewicza z „Mistrzem" w roku 1848 i rozpaczliwe próby Towiańskiego, by powstrzymać „brata" Adama od udziału w rewolucji włoskiej?

Romantyzm — od Beniowskiego aż do Baryki Stefana Żeromskiego — to karta dziejów Polski. A gdy dzisiaj w Londynie krzyczą: romantyzm czy realizm, należy przypomnieć słynny epigramat Słowackiego:

Szli krzycząc: „Polska! Polska!" — wtem jednego razu
Chcąc krzyczeć zapomnieli na ustach wyrazu;
Pewni jednak, że Pan Bóg do synów się przyzna,
Szli dalej krzycząc: „Boże! Ojczyzna! Ojczyzna."
Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka,
Spojrzał na te krzyczące i zapytał: „Jaka?"

Gdy dzisiaj na londyńskim jarmarku frazesów, urojeń i masek raz po raz padają słowa: jesteśmy romantykami, jesteśmy realistami; kiedy Zygmunt Nowakowski chwali naród za romantyzm, zaś Cat-Mackiewicz twierdzi, iż „jesteśmy zanadto romantyczni, a za mało realni, chwalenie naszej romantyczności, to niczym chwalenie pijaka, że sobie wódki nie żałuje", wolno chyba zapytać: o co właściwie w tym potoku słów chodzi, co kryje się poza tymi maskami przytroczonymi do frazesów? O JAKI romantyzm i o JAKI realizm chodzi?

Oto p. Raczkiewicz, b. wojewoda wileński i b. wojewoda pomorski, b. marszałek Senatu ozonowego, który wobec własnego narodu znał tylko kryterium siły, i może w imię „idealizmu" tolerował pod swoim wojewódzkim okiem panoszenie się band hitlerowskich, wygłasza dnia 3 stycznia 1944 r., już w roli prezydenta, przemówienie o „wolności dla siebie i innych narodów", w którym powiada:

„W ciągu długich wieków łączyła Polska pierwiastki idealizmu i romantyzmu z pierwiastkami ładu i postępu. Posądzano nas jednak często o brak realizmu politycznego. Stwierdzam to nie dla wywołania próżnej dumy lub potępienia idealizmu naszego. Wystrzegając się megalomanii narodowej, dążymy do połączenia idealizmu z realizmem, którego nie rozumiem jako oportunizm lub słabość. — Realizm nasz żąda tego, co nam się ze sprawiedliwości, prawa i poniesionych w tej wojnie dla dobra ludzkości ofiar słusznie należy".

I wnet potem powołuje się na Mickiewicza, cytując jego słowa, że „narody wtenczas tylko wzrastają i o tyle mają prawo do życia, o ile wysługują się całemu rodzajowi ludzkiemu popieraniem lub bronieniem jakiejś wielkiej myśli lub wielkiego uczucia". Występuje zatem p. Raczkiewicz w roli herolda Polski, męczennicy w imię dobra ludzkości. Ta sama poza mesjanistycznego męczennictwa i plugawe pomniejszanie roli innych narodów przebija w audycji Świtu z dnia 17.III.44 r., w której ośmielono się powiedzieć:

„Inne narody zdały się na łaskę Hitlera, korzystając z ochłapów imperializmu niemieckiego. Mówiło się, że naród polski jest romantyczny, bo całym swoim protestem przeciwstawił się imperializmowi niemieckiemu".

Tych kilka próbek z londyńskiego jarmarku frazesów chyba wystarczy, aby dotrzeć do źródła ostatniej maskarady „romantycznej".

Ani Mickiewicz, ani Słowacki — nawet w okresie zaczadzenia mistycyzmem — nie pozwalali sobie na megalomańskie pomniejszanie roli innych narodów. O jakich to innych narodach

ośmielają się twierdzić wczorajsi głosiciele chwały Becka tak oczywistą bzdurę, że zdały się na łaskę Hitlera? A może zdała się na łaskę Hitlera Francja Tulonu i franctireurów, może czechosłowackie Lidice, może Grecja, bohaterski kraj walk partyzanckich, może mała Dania czy choćby Albania? Nie, żaden naród europejski nie zdał się na łaskę Hitlera, i to w niczym nie pomniejsza bohaterskiej walki narodu polskiego. Jeśli zaś „świtowcy" szerzą megalomańskie brednie, trąci to tylko teorią Herrenvolku.

Czas zresztą skończyć z tą blagą, że naród polski — jedyny wśród narodów europejskich — nie wydał ze siebie quislingów. Nie pomniejsza narodu Francji — Pétain, ani narodu czeskiego — Hacha, ani narodu Westerplatte, bohaterskiej Warszawy, Narwiku, Tobruku i Lenino — Leon Kozłowski, Goetel, Skiwski czy dyrektor hitlerowskiego Banku Polskiego — Młynarski. Nie jest zasługą Kozłowskiego, że nie stał się premierem quislingowskiego rządu — Hitler mu tego nie proponował, gdyż w jego planie bynajmniej nie leżało tworzenie sobie bazy politycznej w Polsce, jak w Norwegii czy Czechosłowacji. W Polsce dążył do fizycznego wyniszczenia całego narodu, bał się jakiejkolwiek władzy politycznej, nawet quislingowskiej. Ci, spośród których wyszedł Beck, Kozłowski, Goetel i Skiwski, powinniby nieco mniej mówić o quislingach.

Ale w tej pozie mesjanizmu, w tych słowach Raczkiewicza o ofierze na ołtarzu ludzkości, we frazesach o prawie i sprawiedliwości, pod tą maską cierpiętnictwa, śród tych oparów mistycyzmu, pod tym nagłym ukochaniem romantyzmu kryje się co innego: chęć zakłamania przeszłości. P. Raczkiewicz nie przypadkowo wymienia jednym tchem Mickiewicza i Towiańskiego. Atmosfera Andrzeja Towiańskiego — to atmosfera zakłamywania swojej przeszłości i krzyku: my byliśmy PIERWSI!

I znowu nie pomniejszy wcale wielkiej roli narodu polskiego, jego walki z hitleryzmem i współudziału w ogólnym wysiłku narodów, jeśli stwierdzimy, że pierwszym krajem, który stawił czoło hitleryzmowi, była Hiszpania republikańska. I pierwszymi Polakami, którzy — idąc śladami Legionu Mickiewicza i romantycznego czynu Byrona — walczyli z hitleryzmem, byli właśnie Dąbrowszczacy, ci sami, których rządy ludzi systemu Raczkiewicza pozbawiały obywatelstwa polskiego. Ludziom obozu p. Raczkiewicza nie można za to odmówić pierwszeństwa w innym kierunku: ich dyplomacja pierwsza zawarła pakt z Hitlerem, wbrew sojuszowi z Francją. Ich dyplomacja pierwsza uznała faszystowską okupację Abisynii i Austrii, oni pierwsi sprzedawali broń gen. Franco, oni pierwsi torpedowali wszelkie próby zawarcia paktu zbiorowego bezpieczeństwa i oni pierwsi utorowali drogę Hitlerowi do zaboru Czechosłowacji. Przypomina im to pierwszeństwo obecnie i opinia angielska i opinia amerykańska.

W wojnie otwartej z zaborcą hitlerowskim romantyczne pierwszeństwo walki ma niewątpliwie Westerplatte i Warszawa. Ale przypomnijmy, że bohaterska walka Warszawy toczyła się w obiektywnie najcięższych warunkach, i wojskowych i politycznych, stworzonych właśnie przez obóz Sosnkowskiego i Raczkiewicza. I tę wojnę września 1939 roku — tę walkę Warszawy i Westerplatte i Kutna toczyli właśnie ludzie, którym Sławoj-Składkowski mógł ofiarować tylko więzienia lub Berezę Kartuską.

P. Raczkiewicz mówi również o realizmie, którego nie rozumie — jak po-

wiada — „jako oportunizm lub słabość". Józef Beck, powołując się na realizm, czynił jedno ustępstwo po drugim swemu partnerowi, Hitlerowi: Gdańsk i sprawa mniejszości narodowych, Śląsk i organizacje dywersantów hitlerowskich. „Romantyzm" wspólnych polowań w puszczy białowieskiej i odgłos rogów myśliwskich Goeringa — chyba nic wspólnego nie ma z mickiewiczowską puszczą i graniem Wojskiego. „Realizm" Becka prowadził w prostej linii na szosę zaleszczycką, gdzie limuzyny, mknące z betami, żonami i przyjaciółkami wielkich dygnitarzy państwowych, zaprawdę z „realizmem" odniosły się do rannych żołnierzy, leżących w rowach.

Romantyzm, ale to zgoła innego gatunku, ten, którym był owiany czyn Dąbrowszczaków w Hiszpanii — poprowadził naszych Dąbrowszczaków na front. I realizm — ale to zgoła innego gatunku — prowadzi armię polską w ZSRR na szosę, wiodącą do Warszawy.

Romantyzm? Realizm? — Zgoda, ale jaki?

Bo między „romantyzmem" Towiańskiego, który w roku 1848 rzucał gromy na Mickiewicza za współudział w wolnościowych ruchach Europy — a romantyzmem właśnie Adama Mickiewicza, współuczestnika walk we Włoszech, jest mała różnica. Taka sama jak, dajmy na to, między wołaniem z Londynu do końca ubiegłego roku o „czekanie z bronią u nogi", twierdzeniem, że drugi front nie leży w interesie narodu polskiego, bo trzeba Rosję „wykrwawić" — a stanowiskiem brania czynnego udziału w walkach na froncie radziecko-niemieckim.

Nie zajęlibyśmy się, rzecz jasna — w chwili gdy po czterech latach niewoli wolność wdziera się z powrotem na ziemie polskie — literackimi upodobaniami i wypowiedziami obozu p. Raczkiewicza, gdyby ta nagła skłonność w Londynie do odmieniania we wszystkich przypadkach romantyzmu, która ujawniła się od początku bieżącego roku, nie kryła w sobie bardzo ciekawej zmiany metod.

Bo przecież jeszcze kilka miesięcy temu polityka londyńczyków była na wskroś i tylko „realistyczna": gen. Anders zapewniał w Kairze, że nie ma się czego śpieszyć, bo Niemcy cofają się planowo i o bliskim zwycięstwie Sowietów nie ma mowy. W Londynie odbywały się wystawne śniadanka, obiady i kolacyjki propagandowe, na których wyjaśniano, że naród polski co prawda cierpi, ale „realistyczna racja stanu Polski" wymaga, aby drugi front nie nastąpił, zanim Związek Radziecki nie będzie dostatecznie osłabiony. Rozgłośnia Świt twierdziła, że wszelkie nawoływanie do walki zbrojnej w kraju jest przedwczesne, że to dzieło prowokatorów, agentów Moskwy; toteż bojówki Sosnkowskiego gdzie mogły i jak mogły mordowały partyzantów. Poza tą działalnością wojskową zwiększono jeszcze liczbę polskich attachés wojskowych (o 30 w stosunku do liczby attachés przedwrześniowych), i panowie, którzy nigdy prochu nie wąchali, otrzymali wygodne kanapki i posadki. Słowem, wszystko było spokojnie, „realistycznie", z przepychem, o którym to Mickiewicz w Dziadach pisał:

Ach, jaka świetność, przepych jaki!
Ah, quelle beauté, quelle grâce!
Ach, szelmy, łotry, ach, łajdaki!
Żeby ich piorun trzasł!

Aż tu nagle okazuje się, że wbrew przewidywaniom stratega Andersa Czerwona Armia forsuje Dniepr, wyzwala Kijów, rozbija armię Mannsteina, łamie blokadę Leningradu i szyb-

kim marszem zbliża się do granic Polski. W sztabie Świtu popłoch, zamęt: jednego dnia Świt wita zwycięstwa Czerwonej Armii, która niesie wyzwolenie, następnego dnia alarmuje, że Europie zagraża imperializm sowiecki. A tu następuje jeszcze oświadczenie Churchilla, że Polska może oczekiwać wyzwolenia z rąk Czerwonej Armii...

I w chwili, gdy równowaga „realistycznego" systemu w Londynie zostaje zachwiana, ci mężowie stanu nagle, jak ongi Towiański, doznają objawienia: Władysław Raczkiewicz przeżył całe swe życie, wojewodował, marszałkował, prezydentuje i nie wiedział, że jest romantykiem, idealistą, męczennikiem dla dobra ludzkości, mesjaszem omal, mistrzem humanitaryzmu...

I wnet okazuje się, że to oni właśnie kierowali walką czynną narodu w ciągu 4 lat, sobie przypisują oni wszystkie czyny tych, których dotąd nazywali bandytami i agentami Moskwy. Okazuje się, że to oni reprezentują i demokrację polską, i ruch podziemny, i ideę walki czynnej. Codziennie wieczorem kierownik ich propagandy obdzwania redakcje pism angielskich i komunikuje „ostatnie wieści" o ruchu partyzanckim w kraju. Sosnkowski i Raczkiewicz dyskontują usilnie krew i walkę tych, przeciwko którym szczuli i szczują do walki bratobójczej. Chwila obecna wymaga od każdego jasnej postawy. To, co czyni się w chwili tak decydującej — zaważy na losie narodu na lat dziesiątki. Winston Churchill w swoim przemówieniu z dnia 22 lutego 1944 r. wyraźnie wskazuje adres: „Wyzwolenie Polski może być wkrótce urzeczywistnione przy pomocy armii rosyjskich, które straciły miliony ludzi dla zdruzgotania niemieckiej machiny wojennej. Nie wydaje mi się, aby rosyjskie żądania zabezpieczenia zachodnich granic kraju wychodziły poza ramy tego, co jest rozumne i sprawiedliwe".

Churchill musi stwierdzić, że to Armia Czerwona w lwiej części dokonała dzieła złamania hitlerowskiej machiny wojennej. Ale propaganda obozu Sosnkowskiego i Raczkiewicza głosi wszem wobec, że na froncie wschodnim zwyciężają tylko czołgi i samoloty anglo-amerykańskie. Ta plugawo-lizusowska propaganda — chyba nie w imię interesów Polski — stara się megalomańsko pomniejszyć wszystko, co nie odpowiada ich szablonowi, i pragnie wmówić Anglikom zasługi, do których sam Churchill się nie przyznaje. I nie na próżno Cat-Mackiewicz stwierdza z przekąsem, że ta miłość do Anglików jest dla nich „elementem krępującym czymś w rodzaju nadmiernej miłości niewieściej dla młodziana, sytego powodzeniem w tej dziedzinie".

Powtarzamy: chwila wymaga wyraźnej i jasnej postawy. Panowie w Londynie przybrali pozę idealistów i męczenników. Raczkiewicz wdział nagle maskę romantyka. A gdy krzyczy falsetem o wolności, można mu tylko przypomnieć słowa Juliusza Słowackiego — także romantyka:

„Drą się o wolność! — Boże, nachyla
im grzbietu
Bo wolność jest jakoby posiadanie fletu
Jeśli go weźmie człowiek muzyki
[nieświadom
Piersi straci — i uszy sfałszuje
[sąsiadom"

Jak sobie ci ludzie w Londynie wyobrażają wolność w przyszłej Polsce — można się o tym przekonać na każdym kroku. Weźmy dla przykładu Ksawerego Pruszyńskiego, tym bardziej że jak wiemy, do naszego obozu bynajmniej nie należy.

Ksawery Pruszyński napisał po powrocie z ZSRR artykuł W o b e c R o s j i. Ośmielił się w nim stwierdzić, że należy zapomnieć o starych sporach z Rosją i dokonać kardynalnego zwrotu, nawet za cenę zmian granicznych. Doceniając wagę chwili, Pruszyński pisze: „Trzeba być Chrobrym, Piotrem Wielkim, Kemal-Paszą. Trzeba brać na swe barki decyzję za cały naród i na całe stulecia, trzeba ciąć i trzeba łamać". No i zawrzało w światku emigracji londyńskiej, no i ruszyła nagonka na śmiałka za jego dawne grzechy i za ogólną ocenę systemu przedwrześniowego.

W demokratycznej Anglii nie ma Berezy Kartuskiej i Sławoja-Składkowskiego. Ale ze wszech stron zaczęto atakować i zmuszać Pruszyńskiego, aby zamilkł. W mniej lub bardziej elegancki sposób. Krzysztof Wieniawski np. radzi mu, aby zajął się literaturą piękną i porzucił politykę. I osaczony ze wszystkich stron przez te „psie głosy" Pruszyński odpowiada:

„Publicystyka nasza odważy się jeszcze czasem napiętnować raid zaleszczycki; ale kiedyż odważy się ona jeszcze i na to, aby ostrym nożem usuwać z polskiego ciała swe zaleszczyckie wrzody, które w nim tkwią jak i tkwiły?

„Przestanę pisać rzeczy polityczne, gdy społeczeństwo nasze będzie widziało wyraźniej, myślało logiczniej, konsekwentniej, gdy nasza publicystyka będzie nie tylko wołała o Bałtyk, ale myślała, jakimi drogami do niego dojść, gdy zamiast po trzech latach wymyślać na sanację, będziemy wyrzucali za burtę to wszystko, co jej błędy kontynuuje, utrwala lub pomnaża... Przestanę pisać... kiedy będziemy mieli mniej ujadania a więcej rozwagi, mniej wazeliny więcej soli attyckiej, mniej połajanek więcej argumentów, mniej krzyku a więcej spokoju. Gdy nasza publicystyka polityczna przestanie powiększać naszą emigracyjną histerię i obniżać i tak niski poziom naszego myślenia..."

Ale londyńska dintojra zrobiła swoje i p. Pruszyński jest w niełasce. Czołowym publicystą jest ten sam Zbigniew Grabowski, który dnia 26 października 1941 r. prorokował, że Armia Czerwona zostanie całkowicie rozbita, jeśli Timoszenko nie odda Niemcom Moskwy, aby „odnowić swoją armię posiłkami i odrodzić się poza Moskwą". Ten sam Grabowski, który jeszcze w roku ubiegłym twierdził: „Niektórzy mówią, że Polska może być wyzwolona tylko dzięki armiom sowieckim. Teraz stało się oczywiste, że Niemcy nie mogą pobić Rosji, a Sowiety nie mogą rozbić Niemców". Dzisiaj ze Zbigniewem Grabowskim nie zgadza się rzeczywistość.

Przykład z Ksawerym Pruszyńskim — to drobna ilustracja tego, jak sobie przyszłą wolność w Polsce wyobrażają ludzie w Londynie. Boleśniejszą, krwawą ilustracją są nieustające mordy bratobójcze w kraju, dokonywane na rozkaz „romantyka" Sosnkowskiego. To nikomu nie przeszkadza, że Jan Lechoń marzy o przyszłej Polsce w postaci dobrej kuchni i knajpy na Trębackiej, gdzie będzie przesiadywał i snuł swój romantyzm kuchenny. Niech sobie siedzi. Ale są tacy, którzy nie chcą, aby w przyszłej Polsce można było siedzieć tylko albo w knajpie, albo w Brześciu, więzieniach czy Berezie. Są tacy, którzy nie chcą, aby jakiś Sławoj-Składkowski miał prawo wołać z trybuny, na której marszałkował „romantyk" Raczkiewicz: „Jeśli Witos powróci, więzienie polskie stoi dlań otworem." Są tacy, którzy — jak np. Ksawery Pruszyński — nie chcą, aby błędy sanacji były w Polsce kontynuowane, utrwalane i pomnażane. Są tacy, którzy nie chcą, aby w stosun-

ku do tej garstki Żydów, która ocalała, jakiś Pietrkiewicz czy inny Quisling, z działającej obecnie gestapowskiej organizacji M i e c z i p ł u g, mógł wołać o noc długich noży. Są tacy, co nie życzą sobie, aby polityka zagraniczna kraju była wzorowana na Hooverze i lady Astor, a nie na Roosevelcie. Są tacy — i są ich miliony; a romantyzm i realizm tych milonów różni się bardzo od „romantyzmu" p. Raczkiewicza.

Marzy się niektórym, że to „życie, które odeszło, powróci bez zmian". Jak to powiedział Krasiński:

Rzeczywistość się pomału,
W świat przemienia ideału,
W sen ze srebra i kryształu.
Daj mi teraz marzyć, daj!

Niech marzą. Ale ideały epigonów sanacyjnego ustroju nie przerodzą się w rzeczywistości. Ich „sen ze srebra i kryształu" rozbije się o romantyzm i realizm Nowej Polski.

*(Na jarmarku masek)*

**Jerzy Borejsza**

# MIKOŁAJ GOGOL

## (Urywki z prac Bielińskiego)

Charakterystyczną cechę opowieści p. Gogola stanowią prostota pomysłu, ludowość, pełna prawda życia, oryginalność oraz pierwiastek komizmu ustępujący zawsze uczuciu głębokiego smutku i przygnębienia. Wszystkie te właściwości płyną z jednego źródła: p. Gogol jest poetą, poetą życia prawdziwego.

*

Proszę mi powiedzieć, jakie przede wszystkim wrażenie wywiera każda opowieść p. Gogola? Czy nie zmusza do stwierdzenia: „Wszystko to jest tak proste, zwyczajne, naturalne i prawdziwe a zarazem tak oryginalne i nowe!" Czyż nie dziwimy się temu także, że sami nie potrafiliśmy wymyśleć tych samych osób, tak zwyczajnych, tak dobrze nam znanych, tak często spotykanych, że nie potrafiliśmy stworzyć wokół nich tych samych sytuacji, tak powszednich, tak częstych, które się nam tak znudziły w rzeczywistym życiu, a są tak interesujące i urocze w obrazie poetyckim? Jest to pierwszą oznaką prawdziwego dzieła sztuki. Następnie, czyż nie poznajemy każdej postaci jego powieści tak dobrze, jak byśmy od dawna ją znali i długo z nią razem przebywali? Czy wyobraźnią nie uzupełniamy portretu, który autor sam namalował już w całej okazałości od stóp do głów? Czy nie możemy dodać doń nowych jeszcze cech jak gdyby zapomnianych przez autora, czy nie możemy opowiedzieć o tej osobie jeszcze kilka dykteryjek jak gdyby przez autora opuszczonych? Czy nie wierzymy na słowo, czy nie gotowi jesteśmy przysiąc, że wszystko, co autor opowiedział jest świętą prawdą, że nie ma tam ani krzty fikcji? Dlaczego się tak dzieje? Dlatego, że dzieła te noszą piętno prawdziwego talentu, że zostały stworzone według niezmiennych praw sztuki. Ta prostota pomysłu, ta nagość akcji, to ubóstwo pierwiastka dramatycznego, sama ta błahość i powszedniość opisywanych przez autora zdarzeń to prawdziwe i niewątpliwe znamiona sztuki, to prawdziwa poezja, poezja życia prawdziwego, życia, które dobrze znamy. Nie dziwię się bynajmniej, jak dziwią się niektórzy, że p. Gogol jest mistrzem stwarzania wszystkiego z niczego, że umie on zainteresować czytelnika opisem nieważnych, drobnych szczegółów, nie widzę tu bowiem żadnej nadzwyczajnej umiejętności: umiejętność opiera się na rachubie i trudzie, a tam, gdzie są rachuba i trud nie ma sztuki, tam wszystko jest fałszem i kłamstwem pomimo najstaranniejszego i najdokładniejszego kopiowania rzeczywistości. Im bardziej zwyczajna, im bardziej płaska — że tak powiem — jest treść opowieści, budzącej wielkie zainteresowanie czytelnika, tym większego dowodzi ona talentu autora. Kiedy pisarz niewielkiego talentu zabiera się do przedstawienia wielkich namiętności i silnych charakterów, może on wleźć na szczudła, wysilić się, wygłosić mnóstwo monologów, może opowiedzieć wiele pięknych rzeczy, oszukać czytelnika wspaniałym wykończeniem, piękną formą — samą treścią nawet, mistrzowską narracją, kwiecistą frazeologią — owocami swego oczytania, rozumu, wykształcenia, życiowego doświadczenia. Lecz niech się on tylko weźmie do przedstawiania powszedniego życia, zwykłego, prozaicznego życia, proszę mi wierzyć, że powinie mu się noga i

zmęczymy się ziewając nad jego gnuśnym, zimnym, bezdusznym utworem. Bo doprawdy, zmusić nas do żywego zainteresowania się kłótnią Iwana Iwanowicza z Iwanem Nikiforowiczem, rozśmieszyć do łez głupotą, nicością i dziwactwem tych dwóch żywych paszkwili na ludzkość—to już jest zdumiewające, lecz zmusić nas potem do litości nad tymi idiotami, litości z całej duszy, zmusić do jakiegoś głębokiego smutku przy rozstaniu z nimi, zmusić nas do okrzyku wraz z autorem: „Nudno jest na tym świecie, proszę państwa!" — to jest właśnie ta boska sztuka, którą się nazywa twórczością; to jest właśnie ten talent artystyczny, dla którego wszędzie, gdzie życie, tam jest również poezja! Weźmy wszystkie opowieści p. Gogola — co stanowi ich cechę charakterystyczną? Czymże jest niemal każda z nich? Śmieszną komedią, która zaczyna się od głupstw, ciągnie się wśród głupstw a kończy się łzami i która w gruncie rzeczy nazywa się życiem. Takie są wszystkie jego opowieści: z początku śmiech, potem smutek. Takie jest nasze życie: z początku śmiech, potem smutek. Ileż w tym poezji, ile filozofii, ile prawdy!

*

Jakże przejmująca i głęboka jest poezja p. Gogola w swojej pozornej prostocie i błahości! Proszę wziąć Staroświeckich ziemian: cóż ta opowieść zawiera? Dwie ludzkie karykatury przez kilkadziesiąt lat piją i jedzą, jedzą i piją, a potem, jak to się dzieje z dawien dawna, umierają. Skąd cały ten urok? Widzimy całą trywialność, całą obrzydliwość tego zwierzęcego, potwornego, karykaturalnego życia, a jednak z jakim zainteresowaniem przywiązujemy się do postaci powieści, śmiejemy się z nich, lecz bez złośliwości, a potem łkamy wraz z Filemonem nad jego Baucis, współczujemy z jego głębokim, nieziemskim zmartwieniem i gniewamy się na łotra spadkobiercę, który roztrwonił majątek dwojga prostaczków! Poza tym tak żywo wyobrażamy sobie aktorów tej głupiej komedii, tak wyraźnie widzimy całe ich życie, my, którzyśmy nigdy może nie byli na Ukrainie, nigdy nie widzieli takich scen i nie słyszeli o takim życiu! Dlaczegóż więc tak się dzieje? Dlatego, że to wszystko jest bardzo proste, a więc bardzo prawdziwe: dlatego, że autor znalazł poezję w tym płaskim i bezsensownym życiu także, znalazł ludzkie uczucie, które porusza i ożywia jego bohaterów, uczuciem tym jest przyzwyczajenie. Czy wiecie, czym jest przyzwyczajenie, to dziwne uczucie, o którym Puszkin powiedział:

„Przyzwyczajenie — wola nieba,
Bo szczęście nam zastąpić trzeba" *).

Czy można sobie wyobrazić, by istniał mąż, który łka nad trumną żony, chociaż żył z nią jak pies z kotem? Czy wiecie, że przeprowadzając się do wspaniałych komnat można tęsknić za nędznym mieszkaniem, w którym się żyło przez wiele lat, do którego człowiek się przyzwyczaił jak dusza do ciała, z którym łączą go wspomnienia prostego jednostajnego życia, usilnej pracy i słodkiego odpoczynku, może nawet kilku chwil miłości i rozkoszy? Czy wiecie, że można tęsknić za psem, który przez dziesięć lat był na łańcuchu i przez dziesięć lat merdał ogonem, kiedy się obok niego przechodziło?... O, przyzwyczajenie, jesteś wielką zagadką psychologiczną, wielką tajemnicą duszy ludzkiej. Beznamiętnemu synowi ziemi, żyjącemu troskami i planami życiowymi przyzwyczajenie zastępuje uczucia ludzkie, których pozbawiła go natura

*) Puszkin: Eugeniusz Oniegin

lub warunki życia. To dla niego szczęście prawdziwe, prawdziwy dar opatrzności, jedyne źródło jego radości i radości ludzkiej.

Czym jest ono jednak dla człowieka w całym tego słowa znaczeniu? Czy nie drwiną losu? Człowiek płaci mu daninę przywiązując się do małych rzeczy i małych ludzi, a po ich utracie odczuwa gorycz cierpienia. Cóż jeszcze? P. Gogol porównuje nasze mocne uczucie ludzkie, naszą wzniosłą, płomienną namiętność z przyzwyczajeniem nędznego półczłowieka i mówi, że jego przyzwyczajenie jest silniejsze, głębsze i trwalsze od naszej namiętności. Stoimy przed nim ze spuszczonymi oczyma i nie wiemy, co mamy na to powiedzieć, jak stoi przed nauczycielem uczeń, który nie nauczył się lekcji... A więc to tutaj kryją się często sprężyny naszych najlepszych czynów, naszych najpiękniejszych uczuć! O biedna ludzkości! Nędzne życie! A jednak żal nam Afanasja Iwanowicza i Pulcherii Iwanowny! Ubolewamy nad nimi, którzy tylko pili i jedli, a potem umarli! O, p. Gogol jest prawdziwym czarodziejem i trudno sobie wyobrazić, jak się gniewam na niego za to, że omal nie zmusił mnie do opłakiwania tych, którzy pili i jedli, a potem umarli!

Pełnia prawdy życiowej ściśle łączy się w powieściach p. Gogola z prostotą pomysłu. P. Gogol nie schlebia życiu, lecz go także nie szkaluje; lubi on uwypuklić wszystko, co życie ma pięknego i ludzkiego, a jednocześnie nie ukrywa bynajmniej jego potworności. W obu wypadkach p. Gogol jest do ostatnich granic wierny życiu. Życie jest w jego dziele jak portret, w którym wszystko zostało uchwycone ze zdumiewającym podobieństwem, poczynając od wyrazu twarzy modela — kończąc na piegach na twarzy; od ubioru Iwana Nikiforowicza do sylwetek chłopów rosyjskich, którzy idą po Newskim Prospekcie w butach powalanych wapnem.

*

Powieści p. Gogola są w najwyższym stopniu ludowe; nie chcę jednak zbyt się rozwodzić nad ich ludowością, gdyż ludowość jest nie zaletą, lecz nieodzownym warunkiem każdego utworu artystycznego, jeśli przez ludowość należy rozumieć wierne odtworzenie obyczajów, zwyczajów i charakteru tego czy innego narodu, tego czy innego kraju. Życie każdego narodu przejawia się we własnych, tylko jemu właściwych formach, jeśli zatem odtworzenie tego życia cechuje prawdziwość, to znaczy, że cechuje je także ludowość. Ludowość, która przejawia się w dziele sztuki, nie wymaga od artysty tak pogłębionych studiów, jak się to powszechnie sądzi. Poecie wystarczy rzucić okiem na to czy inne życie, ażeby je sobie natychmiast przyswoić. Jako Ukrainiec p. Gogol zna od dzieciństwa życie na Ukrainie, lecz ludowość jego twórczości nie ogranicza się tylko do Ukrainy. W jego Pamiętnikach wariata w Newskim Prospekcie nie ma ani jednego Ukraińca, są tam tylko Rosjanie i Niemcy; lecz jak on przedstawił tych Rosjan i tych Niemców! Jacyż są Schiller i Hoffman! Nawiasem mówiąc najwyższy już czas, doprawdy, byśmy zaprzestali zabiegać o ludowość podobnie jak najwyższy już czas zaprzestać pisania, gdy się nie ma talentu; ludowość ta bowiem bardzo przypomina cień z bajki Kryłowa: p. Gogol wcale o niej nie myśli, a ona sama do niego się wprasza, podczas gdy inni uganiają się ze wszystkich sił za nią, a chwytają jedynie trywialność.

To samo mniej więcej da się powiedzieć o oryginalności: podob-

nie jak ludowość jest ona koniecznym warunkiem prawdziwego talentu. Dwóch ludzi może osiągnąć podobne wyniki w pracy na zamówienie, ale nigdy w sztuce, jeśli bowiem to samo natchnienie nie nawiedza dwa razy tego samego człowieka, to tym bardziej to samo natchnienie nie może nawiedzić dwóch ludzi. Dlatego właśnie świat sztuki jest tak niewyczerpany i bezgraniczny. Poeta nie powie nigdy: „O czym pisać? Wszystko już zostało powiedziane!" lub „Czemu urodziłem się tak późno, bogowie?"

Jedna z najbardziej charakterystycznych oznak oryginalności artystycznej lub raczej oryginalności samej sztuki tkwi właśnie w owej typowości, jeśli się tak można wyrazić, która jest pieczęcią herbową autora. W dziełach prawdziwego talentu każda postać jest typem, a każdy typ jest dla czytelnika nieznajomym, którego on zna.

*

Zapomniałem o jednej jeszcze zalecie jego utworów: jest nią liryzm, przesycający opisy tych przedmiotów, które go wzruszają. Kiedy opisuje biedną matkę, tę wzniosłą i cierpiącą istotę, to wcielenie świętego uczucia miłości — ile tęsknoty, smutku i miłości jest w jego opisie! Kiedy opisuje młodą piękność — ile upojenia i zachwytu w jego opisie! Kiedy opisuje piękno swej ojczystej, swej ukochanej Ukrainy — to jest to syn garnący się z pieszczotą do uwielbianej matki! Czy pamiętasz jego opis bezkresnych stepów naddnieprzańskich? Jakież szerokie, pełne rozmachu pociągnięcie malarskiego pędzla! Co za rozpasanie uczuć! Jaki przepych i prostota zarazem w opisie! O, stepy, niech was pioruny biją, jakże piękne jesteście u p. Gogola!

*(O opowieści rosyjskiej i opowieściach p. Gogola)*

*

Po ukazaniu się Martwych dusz wielu się znajdzie literackich Kolumbów, którym z łatwością przyjdzie odkryć nowy wielki talent w literaturze rosyjskiej, nowego wielkiego pisarza rosyjskiego — Gogola...

Nie tak jednak łatwo było go odkryć, gdy był jeszcze rzeczywiście nowy. Wprawdzie Gogol od pierwszego swego wystąpienia zdobył gorących wielbicieli swego talentu, lecz była ich niewielka garstka. W ogóle żaden poeta w Rosji nie miał tak dziwnego losu jak Gogol: nie ośmielali się widzieć w nim wielkiego pisarza nawet ci, którzy umieli jego utwory na pamięć; nikt nie miał obojętnego stosunku do jego talentu, albo go entuzjastycznie kochano, uwielbiano, albo nienawidzono. Ma to swoje głębokie powody, które dowodzą raczej żywości niż bierności naszego społeczeństwa. Gogol był pierwszym, który spojrzał odważnie i prosto w oczy rosyjskiej rzeczywistości; jeśli doda się jeszcze jego głębokie poczucie humoru, jego ustawiczną ironię, jasne się stanie, dlaczego długo jeszcze nie będzie się go rozumiało i dlaczego łatwiej jest społeczeństwu uwielbiać go niż rozumieć...

*

I nagle wśród tego tryumfu małości, przeciętności, nicości, beztalencia, wśród tych pustych kwiatów i literackich baniek mydlanych, wśród tych dziecinnych pomysłów, dziecięcych myśli, fałszywych uczuć, faryzeuszowskiego patriotyzmu, mdłej ludowości — nagle niby orzeźwiająca błyskawica wśród nużącej i rozkładającej duszności i suszy, zjawia się utwór czysto rosyjski, narodowy, wydarty głębiom życia ludowego, utwór równie prawdziwy jak patriotyczny, który bezlitośnie zdziera

zasłony z rzeczywistości i tchnie namiętną, zapamiętałą miłością do pełnych, zapowiadających bogaty plon ziaren życia rosyjskiego; utwór wielkiej sztuki ze względu na koncepcję i wykonanie, ze względu na charakter osób występujących i szczegóły rosyjskiego bytowania — a jednocześnie głęboki ze względu na myśl, utwór o wartości socjalnej, społecznej i historycznej... W Martwych duszach autor dokonał takiego wielkiego kroku naprzód w zakresie artyzmu, że w porównaniu z tym utworem, wszystko, co napisał dotychczas, wydaje się słabe i blade. Za wielkie osiągnięcie autora uważamy to, że w Martwych duszach występuje wszędzie w sposób widoczny i niejako namacalny jego subiektywizm. Rozumiemy przez to nie ten subiektywizm, który ze względu na swą ograniczoność lub jednostronność zniekształca obiektywną rzeczywistość przedmiotów opisywanych przez twórcę, lecz ten głęboki, wszystko ogarniający i humanitarny subiektywizm, który ukazuje w artyście człowieka o gorącym sercu, szlachetnej duszy i niezawisłości osobistej, ten subiektywizm, który nie pozwala mu odnosić się z apatyczną obojętnością do opisywanego świata, lecz zmusza do tego, by w swojej żywej duszy przetopił zjawiska świata zewnętrznego, a tym samym, by tchnął w nie żywą duszę.

*

Wszyscy przeczytają Martwe dusze, lecz nie wszystkim oczywiście będzie się ten utwór podobać. Wśród wielu powodów dlatego również, że Martwe dusze nie odpowiadają pojęciu, jakie tłum ma o powieści, uważając ją za bajkę, gdzie osoby działające pokochały się, rozstały się, a potem pobrały i były bogate i szczęśliwe. Poematem Gogola mogą rozkoszować się w pełni tylko ci, którzy potrafią zrozumieć myśl przewodnią i ocenić wykonanie artystyczne dzieła, dla których ważna jest treść ideowa, a nie akcja; dla wzbudzania zachwytu innych pozostają fragmenty i szczegóły. Ponadto, jak każde głębokie dzieło, Martwe dusze nie stają się całkowicie przy pierwszym czytaniu dostępne nawet dla ludzi myślących; czytając je po raz drugi, ma się wrażenie, że się czyta nowy, nieznany utwór. Martwe dusze wymagają gruntownego przestudiowania. Ponadto należy powiedzieć raz jeszcze, że humor dostępny jest tylko głębokim i nader rozwiniętym umysłom. Tłum nie rozumie go i nie lubi. U nas każdy grafoman wyłazi ze skóry, aby przedstawić szalone namiętności i mocne charaktery, biorąc oczywiście za wzór siebie i swoich znajomych. Uważa za niegodne siebie zniżenie się do komizmu i nienawidzi go instynktownie jak mysz kota. Większość uważa u nas „komizm" i „humor" za błazeństwo i karykaturę, jesteśmy pewni, że wielu z chytrym i zadowolonym z własnej przenikliwości uśmiechem będzie mówiło i pisało, bynajmniej nie żartując, że Gogol swoją powieść nazwał poematem dla kpiny.

Jeśli chodzi o nas, to uważając, iż nie mamy prawa zabierać głosu w sprawie właściwości charakteru żyjącego pisarza, powiemy tylko, że Gogol nazwał swoją powieść „poematem", nie na żarty i że nie myślał bynajmniej o poemacie komicznym. Nie autor nam to powiedział, lecz książka. Nie widzimy w niej nic żartobliwego i śmiesznego: w żadnym słowie autora nie spostrzegliśmy, że zamierza rozśmieszyć czytelnika: wszystko tam jest poważne, spokojne, prawdziwe, głębokie...

*

Prawdziwa krytyka Martwych dusz powinna polegać nie na zachwytliwych okrzykach o Homerze i Szekspirze, o akcie tworzenia, o zaletach Maniłowa, o niezepsutej rosyjskiej naturze Selifana, o trojce i o drabiniastym wozie: nie prawdziwa krytyka powinna odkryć patos poematu, który polega na sprzeczności istniejącej między społecznymi formami życia rosyjskiego a jego głęboką, podstawową zasadą dotąd tajemniczą, dotąd nieuświadomioną i nieuchwyconą przez żadną definicję. Następnie krytyka powinna zanalizować podstawy i przyczyny tych form, powinna rozstrzygnąć mnóstwo pozornie prostych, lecz w istocie bardzo poważnych pytań w rodzaju następujących: dlaczego piękną blondynkę zbesztano tak, że aż miała łzy w oczach, gdy nawet nie rozumiała, za co się ją beszta? Dlaczego całe miasto gubernialne N. okazało się i dobrze zaludnione i gęsto zaludnione, kiedy plotki o Czyczykowie rozpoczęły się na skutek żywego udziału „pani przyjemnej pod każdym względem" i „pani po prostu przyjemnej"? Dlaczego wygląd Czyczykowa wydał się „godny zaufania" gubernatorowi i wszystkim dygnitarzom miasta N. Co znaczy słowo „godny zaufania" w języku urzędniczym? Dlaczego autor poematu uważa, że nieodzowną właściwością długiej i nudnej podróży jest nie tylko zimno (które się zdarza w każdej podróży), lecz także słota, błoto, reperacje, kłótnie kowali i wszelkich łotrów spotykanych w podróży? Dlaczego Sobkiewicz dopisał Elżbietę Wowobiej? Dlaczego woźnica prokuratora był chłopem oblatanym, gdyż powoził jedną ręką, a drugą wyciągniętą do tyłu podtrzymywał swego pana?... Wiele można zadać podobnych pytań. Wiemy, że większość będzie to uważała za drobiazgi. Na tym właśnie polega wielkość Martwych dusz, że w nich zostało odsłonięte życie i rozłożone anatomicznie do najdrobniejszych szczegółów, a szczegółom tym nadano znaczenie ogólne. Oczywiście jakiś Iwan Antonowicz z mordą jak dzban, bardzo śmieszny, w książce Gogola jest bardzo małym zjawiskiem w życiu; ale jeśli się nam zdarzy mieć z nim do czynienia, stracimy ochotę do śmiechu i nie będziemy nawet uważać go za małego... Dlaczego może się nam wydać ważny w życiu — oto pytanie! Gogol w sposób genialny (przy pomocy błahostek i drobiazgów) wyjaśnił tajemnicę, dlaczego z Czyczykowa wyszedł taki „nabywca"!

*(Przygody Czyczykowa czyli „Martwe dusze")*

*

Gogol należy do niewielkiej liczby pisarzy, którzy zupełnie uniknęli wpływów wszelkich literackich teorii. Rozumiejąc sztukę i podziwiając ją w utworach innych poetów, Gogol poszedł niemniej własną drogą, idąc za głosem głębokiego i prawdziwego instynktu artystycznego, którym bogato obdarzyła go natura. Powodzenie innych nie wywiodło go na pokuszenie naśladownictwa. Nie dało mu to oczywiście oryginalności, lecz pozwoliło mu zachować i całkowicie wyrazić tę oryginalność, którą miał, która była właściwością jego osobowości, a co za tym idzie podobnie jak talent była darem natury. Dlatego właśnie wielu odniosło wrażenie, że wszedł do literatury rosyjskiej jakoś z zewnątrz, kiedy w gruncie rzeczy był on jej zjawiskiem koniecznym, wynikającym z jej całego historycznego rozwoju.

Gogol miał olbrzymi wpływ na literaturę rosyjską. Nie tylko wszystkie młode talenty rzuciły się na drogę, którą on wskazał, lecz także wielu

pisarzy cieszących się już pewnym rozgłosem poszło tą drogą porzucając swoją drogę własną. Stąd też powstanie szkoły, której znaczenie jej przeciwnicy zamierzali pomniejszyć nazywając ją szkołą naturalną. Po M a r t w y c h d u s z a c h Gogol nic już nie napisał. Na arenie literackiej pozostała jedynie jego szkoła. Wszystkie zarzuty i oskarżenia, którymi go obrzucano, są obecnie skierowane przeciw szkole naturalnej. Jeśli się jeszcze atakuje Gogola to właśnie z powodu tej szkoły. O co się ją oskarża? Zarzutów jest niewiele i zawsze te same. Z początku zarzucano jej rzekome ciągłe ataki na urzędników. W przedstawieniu bytowania tej warstwy społecznej jedni szczerze, a inni rozmyślnie widzieli złośliwe karykatury. Od pewnego czasu te oskarżenia ucichły. Teraz oskarża się pisarzy ze szkoły naturalistów o to, że lubią przedstawiać ludzi z niższych warstw, że za bohaterów swych powieści obierają chłopów, dozorców, woźniców, że opisują ubogie kąty, schronienia wygłodzonej nędzy i często wszelkiej rozpusty.

*(Spojrzenie na literaturę rosyjską 1847 roku)*

HENRYK MARKIEWICZ

# O realizmie „Faraona"

Wszystkie niemal prace o Faraonie — od pierwszych recenzji do rozpraw ostatnich — rozpoczynają się akcentem zdziwienia. Istotnie, zwrot pisarza, silnie związanego ze współczesnością, ku powieści historycznej, i to z przeszłości tak bardzo odległej i egzotycznej, stanowił dla pierwszych czytelników powieści (ukończył ją Prus 2 maja 1895, ukazywała się w Tygodniku Ilustrowanym od października 1895 do końca 1896 roku) dużą niespodziankę; jej geneza i sens ideologiczny trudne były do uchwycenia. Dalsze dzieje twórczości Prusa tej wyjątkowej pozycji Faraona nie zmieniły.

Tradycje literackie przypominały, że utwory o tematyce zaczerpniętej ze starożytności posiadały często sens alegoryczny, a przynajmniej zabarwione były silnie aluzjami do spraw współczesnych; początkowo ten sposób interpretacji zastosowano również do Faraona. Andrzej Niemojewski, informując w r. 1902 Ludwika Gumplowicza o stanowisku politycznym Prusa, twierdził bez wahania:

„Poeta w rozprawach ekonomicznych i ekonomista w powieściach, doktryner, a nawet marzyciel, napisał Faraona, wielką aluzję do stosunków polsko-rosyjskich, rozkochał się przy tym w bohaterze „dziecięcej swej fantazji", faraonie, oświeconym despocie, a nieszczęście chciało, że niebawem znalazł śród żyjących inkorporację swego pomysłu w osobie Mikołaja II" [1])

Że nie było to mniemanie odosobnione — dowodem opinia Ludwika Włodka, wypowiedziana w roku 1918:

„Trudno oprzeć się przypuszczeniu, które wówczas kursowało w Warszawie, że przy pisaniu tej powieści autor miał na myśli młodego monarchę rosyjskiego (Mikołaja II) i jego antytezę — nadprokuratora synodu, Pobiedonoscewa, przy czym opierał się na ówczesnych poglądach i nadziejach, z którymi zawsze łączono w Rosji postacie następców tronu" [2]).

Alegoryczna interpretacja Faraona jest oczywiście chybiona. Nie potrafimy wskazać takich „wartości", które sprawdzałyby przebieg akcji powieści; co najwyżej można mówić o pewnym wpływie złudzeń, jakie posiadał Prus w stosunku do postaci Mikołaja II — na ukształtowanie konfliktu między Ramzesem XIII a Herhorem.

Aktualne wypadki polityczne mogły tu zresztą dostarczyć niejednego bodźca. Prus miał np. świeżo w pamięci autentyczny antagonizm między wytrawnym kierownikiem polityki państwowej a młodym monarchą — antagonizm między Bismarckiem a Wilhelmem II. Dla programu reform społecznych Ramzesa, dla jego stanowiska wobec Asyrii, znaleźć można bardzo efektowne analogie w demagogii socjalnej pierwszych lat panowania Wilhelma II, w zerwaniu przez niego traktatu z Rosją itd. Kiedy się czyta w ówczesnej prasie o „zamiłowaniach wojskowych" i „marzycielstwie", „humanitarnych porywach" i „tendencjach autokratycznych" Wilhelma II [3]) — nieraz staje przed oczyma bohater powieści Prusa. Z drugiej strony — sposoby działania oligarchii kapłańskiej mogą przypominać metody polityczne Bismarcka, które Prus obserwował z dużą uwagą:

„Nie było (...) w Europie epoki — pisał — podczas której puszczonoby w

kurs tyle łgarstw, obietnic, podejrzeń, reklam i dopuszczeń jak za tego władcy. — Zakipiało z góry na dół życie wszystkich ludów, a tymczasem on, wielki rybak, zapuszczał w te odmęty swój więcierz i wyłapywał: tu przymierze, tam neutralność, ówdzie rewolucyjkę — byle handel szedł".[4])

Przypominając te zbieżności i dopuszczając ich udział w genezie Faraona zastrzec się trzeba raz jeszcze przed alegoryczno-uwspółcześniającą interpretacją całościową powieści. Więź łącząca ją z współczesnością jest inna, bardziej skomplikowana. Bezsporne i precyzyjne jej ustalenie jest sprawą trudną, w całej pełni chyba niewykonalną, wskutek specyficzności tematu i zupełnego braku wypowiedzi autorskich mogących posłużyć jako komentarz.

Odejście Prusa od teraźniejszości — w niej samej znajduje motywację. Zaostrzanie się konfliktów społecznych u progu imperializmu stawia przed ideologiem mieszczańskim — zamiast zadań krytyki wewnątrzklasowej — zadania bezpośredniej obrony swej klasy. A zadania takie muszą złamać pióro realisty: o tym boleśnie przekonał się sam Prus pisząc Emancypantki. Ale idzie tu nie tylko o zmianę „zapotrzebowania społecznego" burżuazji i jej zaostrzoną „cenzurę klasową". Od współczesności odstręczała Prusa własna bezradność poznawcza i interpretacyjna: narastające napięcia społeczne zaprzeczały brutalnie i solidarystycznemu poglądowi na społeczeństwo, i idei postępu kapitalistycznego, którym Prus mimo wszystko dochował wierności, których nie przestał popularyzować w posłusznej intencjom autora publicystyce. Ale materiał konkretnych życiowych obserwacji, krystalizując się w utwór literacki, nie potwierdzałby tych założeń ideologicznych. I wtedy — jak słusznie chyba domyślał się Ignacy Matuszewski — „pisarz, zmęczony ciągłą analizą drgających bólem i zmiennych drobiazgów istnienia realnego, zwraca się ku owym na poły prawdziwym, na poły fantastycznym krainom, kędy wszystko przedstawia się w formie zamkniętej, skończonej, typowej — i na pozór przynajmniej — zrozumiałej i jasnej. Z takiego materiału łatwiej ułożyć pełną i syntetyczną całość, niżeli ze zjawisk, które nas dławią swoją bliskością i niepokoją bezładem".[5])

W stronę starożytnego Egiptu kierowało zainteresowania Prusa wiele czynników. Odkrycia archeologiczne i prace uczonych z Gastonem Maspero na czele, zmieniające zasadniczo wiedzę o Egipcie, były sensacją naukową okresu, podjętą przez beletrystykę już przed Prusem. Wymienić tu należy przede wszystkim powieści Georga Ebersa, spośród których Córka króla egipskiego (1864, przekład polski 1877) oddziałała prawdopodobnie na pewne motywy fabularne Faraona (poznanie z Sarą, wyjazd na manewry, wojna z Libijczykami, charakter Ramzesa XIII)[6]). Przy znanych zainteresowaniach Prusa dla problemu kultury, Egipt musiał szczególnie przyciągać jego uwagę jako jedno z najstarszych jej ogniw. Starożytny Egipt mógł dostarczyć przy tym stosunkowo najbardziej przekonywających argumentów dla tez pozytywistycznej socjologii, która uznawała warunki geograficzne i poziom wiedzy osiągnięty przez społeczeństwo za najważniejsze czynniki jego rozwoju (Buckle). Wreszcie w losach historycznych Egiptu geneza i rola państwa jako aparatu przemocy klasowej jest zatarta; spełnia ono bowiem istotnie — jak to podkreślał Marks — funkcje ekonomiczne niezbędne dla całego społeczeństwa, funkcje organizatora produkcji[7]). Nawet Plechanow twierdził, że

„W takich państwach jak Chiny, czy starożytny Egipt, w których życie cy-

wilizowane było niemożliwe bez bardzo skomplikowanych i rozległych prac nad regulacją biegu i wylewu wielkich rzek oraz nad organizacją irygacji, powstanie państwa można w bardzo znacznym stopniu wytłumaczyć bezpośrednim wpływem potrzeb procesu społeczno-wytwórczego" [8]).

Dzięki temu Prus mógł upatrywać w starożytnym Egipcie historyczny model zdrowego społeczeństwa — organizmu, opartego na harmonijnym i naturalnym współdziałaniu poszczególnych jego części.

„Sama przyroda Egiptu, domagająca się wielkiej, ciągłej i porządnej roboty stworzyła szkielet społecznej organizacji tego kraju: lud pracował, faraon kierował, kapłani układali plany. I dopóki te trzy czynniki dążyły zgodnie do celów wskazanych przez naturę, póty społeczność mogła kwitnąć i dokonywać swoich dzieł wiecznotrwałych" (I 10) [9]).

Tak pisze Prus we wstępie do Faraona. Sama jednak powieść bynajmniej nie obrazowała owej — nigdy oczywiście w historycznym Egipcie nie istniejącej — harmonii społecznej; wręcz przeciwnie — ukazywała fatalne skutki jej naruszenia — ucisk ludu i degenerację klas panujących.

Jeśli więc wśród przyczyn zwrotu Prusa ku starożytnemu Egiptowi znajdowała się chęć obcowania z wzorowym społeczeństwem - organizmem, a więc swoista rekompensata za bolesną i trudną obserwację konfliktów współczesnych, to jednak nacisk tych konfliktów przesunął twórcze zainteresowania Prusa na czasy upadku państwa egipskiego. Takie schyłkowe okresy państw starożytnych przyciągały uwagę również innych pisarzy, często w związku z mniej lub bardziej wyraźną świadomością schyłkowości ustroju i kultury burżuazyjnej.

Pozytywistyczna sumienność, z jaką Prus odnosił się do pracy literackiej, nie opuściła go również przy Faraonie. Kiedy jednak w powieściach współczesnych korzystał pisarz z materiału, obserwacji i wiadomości gromadzonych przez wiele lat — tutaj trzeba było odpowiednią erudycję zdobyć jednorazowym, możliwie szybkim wysiłkiem. Warunki pracy twórczej nie pozwoliły Prusowi na studia tak gruntowne i obszerne, jak np. przygotowanie Flauberta do Salammbô. Suma wiadomości zużytkowanych w Faraonie mieści się — jak wskazują dotychczasowe badania[10]) — w pracach Maspero (życie codzienne, obrzędowość i sztuka) i kompilacyjnej Historii starożytnego Egiptu (1879—1880) polskiego uczonego i podróżnika, Jana Żagiella. Tu mianowicie znalazł Prus wzmiankę o faraonie Ramzesie XIII, którego historyczność inni badacze całkowicie negują.

Oto co pisał Żagiell:

„Ramzes był ostatnim panującym z domu Ramzesa III i dynastii dwudziestej. Mało wiemy o rządach jego, jedno jest tylko niewątpliwym, że ster państwa przeszedł całkowicie w ręce arcykapłanów, którzy owładnęli faraonem i państwem całym. Wszyscy arcykapłani Ammona w Tebach mianowali siebie faraonami i zajmowali najwyższe posady cywilne i wojskowe.

Według autentycznych dokumentów okazuje się, że arcykapłan Her-hor czyli Fri-hor zajmował to samo miejsce, jakie w późniejszych czasach stało się udziałem Richelieu'go przy Ludwiku XIII, a przy tym był on arcykapłanem Ammona i naczelnikiem siły zbrojnej. Według napisów hieroglificznych i rzeźb znalezionych w Tebach w świątyni Chonsu, Herhor przedstawiony był z wężem Ureus na głowie; było to godłem najwyższej władzy nad wyższym i niższym Egiptem. Imię zaś jego ota-

czały pieczęcie kartusze, noszące tytuły faraonów" [11]).

W dalszym ciągu informuje Żagiell o przywłaszczeniu sobie tytułu królewskiego przez Herhora i „równoległym panowaniu" arcykapłana Ammona i faraonów z krwi królewskiej.

Jak stąd widać, historyczny autentyzm fabuły powieściowej dotyczy zdobycia władzy przez arcykapłana Herhora, natomiast sam bohater jego powieści i charakter jego przeciwnika, nie mówiąc już o postaciach drugoplanowych, oraz wszystkie szczegóły akcji są dziełem fantazji Prusa. Walka Ramzesa XIII z oligarchią kapłańską i jego tendencje monoteistyczne mają jednak swój pierwowzór historyczny w działalności wcześniejszego o parę wieków faraona Amenhotepa IV (Wiek XV lub XIV p. n. e.), który w oparciu o oddane sobie sfery urzędnicze i część duchowieństwa, złamał potężnych tebańskich kapłanów Amnona, całkowicie odsunął ich od władzy i dokonał reformy religijnej, zaprowadzając kult jedynego bóstwa słonecznego[12]). Żagiell wzmiankuje bardzo lakonicznie o Amenhotepie IV; Prus zdawał sobie jednak sprawę z tych analogii historycznych.

„Czterysta lat temu faraon Amenhotep IV — mówi Samentu nakłaniając Ramzesa do bezwzględnej walki z kapłanami — obalił władzę kapłanów ustanowiwszy wiarę w jednego tylko bożka Re Harmachis. Rozumie się, że przy tej sposobności zabrał skarby ze świątyń innych bogów..." (III 87).

Zachowując daleko posuniętą swobodę wobec historycznej osnowy charakterów i wypadków powieściowych, Prus dążył do możliwie ścisłego i pełnego odtworzenia stosunków społecznych, kultury materialnej i duchowej, obrzędowości i życia codziennego starożytnych Egipcjan. Tą ambicją powodowany włączył w swą powieść np. obszerny opis pogrzebu faraona i rozmowę o nieśmiertelności, zbędne z punktu widzenia rozwoju akcji powieściowej.

Czy i w jakim stopniu ambicja ta została uwieńczona powodzeniem? Autorytatywną odpowiedź na to pytanie dać mógłby jedynie egiptolog, i dał ją istotnie znakomity uczony radziecki W. I. Awdijew, znajdując w powieści wiele anachronizmów i błędów historycznych [13]). Jeśli jednak stwierdza Jan Parandowski, że „stosunki, obyczaje, pojęcia egipskie składają się (w Faraonie) z mnóstwa anachronizmów i tworzą taką lepiankę, jaką byłaby np. Trylogia, gdyby w niej obok siebie znajdowały się rzeczy z czasów i Jana Kazimierza, i Bolesława Krzywoustego i Stanisława Augusta" [14]), to część odpowiedzialności za to spada na ówczesne dzieła naukowe, na których Prus się opierał. Dzisiejsza krytyka historyczna całkowicie powtarza wobec nich zarzut skierowany przez Parandowskiego w stronę powieściopisarza [15]). Zapewne, stan ówczesnej wiedzy historycznej nie usprawiedliwia takich potknięć jak wzmianki o drachmach w egipskim systemie monetarnym czy platynie, odkrytej dopiero w XVIII w. Nie usprawiedliwia tym bardziej wprowadzenia w powieść parlamentarnego przedstawicielstwa całego narodu egipskiego (dla zadecydowania o skarbach labiryntu), ani jaskrawych anachronizmów w ukazaniu świata greckiego: na Greków epoki bohaterskiej przeniósł Prus bezceremonialnie cechy możliwe chyba tylko w okresie hellenistycznym.

Sprawdzenie jednak wierności w odtworzeniu szczegółów historycznych nie rozstrzyga jeszcze o realizmie utworu — ani w sensie pozytywnym, ani negatywnym. Archeologiczna dokładność nie jest przecież warunkiem dostatecznym realizmu. I na odwrót — rażące nawet błędy i niedokładności w szczegółach nie podważą realizmu utworu, jeśli ukazuje

on rzeczywistość w jej zasadniczych rysach i dialektycznym rozwoju.

Cóż bowiem z tego, że powieść Prusa zawiera liczne i dokładne opisy świątyń i pałaców egipskich[16]), skoro najczęściej są to oschłe informacje niczym na ogół nie różniące się od odpowiednich fragmentów prac popularno-naukowych:

„Piramida, a szczególnie Cheopsa, jako utwór ludzkiej pracy, przeraża swoją wielkością. Jest to kamienny pagórek spiczasty, wysoki na trzydzieści pięć pięter (sto trzydzieści siedem metrów), stojący na podstawie kwadratowej, której każdy bok ma około trzystu pięćdziesięciu kroków (dwustu dwudziestu siedmiu metrów) długości. Piramida zajmuje dziesięć morgów powierzchni, a jej cztery trójkątne ściany pokryłyby siedemnastomorgową przestrzeń..." (II 321) — oto fragment typowy dla geometryczno - statystycznej metody opisów architektury Prusa. Sprawozdawcza oschłość cechuje również krajobrazy (poza nielicznymi wyjątkami, jak np. nastrojowy opis ofensywy pustyni) — sprawiają one wrażenie raczej opisów mapy plastycznej lub schematycznej ilustracji w podręczniku szkolnym np.: „Ziemia Gosen, pomimo falistości gruntu, wydawała się równiną, pustynię zaś składały wapienne wzgórza i doliny piaszczyste. Ziemia Gosen wyglądała jak olbrzymia szachownica, której zielone i żółte poletka odgraniczały się barwą zbóż i palmami rosnącymi na miedzach; zaś na rudym piasku pustyni i jej białych wzgórzach płat zieloności albo kępa drzew i krzaków wyglądały jak zabłąkany podróżny"—(I 15). Albo: „Straże stojące wzdłuż szosy doskonale mogły widzieć wysadzone palmami pola za kanałem. Na jednych zielenił się len, pszenica, koniczyna, na innych złocił się dojrzewając jęczmień drugiego posiewu. Jednocześnie z chat ukrytych między drzewami zaczęli wychodzić do roboty rolnicy, ludzie nadzy, barwy miedzianej, którzy za cały ubiór mieli krótką spódniczkę na biodrach i czepek na głowie. Jedni zwrócili się do kanałów, aby oczyszczać je z mułu, albo czerpać wodę i wylewać na pola, za pomocą machin podobnych do żurawi przy studniach. Inni rozproszywszy się między drzewami zbierali dojrzałe figi i winogrona. Snuło się tam sporo nagich dzieci i kobiet w białych, żółtych lub czerwonych koszulach bez rękawów". — (I 19).

A opisy strojów egipskich! Prus przy żadnej okazji o nich nie zapomina, ale zawsze poprzestaje na mechanicznym wyliczeniu szczegółów ubioru „od stóp do głów", bez próby ich uplastycznienia:

„Jak każdy Egipcjanin, miał obnażone ręce i nogi, odkrytą pierś, sandały na stopach, krótką spódniczkę dokoła bioder, a z przodu fartuszek w pasy niebieskie i białe" (I 18).

„Miał na sobie obcisły kaftan w pasy niebieskie i białe, tegoż koloru chustkę pod hełmem, złoty łańcuch na szyi i kosztowny miecz pod lewym ramieniem" (I 21-22).

Opisy obrzędów i obyczajów egipskich, niewątpliwie interesujące dla każdego czytelnika F a r a o n a ze względu na swą zawartość poznawczą — niewysoko jednak wznoszą się ponad poziom „obrazków historycznych", jakie spotykamy w przeciętnych pracach popularno-naukowych, choćby w opowiadaniach Maspero z dziejów Egiptu.

Znacznie bardziej interesujące rezultaty realistyczne osiągnął Prus w budowie psychologicznej swych postaci. Odtworzyć świat myśli i uczuć ludzi sprzed 29 wieków — było to niezwykle trudne zadanie. Znaczny stopień skonwencjonalizowania literatury staroegipskiej obniżał jej źródłową przydatność w tym zakresie. Prus postąpił więc ostrożnie: poza Ramzesem XIII wszystkie inne postacie z reguły pokazane są tylko od

zewnątrz, poprzez swe postępowanie i wypowiedzi.

W zachowaniu ich występuje jako często powtarzająca się cecha — intensywność afektów i ich bardzo wyrazista jakość: miłość, nienawiść, podziw, gniew, pożądanie... W ten sposób zaznacza Prus pewną pierwotność a zarazem orientalną żywiołowość swych postaci.

Dialogom nadaje koloryt historyczny i lokalny—obok zwrotów rytualnych— znaczna ilość przenośni i zwrotów obrazowych, stylistycznie zgodnych z zachowanymi zabytkami literackimi (autentyczne fragmenty tych zabytków istotnie harmonizują z tekstem, w który zostały wmontowane). Materiał do porównań zaczerpnięty został najczęściej z przyrody Egiptu i życia codziennego jego mieszkańców.

„Jak kokosz uczy swoje pisklęta wyszukiwać ziarn i chronić się przed jastrzębiem, tak ja nauczę ciebie pełnej trudu sztuki rządzenia państwem i śledzenia obrotów nieprzyjaciół. Obyś z czasem padł na nich jak orzeł na płoche kuropatwy!" (I 168).

„Wioślarzami okrętu, na którym Egipt płynie przez rzekę wieczności, są bogowie, a sternikiem Najwyższy Pan wszelkiego stworzenia" (II 148).

„O Saro! — zawołał — gdybyś miała Nil w twojej piersi, potrafiłabyś go wypłakać" (II 153).

„Jesteście jak dojrzała brzoskwinia w oczach człowieka, któremu język wykruszyło pragnienie... lecz tylko na pozór... Bo biada głupcowi, który ośmieli się rozgryźć ten piękny owoc: zamiast chłodzącej słodyczy, znajdzie gniazdo os, które poranią mu nie tylko wargi, ale i serce" (II 183).

„Ale musimy działać śpiesznie, bo zamiary tego człowieka pędzą naprzód jak wicher pustyni i — bodajby nie zasypały nas!..." (III 182).

Krąg tak wyrażonych myśli i uczuć mieści się na ogół w granicach, na które dozwalają źródła historyczne, choć oczywiście zdarzają się czasem wypadki modernizacji, np. w refleksjach Ramzesa wobec piramid i Sfinksa. Wrażenie odległej starożytności osiąga Prus najlepiej, akcentując ograniczoność wiedzy o świecie, jaką posiadają jego postaci: o zjawiskach przyrodniczych i geograficznych dobrze znanych człowiekowi współczesnemu mówią jak o czymś niezwykłym i nie posiadającym jeszcze właściwej nazwy (Ramzes XII o wulkanie, Pentuer o śniegu czy wielbłądzie).

Wskazane tu środki stylistyczne usiłował Prus przenieść również na narrację odautorską. Niekiedy prowadzona ona jest jakby przez starożytnego kronikarza egipskiego np.: „Zaś w miesiącu Farmuti, w lutym, pan Górnego i Dolnego Egiptu, władca Fenicji i dziewięciu narodów, Mer-Amen-Ramzes XII, po naradzeniu się z bogami, którym jest równy, mianował swoim erpatrem, czyli następcą tronu dwudziestodwuletniego syna Cham-semmerer-amen-Ramzesa. Wybór ten wielce uradował pobożnych kapłanów, dostojnych monarchów, waleczną armię, wierny lud i wszelkie żyjące na ziemi egipskiej stworzenie. Starsi bowiem synowie faraona urodzeni z królewny chetyjskiej, za sprawą czarów, których zbadać nie można, byli nawiedzeni przez złego ducha" — (I 13).

Tej uciążliwej konwencji Prus — i słusznie — nie przestrzegał konsekwentnie; przeciwnie — chętnie stosuje jaskrawą nawet modernizację. „Do biur ministerium wojny, gdzie pracowali sami kapłani, wprowadził swoich najzdolniejszych adiutantów, którzy bardzo prędko opanowali bardzo ważne dokumenta dotyczące armii (...) Otworzył dwie nowe szkoły oficerskie dla dzieci od 12 lat i odnowił już zaniedbany zwyczaj, ażeby młodzież wojskowa, dopiero po odbyciu trzygodzinnego marszu w liniach i kolumnach otrzymywała śnia-

danie" (III 57—58). „Natychmiast po przyjeździe do pałacu faraon wydał rozkaz zgromadzenia delegatów, którzy mieli postanowić o naruszeniu skarbów labiryntu. Jednocześnie polecił oddanym sobie urzędnikom i policji, aby rozpoczęto agitację przeciwko kapłanom i za siódmym dniem odpoczynku" (III 197).

Narracja odautorska wybiega nieraz jaskrawo poza starożytność egipską, niszcząc iluzję powieściową np.: „przed pierwszą z rana, która odpowiada naszej godzinie szóstej" — (I 19); „Wszystko to wykonali sami kapłani, bez świadków, a wykonali tak dokładnie, że mumia Ramzesa XII po dziś dzień spoczywa w swym tajemniczym mieszkaniu, zarówno bezpieczna od złodziejów jak i od nowożytnej ciekawości. W ciągu dwudziestu dziewięciu wieków wiele mogił królewskich zgwałcono; ale ta została nietknięta" (III 144).

Te nagłe przeskoki stylistyczne w narracji odautorskiej są niewątpliwie skazą artystyczną powieści.

Wielkości Faraona szukać jednak należy gdzie indziej niż w realizmie odtworzenia szczegółów „przedmiotowej" rzeczywistości, czy nawet realizmie rysunku psychologicznego ludzi odległej epoki. Wielkość ta — to przede wszystkim wnikliwe uchwycenie i upostaciowanie w akcji powieściowej zasadniczych prawidłowości rozwoju społecznego. W Faraonie zadanie to postawił sobie Prus z całą świadomością — i tę niezwykłą w całej literaturze europejskiej, nowatorską odrębność Faraona należy szczególnie uwydatnić[17]). Powieść współczesna realizmu krytycznego zamykała się na ogół w granicach „życia prywatnego" bohaterów, ukazując jedynie pośrednio lub na dalszym planie wielkie realia społeczne, kształtujące losy jednostek. Powieść historyczna typu walterscottowskiego najbardziej żywotna w literaturze polskiej, ukazywała historię jedynie jako tło, i to głównie od strony batalistycznej i obyczajowej. Inaczej w Faraonie. Tu tematem powieści jest walka polityczna o władzę, pojmowana przy tym nie tylko jako starcie ambicji jednostek i splot intryg politycznych. Prus wbudował ją w szerokie tło społeczne, ukazał ją jako rezultat sprzeczności w interesach wielkich grup socjalnych. Bohaterowie powieści — Ramzes, Pentuer, Herhor, Mefres występują przede wszystkim jako *homines politici* i w działalności politycznej ujawniają się wszechstronnie indywidualne cechy ich charakteru. To właśnie stanowi o nowatorskiej na tle swoich czasów pozycji Faraona, dzięki której wyprzedza on nowoczesną powieść historyczną typu Piotra I A. Tołstoja czy Henryka IV Manna.

Ale podczas gdy wymienione tu dzieła są realistycznym obrazem określonego, konkretnego odcinka dziejów, to realizm Faraona innego wymaga spojrzenia. Jak widać z uwag poprzednich, powieść jako obraz Egiptu w wieku XII p. n. e. nasuwa wiele zastrzeżeń. Rzeczywistość, skonstruowana przez Prusa, mimo nasycenia realiami egipskimi, posiada charakter syntetyczny — może nieścisły w odtworzeniu społeczno-politycznych stosunków w Egipcie w okresie Nowego Państwa, typowy natomiast dla zasadniczych zjawisk społecznych w obu klasowych formacjach przedkapitalistycznych, w których wyzysk opiera się na przymusie pozaekonomicznym.

W swoim obrazie Egiptu Prus pomija niemal milczeniem istnienie niewolników, zwraca natomiast przede wszystkim uwagę na chłopstwo, którego sytuację upodabnia do sytuacji chłopstwa w okresie feudalizmu: chłopi egipscy muszą oddawać faraonowi, świątyniom, czy wreszcie właścicielom ziemskim znaczną część swoich zbiorów, poza tym obowiązani są do robót publicz-

nych i pracy w majątkach państwowych i kapłańskich lub w folwarkach arystokratów (mowa jest nawet wprost o „pańszczyźnie"). Reformy zamierzone przez Ramzesa XIII: nadanie chłopom zagonu ziemi na własność i wprowadzenie co tydzień dnia odpoczynku — zakładają istnienie stosunków feudalnych. Rzeczywistość historyczna Egiptu stwarzała ku temu podstawy. W okresie Nowego Państwa obok eksploatacji pracy niewolniczej istniała tam również eksploatacja ludności chłopskiej w formie renty naturalnej i odróbki na rzecz państwa a także kapłanów i właścicieli ziemskich. Ta druga forma wyzysku, charakterystyczna dla starożytnych państw Bliskiego Wschodu, miała charakter przeżytkowy: była pozostałością epoki rozkładu ustroju patriarchalnego i w istocie rzeczy nie miała nic wspólnego z rentą feudalną, zewnętrznie ją jednak przypominała. Stąd też wielu historyków burżuazyjnych mówi wprost o „egipskim feudalizmie".[18]) Stąd w powieści Prusa ta osobliwa, na wpół feudalna, na wpół niewolnicza budowa społeczeństwa. Ta specyficzna właściwość starożytnych państw Bliskiego Wschodu zwiększyła więc siłę uogólnienia, jaką posiada obraz społeczeństwa w Faraonie, pozwalając ogarnąć nim dwie formacje ekonomiczno-społeczne.

Na karty powieści raz po raz — od początkowej sceny z chłopem-samobójcą, artystycznie nieodpartej w swym apelu do współczucia czytelnika — powraca sprawa niedoli i ucisku chłopów, robotników i niewolników — głodujących, katowanych, bezlitośnie uciemiężonych, a przecież pracą swą tworzących fundament materialny dla świetnego rozwoju kultury egipskiej. W swym pojmowaniu historii Prus zbliża się do wielkiej prawdy, że „historia rozwoju społecznego jest zarazem historią samych wytwórców dóbr materialnych, historią mas pracujących, które są podstawowym czynnikiem procesu produkcji, czynnikiem urzeczywistniającym produkcję dóbr materialnych, niezbędnych dla istnienia społeczeństwa" (Stalin)[19]).

Historia literatury świadczy wieloma przykładami, że dzieła wielkich realistów wyprzedzają i przewyższają swymi rezultatami poznawczymi prace uczonych burżuazyjnych, w większym stopniu skrępowane „cenzurą klasową". Dotyczy to jednak przede wszystkim powieści współczesnej. W utworach historycznych bowiem pisarz, zwłaszcza jeśli był świadomym realistą, musiał być wiernym wobec panujących poglądów naukowych. Faraon jest pięknym przykładem odkrywczego naruszenia tego prawidła. Historiografia burżuazyjna nie dostrzegała wielkich, rewolucyjnych ruchów mas ludowych w starożytności i czasach feudalnych. Prace burżuazyjnych egiptologów mówią wiele o ucisku mas pracujących, ale nie wspominają na ogół o ich czynnym oporze[20]). Tymczasem w Faraonie lud występuje nie tylko w roli skrzywdzonych i poniżonych. Zgodnie z rzeczywistością historyczną zarysowane tu zostały ciągłe bunty niewolnicze i chłopskie wstrząsające państwem faraonów w tym okresie. Nieszczęśliwy chłop, któremu zniszczono dzieło i nadzieję jego życia, wykopany przez niego kanał, wiesza się z rozpaczy, ale nieopłaceni kopacze trzykrotnie wszczynają bunt, a ich przedstawiciel Bakura szuka sprawiedliwości u samego następcy tronu.

„Wiecie dostojnicy — mówi Pentuer — że obecnie na ma roku, ażeby w tym czy owym nomesie nie wybuchnął bunt chłopów, wyniszczonych głodem, przeciążonych pracą, bitych kijami" (II 36).

„W Kosem — raportuje faraonowi najwyższy sędzia — zbuntował się pułk mularzy i kamieniarzy, którym na czas

nie dano rzeczy potrzebnych. W Sechem chłopstwo zabiło pisarza zbierającego podatki... W Melcatis i Pi-Hebit także chłopi zburzyli domy fenickich dzierżawców... Pod Kasa nie chcieli poprawiać kanału twierdząc, że za tę robotę należy im się płaca od skarbu... Wreszcie w kopalniach porfiru skazańcy pobili dozorców i chcieli gromadą uciekać w stronę morza..." (III 19).

Nie będzie chyba nieuzasadniony pogląd, że to współczesność, rozdarta ostrymi konfliktami klasowymi, wprowadziła tę zasadniczą korektę w obraz społeczeństwa egipskiego — korektę, która wybiegała poza horyzonty historiografii burżuazyjnej, ale całkowicie potwierdzoną przez badania marksistowskie. Dowiodły one, że czasy Nowego Państwa obfitowały istotnie w potężne ruchy powstańcze mas chłopskich i niewolniczych.

Akcja Faraona ześrodkowana jest wokół walki o władzę w państwie — i to centralne zagadnienie powieści ujęte zostało przez autora z ogromną dojrzałością intelektualną.

Pierwsze zetknięcie się młodego faraona z aparatem państwowym przynoszą mu sprzeczne z sobą niespodzianki. Oto z jednej strony okazuje się, że „od jego woli jest jakaś nieskończenie większa siła: interes państwa, który uznaje nawet wszechmocny faraon, a przed którym ugiąć się musi on, następca!" (I 109).

Ale jednocześnie przekonywa się Ramzes, że „w państwie nie ma tych ciasnych drzwi, zwanych prawami, w których przejściu każdy musi uchylić głowę, kimkolwiek jest: chłopem czy następcą tronu. W tym gmachu są rozmaite wejścia i wyjścia: wąskie dla małych, bardzo obszerne a nawet wygodne dla silnych" (I 113).

Tak więc, nawet absolutystyczne państwo — to nie zawsze i nie tylko narzędzie posłuszne zachciankom władcy. „Państwo to faraon i ...jego najwierniejsi słudzy" (I 113) — jak mówi do Ramzesa pisarz — to aparat przymusu stosowanego przez klasę rządzącą wobec mas chłopskich i niewolniczych, aparat mający swą własną logikę działania. Przekonywa się o tym Ramzes w czasie swej podróży po dolnym Egipcie.

Marks pisał, że „w Azji od niepamiętnych czasów istniały tylko trzy główne resorty: finansów — dla grabieży na wewnątrz kraju, wojny — dla grabieży na zewnątrz kraju i resort robót publicznych" [21]). Można by przypuszczać, że funkcja ostatnia, w Egipcie bardzo rozwinięta, a tak odpowiadająca socjologicznym poglądom Prusa na państwo jako ponadklasowy regulator życia społecznego — będzie w powieści szeroko wyeksponowana. Tymczasem w Faraonie została całkowicie pominięta. Państwo występuje prawie wyłącznie w funkcji pierwszej, w funkcji wykonywania „grabieży wewnątrz kraju".

„Pytałeś: co ja tu robię w nomesie?.. pilnuję majątku Ozyrysa-faraona i mojej w nim cząstki. Spojrzyj na te stada: widzisz różne zwierzęta. Jedne dają mleko, inne wełny i skóry. Podobnie ludność Egiptu: jedni dostarczają zbóż, inni wina, tkanin, sprzętów, budynków. Moją zaś rzeczą jest pobrać od każdego co winien i złożyć u stóp faraona" — mówi monarcha Otoes. (I 220—221).

Zwróćmy uwagę na zwroty: „państwo to faraon i... jego najwierniejsi słudzy", „pilnuję majątku Ozyrysa-faraona i mojej w nim cząstki". Istotnie, w starożytnym Egipcie własność klasy panującej przyjmowała w pewnych okresach formę własności państwowej, własności faraona, a „górę społeczną" stanowiła góra aparatu państwowo-kościelnego: arystokracja kapłańska, urzędnicza i wojskowa.

Jak wspomniano, Prus umieścił akcję powieści w wieku XII p. n. e., w okresie gdy władzę państwową zagarnęła w swe ręce niemal niepodzielnie arystokracja kapłańska. Wewnętrznie karna i zdyscyplinowana, opanowała ona najwyższe szczeble administracji państwowej (co szczególną wagę posiadało w centralistycznym systemie egipskim), zgromadziła ogromne bogactwa dzięki autorytetowi religii, podpartemu zresztą szarlatańskimi „cudami", wywiera przemożny wpływ ideologiczno-moralny na całe społeczeństwo, zmonopolizowała i umiejętnie zużytkowuje dla swych celów zdobycze nauki i techniki, dysponuje wszędzie sięgającym aparatem szpiegostwa, zdrady i prowokacji: w decydującym momencie okazuje się, że w najbliższym otoczeniu Ramzesa wszędzie porozstawiani są agenci Herhora. Prus potrafił samym przebiegiem akcji znakomicie uzmysłowić czytelnikowi tę potęgę i organizacyjną sprawność arystokracji kapłańskiej, która zapewnia jej kierownicze, a w konsekwencji uprzywilejowane stanowisko w obrębie klasy panującej.

Oligarchia kapłańska sprawuje władzę przede wszystkim z myślą o własnych korzyściach, ale siłą rzeczy strzec musi podstawowych interesów całej klasy panującej. Z całą jasnością rysuje się to w przemówieniu Mefresa na pogrzebie Ramzesa XII.

„Od pewnego czasu, jak długi i szeroki Egipt, dzięki tajemniczym burzycielom słyszymy okrzyk:

„Dajcie nam co sześć dni opoczynek!.. Nie bijcie nas bez sądu!.. Darujcie nam po zagonie ziemi na własność!.."

Jest to zapowiedź ruiny naszego państwa, przeciw której trzeba znaleźć ratunek. Ratunek zaś jest tylko w religii, która uczy nas, że lud powinien pracować, mężowie święci, jako znający wolę bogów, powinni mu wskazywać pracę, a faraon i jego dostojnicy winni czuwać, ażeby praca była rzetelnie spełniana" (III 737).

Obłuda tych zdań jest całkowicie jasna dla czytelnika F a r a o n a: powieść bez osłonek ukazała, że i „mężowie święci", i „dostojnicy faraona" w maksymalnym stopniu wyzyskują i ograbiają masy pracujące. Ale owe zdania Mefresa są wiernym powtórzeniem cytowanych już poglądów samego autora: „Lud pracował, faraon kierował, kapłani układali plany. I dopóki te trzy czynniki dążyły zgodnie do celów wskazanych przez naturę, póty społeczność mogła kwitnąć i dokonywać swoich dzieł wiecznotrwałych" (I 10).

W rezultacie — powieść całkowicie obala nakreślony we wstępie wyidealizowany obraz dawnego Egiptu.

Klasowa funkcja religii, jako czynnika sankcjonującego wyzysk mas pracujących, wykorzystanie wierzeń religijnych dla celów politycznych ukazane zostało w F a r a o n i e z realizmem, którego siła uogólniająca wykracza daleko poza starożytny Egipt, sięgając może wbrew intencjom Prusa — w czasy jemu współczesne.

Z arystokracją kapłańską najściślej sprzymierzona jest najwyższa świecka arystokracja urzędnicza — nomarchowie; natomiast wśród szlachty, niższych urzędników, a także kapłanów występują zrozumiałe sprzeciwy przeciw wszechwładzy oligarchii kapłańskiej.

W wyzysku ekonomicznym mas pracujących współzawodniczy z warstwą kapłańską i arystokracją urzędniczą fenicki kapitał handlowy i lichwiarski. Powodem konfliktu kapłanów z Fenicjanami jest w powieści stosunek do ewentualnej wojny z Asyrią, rzekomo niekorzystnej dla Egiptu, a upragnionej przez Fenicjan. Niezależnie jednak od tego kapłani wskazują na kupców fenickich jako sprawców wszelkiego zła w kraju, a w szczególności winowajców nędzy chłopskiej. Zwracając w kierun-

ku Fenicjan niechęć faraona i wrzenie mas ludowych pragną oni w ten sposób osłabić konkurenta i zarazem odwrócić uwagę od własnego udziału w wyzysku mas ludowych Egiptu.

Prus dla odmalowania zgubnego wpływu Fenicjan na życie gospodarcze Egiptu użył barw bardzo ciemnych, zresztą nie bez pewnych aluzji aktualnych w stronę Żydów (widocznych choćby w tym, że dostojnicy feniccy zachowują się niekiedy jak kupcy z Nalewek w nowelach humorystycznych z ubiegłego wieku). Zaznaczył jednak zarazem z dyskretną i dotkliwą ironią, że kapłani egipscy nie byli lepsi od cudzoziemskich wyzyskiwaczy: kiedy Pentuer zapowiada, że ukaże w żywych obrazach byt urzędników i dolę ludu, szemrają z niechęcią; rozpogadzają się wtedy dopiero, gdy zaczyna oskarżać Fenicjan...

Cel polityczny Fenicjan to zapobieżenie traktatowi pokojowemu Egiptu z Asyrią, który pod jej władzę ma oddać Fenicję. Prus pokazuje, jak dla przeciwdziałania antywojennej polityce kapłanów formuje się sprzysiężenie fenickie, jak poprzez Hirama urabia ono poglądy Ramzesa, usiłuje zdobyć wpływ nań przy pomocy Kamy, prowadzi antyasyryjską agitację wśród ludu, organizuje prowokacyjny napad na posła asyryjskiego, by wywołać wojnę, służy młodemu faraonowi ogromnymi środkami finansowymi i informacjami swego wywiadu, docierającego do najbardziej zakonspirowanych tajemnic kapłańskich... Podstęp, szpiegostwo, przekupstwo i skrytobójcza zbrodnia — oto arsenał środków fenickich, mniej zróżnicowany, ale nie mniej skutecznie działający niż metody oligarchii kapłańskiej.

Rzecz zrozumiała, że Fenicjanie popierają młodego faraona w walce, jaką wydał on kapłanom. I tutaj bowiem sprawa wojny z Asyrią stanowi przyczynę konfliktu. Pragnie jej Ramzes XIII, gdyż przyszłe zwycięstwo wzmocni jego autorytet, miliony niewolników przywrócą ziemie pochłonięte przez pustynię, a zdobyte skarby zwiększą zamożność Egiptu. Kapłani natomiast starają się za wszelką cenę do wojny nie dopuścić. Dlaczego? Powieść zaznacza przede wszystkim, że stanowisko takie zasugerował im w imieniu najwyższego kolegium kapłańskiego kapłan Beroes, powołując się na nieprzychylne wyrocznie astrologiczne. Można się z tym zgodzić: przesądy istotnie modyfikowały nieraz bieg historii. Ale czy przypadkiem wyrocznie te nie zostały sporządzone w interesie Asyrii? Powieść kropki nad i nie stawia, otacza Beroesa aureolą świętości. Ale przecież Beroes — twierdzi Hiram — „jest umocowany przez króla Assara" (II 57), Sargonowi towarzyszy wielki kapłan chaldejski Istubar... Powieść wyjaśnia zarazem bardzo ziemskie powody, dla których kapłani tak skwapliwie zgodzili się z zaleceniami Beroesa:

„Gdyby faraon wydał wojnę Asyrii i wygrał ją — mówi Hiram — miałby:

Wielką armię przywiązaną do jego osoby.

Sto tysięcy talentów zaległych danin.

Ze dwieście tysięcy talentów z Niniwy i Babelu.

Nareszcie — ze sto tysięcy talentów z krajów zdobytych.

Tak ogromny majątek pozwoliłby mu wykupić dobra zastawione u kapłanów i raz na zawsze położyć koniec ich mieszaniu się do władzy." (II 59).

Zasadnicze źródło konfliktu między kapłanami i faraonem to nie sprzeczność programu politycznego (Herhor — inaczej niż Mefres — nie ma nic przeciw ulgom dla pospólstwa), ale walka o władzę; Ramzes XIII chce od niej odsunąć kapłanów i wzmocnić absolutny system monarchiczny w oparciu o wojsko, szlachtę, część biurokracji świec-

kiej i niższe kapłaństwo. Jak wiemy już, przykład Amenhotepa IV jest tu najwyraźniejszą analogią historyczną.

Ale Ramzes XIII występuje w powieści nie tylko jako ambitny autokrata, ale również jako obrońca sprawy uciśnionego ludu. Taką legendę tworzy o nim Pentuer, i Prus — przez usta Herhora — mówi wyraźnie, że to tylko legenda. Ramzes jest niewątpliwie pokazany jako człowiek wielkoduszny, o pięknych rysach współczucia dla krzywdy biedaków, lituje się nad nieszczęśliwym samobójcą, zwalnia z więzienia niewinnych chłopów, nie pozwala Dagonowi na ciemiężenie ludności w zastawionych folwarkach. Ale współczuciu temu towarzyszy mocno przez autora zaakcentowane poczucie obcości i wyższości stosunku do ludu. Kiedy pogłoski krążące wśród chłopów o zamierzonych przez Ramzesa reformach przyczyniają mu kłopotów politycznych, młody następca tronu odczuwa gniew i pogardę.

„I to takie twory — myślał książę patrząc na pracę rolników — takie twory chcą zrobić mnie wykonawcą swoich przywidzeń!..

Gniew bił mu do głowy, a upokorzenie przygniatało go na myśl, że on, następca tronu, dzięki bajkom takich istot, całe życie kiwających się nad studniami mętnej wody, nie został namiestnikiem!" (I 138).

Gniew i pogarda towarzyszy księciu, gdy w czasie podróży po Egipcie przekonuje się, że tłum okazuje swój entuzjazm — tylko na rozkaz.

„Zaprawdę — pomyślał książę — ludzie szlachetnego urodzenia lepsi są, aniżeli ten motłoch — cokolwiek czynią, sercem czynią, nie jak ci, którzy wrzeszcząc na moją cześć radziby jak najprędzej wrócić do swoich obór i warsztatów...

Teraz lepiej niż kiedykolwiek zmierzył odległość, jaka istniała pomiędzy nim a prostakami. I zrozumiał, że tylko arystokracja jest klasą, z którą łączy go wspólność uczuć. Gdyby nagle znikli strojni młodzieńcy i piękne kobiety, których płonące spojrzenia śledzą każdy ruch, ażeby natychmiast służyć mu i spełniać rozkazy, gdyby ci znikli, książę wśród niezliczonych tłumów ludu czułby się samotniejszym aniżeli w pustyni." (I 215).

Reformy planowane przez Ramzesa XIII: wypoczynek co siódmy dzień, własny zagon dla każdego chłopa — posiadają charakter humanitarny i postępowy. Ale reformy te leżą na linii interesów klasy panującej: zmierzają do zwiększenia wydajności pracy chłopów i rozładowania ich nastrojów rewolucyjnych. Nie przypadkowo Ramzes porównywa stale swe zamierzenia z troską właściciela o stan posiadanej trzody: „Dobry gospodarz nie pozwala, ażeby jego inwentarz umarł z głodu, pracował nad siły lub odbierał niesłusznie plagi... to musi się zmienić!.. (II 266).

„Głodny wół kładzie się na ziemi, głodny koń chwieje się na swych nogach i zdycha... Czy można więc żądać, aby głodny człowiek pracował i nie objawiał, że mu jest źle..." (III 19).

„Lada właściciel folwarku daje swoim bydlętom przystojne jadło i odpoczynek, ale mój inwentarz jest wiecznie głodny i znużony!.." (III 25).

Toteż kiedy faraon występuje do walki o władzę z arystokracją kapłańską, nie czyni tego w imieniu mas ludowych. Owszem, prowokuje ich wystąpienie, pragnie wykorzystać ich rewolucyjny napór, celem obalenia przeciwników, ale z góry zapowiada swemu otoczeniu, zaniepokojonemu narastaniem fali ludowego buntu:

„Nie lękam się przyboru... — moje pułki będą dla niego groblami" (III 203).

„Bądź spokojny i powiedz szlachcie, że nie tylko nic nie straci spełniając moje rozkazy, ale jeszcze byt jej znacznie poprawi się. Bogactwa Egiptu muszą nareszcie być wydarte z rąk niegodnych, a oddane wiernym sługom" (III 81).

Ramzes XIII nie staje się więc przywódcą i wyrazicielem interesów uciskanych mas, nie zdąża do zasadniczej przemiany ustrojowej; masy zamierza wykorzystać głównie jako narzędzie wewnątrzklasowego przewrotu.

Koncepcja zarysowana w Faraonie świadczy o wyjątkowo dojrzałym i wnikliwym spojrzeniu Prusa na konfikty społeczeństwa klasowego, urzeczywistnia się wielokrotnie w dziejach formacji przedsocjalistycznych.

„Dziesiątki i setki razy w ciągu wieków usiłowały masy pracujące zrzucić z barków ciemiężycieli i stać się panami swego położenia. Ale za każdym razem, rozbite i zniesławione, musiały cofać się, kryjąc w duszy krzywdę i upokorzenie, gorycz i rozpacz, wznosząc wzrok ku nieznanym niebiosom, gdzie spodziewały się znaleźć wybawienie. Kajdany niewoli pozostawały nietknięte albo też stare kajdany zmieniały się na nowe, jednako ciężkie i upokarzające" (Stalin) [22])

Postawa mas ludowych decyduje o przebiegu walki toczącej się między faraonem i kapłanami: z chwilą kiedy lud przerażony zaćmieniem słońca zaprzestaje walki — przewaga sił po stronie oligarchii kapłańskiej jest już bezapelacyjna. Program reform społecznych Ramzesa XIII triumfuje jednak za rządów Herhora, wypływa bowiem z istotnych potrzeb rozwoju życia materialnego społeczeństwa, których spełnienie zapewnia właśnie trwałość rządom Herhora.

„Wszechmocne panowanie przypadku" (mówiąc słowami Prusa), którego przejawem była i czasowa zbieżność zaćmienia słońca z powstaniem, i cechy osobiste Ramzesa: lekkomyślność, porywczość, i jego śmierć z ręki Lykona, zadecydowało o klęsce faraona w warunkach, gdy możliwe było również jego zwycięstwo. Ale to „panowanie przypadku" nie mogło udaremnić zwycięstwa jego programu społecznego, które było historyczną koniecznością — musiało prędzej czy później, z rozkazu tego czy innego władcy, nastąpić. Marks pisał do Kugelmanna, wyjaśniając mu przyczyny upadku Komuny Paryskiej:

„...historia miałaby charakter nader mistyczny, gdyby „przypadki" nie odgrywały w niej żadnej roli. Te przypadki włączają się naturalnie do ogólnego nurtu rozwoju i są z kolei równoważone przez inne przypadki. Jednakże przyśpieszenie lub opóźnienie (wydarzeń) zależy w znacznym stopniu od tego rodzaju „przypadków" do których zalicza się i taki „przypadek", jak charakter ludzi, którzy początkowo stoją na czele ruchu" [23]).

I tutaj więc wymowa akcji Faraona potwierdza niezwykłą dojrzałość historycznego myślenia Bolesława Prusa. Tragedią wielkiego pisarza było to, że dopiero cofając się w tak odległą przeszłość, mógł uwolnić się od coraz silniejszego nacisku burżuazyjnego „zapotrzebowania społecznego", coraz ciaśniejszego kręgu burżuazyjnej „cenzury klasowej" — odzyskiwał dawną wielkość swego realistycznego pisarstwa.

PRZYPISY

1) H. Barycz: Listy Andrzeja Niemojewskiego do Ludwika Gumplowicza; „Pamiętnik Literacki" XLI (1950), str. 570.
2) L. Włodek: Bolesław Prus, Warszawa 1918, str. 52—53.
3) „Prawda", 1890, nr 11.
4) Spostrzeżenie Z. Szweykowskiego, Twórczość Bolesława Prusa, Poznań, 1947, II 246.
5) I. Matuszewski: Swoi i obcy, Warszawa 1898, str. 114.
6) Por. Z. Kiereśiński: Ze studiów nad źródłami „Faraona" Prusa; „Tygodnik Ilustrowany", 1930, nr 19.

7) K. Marks: Panowanie brytyjskie w Indiach; Dzieła wybrane, Warszawa 1947 II 485.
8) J. Plechanow: O materialistycznym pojmowaniu dziejów, Warszawa 1946, str. 23.
9) Cytaty z „Faraona" według wydania zbiorowego „Pism" Prusa pod red. Z. Szweykowskiego, Warszawa 1949.
10) Z. Kieresiński, l. c., Z. Szweykowski l. c.
11) J. Zagiell: Historia starożytnego Egiptu, Wilno 1880, I 248—249.
12) Por. W. I. Awdijew: Istorija drewniego Wostoka, Moskwa 1948, str. 216 i n.
13) Praca Awdijewa — pomimo starań — była mi niedostępna przy pisaniu tego szkicu; wspomina o niej M. Żywow w przedmowie do rosyjskiego przekładu „Placówki" („Forpost", Moskwa 1950, str. 11).
14) J. Parandowski: Odwiedziny i spotkania, Warszawa 1934, str. 142.
15) „Maspero całkowicie ignoruje dynamikę rozwoju historycznego. Poszczególne szkice, głównie z historii ekonomiczno-społecznej, daje w całkowitym oderwaniu od rozwoju historycznego, mieszając fakty z rozmaitych epok i zarysowując stosunki ekonomiczno-społeczne całkowicie statycznie, jak gdyby nic się nie zmieniało w ciągu tysiącleci" (W. Awdijew, l. c., str. 8).
16) W dalszych wywodach o „realizmie szczegółów" w „Faraonie" wyzyskano rezultaty pracy J. Kulczyckiej-Saloni: Wizja świata egipskiego w Faraonie; „Prace polonistyczne", seria IV, Łódź 1946.
17) Podkreślał ją już ogólnikowo J. Kleiner w szkicu Powieść o władcy i państwie; „W kręgu Mickiewicza i Goethego", Warszawa 1938, str. 223 i n.
18) Por. W. W. Struwe: Chrestomatia po istorii drewniego mira, Moskwa 1950, I 8—9; W. Kornatowski: Zaczątki myśli teoretycznej o państwie na tle stosunków w Egipcie i Mezopotamii, Toruń 1949, str. 18; T. Wałek-Czernecki: Historia gospodarcza świata starożytnego, Warszawa 1948, t. I.
19) J. Stalin: O materializmie dialektycznym i historycznym, Warszawa 1949, str. 30.
20) Prace egiptologów współczesnych Prusowi (Erman, Maspero) wspominały jedynie o buncie robotników tebańskiego Nekropolu za czasów Ramzesa III (XII wiek p.n.e.), podkreślały zresztą jego wyjątkowość. „Jest to ruch jedyny w swoim rodzaju... poza tym człowiek Wschodu dawniej i dzisiaj wegetuje w tępej obojętności i pokorze wobec „kismet" (W. Spiegelberg, Arbeiter und Arbeiterbewegung im Pharaonenreich, Strassburg 1895, str. 25.
21) K. Marks, l. c., II 483.
22) J. Stalin, O Leninie, Warszawa, 1949, str. 2.
23) K. Marks, Listy do Kugelmanna, Warszawa 1950, str. 124.

**Henryk Markiewicz**

# W ŚRÓD KSIĄŻEK

ADAM WAŻYK: *Nowy wybór wierszy*, Czytelnik, Warszawa, 1950; str. 116.

W publikacji o założeniach retrospektywnych, prezentującej zasadniczą część dorobku poety i pozwalającej śledzić drogę jego rozwoju, a taką jest N o w y w y b ó r w i e r s z y Adama Ważyka (co między innymi pozwala właśnie na uchybienie obowiązującej rzekomo recenzenta konwencji aktualności), zupełnie naturalna jest konsekwencja chronologicznego układu, która sprawia, że ostatni wiersz przedwojenny i pierwszy wojenny sąsiadują z sobą na jednej kartce. A przecież w tym wypadku sąsiedztwo posiada charakterystyczną wymowę. Jest jak gdyby progiem, na którym czytelnik zatrzymuje się, zanim go przekroczy, z świadomością, że opuszcza strefę już zamkniętą, aby znaleźć się w innej, odmiennej, odległej od poprzedniej o całą epokę.

Pamiętamy wrażenie, jakie sprawił tom S e r c e g r a n a t u znaleziony wśród pierwszych druków, które w styczniu 1945 r. przywiozły na tereny wyzwolone samochody transportowe, idące z Lublina bezpośrednio za frontem. Zbiór ten był przywitanym gorąco świadectwem podjęcia działalności przez poetę, który ostatnią książkę wierszy ogłosił w r. 1925 i mimo ujawnionych pełnych możliwości artystycznych oraz uznanej w kręgu znawców wysokiej rangi talentu zamilkł, wydawało się wtedy, ostatecznie. Byliśmy ciekawi spraw, o których mówił na nowo odzywający się głos poety.

Lata zgryzoty,
luki w pamięci.

Pomiędzy jedną wojną a drugą
mój brat bezrobotny, obłąkany
[wyskoczył z okna...

— — — — — — — —

W tych latach mówiłem do siebie głosem
[starszego brata:
ile razy trzeba cię budzić, abyś obudził
[się w swojej epoce?
Mówiłem do siebie głosem brata
[samobójcy
i zamiast pisać — pióro stawiało kreski,
[znaki,
chodziło po papierze jak sejsmograf,
[aż prysło...
(Szkic pamiętnika)

Lektura Serca granatu, gdzie znajdował się ten pewnego rodzaju komentarz do kilkunastoletniego milczenia, oddziałała jednak przede wszystkim treściami, w których mogliśmy odczytać w sposób wyraźny i uchwytny przeżycia, doświadczenia i przemyślenia, formujące rozwój poety i pobudzające go swoją siłą do wypowiedzi. Treści były głęboko związane ze sprawami, które przyniósł okres wojny z hitleryzmem. Wiersze Ważyka odbijały zarówno wstrząs wywołany klęską i cierpieniami Polski w niewoli jak i zdecydowaną wolę walki z wrogiem o wyzwolenie. Pobyt w czasie wojny wśród ludzi radzieckich, ukształtowanych ideą i doświadczeniami budowania pierwszego w świecie państwa sprawiedliwości społecznej, bezprzykładne dowody ich poświęcenia w walce, która toczyła się nie tylko w obronie własnej ojczyzny, lecz także o wolność i przyszłość całego świata, wreszcie pochód szlakiem bojowym w szeregach I Armii — oto czynniki, które określiły charakter poezji Ważyka, nadając jej zdecydowaną wyrazistość ideową i nasycając jej treść pełnym żaru wewnętrznego stosunkiem do dziejących się spraw historycznych.

To właśnie sprawiało, że nowy zbiór wierszy Ważyka przyjęty z radością jako wynik przełamanego milczenia poety wywarł tym większe wrażenie, gdyż czytelnikom, którzy pamiętali jego twórczość przedwojenną, objawił całkowicie odmiennego i nowego poetę, który dzięki charakterowi i rodzajowi osiągnięć wysunął się od razu do czołówki, torującej nowatorskie drogi rozwoju poezji Polski Ludowej.

*

Dorobek przedwojenny, reprezentowany w Nowym wyborze wierszy wyselekcjonowanymi utworami z tomów Semafory oraz Oczy i usta, trzeba odczytywać z obecnych pozycji rozwoju poezji polskiej, które zresztą, o czym nie wolno zapominać, osiągnięte zostały w dużym stopniu dzięki wysiłkowi rozwoju ideowo-artystycznego samego Ważyka.

Jak z tej perspektywy przedstawia się jego znaczenie?

Poeta, zapytany w wywiadzie w r. 1947 o swój stosunek do pierwszej fazy twórczości, dał następującą odpowiedź: „Taki jak do wszystkiego, co powstało ćwierć wieku temu — historyczny". Odpowiedź jednak nie wyczerpuje zagadnienia w całości. Co bowiem oznacza stosunek historyczny do zjawisk literackich? Niewątpliwie, jest w tym stwierdzenie zamkniętego już etapu rozwoju, więcej nawet — etapu, który nie zawiera w sobie możliwości kontynuacji. Istnieje przecież coś, co zadecydowało o tym, że należące do tego samego zamkniętego etapu próby prozaiczne Ważyka, jak tom opowiadań Człowiek w burym ubraniu (1930) i powieść Latarnie świecą w Karpowie (1933), sam autor skazał na zapomnienie, podczas gdy dorobkowi poetyckiemu przy-

znał prawo przeniesienia poza granice swojej epoki.

Zobaczmy zatem, co stanowi uzasadnienie tego prawa.

Ważyk wystąpił na widownię literacką w nadanej mu przez opinię i początkowo przyznawanej przez niego samego roli adherenta grupy „Nowa Sztuka", która skupiała warszawski odłam naszej tzw. awangardy. Twórczość jego bowiem kształtowała się w znamiennym dla lat po pierwszej wojnie światowej gorączkowo-nerwowym klimacie poszukiwania rozwiązań poetyckich w nowatorstwie formalnym, czy, jak się wtedy mawiało, eksperymentatorstwie. Utwory Semaforów oraz Oczu i ust odsłaniają bardzo wyraźne wpływy tego klimatu. Przynależność jednak Ważyka do grupy „Nowa Sztuka" była czysto nominalna. Reprezentował on wśród warszawskich, i nie tylko warszawskich, „awangardzistów" zjawisko całkowicie odrębne i właściwie zupełnie odosobnione. Trudno istotnie znaleźć jakieś punkty wspólne między autorem Semaforów a na przykład Peiperem, Przybosiem, Sternem, Czyżewskim lub Czechowiczem. Tzw. tendencje awangardowe nie składały się bynajmniej na formację jednorodną i jednoznaczną w swoich uwarunkowaniach ideologicznych. Dlatego właśnie przy ocenie poezji dwudziestolecia należy zarzucić bezapelacyjnie stosowany często przedtem ryczałtowy system klasyfikacji „awangarda", który niczego w zasadzie nie określa i nic nie znaczy. Samoistność i odosobnienie Ważyka w plejadzie „awangardzistów" stanowi najwymowniejszy przykład, że klasyfikowanie go wyłącznie na podstawie samych impulsów nowatorstwa formalnego w ramach grupy, na którą składały się indywidualności o najzupełniej różnych i nierzadko przeciwstawnych postawach ideologicznych, byłoby przejawem formalizmu, który pomija rozstrzygające w ocenie treści ideologiczne.

Impulsy nowatorstwa formalnego... Niewątpliwie stanowią one charakterystyczną i uderzającą cechę przedwojennego dorobku poetyckiego Ważyka. „Chwaliłem ruch wyobraźni i w wierszu otwartym płynąłem" — wyznaje poeta w Szkicu pamiętnika, lapidarnie i trafnie akcentując najistotniejsze momenty swoich ówczesnych założeń artystycznych. Cóż to bowiem oznaczało? — Ruch wyobraźni czyli obraz rzeczywistości lub ściślej, mówiąc formułami poety, obraz „królestwa rzeczy" przemieniający się stosownie do subiektywnego odruchu w płynność i nieuchwytną wieloznaczność asocjacji, którymi poezja Ważyka nie przestaje oddziaływać nawet dzisiaj, służył w sposób oczywisty rozbijaniu tworzywa rzeczywistości, które wiersz miał u podstawy. Ukazując niejako na gorąco proces „przemienności rzeczy", wypełniając funkcję świadomego stosowania zaskakujących niespodzianek, prowadziła w częstych konsekwencjach do deformacji obrazu rzeczywistości, do ujmowania go w zatomizowanych i chaotycznych cząstkach. Dlatego, mimo iż zasada systemu kojarzeń Ważyka była daleka od irracjonalizmu (który wtedy wlewał się szeroką falą do twórczości wielu poetów) i podporządkowana ściśle rygorom dyscypliny intelektualnej jako czynnika organizującego, jego „wiersze otwarte", tj. nie zamykające w sobie niczego w takim kształcie, który oddawałby rzeczywistość w sposób jednoznaczny i wyczerpująco określony, nasuwają czytelnikowi niewątpliwą trudność arabeskowatością i komplikacją swojego wyrazu.

Czytelnik jednak, który przedziera się przez trudności formy artystycznej, zaczyna dostrzegać, rozsupłując nawraca-

jące wątki treściowe, że właśnie to, co mogło by się wydawać wyłącznie eksperymentem formalnym lub nawet manierą stylistyczną, posiadało bardzo głębokie uwarunkowanie i było pełnym konsekwencji wyrazem negacji i sprzeciwu wewnętrznego wobec rzeczywistości.

W dotychczasowych głosach krytyki o przedwojennym dorobku poetyckim Ważyka podkreślano na ogół przede wszystkim ograniczony świat pejzażu miejskiego i zacieśniony krąg realiów bytowania drobnomieszczańskiego jako decydujący rzekomo dla wymowy tej poezji. Istotnie, świat wyznaczany wieloma wierszami S e m a f o r ó w oraz O c z u i u s t sprowadza się do scenerii dziejącego się w oderwaniu od głównych spraw epoki bytowania drobnomieszczańskiego z jego typowymi i powszednimi rekwizytami, podbudowywanej często dekoracjami egzotyki i rozświetlanej fajerwerkami fantastyki. Uderzająca jednak sugestia artystyczna, z jaką Ważyk odmalował ten izolowany krąg, nie powinna przesłaniać wyraźnie uwidoczniającego się faktu, że poeta jest całkowicie świadomy, iż jest to krąg izolowany i przez to wtórny. Nie można także zapominać o takich utworach, jak na przykład Ś l u b K r z y s z t o f a, w których treści tego kręgu poddawane są druzgocącej krytyce. Ale w wierszach przedwojennych tomików widać więcej. Znajdujemy tu przecież realia świata już nieizolowanego, których nieobojętna waga, jaką nadawała im rzeczywistość, posiadała bardzo zasadnicze znaczenie dla formowania się ówczesnej postawy poety i tym samym decydowała o istotnej wymowie jego poezji.

Wystarczy wskazać, dla przykładu, tak znamienny i bynajmniej nieodosobniony w swoich akcentach utwór jak T r a n s a t l a n t y k 1924. Migawkowo-filmowa jego konstrukcja artystyczna ukazuje w sposób wstrząsający obraz nędzy i beznadziejności życia robotników, zamienianych przez system kapitalistyczny na robotów, potworną zbędność człowieka wyrzuconego bezrobociem za nawias społeczeństwa, ucisk samotności i ostatnią, żebrząco-nieśmiałą nadzieję na odruch ludzki, kiedy — jak pisze poeta — „ktoś litościwy podając zapałkę rozświetli ciemność uśmiechem w jutro". Wygłos tego wiersza jest pesymistyczny, ale pesymizm wynika tu, co widać wyraźnie, z rozdzierającego sprzeciwu i negacji w stosunku do dostrzeganego chaosu i bezsensu świata kapitalistycznego. Takie są właśnie najbardziej charakterystyczne momenty postawy Ważyka, ujawniającej się w przedwojennych tomach.

Nie ulega wątpliwości, że pesymizm negacji był wyrazem jedynie bezradności. Sprzeciw bowiem był nacechowany ograniczeniami. Poeta dostrzegał i rejestrował jedynie zjawiska rzeczywistości, które budziły protest, niewidoczne jednak zostawały dlań wtedy poza pozornym, zewnętrznym chaosem i bezsensem siły tworzące historię. To decydowało o tym, że sprzeciw pozbawiony był określonego kierunku społecznego i moralnego i że prowadził do zagubienia się w indywidualnym samotnictwie, do poczucia bezradności i pełnego rozdarcia pesymizmu negacji.

Niech sen mnie surowy igliwiem otuli
jak dnia tego popołudnie i jak wieczór [nawet
Teraz jest trzecia w nocy
Już obrywają się guziki u dziennej [koszuli
jak zwiędły kwiat na piersi mojej leży [krawat!
Dosyć.

(S k w e r)

Kiedy się dobrze odczyta te impulsy, jasne się staje, że wtórny, izolowany

krąg świata, który znalazł tyle miejsca w ówczesnych wierszach Ważyka, był swojego rodzaju ucieczką w dziejące się „na pograniczu snu i drwiny" igraszki mistyfikacji. Ucieczką wprawdzie złudną, bo nie wytrzymywała próby rozdzieranej rozterką rozpaczliwej samowiedzy poety, dającej znać o sobie wpośród feerii i błyskotliwości prestidigitatorstwa.

Żegnaj,
miasto, które sławili mistyfikatorzy!
Ja także zachodziłem między nich
[onegdaj,
alem ja, brednio moja, zgryzł cię i
[otworzył
przez pół, pokrętną, stęchłą, jak
[wnętrzne orzecha,
co wysechł. Jeśli o mnie spyta kto
[w Inkipo,
odpowiedzcie mu prawdę: nawet ten
[odjechał.
(Pożegnanie Inkipo)

Tak mógł poeta napisać po latach o tym okresie, przezwyciężywszy ostatecznie ograniczenia, których piętno odczytujemy zarówno w ideologicznej, jak i artystycznej wymowie przedwojennej jego poezji. Znamienność bowiem i specyfika eksperymentatorskich założeń artystycznych stanowiła nieodłączny i konsekwentny wyraz postawy negacji wobec widzianego świata.

„Odrzucając stare reguły i znajdując nowe — pisał Ważyk w artykule U podstaw nowatorstwa w poezji (Kuźnica, 1947, nr 12) — poeta miał nie tyle poczucie wynalazcy, ile satysfakcji człowieka przekształcającego świat. Niepokój techniczny pochłaniał jego energię sprzeciwu moralnego, odczuwał „eksperyment" jako walkę prowadzoną przez siebie z uznanymi regułami, dlatego, że stanowiły wykładnik ustalonej a odrzucanej przez niego kłamliwej treści humanistycznej. Kłamliwej, bo nie pokrywała się z praktyką społeczną. Nie mogąc się zdobyć na inną, prawdziwszą, prowadził boje o „nowe formy" bez jasno określonych celów ludzkich, moralnych, społecznych, choć cele takie mogły mu być znane i bliskie. Słowem, nie mogąc na teren sztuki przenieść walki o przewrót w życiu społecznym, robił przewroty w formach sztuki".

Czy wolno tą wypowiedzią posłużyć się jako w pewnym stopniu glossą komentatorską do własnej twórczości? — Niechybnie tak. Precyzja interpretacji, podziwiana zresztą we wszystkich wystąpieniach Ważyka - essayisty, wyznacza i tłumaczy w sposób odkrywczy to, co wynikając z niepełności ówczesnej postawy sprzeciwu wobec przejawów świata kapitalistycznego spowodowało ograniczenie rezonansu, jaki mogły budzić wiersze Semaforów oraz Oczu i ust. Był to rezonans poezji, która, chociaż poddana impulsom negacji wobec tamtego świata, negacji nasyconej nieraz (jak w utworach Do przyjaciela, Wykres, Dobranoc i inne) treściami pełniejszymi, niż te, które mogły wypływać tylko z samego indywidualistycznego sprzeciwu, nie była związana z główną siłą historyczną swojego czasu.

Należy jednak podkreślić, że mimo upływu lat ów ograniczony w swoim zakresie rezonans zachowuje nienadwątloną siłę. Nie decyduje o tym, jak mniemają niektórzy krytycy, jedynie sprawa artyzmu. Rozstrzyga jednak sprawa, która posiada większą wagę. Jest nią widoczna w ówczesnej poezji autora Semaforów przenikliwa samowiedza niepełności zajętej postawy, samowiedza uwarunkowań, które ją określają, oraz konsekwencji, które z niej płyną. Ta właśnie uderzająca i znamienna samowiedza ograniczenia — nie

była ona zapewne bez udziału w zamknięciu poety — stwarzała nieodzowny dystans, który pozwalał poecie obok impulsów bezradnej negacji i bierności, jako wtórnego refleksu spraw epoki, ukazać także w pewnym zakresie zjawiska i podłoże epoki, w której takie impulsy mogły i częściowo musiały powstawać.

Dlatego przedwojenna poezja Ważyka, odmiennie od wyników, do których w większości wypadków prowadziło poszukiwanie rozwiązań poetyckich w eksperymentatorstwie formalnym, nie popadła, mimo poszczególnych nalotów skłonności deformacyjnych, w antyrealizm. Dlatego z zupełną racją można powtórzyć przydane jej przez krytykę określenie „lirycznego przyczynka" do pozostałej już poza nami epoki, czy też — w jeszcze pełniejszym sensie — przyczynka do skłóceń i niedowładu rozwoju ideologicznego pewnych grup naszej inteligencji tamtych czasów, zdezorientowanych i bezradnych „ludzi nienajgorszej woli", jak, wracając w rozrachunkowym wspomnieniu do tego okresu, nazwał ich poeta.

W uchwyceniu i wydobyciu tych momentów, w umiejętności nadania im sugestywnego wyrazu tkwi tajemnica rezonansu przedwojennej poezji Ważyka. Oczywiście, wskazane ograniczenia powodują, że stanowi ona zjawisko, do którego trzeba mieć stosunek historyczny. Zjawisko to jednak dzięki utrwaleniu bezpośrednich treści historycznych, a nie tylko wtórnych ich refleksów, jak w wielu ówczesnych utworach innych pisarzy, skazanych przez to na zapomnienie, zachowuje nadal znaczenie interesującego dokumentu. W tym właśnie jest jego prawo do przeniesienia poza próg nowej epoki.

*

Od biernej, samotniczej negacji i pesymizmu do afirmacji zbiorowej walki o realizację idei socjalizmu — tak by można określić główny moment przełomu, który zaznaczył się w Sercu granatu. Poezja Ważyka dzięki temu nabiera teraz wymowy tak dalece odmiennej od tej, którą oddziaływały dotychczasowe wiersze, że nowa twórczość nie przystaje już do poprzedniej. Toteż aby zrozumieć naturalne w książce retrospektywnej sąsiedztwo ostatniego utworu przedwojennego z pierwszym wojennym, trzeba właśnie przypomnieć zarówno zastanawiające kilkunastoletnie milczenie, jak i kształtujące wtedy bez wątpienia postawę poety doświadczenia okresu bezrobocia, strajków i krwawych walk klasowych oraz narastającej grozy faszyzmu, a następnie doświadczenia wojny przeciw faszyzmowi i walki o wyzwolenie, z których treści narodził się i nasycił nimi tom Serce granatu.

Głos poety brzmi teraz inaczej:

Ci, co zginęli w murach Warszawy,
ci, co zginęli na Westerplatte,
ci dali życie nie za nic...

— — — — — — — — — — — — —

Ci, którzy niegdyś padli w Madrycie
i którzy wzięli pierwszeństwo śmierci,
do wszystkich byli podobni.

— — — — — — — — — — — — —

Ci, co bronili murów Odessy,
ci, co bronili Sebastopola,
bronili siebie i nas.

(Dzieje)

Takie właśnie są nowe treści poezji Ważyka. Wiara w walkę o słuszną sprawę, która zespala ludzi, i wiara w bohaterstwo, którym człowiek przyświadcza swój udział w walce o wspólne cele, wysuwa się coraz mocniej jako nowy, naczelny ton. Stanowi on świadectwo zrozumienia sił kształtujących świat i dowód wyboru właściwej

drogi, która prowadzi do uczestnictwa w dziejowych procesach. Jest to rezultat przejścia z pozycji pozahistorycznego i zamkniętego w negacji samotnictwa indywidualisty na pozycje człowieka, który odnalazł sens historii, zajął wobec rzeczywistości postawę materialisty i uzbrojony został w treści rewolucyjnej ideologii. Otwarło to poecie, który zawsze szukał „sprzymierzenia z umysłem" i dążył do ładu oraz dyscypliny, aby „nie nazywać białym nic co nie jest białym", nieprzeczuwane przedtem perspektywy rozwoju i wyrazu.

Zajęcie nowej postawy wobec rzeczywistości stanowiło przełamanie dawnego subiektywizmu. Pogłębiło to i poszerzyło zakres humanistycznych treści poezji Ważyka. Przeżycia, które poeta teraz wypowiada, mają, poddane obiektywnym rygorom, nie tylko jednoznaczny i sprawdzalny sens, ale i powszechny rezonans wynikający z wagi spraw, z którymi się wiążą. Uderza szeroka pełnia humanistycznych treści od miłości do człowieka do nienawiści do faszystowskiego złoczyńcy. Zwraca uwagę nowatorskie ujęcie zagadnienia człowieka i wojny. Nie ma tu nic z ogólnie spotykanego traktowania wojny jako żywiołowego kataklizmu i malowania tragizmu losów człowieka jako tragizmu bezwolnej ofiary żywiołów, lecz wręcz przeciwnie poeta akcentuje żywą wiarę w człowieka, przenikniętego patosem walki, i wiarę w zwycięstwo nad rozpętanymi siłami faszyzmu.

Zwracają uwagę w S e r c u g r a n a t u wiersze, których motywy odbijają nieco specyficznym charakterem od reszty. Są to mianowicie motywy rozrachunków z minioną przeszłością i częściowo z dawną wobec niej postawą. I tutaj także widać działanie sił, które formowały wzrost ideologiczny poety. Spojrzenie bowiem na przeszłość pada już z nowych pozycji ideologicznych i posługuje się nowymi kryteriami oceny. Dlatego też sama przeszłość widoczna jest inaczej, niż ukazywała się w dawnych wierszach. Jan Kott, pisząc o rozrachunkach Ważyka, określił ich wynik zmetaforyzowanym językiem następująco: „Klocki zostały te same, tylko jak w dziecinnej obrazkowej łamigłówce ułożono je po latach według rzeczywistego wzoru". Wypada zaznaczyć, że w nowym obrazie przybyło, bo musiało przybyć, owych „fragmentów rzeczywistości narysowanych na każdym klocku". Nie jest to bynajmniej bez znaczenia. Wydaje się, jak gdyby poeta, któremu postawa światopoglądowa pozwoliła dopiero teraz ocenić zjawiska rzeczywistości jednoznacznie w ich uwarunkowaniach historycznych i społecznych, podjął motywy rozrachunku właśnie po to, aby napisać komentarz do dawnej swojej poezji, która wskutek scharakteryzowanych założeń ukazywać mogła często tylko „schemat życia ułożony na opak". W ten właśnie sposób przypieczętowany miał być ostatecznie zamknięty etap rozwoju. Świadczy o tym wysoka temperatura namiętności wierszy oraz fakt, że motyw rozrachunku wraca sporadycznie jeszcze tylko w W i ą z c e p o w o j e n n e j.

Rozwój Ważyka stanowi odtąd konsekwentną i nacechowaną nieustannym wysiłkiem realizację perspektyw przełomu, który nadał tomowi S e r c e g r a n a t u tak ogromne znaczenie w twórczości poety i w procesie przeobrażeń współczesnej naszej poezji. Toteż dalsze cykle poetyckie W i ą z k a p o w o j e n n a i N o w e w i e r s z e, oczekiwane przez czytelników z niecierpliwością, będąc rezultatem umocnienia i rozszerzenia podstawy światopoglądowej, pogłębienia i krystalizacji świadomości ideologicznej, wyznaczają swoimi zdobyczami nie tylko

etapy indywidualnego rozwoju poety, ale także zasadnicze osiągnięcia i kierunek rozwoju naszej poezji.

Twórczość Ważyka jest teraz jak najściślej związana z naszym czasem i zadaniami, jakie historia stawia przed nami. Każdy nowy utwór precyzuje z coraz większą wyrazistością funkcję ideową i polityczną jego poezji i uwydatnia pełnię realistycznego, socjalistycznego jej humanizmu. Świadczą o tym wątki treściowe utworów:

Garnków i rajów nie lepią święci,
lecz ci, o których losy walczymy.

(O d a  d i a l e k t y c z n a)

Z charakterystyczną afirmacją działania i przekształcania świata łączy się równie charakterystyczna wiara w możliwości ludzkiego umysłu:

Plan i świadomość,
wszystko, co człowiek dał Bogu,
stanie się ludzką potęgą.

(D o  P a w ł a  E l u a r d)

Głęboko brzmi klasowy ton tej poezji, związanej z rewolucyjną ideologią i rewolucyjną działalnością czołowej siły historycznej, klasy robotniczej. Widać to w wzbogaceniu treści ideologicznej, którą miała walka z hitleryzmem o wyzwolenie kraju, żarliwymi treściami walki o wyzwolenie wszystkich ludów spod wszelkich form ucisku, walki z wszystkimi siłami, które pragną stanąć w poprzek na drodze ludzkości ku sprawiedliwej przyszłości socjalistycznej. Proletariacki patriotyzm wierszy Ważyka, które odtąd wiernie towarzyszą socjalistycznemu i pokojowemu budownictwu polskich mas pracujących, splata się nierozerwalnie z proletariackim internacjonalizmem. Jest w tych wierszach zaciętość walki i wiara w zwycięstwo, natchniona przodującą ideologią z przodującym wzorem największego człowieka naszych czasów, o którym poeta, posługując się wielką metaforą: „mądrość Stalina, rzeka głęboka", pisze:

Ludzie zbudzeni
na ziemi swojej
łamią się chlebem,
dzielą pokojem.
Ty ich opływasz,
rzeko rozumna,
ty wiejesz zdrowiem,
wiatrem urody,
przebijasz góry,
rzeko podskórna,
łączysz narody.

(R z e k a)

Na marginesie tematyki wierszy Ważyka trzeba jeszcze zanotować dość znamienny moment. Oto w cyklu W i ą z k a  p o w o j e n n a, jak przedtem w S e r c u  g r a n a t u, znajdowaliśmy wiele utworów, które można sklasyfikować, mówiąc językiem potocznym, jako tematykę osobistą. Były to wiersze poświęcone wspomnianym motywom rozrachunkowym oraz wiersze, które zawarły „ból doświadczenia" osobistego. Odnosiły się do spraw, których szczególne, nawet imtymne, owiane nieraz goryczą jednostkowe przeżycia, zachowywały powszechnie odczuwalną treść humanistyczną. Otóż uderza, że w cyklu N o w e  w i e r s z e nie znajdujemy już podobnych utworów.

Niemniej nurt osobistego uczucia jest w niej nadal bardzo silny. Różnica jednak przebytego etapu, który oddziela oba cykle, bo niewątpliwie należy w tym widzieć różnicę stopnia krystalizowania się funkcji ideowej i politycznej poezji, polega na tym, że poeta wybiera teraz wyłącznie tematykę, która jest — żeby posłużyć się formułą jednego z wojennych wierszy — „moja — powszechna" i mówi o sprawach, które, będąc sprawami naszych czasów, są sprawami zarazem osobistymi jak i po-

wszechnymi. Trafne i harmonijne stopienie tych dwu elementów, które wzajemnie użyczają sobie swojej siły, decyduje zarówno o uroku poezji Ważyka, jak i, uwzględniając stopień osiągniętej mistrzowskiej i zarazem pełnej prostoty sugestii artystycznej, o sile oraz zasięgu jej oddziaływania.

Toteż o ile o przedwojennym dorobku poety można było powiedzieć, że był „lirycznym przyczynkiem do naszej epoki", to teraz poezja Ważyka, zamykająca tyle doświadczeń poety, żyjącego w głównym nurcie historii, stała się bezpośrednim wyrazem epoki. Jej głos służy sprawom, które kształtują naszą współczesność i przyszłość. Jest to bezsporna miara roli tej poezji i osiągniętej jej wielkości.

*

„Zmiana stosunku do świata, to zmiana techniki, inny artyzm". Jest to wypowiedź Ważyka w jednym z wywiadów w r. 1948 na temat sił, które kształtują przeobrażenia naszej literatury współczesnej. Konsekwencje artystyczne, jakie przełom światopoglądowy i krystalizacja ideologiczna ujawniły w nowym okresie rozwoju poety, mogą być trafnie ilustrowane jako ilustracja trafności cytowanego sformułowania. Nieprzystawalność do siebie dorobku dwóch okresów twórczości Ważyka uderza przecież równie silnie w sensie ideowym jak i artystycznym. W tym właśnie, obok przemilczenia, kryła się druga strona niespodzianki, jaką stało się pojawienie się tomu Serce granatu. Zapytajmy jednak: Czyżby zmiana sięgała tak daleko, że nie zostawiła żadnych związków łączących jeden okres twórczości z drugim? — Poeta w rozmowie zanotowanej przez J. Śpiewaka („Nowiny Literackie", 1947 r.) stwierdził przy okazji spojrzenia na swój dorobek, że doświadczenia formalne, jeśli tylko nie były manierą stylistyczną, pozostają i wzbogacają kulturę poetycką. Wszakże na pytanie: w jakiej się to dzieje mierze? — musiała paść odpowiedź, że doprawdy trudno to określić. Istotnie, niesposób sprecyzować, czy mistrzostwo artystyczne, które na wyżynach jego osiągnięć podziwiamy obecnie u Ważyka, korzysta ze zdobyczy poprzedniego okresu. Można tylko stwierdzić, że zmiana, którą śledzimy, musiała bez wątpienia przekształcić także charakter poprzednich doświadczeń. Jest to bowiem w gruncie rzeczy zmiana zasady artyzmu. Tym też zapewne tłumaczy się fakt, iż mimo tak głębokiego przedtem zaawansowania się w poetyce o założeniach eksperymentatorskich Ważyk nie pokazuje prawie zupełnie — rzecz charakterystyczna na tle powojennych przemian naszej poezji — śladów borykania się z jakimikolwiek obciążeniami artystycznymi.

W czym należy widzieć zmianę zasady artyzmu? — Spróbujmy, na ile pozwalają na to ramy recenzji, zarejestrować najistotniejsze bodaj rysy. Zestawmy dwa przykłady z poprzedniego i obecnego okresu twórczości, przykłady zapewne niejednakowo znamienne dla Ważyka, ale wolne od specjalnej jaskrawości przeciwstawienia i przez to pozwalające tym wyraźniej uwydatnić różnicę metod artystycznych. Oto przykład z tomu Oczy i usta:

Po ulicy spacerują cztery kwiaciarki
Na rogu przed rozstaniem podają sobie [wargi
W południe idzie również jakiś handlarz [uliczny
wieczorem stoi w bramie sklepikarz [symetryczny
pierwszy trzyma w ręku zielone [warzywa
drugi trzyma lampkę z oliwą
Tutaj też przechadza się nieznany [fotograf

i ja byłem fotografem i na każdym
[zdjęciu
mam drzewa gniazda i ptaki
Za kwadrans będę słyszał ciężki krok
[robotnika
Trzeba czekać na niego na sól do chleba
Czyjego ciała rytm do moich słów
[przenika?
Ja szeptem wracam do domu
to tylko świerszczyk w moich włosach
[śpiewa

(Przechodzień)

Drugi przykład z cyklu Nowe wiersze:

Jest las, jest droga w tym lesie
[zamierzchła,
z tropu wymarłych danieli wysnuta,
niekiedy szersza, niekiedy jak ścieżka
schodząca w parów. Wapienie
[w parowie
świecą się w mroku jak szkielet
[mamuta.
Tędy ze strzelbą jeździli panowie,
tędy się trzęsły drabiniaste wozy
z chrustem kradzionym — a w tym
[się zawiera
przeszłość — i jeszcze tylko białe
[brzozy.

Tędy do szkoły dzieci na rowerach
pędzą sięgając po brzozowy listek,
dziewczyny jadą na kurs traktorzystek,
w las nawołując, kukułka im kuka,
tędy świat cały... O drogo zamierzchła,
tyle nowości koło ciebie mieszka
i w tylu sercach kukułka tu kuka!

(Drogą przez las)

Porównanie odsłania w sposób oczywisty, że różnica użytych metod artystycznych jest konsekwencją różnicy widzenia świata, różnicy wyrażonych postaw.

Rejestracyjne gromadzenie szczegółów w Przechodniu i rozmyślne zaniechanie wyboru przy całkowitym zdaniu się na niespodzianki przeskoków skojarzeniowych, które sprawiają, że każdy szczegół widziany jest niejako oddzielnie, nie może dać pełnego zarysu obrazu rzeczywistości. Zdajemy sobie sprawę, że szczegóły mogłyby być mnożone w nieskończoność i że mogłyby być zastąpione innymi, a otrzymany obraz byłby jednakowo niepełny i niezamknięty, wiersz zaś nie zmieniłby swojej wymowy. Taka bowiem metoda była wyrazem znamiennej wówczas postawy poety wobec świata, w którym widział chaos i bezsens i który swoją ograniczonością i brakiem perspektyw wywoływał sprzeciw i pesymistyczną negację. Metoda zatem, która prowadziła do swoistej deformacji, była konsekwencją widzenia świata.

Jakże natomiast inaczej przemawia wiersz Drogą przez las, którego koncepcja tematyczna akcentuje dialektyczny sens przeobrażeń dostrzeganych w opisywanej rzeczywistości. Widać tu wyraźnie, że użyta metoda artystyczna jest podporządkowana dialektycznemu widzeniu świata. Uderza przede wszystkim niesłychana oszczędność szczegółów, które przecież, przeciwnie niż w poprzednim przykładzie, składają się na zdecydowany w zarysie i zamknięty obraz rzeczywistości. Są one bowiem dobierane świadomie pod kątem zawartych w nich elementów charakteryzujących rzeczywistość, która teraz widziana jest nie statycznie, lecz dynamicznie, jako całość procesów tworzących jej sens: sens przeszłości, która przeciwstawia sytuację panów i chłopów, sens teraźniejszości która otwiera nowe perspektywy dawnym nędzarzom.

Zasada artyzmu, która służy dialektycznemu odtwarzaniu obrazu rzeczywistości, stanowi właśnie uchwytny wynik przejścia od subiektywizmu dyktowanego negacją odkształcania czyli rezygnacji z jednoznacznego ujęcia zja-

wisk — do realistycznego widzenia rwiata, określonego światopoglądem naterialistycznym i rewolucyjną ideo- ogią. Jeżeli poeta do swoich utworów poprzedniego okresu stosował formu- ę „wiersz otwarty", która istotnie od- powiadała charakterowi postawy nie próbującej określić świata w zamknię- ym i jednoznacznym obrazie, to do wierszy obecnego okresu trzeba by za- em odnieść jakąś nomenklaturę, która by uwydatniała ich całościowy — żeby ak powiedzieć — charakter, będący re- zultatem podstawy, która pozwala wi- dzieć rzeczywistość jako dialektyczną całość.

W dorobku współczesnej naszej poezji osiągnięcia Ważyka prezentują w spo- sób bez wątpienia najbardziej wyrazi- sty, jak dalece siła realistycznego wi- dzenia, oparta o właściwy światopogląd i rewolucyjną ideologię, staje się de- cydującą siłą wyrazu artystycznego. Jednocześnie zaś warto podkreślić, że rygory takiej zasady artyzmu nie wpły- wają bynajmniej na różnorodność u- jęć i rozwijania tematu. Różnorodność powiem wyrazu, którą podbijają wier- sze Ważyka, może stanowić znamien- ny i rozbijający fałszywe uprzedze- nia przykład, że metoda realizmu so- cjalistycznego nie tylko nie ogranicza odrębnych możliwości poszczególnych pisarzy, lecz zostawia każdemu pełną swobodę wyboru indywidualnego wy- razu artystycznego. W poezji Ważyka, w której różnorodność jest jednym z głównych źródeł jej sugestii, jak świadectwem zarówno skali możliwo- ści talentu oraz miarą dojrzałości, nie zamąca ona bynajmniej konturu indy- widualności. Nie ma bowiem w niej nic z eklektyzmu. Zwiera ją i skupia, jak promienie w soczewce, zdecydowa- na i wyrazista indywidualność, zawsze uchwytna i niejako sprawdzalna w sa- mej postawie i określonym przez nią jednorodnym ładunku uczuciowo-re- fleksyjnym, wyczuwalnym w każdym utworze.

Przyjrzyjmy się kilku przykładom. Oto forma relacjonującego ujęcia i roz- wijania tematu:

Wioski stały przy drodze, całe
[w krzyczących makach,
szli fizylierzy i kwiaty nieśli w lufach
[ogniste,
z konwią mleka nas czekał stary chłop,
[który płakał,
55 kilometrów zrobił nasz pułk tej doby.
(P r z y j ś c i e)

Dalej forma ujęć, skierowanych ku przedstawieniom pewnych zjawisk w całościowych obrazach, jak na przy- kład:

O świcie niecierpliwa,
niesyta swojego piękna,
syczała lokomotywa
nad dziewczyną, która uklękła.
(W i d o k ó w k a z m i a s t a
s o c j a l i s t y c z n e g o)

Niemniej charakterystyczne dyskur- sywne ujęcie tematu, jak np.:

Wróżących z dłoni losy wyśmieją,
praca przeorze rysy ich dłoni,
dzieci ich będą dziwić się dziejom
i wracającej skokiem harmonii.
(O d a d i a l e k t y c z n a)

Właściwie jednak należało by cyto- wać i analizować każdy wiersz Waży- ka. Przykłady bowiem, które mogłyby mieć jakiś sens klasyfikacyjny przeja- wów różnorodności artystycznych ujęć tematu, dotyczą jedynie form najprost- szych i raczej jednorazowych. Forma bowiem ujęć artystycznych nie stano- wi u Ważyka nigdy gotowego schematu i jest niepowtarzalna. Zarówno jej wy- bór jak i postać, w jakiej występuje, są zawsze uwarunkowane z pełną kon- sekwencją przez treść, którą wiersz wyraża. Najczęściej spotykamy u niego

połączenia i splecenia poszczególnych form, które w swojej indywidualnej i sugestywnej harmonii umykają przed jakimikolwiek próbami klasyfikacji.

Podkreślić jedynie można zasadę, która bardzo wyraźnie uwydatnia się w wierszach nowego okresu. Jest to bowiem skłonność, a zarazem zdolność, do uogólniania treści, która stanowi podstawę utworu, w syntetycznym skrócie.

Żołnierz, że bił się, jest zabity w lesie,
chłop, że brał ziemię, jest zabity w domu.
Żyd, że ocalał, jest zabity w drodze.
W kronice gorzkiej teraźniejszych
[rzeczy
wyrok stu głupców wisi nad
[przyszłością.
(K r o n i k a)

Noc idzie, czarna noc z twarzą dolara,
towarzyszu Eluard, towarzyszu nadziei,
w zagłębiach Zachodu górnicy strajkują,
górnicy świecą lampkami nadziei
w noc amerykańską, to godziny próby.
(D o P a w ł a E l u a r d)

Przykłady można mnożyć. Skrótowa synteza stanowi bez wątpienia najbardziej dominującą cechę artystycznych tendencji obecnego okresu twórczości Ważyka. Jest ona niechybnie odpowiadającą jego indywidualności poetyckiej konsekwencją artystyczną opartych o wyraźne i rygorystyczne założenia realizmu socjalistycznego, prób uogólniania zjawisk i procesów rzeczywistości. W skrótowych syntezach, które przynoszą wiersze Ważyka, znajdujemy wszystkie cechy, składające się na charakterystyczną wymowę jego poezji. Są to przede wszystkim: precyzja obrazowego i emocjonalno-refleksyjnego skrótu, który, unikając zbędnych detali nie tylko akcentuje najistotniejsze momenty treściowe wiersza, ale jednocześnie otwiera perspektywy szerokiego tła, uwydatniającego dialektyczne i historyczne znaczenie zjawisk. W tym właśnie kryje się umiejętność wydobycia z tematu maksymalnej dynamiki jego wątków i wymowy ideowo-politycznej.

Za to, że za górami Uralu
rodzi się pierwsze miasto rolników,
za to, że elektrownia na Wołdze
będzie motorem w fabryce zboża,
dopadła go znienacka,
kłonicą go powaliła,
święconą kulą zabiła
zmowa kułacka.
(M o r d e r s t w o)

Myśmy wskrzesili miasto,
oni wskrzesili mordercę.
Ty jesteś moje miasto,
troska mężczyzn i kobiet,
Warszawa, źrenica pokoju,
Prości ludzie znają mordercę,
prości ludzie odetną mu ręce.
(W a r s z a w a, ź r e n i c a p o k o j u

Skrótowe syntezy Ważyka, uwarunkowane nie kronikarską, lecz właśnie historyczno-syntetyzującą treścią jego związków z dziejącą się rzeczywistością, są owocem pełnego poczucia odpowiedzialności za selekcję faktów i zjawisk. Mogą one w tym względzie służyć jako celny i wyrazisty materiał do rozważań na temat zagadnienia realistycznej indywidualizacji i typowości w poezji. Dowodem tego, jak równo waga tych elementów jest bezbłędna są wiersze W o j n a w C h i n a c czy P i o s e n k a o C o c a - C o l a Operowanie bowiem fantastyką egzotycznego opisu ma silną podstawę w uczuciowym nurcie, określającym realistyczny sens całości obrazu, jak i posługiwanie się swojego rodzaju pseudonimami zamiast bezpośredniego nazwania („pijemy wodę nadziei") nie odrywa metaforycznego sensu od realistycznego podłoża analizy rzeczywistości

ści. Stąd właśnie, z tego realistycznego zrównoważenia wymogów typizacji i indywidualizacji w materiale treściowym utworów płynie siła nieprzepartego oddziaływania wierszy Ważyka, nacechowanych zdecydowaną i mocną wymową ideologiczną oraz niepospolitą, budzącą podziw wynalazczością artystyczną.

Należy jeszcze wskazać pewien znamienny rys, który pozwala poddać weryfikacji formuły „intelektualizm" lub „klasycyzm", odnoszone przez krytykę często, ale ryczałtowo i w sposób niesprecyzowany, do poezji Ważyka. Przyjrzyjmy się mianowicie, jak wygląda w niej wzajemny stosunek elementów, mówiąc potocznie, pojęciowych i emocjonalnych.

Patrz, jak stoi uparta
na rusztowaniach partia,
rozpala się klasowa
bitwa — nasza budowa.
Niech wiedzą ludzie, komu
rodzi się dom po domu,
czy magnatom stalowym,
wariatom atomowym,
czy sobie i ludowi
Warszawa się sposobi.

(Lud wejdzie
do śródmieścia)

Wybrany dla ilustracji przykład zwraca uwagę, jak w ogóle wszystkie nowe wiersze, że konkretność obrazu, w którym bierze początek emocjonalne oddziaływanie utworu, przygotowana jest nie tylko zdolnością poety do odtwarzania postrzeżeń, ale także siłą trafnej i pełnej analizy rzeczywistości. Ona właśnie, szeregując postrzeżenia i wyznaczając im właściwe miejsce, wysuwa się jako logiczna architektura kompozycyjna utworu. Siły jednak analizy nie wyczerpuje bynajmniej tylko racjonalizm myśli poznawczej. Jest w niej także żarliwość ideowego stosunku do rzeczywistości. W ten właśnie sposób to, co pojęciowe i emocjonalne, stapia się w organiczną całość, wzmagającą oddziaływanie konkretności utworu, której niepowszedniemu i jedynemu w swoim rodzaju urokowi niesposób się oprzeć.

Wyraźnie widoczna funkcja rygorów intelektualnych jako czynnika zarówno analizy rzeczywistości jak i artystycznego organizowania jej obrazu, oraz harmonia pojęciowości i emocjonalności mogłaby istotnie stanowić uzasadnienie dla formuły: klasyczność poezji Ważyka. Należy jednak zaakcentować całkowitą odrębność i brak jakichkolwiek związków z określanymi tym mianem zjawiskami epok poprzednich. Cecha bowiem poezji Ważyka, do której można odnieść to miano, stanowi indywidualną niewątpliwie w wyrazie, ale nieodrodną i konsekwentną cechę poezji realizmu socjalistycznego, która w swoim oddziaływaniu ideologicznym łączy rygory racjonalizmu w analizie rzeczywistości z pierwiastkami romantyzmu rewolucyjnego w dążeniu do jej przekształcenia.

Artyzm nowych wierszy Ważyka musi uderzać przede wszystkim prostotą. Jest to niewątpliwie świadomie kształtowany wyraz ideowej i politycznej funkcji poezji. Świadczy o tym precyzujące coraz bardziej odkrywcze wyniki dążenie do prostoty, ukazane w tomie Serce granatu i kontynuowane w dalszych cyklach poetyckich. Prostota jednak Ważyka jest szczególnego, trudnego — żeby tak powiedzieć — gatunku. Nie tylko mianowicie nie ujawnia we wrażeniu, które wywiera, składających się na nią różnorodnych elementów artystycznych, ale oporna zostaje nawet wobec prób analizy. Jest to jak gdyby ilustracja powszechnie stwierdzonego faktu, że prostota stanowi najbardziej skomplikowany typ ar-

tyzmu. Toteż aby odsłonić zasadę artystycznego oddziaływania wierszy Ważyka, trzeba by napisać kilkakrotnie więcej, niż wynosi objętość wierszy. z świadomością, że napisało się mimo wszystko mniej, niżeli mogło by powiedzieć samo cytowanie utworów. Wypada się zatem ograniczyć do wskazania bodaj najbardziej uderzających momentów.

Skrótowa synteza, cecha tak bardzo charakterystyczna dla tendencji artystycznych Ważyka, wiąże się z niezwykłą kondensacją treściową jego liryki. Służy temu posunięta, wydawać by się mogło, prawie do granic wyrzeczenia rezygnacja z jakiejkolwiek ornamentyki i zdobnictwa, które ustępują miejsca precyzyjności i lapidarności sformułowań, nadających niekiedy pewnym fragmentom wierszy znamiona epigramatu. Po tylu zacytowanych przykładach nie trzeba dodawać, jak bardzo wzmaga to energię artystycznego i tym samym ideowego oddziaływania. Precyzja bowiem i lapidarność stylu Ważyka przeniknięte są całkowicie wibrem wzruszenia i żarem namiętności ideowej. Znowu wystarczy odwołać się do przytaczanych już przykładów, aby przekonać się, jakie znaczenie w konstatacji faktów lub poddawaniu obrazów posiada opanowana niewątpliwie, ale przez to zapewne tym silniejsza, intonacja wzruszeniowa. Przykłady odsłaniają także, w jakim stopniu przypływy i falowanie intonacji wzruszenia, uwarunkowane treściami tematu, pozostają w związku wzajemnej zależności ze strukturą rytmiczną. Zjawisko to dostarcza wielu wyjątkowo interesujących spostrzeżeń, które mogą być nieocenioną i zapładniającą szkołą dla młodych poetów. Szczególnie musi uderzać, odpowiednio do syntez uogólniających, którym podporządkowane są utwory, całościowa rola organizująca rytmiki. Widać ją zarówno w utworach, które wyrażają, wzmacniając dynamikę, kontrastowe napięcia uczuciowe w wierszach nieregularnych, jak i w utworach, których rytmika kształtuje się w regularnych sylabowcach. Warto także zaznaczyć rolę elementów muzycznych. W przeciwieństwie do przedwojennych wierszy, w których elementy muzyczne ograniczały się wyłącznie do gry aliteracji (np. „rubin gorący patrzy okiem cherubina, jak kot kosmiczny krzemień zachwala się iskrzeniem", Apolog) i miały niejako autonomiczną rolę, niezależną od całości utworu, teraz nabierają one całkowicie odmiennej funkcji. Występując w postaci powtórzeń pewnych zwrotów czy nawet w postaci powracających refrenów (np. Do Pawła Eluard, Piosenka na rok 1949, Piosenka o Coca-Cola), wspierają ogólne ramy konstrukcyjne i służą dobitniejszemu zaakcentowaniu momentów treściowych. Równie zasadnicza jest funkcja rymów, które w poezji Ważyka, realizującego w odkrywczy sposób wyniki własnych dociekań teoretycznych nad tradycją narodową, wiążą się ściśle z intonacją wzruszeniowo-rytmiczną i dopełniają jej celowości. Wskazane elementy stylu Ważyka nie wyjaśniają, oczywiście, tajemnicy jej oddziaływania, prześledzenie jednak funkcji, jaką wypełniają, i pełnego podporządkowania celowi, który stanowi całość wyrazu artystycznego, pozwala wniknąć w skomplikowany i świadczący o wysokim mistrzostwie artyzm prostoty.

Momentem, który narzuca się przede wszystkim jako artystyczna konsekwencja zmiany postawy, jest bez wątpienia wyraz, jaki w poezji Ważyka znalazło nawiązanie do tradycji poezji narodowej. Proces ten pokazał najwyraźniej swoje rezultaty szczególnie w

yklu Nowe wiersze, chociaż zapoczątkowany był wcześniej. Rezultaty , niesłychanie interesujące, dowodzą wyjątkowej czujności ideowo-artystycznej poety, podkreślają jeszcze bardziej (jeżeli to możliwe) samorodność odrębność liryki Ważyka. Znaczenie h jest bardzo odkrywcze i zapładniające. Właśnie pojawienie się Nowych wierszy stało się pobudką do pogłębienia u nas zagadnienia poezji realizmu socjalistycznego, poezji ewolucyjnej w treści i narodowej w ormie. Opracowany wespół z J. Kottem etrospektywny przegląd poezji polskiej w książce Wiersze, które ubimy, jak i studium Mickiewicz i wersyfikacja narodowa, wyrastają z tego samego ążenia do wydobycia prawdziwych adycji narodowych i wpłyną na pewno a dalsze wykrystalizowanie się procesu, którego zwrotnym w rozwoju poezji współczesnej etapem stał się statni cykl poetycki Ważyka.

*

Droga, którą przebył Ważyk od erca granatu do Nowych ierszy, świadczy o nieustannym ozwoju poety i nieustannym jego wyłku ideowo-artystycznym. Każdy noy wiersz oznacza nowe osiągnięcie. la Ważyka bowiem pozycja raz zdoyta nie staje się wzorem, który mógł y być powtórzony. Ten właśnie rys iepoprzestawania sprawia, że na nowe twory czeka się nie tylko z zainteresoaniem, ale i niecierpliwością, jaki ojawi się z kolei ten poeta, który zasze jest inny, zostając zawsze sobą.

**Hieronim Michalski**

EDWARD MARZEC: *Słońce wschodzi*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1951; str. 298.

Gdyby ktoś walkę o wielką literaturę realizmu socjalistycznego określił jako walkę o literaturę o ludziach pracy dla ludzi pracy, wyraziłby przy niewątpliwej wulgaryzacji zagadnienia istotny sens tej walki, uwzględniłby przede wszystkim jej społeczny cel, wskazałby zwłaszcza w sformułowaniu „dla ludzi pracy" ideał literatury naprawdę bliskiej narodowi. Sprawa nie jest bynajmniej prosta i nie brak na jej temat nieporozumień zarówno w krytyce literackiej jak — co tym smutniejsze — w praktyce twórczej.

Jest przecież faktem bezsprzecznym, że część naszych pisarzy nie związanych uprzednio z ideologią proletariacką postulat literatury realizmu socjalistycznego zrozumiała jako postulat sztuki uproszczonej, sztuki w założeniach swoich schematycznej, sztuki zwulgaryzowanej. Pisarze postulat realizmu socjalistycznego zrozumieli opacznie, realizm pomieszali z wulgaryzmem, prostotę z prostactwem, typowość ze schematyzmem.

W Pograniczu powieści w artykule Książki o wsi Wyka omawiając powojenną prozę o tematyce wiejskiej Buczkowskiego, Pogana, Gałaja i Mortona poruszył zagadnienie „książki o wsi dla wsi". Wyce z całą pewnością chodziło wtedy o zbliżenie literatury do nowego odbiorcy. W tym aspekcie rozpatrywane powieści powojenne o tematyce wiejskiej Wyka uznał, i słusznie za nieczytelne dla odbiorcy wiejskiego. Tym jednak niewątpliwie ambitnym — jak powiedziałby Wyka — propozycjom pisarskim przeciwstawiona została opowieść Anieli Gruszeckiej Od Karpat nad Bałtyk, opowieść zaiste ubożuchna, trzeciorzędna i odpowiednia dla bardzo ubogich duchem. Inkluzowemu wianu przyznane zostały niejakie szanse „dzięki schematycznej przejrzystości ujęcia".

„Jedna jaskółka nie czyni wszakże wiosny — konkludował Wyka — Czyli

innym zwrotem: zagadnienia książki o wsi dla wsi nie rozwiązano w dwudziestoleciu. Na podstawie omówionych czterech utworów nie widać, by dzisiaj zanosiło się na szybkie rozwiązanie tego zadania".

Z dwudziestolecia pominął Wyka prozę Kruczkowskiego, Wasilewskiej, Kowalskiego, u podstaw bowiem wywodów krytyka tkwiło założenie, że dla mas potrzebna jest literatura bardzo lekkiego kalibru.

Nie da się oczywiście na barki wybitnego krytyka zrzucić odpowiedzialności za obniżenie ambicji twórczych Gałaja, za łatwizny Koprowskiego, Żwirskiej czy Wardasówny, za schematyzm Rymkiewicza czy wreszcie za uproszczenia Bartelskiego.

Z książką Marca powyższe wywody, poza tym że stanowią konieczną podbudowę wniosków oceniających, mają dwa główne punkty styczne: w zestawieniu z całą powojenną prozą o tematyce wiejskiej powieść Marca ma pewne dane, by stanowić jaskółkę nowej prozy realistycznej w zakresie tematyki wiejskiej; niemniej niemal wszystkie zasadnicze mankamenty tej powieści są wyrazem kontynuowania niechlubnych tradycji prozy dla maluczkich.

Jeśli powieść Marca zestawimy z prawie współczesnymi jej powieściami Gałaja i Bartelskiego (ciągle jeszcze niesłusznie bierze się pod uwagę wyróżnik tematyki środowiskowej) czy z Chłopcami z lasu Machejka wyższość prozatorskiego debiutu Marca wystąpi z całą wyrazistością. Gałaj w Rodzinie Lebiodów z trudem po Mystkowicach osiągnięty realizm widzenia rzeczywistości wiejskiej okupił ilustracyjnością i kukiełkowością postaci bohaterów, Bartelski przy większej aktualności problematyki wykazał się nieznajomością prawdziwego człowieka wsi, jego myślenia i odczuwania. Marcowi solidna wiedza o życiu na wsi, bogactwo obserwacji życiowych pozwoliły w pewnym stopniu przełamać trudności nowej prozy o wsi.

Powieść Marca o okupacyjnej przeszłości Błogocic, wsi położonej gdzieś między Kielcami a Krakowem jest w znacznym stopniu prawdziwą powieścią o polskiej wsi okupacyjnej, bo prawdziwi są ludzie, których Marzec potrafił pokazać. Szkoda tylko, że pełniej wypadli u Marca bohaterowie negatywni, kułak Kowalski i Zientara czy sołtys Benczyk. Cała galeria typów krwiopijców wiejskich, od targownika Mizerskiego począwszy, a na „wysiedlonym" volksdeutschu Kramerze i spółdzielcy Hołubce skończywszy mogłaby z Zołzikiewiczami pójść w zawody. Bohaterowie, to nie prymitywne kukły ale realistycznie odtworzone postaci ludzkie, których myśli, uczucia i działanie warunkuje cały układ społecznych, kulturalnych, obyczajowych determinantów, którzy subiektywnie postępują tak jak należy, tzn. zgodnie z uznanymi przez siebie normami moralnymi, a ich obiektywne łajdactwo ich cała społeczna szkodliwość zostaje obnażona w kontekście pokazywanych przez autora faktów, zdarzeń i skomplikowanych powiązań międzyludzkich. Podłość Kowalskiego polega na tym, że ilość morgów i wspaniałe, nowoczesne zabudowania gospodarskie przesłoniły mu świat, że brutalny egoizm kapitalisty, dorobkiewicza, zagłuszył w nim wszelkie inne uczucia, że porządek w którym wolno korzystać z pracy innych, wydawał mu się przyrodzonym porządkiem świata.

Marzec demaskuje sens społeczny praktyki człowieka, innymi słowy przyczyny zła widzi w ustroju nie w człowieku, który jest jego wytworem.

Inna sprawa, że uzależnienie człowieka od warunków rozumiane jest prze-

Marca często bardzo naiwnie. Gdy Benczykowi (świetnie uchwycony typ okupacyjnego sołtysa renegata), ciemnemu chłopu władza nad życiem i mieniem mieszkańców wioski przewróci całkowicie w głowie, a sytuacja między młotem a kowadłem wyzwoli w nim wszelkie łajdactwo, widać w obrazie jego przemian solidną robotę pisarską. Gdy Mizerski z inteligenckiego maminsynka w czasie wojennej próby stanie się jowialnym choć na wskroś cynicznym łajdakiem, widać w jego postaci wyraźną prawidłowość rozwoju, proces kształtowania się postaci jest procesem skomplikowanym, złożoność uwarunkowań tego procesu jest w obrazie artystycznym dosyć widoczna. Ale gdy średniacy Pajda czy Puchała, o których zresztą nic nie wiemy, na zebraniu u Srogi w trzydaniowej rozmowie zdradzają, że nie wiedzą komu wierzyć: Moskwie czy Londynowi (średniak powinien być chwiejny!), widać w tym schemat czystej wody. Gdy Romek Kowalski, kułacki synek, staje się dzielnym gwardzistą, jego droga rozwojowa, przecież możliwa, jest dla nas jak abrakadabra tajemnicza i niezrozumiała. Mamy tu po prostu do czynienia z antyschematyzmem naiwnym, a przecież pokazanie takiej drogi mogłoby być interesującym zadaniem pisarskim.

Przy pierwszoplanowych postaciach negatywnych Marzec na ogół potrafi przeprowadzić analizę, potrafi na ogół nakreślić realistyczną sylwetkę człowieka, przy obrazowaniu pozytywu sprawa jest i o wiele trudniejsza i trudności są innego rodzaju. Bohaterowie pozytywni musieliby oznaczać sią taką intelektualną i uczuciową potencją, by opanować ocean wielkich zdarzeń, by patos wielkiej przemiany mieścił się w granicach ich chłonności wewnętrznej, słowem bohaterowie tacy musieliby być kreacjami wielkiego realizmu.

Jego pozytywnym bohaterom, wywodzącym się z wydartowskich biedniaków, Pietrkowi Domagale, jego siostrze Józi i matce, Jasiowi Barankowi parobkującemu u Zientary, wiejskiemu komuniście, szewcowi Srodze można wiele zarzucić, można kwestionować ich małowymiarowość, ich niewspółmierność z czasami wielkiej burzy, nie da się jednak dopatrzyć w nich braku swoistej indywidualności.

Poważną wartością powieści jest klasowość widzenia rzeczywistości wiejskiej. Pomiędzy biedniakami i kułactwem toczy się w Błogocicach zażarta, wielopłaszczyznowa, w rozmaitych formach prowadzona walka klasowa. Przy imponującej wprost znajomości realiów życia wiejskiego walkę tę demonstruje Marzec na zjawiskach typowych, na powszechnie znanych, ale nie zawsze rozumianych co do ich istotnego sensu i klasowej funkcji metodach. Tak się np. ma sprawa z obliczaniem obciążenia kontyngentowego na hektar, z kombinacjami kierownictwa spółdzielni, które nadwyżki wagowe odstawianego przed biedniaków zboża wykorzystuje do zaliczenia za łapówką kontyngentu kułakom, tak się przedstawia cała skomplikowana aparatura okupacyjnego wyzysku biedoty przez organy skorumpowanej administracji polskiej.

Z mniejszą wnikliwością przedstawił Marzec walkę polityczną *sensu stricto*, walkę dwóch konspiracji — akowskiej i lewicowej. Jest to zresztą sprawa trudna i jak dotychczas jedynie Czeszce udało się poprawnie rozwiązać problem okupacyjnej walki narodu z faszyzmem choć także nie bez ale. Paweł Hoffman w nr 4 Nowej Kultury z br. ujął zagadnienie konspiracji teoretycznie.

„Dziś wiemy już na pewno, że powierzchowny, formalny pogląd na dwa podziemia istniejące w okupowanej Polsce — podziemie londyńsko-akowskie z „delegaturą" na czele i podziemie lewicowe, kierowane przez PPR — wy-

maga dość zasadniczej rewizji. Bo nie formalne akcesoria konspiracyjne decydują o tym, kto był istotnie podziemiem tylko wobec narodu, wobec mas. Jeżeli spojrzeć na okres okupacji według rzeczywistych a nie formalnych tylko kryteriów, według czynów każdego obozu, wypadnie stwierdzić: kierownictwo londyńsko-akowskiego „podziemia", jak świadczą ujawnione już fakty, konspirowało przed narodem zarówno swoje cele polityczne jak swoje metody. Przed okupantem, przed Gestapo nie tylko się nie konspirowało, bo i nie miało po co, ale czynnie, na zasadach „wzajemnej pomocy" z nim współdziałało w mordowaniu patriotów, w unicestwianiu przez denuncjację lub mord bojowników podziemia lewicowego, robiło to samo co NSZ, robiło z wiedzą i aprobatą swych angielskich zwierzchników z rządu Churchilla-Attlee i z Intelligence Service. Takie to było ich „podziemie" — usłużnie rozkonspirowane przed Gestapo, wstydliwie zakapturzone przed narodem". Antyludowe ostrze londyńskiej konspiracji widzimy w powieści Marca z całą wyrazistością, nici akowskiej konspiracji wiodą gdzieś do gestapowskich kamer, klasowe powiązania akowskie z ziemiaństwem i kułactwem są do odczytania, ale problemu oszustwa dokonanego na narodzie Marzec nie zechciał rozwiązać. Schematyczna i epizodyczna postać Heńka Szafrańskiego, biedniaka ginącego z rąk gwardzistów w trakcie wykonywania rozkazu akowskiego dowództwa, nakazującego likwidację grupy gwardzistów, jest potraktowana zbyt marginesowo. Nieważny wprawdzie jest fakt, że zasięg akowskiego pseudopodziemia był szerszy, nie o statystyczne proporcje przecież chodzi, najistotniejsze jest to, że szatańska perfidia akowskich potentatów, konspirujących się przed własnym narodem, kokietujących patriotyczną, rzekomo apolityczną frazeologią masy ludowe, nie została zdemaskowana, że oszustwo dokonane na masach ludowych nie zostało pokazane. Pietrkowi Domagale nie wolno było obojętnie patrzeć, jak Heniek Szafrański ginie za cudzą, wrogą sprawę. Trzeba tutaj jasnego postawienia sprawy, trzeba było większej odwagi twórczej, a tendencja ideowa książki byłaby o wiele wyrazistsza i jej demaskatorskie znaczenie daleko istotniejsze. Żarliwość ideowa i większe zaangażowanie się pisarskie, mniejsza ostrożność byłyby tu bardzo na miejscu.

Nie popełniłby wtedy autor takich naiwności jak motywacja postępowania akowskiego oficerka Hołubki i jego nienawiści do Armii Ludowej względami osobistymi („Gdy się dowiedział od Kramerowej o dawnym romansie Emilki z Domagałą, przysiągł, że choćby tylko z tego powodu musi chama zlikwidować"). Naiwność bardzo rażąca, a takich znalazłoby się w powieści dosyć wiele. Do nich należą zgoła fałszywe programowe wypowiedzi przedstawicieli konspiracji ludowej na zebraniu organizacyjnym. W wypowiedziach tych podkreśla Marzec rezygnację z wszelkich przejawów walki klasowej, a przecież jest to sprzeczne nie tylko z prawdą historyczną, ale nawet z obrazem walki klasowej w powieści Marca, z wymową przedstawianych przez Marca faktów.

Nad koncepcją powieści Marca zaciążyła w jakimś stopniu konwencja powieści środowiskowej. Bohaterowie pozytywni jego powieści są bardziej, niż tego wymaga estetyka realizmu, osadzeni w warunkach miejsca, bohaterowie jego powieści skrojeni są na miarę Błogocic i Wydartowa bardziej niż na miarę czasów wielkiej wojny i społecznej rewolucji.

Niewspółmierność ludzi i wydarzeń spowodowała inną znamienną rysę w powieści Marca. Bohaterowie jej nie są

zdolni do kształtowania własnymi siłami biegu wydarzeń, nie są zdolni do nadawania kierunku tym wydarzeniom. Działalność gwardzistów, ograniczająca się zresztą do odpierania ataków, naruszających naturalny porządek w błogocickim świecie, jest jedynie refleksem wielkich wydarzeń z zewnątrz. Stąd znamienny w powieści brak konfliktów, brak obrazu tworzenia się nowych sił społecznych, brak obrazów wyrastania i dojrzewania wydartowskich biedniaków.

Błędom koncepcyjnym towarzyszą nazbyt częste jeszcze nieporadności warsztatowe. Obok świetnych obrazów w początkowych partiach książki, gdy poznajemy rodzinę Domagałów i poprzez doświadczenie życiowe jej członków odczuwamy okrucieństwo kapitalistycznej i okupacyjnej rzeczywistości wiejskiej, obok realistycznych obrazów jak zebranie komisji kontyngentowej, zebranie u szewca Srogi, niezrównany spęd bydła z targownikiem Mizerskim, w powieści Marca znajdujemy obrazy martwe, ilustracyjne, schematyczne. Czyż pomysł pokazania sprzeczności ideologicznych akowskiej i ludowej konspiracji w skontrastowanych dwóch zebraniach konspiracyjnych, na których wygłasza się programowe przemówienia dosyć zresztą nieudolne, nie jest artystyczną przegraną pisarza, czyż obraz pacyfikacji wstrząsający przez naturalistyczne szczegóły obrazowania (zwisająca przez okno ręka zabitej Srogowej), więcej niż dramatyczną grozę, nie jest ubogi i nieprzekonywający, czy wreszcie obrazy wyzwolenia, w których nie ma nic poza siatką wydarzeń nie dowodzą, że Marzec dał się uwieść łatwiznom pisarskim, że nie przezwyciężył konsekwentnie plagi ilustracyjności w swej powieści? Niezaprzeczalny talent pisarski Marca wprost prowokuje do szczególnie ostrego napiętnowania wszystkich wyraźnie niedopracowanych partii książki.

W charakteryzowaniu postaci ucieka się do niewybrednych porównań (np. Domagała zaskomlał jak nieporadne szczenię", str. 25. „Obejrzała się szybko na boki i ogarnąwszy ramieniem całowała łapczywie, jak człowiek bardzo wygłodniały", str. 278).

O debiutanckiej nieporadności świadczy fakt, że Marzec nie potrafił spleść w zwartą całość kompozycyjną rozlicznych wątków fabularnych. Np. wątek miłości kułackiej córki, Emilki Kowalskiej, do Pietrka Domagały występuje w powieści kilkakrotnie, chociaż nie można powiedzieć, by wątek ten spełniał w powieści określoną funkcję. Wątek romansu sołtysa Benczyka z Józką Domagalanką został zaniechany i sprawa, w związku z którą został wprowadzony, sprawa wyjazdu jednej z córek Domagałów do Niemiec, została rozwiązana bez jego pomocy. Można by dorzucić także brak wypracowanego stylu pisarskiego, jednostajność narracji. W powieści Marca zdarzenia małe, nieważne, jak wesele Emilki, przeplatają się z obrazami okrucieństwa niemieckiego i bohaterstwa partyzantów w tym samym beznamiętnym toku opowiadania.

Chociaż wielkiej powieści o pokoleniu bojowników, przebudowujących wieś, Marzec nie stworzył, obraz okupacyjnej wsi odmalował z perspektywy klasowego rozwarstwienia, nakreślił realistyczne sylwetki bohaterów, nie przeholował w podmalowaniu obyczajowych rarytasów (można mu wybaczyć rozbudowany obraz kułackiego wesela, trochę zresztą tuzinkowy), nie popełnił rażących błędów w językowej koncepcji książki, na ogół poprawnie, realistycznie zabarwiając język bohaterów gwarową odrębnością.

Dlatego w podsumowaniu należy podjąć sugestię Macha, że Marzec dysponujący świetnym znawstwem spraw

wiejskich i niezaprzeczalnym talentem pisarskim nie zrezygnuje z tematyki wiejskiej i napisze naprawdę doskonałą powieść o tych, którzy przyszłość wsi widzą w socjalizmie.

**Henryk Bereza**

HELENA BOBIŃSKA: *Zemsta rodu Kabunauri*, Nasza Księgarnia, Warszawa, 1950; str. 256.

Losy Nika Kabunauri, bohatera powieści Bobińskiej, rozgrywają się w warunkach historycznych bardzo specjalnych; z jednej strony stykają go ze zwycięstwem Rewolucji Październikowej, z drugiej — pochodzeniem i kilkuletnim okresem życia w wieku chłopięcym wiążą go z bardzo zacofanymi warunkami życia pełnych przesądów wiosek chewsurskich w górach Kaukazu. Ten kontrast zetknięcia się ustroju najbardziej postępowego z wyjątkowo zacofanym posłużył autorce za ciekawie narysowane tło historyczne.

Warunki życia wiosek Chewsurów, osad położonych wysoko w górach i zupełnie niedostępnych przez 6 miesięcy zimy czyniły propagandę socjalistyczną bardzo utrudnioną. Ludy te żyły w na pół barbarzyńskich przesądach jeszcze kilka ładnych lat po Rewolucji. Tłem akcji czyni autorka jeden z najbardziej nieludzkich „adatów" (zwyczajów) zakorzenionych w Chewsuretii, mianowicie uświęcony zwyczaj zemsty rodowej.

Niko Kabunauri przyszedł na świat jako głowa rodu, ponieważ ojciec jego zginął już wcześniej, zamordowany przez wrogi ród Gigaurich. Sam Niko już od kolebki narażony był na śmierć. Aby zapewnić niemowlęciu maksimum bezpieczeństwa, jeden z członków rodu, Czauchia, wiezie je do Tyflisu i podrzuca rodzinie robotniczej. W ten sposób zawiązana zostaje zaciekawiająca czytelnika akcja. Rodzina Tołkaczowów wychowuje chłopca jako znajdę, nie wiedząc nic o jego rzeczywistym pochodzeniu. Wypadki te dzieją się w latach 1910—12. Chłopiec rosnąc w środowisku rewolucyjnie nastawionych robotników, chłonie atmosferę postępu społecznego i zaczyna solidaryzować się z wystąpieniami klasy robotniczej Tyflisu.

Pozostawimy na boku wątpliwości, jakie się nasuwają. Czy istotnie ród dokładający wszelkich starań, aby Nika utrzymać przy życiu, szukałby tak skomplikowanej drogi? Czy ludziom tym mogła się podobać atmosfera rodziny rewolucjonistów, chociażby tylko przez wzgląd na bezpieczeństwo niemowlęcia? Autorce było to potrzebne, aby przyjęcie przez chłopca postępowych idei było trwałe i przekonywające.

Do chłopca zagląda co jakiś czas wysłannik rodu — Czauchia. Tymczasem po zamieszkach rewolucyjnych Tołkaczow musi uciekać za granicę, gdyż w Tyflisie panuje rząd mieńszewicki. Niko dostaje się teraz do domu kupca Tapanadze i poznaje życie tej klasy społecznej. W dotychczasowym życiu chłopca ponawiązywało się jednak wiele nici łączących go z proletariatem. Chłopiec poznał biedę, współczuje jej, bliżsi mu są starzy znajomi — ubogi szewc Arszył i obdarci chłopcy z przedmieść — niż obecni opiekunowie. Wkrótce ucieka od kupca. Jest bowiem świadkiem, jak opiekun odgraża się Tołkaczowowi, którego chłopiec uważał za swego ojca, jest również świadkiem sceny, w której mieńszewiccy oficerowie wyrażają swą nienawiść do robotników.

Wątek rewolucyjnego dojrzewania chłopca prowadzi autorka kilkoma uzupełniającymi się ścieżkami. Chłopiec widzi przepaść społeczną i przekonania wyrażane przez przedstawicieli wrogich obozów, wreszcie nastroje w obu środowiskach wobec nadchodzących wojsk bolszewickich. Autorka słusznie pokazała okoliczności, w których Niko docho-

dzi do uświadomienia sobie, po której stronie powinien się opowiedzieć. Rolę odegrała tu więź rodzinna z Tołkaczowami, następnie krąg najbliższych znajomych: szewc Arszył, czyściciel butów Erazm, następnie wreszcie masakra robotników dokonana przez policję mieńszewickiego rządu. Zastanawia tylko jedno: jak jest ustosunkowana Chewsuretia do walki klasowej toczącej się w Gruzji? Autorka nic o tym nie mówi. Przecież stosunek ten nie mógł być obojętny. Powieść sprawia wrażenie, że zagadnienie zwycięstwa czy klęski mieńszewików zupełnie Chewsurów nie obchodzi. Czauchia, który w tej części powieści reprezentuje interesy rodu Kabunauri nie interesuje się tą sprawą, ani stosunkiem do niej chłopca. Powtarza się to zresztą w całej powieści. Do Gruzji wkracza Armia Czerwona, władzę obejmują bolszewicy, a Chewsurowie nawet nie myślą o tym.

Po przejęciu władzy przez bolszewików Niko dostaje się do domu dziecięcego, odprowadzony tam przez jednego z dowódców wkraczającej armii. Kilkuletni okres pobytu w tym domu stanowił główny etap dojrzewania ideologicznego Nika. Autorka pokazuje Nika w dwu obrazach: w zabawie i w akcji drużyny pionierskiej. Zabawa w wojnę pomiędzy konnicą „czerwoną" i piechotą „białą" pokazuje chłopca jako przyjaciela Armii Czerwonej. „Czerwoni zawsze muszą pobić białych" oświadcza Niko wychowawczyni interweniującej, wówczas gdy zabawa przybrała zbyt gwałtowny charakter. W scenie tej autorka wprowadziła pewne charakterystyczne przerysowanie, które ma znaczenie dla dalszego biegu powieści. Niko zabawę potraktował jak najbardziej serio. Bijąc się z „białymi" wykorzystał wszystkie swoje siły, gryzie nawet towarzyszy i tak tłumaczy się z tego: „To nie była zabawa — usta mu drżały, kiedy mówił. — Myśmy się bili na śmierć, bo czerwona konnica musiała zwyciężyć!"

Drugi obraz z pobytu Nika w szkole — to skuteczna akcja aktywu drużyny pionierskiej, przedsięwzięta w celu uwolnienia 12-letniej Fatmy, której grozi sprzedaż do tureckiego haremu. Niko okazuje się niestrudzony w pracy nad oswobodzeniem koleżanki. W akcji tej gruntuje się w nim przekonanie o równości społecznej kobiet, o konieczności obalenia przesądów zakorzenionych w tej dziedzinie na Wschodzie.

W czasie którychś wakacji, kiedy miał już około 15 lat, Czauchia pod pozorem zaproszenia na wczasy zabrał chłopca do jego rodzinnej wioski w wysokich górach. W czasie drogi wyjaśnia mu jego istotne pochodzenie, oznajmiając równocześnie jego znaczenie i władzę w rodzie. Chłopiec przechodzi poważny wstrząs. Jest zbyt dojrzały, aby przyjąć całą obyczajowość Chewsurów, a za mało wyrobiony, aby umieć się jej we właściwy sposób przeciwstawić. Niko staje wobec poważnego problemu życiowego, którego nie umie na razie rozwiązać.

O ile kilka drobnych fragmentów wydarzeń pierwszej części powieści mogło z racji wątpliwego prawdopodobieństwa budzić zastrzeżenia, o tyle części dalsze, a szczególnie obraz Nika borykającego się w zaklętym kręgu adatów, uderzają swoją prawdą. Chłopiec, przyzwyczajony dotąd do równorzędnego traktowania mężczyzn i kobiet, do demokratycznego prawa, styka się z ustrojem, w którym różnica płci równa się niemal przepaści klasowej. I pierwsze nieporozumienia Nika z nowym środowiskiem wynikają z jego stosunku do kobiet. Jego zrozumiałą reakcją na widok ciężko pracującej siostrzenicy jest zaofiarowanie jej pomocy, co wywołuje oburzenie całego aułu. Oczywiście, zwyczaje Chewsurów rozwijające cechy

charakteru, które w szkole przywykł uznawać za piękne i słuszne, pociągają go. A więc odwaga, zręczność i wytrwałość we współzawodnictwie sportowym, w polowaniach, waleczność i obrona czci wioski, praca nad osiągnięciem jak największej sprawności fizycznej. Natomiast nie chce uznać zwyczajów chewsurskich dotyczących kobiet. Boli go ich niesprawiedliwy los, nie może patrzeć na ich wyzysk.

W ten sposób Niko, jako pierwszy zwolennik zasadniczych reform w wiosce Chewsurów, jest postacią, której poglądy i postępowanie mają swoje głębokie uzasadnienie w konstrukcji jego losu. Chłopiec na własną rękę zaczyna pracę wydobycia swojego plemienia z otchłani przesądów, decyzja porozumienia się z wrogiem — rodem Gigauri — jest także własnym pomysłem Nika. Do spełnienia tej roli autorka dobrze go przygotowała: wpłynęło na to przede wszystkim dobre wychowanie.

Główny akcent powieści położyła Bobińska nie na problemie stosunku Nika do zacofania Chewsuretii. Czauchia, wykorzystując młodzieńczą żądzę sławy i sukcesów, skłania Nika do zmierzenia się z Akielą Gigauri. Przypadek zrządził, że Niko znajduje Akielę akurat w chwili śmiertelnej walki z niedźwiedziem. Chłopiec strzela do niedźwiedzia nie tyle dla uratowania życia Akieli, ile dla uratowania swojej zemsty, możliwości zmierzenia się z „wrogiem krwi". Kiedy zobaczył jednak poranionego przez niedźwiedzia „wroga", cała nienawiść, rozbudzana cierpliwie przez Czauchię, opuszcza go. Konflikt główny przesunęła zatem autorka na płaszczyznę moralną. Czy Niko okaże się odporny na nieludzkie zwyczaje Chewsurów? Czy w chwili krytycznej zwycięży w nim człowiek wychowany w socjalistycznej szkole?

Przesunięcie to niewątpliwie wzboga-

ca postać Nika, gdyż nadaje typowemu konfliktowi charakter na wskroś indywidualny. Jego stosunek do Akieli jest tym bardziej skomplikowany, że chłopiec zdaje sobie sprawę, że i Akiela czyha na jego życie. Rozwiązanie tej sprawy, jakie dała autorka, pomoc okazana rannemu Akieli przez Nika, pragnienie porozumienia się z nim i zapomnienia o fałszywej, nieuzasadnionej nienawiści, jest na pewno słuszne. Ale nie jest przekonywające, gdyż jest zbyt nagłe. Niko przecież kilkakrotnie przygotowuje się, by strzelać do Akieli; przygotowania te czyni w pełnym skupieniu, na trzeźwo. Co więcej znamy już chłopca jako człowieka zapamiętałego w stosunku do wyimaginowanych nawet wrogów. Autorka nic nie wspomina wcześniej o refleksjach Nika na temat bezsensowne walki. Rozwiązanie to jest zbyt ważne, jeśli chodzi o następstwa, aby zależeć miało tylko od uczuciowego odruchu.

Autorka zastosowała tu konstrukcję gwałtownego przełomu ideowego u Nika. Chłopiec wszedłszy w krąg Chewsurów zaczynał ulegać ich zwyczajom. Momentem decydującym jest właśnie wyprawa na Akielę. Od chwili wypadku z niedźwiedziem wszystko się radykalnie zmienia. Niko dopiero po powrocie z wyprawy, zakończonej połowiczną zgodą z Akielą, zaczyna przemyśliwać nad sposobami wyplenienia przesądów z wiosek Chewsuretii. Autorka pisze: „O ile przedtem czuł się bezradny i bezsilny wobec przeklętego adatu, o tyle teraz z zuchwalstwem młodości przeciwniał swoje siły". Ta gwałtowna metamorfoza chłopca jest także niezupełnie przekonywająca. Odbywa się ona jakgdyby na drodze „gwałtownego olśnienia". A przecież cała pierwsza, druga i trzecia część powieści przygotowują Nika do roli agitatora socjalizmu. Po cóż więc ten nagły sztucznie wyglądający i w gruncie rzeczy pozorny przeskok?

Można się domyśleć, że przyczyną je-

go zastosowania jest tendencja do nadania akcji powieści jak najbardziej zaciekawiającego przebiegu.

Sprawą drugą, która wydaje mi się niesłusznie rozwiązana, jest sprawa stosunku wioski do Nika, gdy ten usiłuje przełamywać przesądy. Postać chłopca nabiera pięknych rysów w chwilach bohaterskiego przeciwstawiania się uświęconym prawom i sceny te należą w powieści do najlepszych. Wzrusza zwłaszcza jego poświęcenie dla położnicy Gondry i jej kilkudniowego noworodka. Ale dlaczego nikt, ani jedna osoba z aułu, czy z młodzieży, czy ze starszych nie podziela przekonań Nika, dlaczego nikt nie ulega jego postępowej agitacji? Wszystkie próby przedsiębrane w tym kierunku kończą się całkowitym fiaskiem. Niko jest zupełnie samotny i to w okresie, kiedy w pobliskim Tbilisi już od kilku lat rządzi władza radziecka. Jest to konsekwencja błędu w rysunku Chewsurów — ich całkowitej obojętności w stosunku do walk klasowych w Gruzji — o którym pisałem na początku.

Sprawa z Akielą nie kończy się na uratowaniu mu życia. Niko zostaje w końcu wypędzony z wioski za swoje postępowanie i w drodze dostrzega lawinę śnieżną, która stacza się na wioskę zamieszkałą przez ród Gigauri. W chwili, gdy śpieszy na dół, aby ostrzec mieszkańców przed niebezpieczeństwem, kula Akieli trafia go i chłopiec pada. Udaje mu się jednak zawiadomić wioskę. Po tym uratowaniu życia już nie tylko Akieli, ale i całej jego osady, ród Gigauri wyrzeka się zemsty. Akiela na własnych rękach wynosi Nika z zagrożonej lawiną wioski. Niko staje się najlepszym przyjacielem swego dawnego wroga. Na tym akcja powieściowa się kończy. Dopiero w epilogu oddzielonym trzyletnim czasokresem otrzymujemy wiadomości o zasadniczych przemianach społecznych dokonanych w wioskach Chewsuretii.

Rozwiązanie takie jest artystycznie najzupełniej prawdziwe. Niko, samotny reformator, nie mógł zwalczyć zacofanych zwyczajów. Ale swoim poświęceniem i bohaterstwem dokonał jednego — doprowadził do pogodzenia się dwóch bezsensownie mordujących się wiosek. I w tym leży główna wartość wychowawcza książki. W umiejętności pokazania żarliwości i szczerości ideowej chłopca leży wartość artystyczna powieści. Bobińska pokazała, na czym polega siła rewolucyjnego wychowania, pokazała drogę chłopca od pierwszych kontaktów z rewolucjonistami aż do poświęcenia życia za wyznawane idee — na tym polega jej literackie osiągnięcie.

**Włodzimierz Maciąg**

# T E A T R

## Na SCENACH ŚLĄSKICH

Powakacyjne przedstawienia rozpoczął zespół Teatru im. Wyspiańskiego w Katowicach wystawieniem komedii muzycznej Dziewczęta z Zorzy adaptowanej wg sztuki radzieckich autorów A. Fajki i O. Sołodara pt. Pięć przyjaciółek.

Tadeusz Breza radził kiedyś dowcipnie, że można by właściwie pod wiele utworów współczesnych dramaturgów podłożyć muzyczkę i kuplety — a byłyby z tego bardzo zgrabne operetki. Ale w rzeczywistości sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana. Dziewczętom z Zorzy „kuplety i muzyczka" raczej zaszko-

dziły. Wydaje mi się, że wystawienie utworu w formie zatracającej lub dezawuującej wszelkie jego walory społeczne, wystawienie w dodatku na Śląsku w naszym najliczniejszym robotniczym środowisku — musi być poczytane za poważną omyłkę.

Sprawa należytej opieki nad wystawianymi sztukami dotyczy zresztą nie tylko teatru. Także prasy. W miesiącu przyjaźni polsko-radzieckiej Teatr Polski w Bielsku dał prapremierę polską sztuki Uspieńskiego Na spotkanie życia. Sztuka ta o dużych walorach wychowawczych, której sprawy dzieją się w środowisku radzieckich górników, nie znalazła na Śląsku żadnego odgłosu. Prasa wojewódzka, nie mówiąc już o literackiej czy centralnej, pominęła ten fakt zupełnym milczeniem. Zarówno zaś sztuka Uspieńskiego przy odpowiedniej opiece prasy i instytucji kulturalno-propagandowych jak i sztuka Fajki i Sołodara przy odpowiedniej opiece teatru — mogła spełnić bardzo ważne i pożyteczne zadanie społeczne.

Dużym osiągnięciem Teatru im. Wyspiańskiego stała się natomiast następna premiera: Dożywocie w reżyserii Romana Zawistowskiego.

O interpretację Dożywocia przez długie lata toczył się zacięty spór. Rozpiętość osądów była olbrzymia. Od zarzutu, jaki postawił Fredrze Windakiewicz, że Łatka „nie jest doskonałym wyobrazicielem skąpstwa, jako jednej z podstawowych przywar ludzkich" — do zdań napisanych przez Boya: „Łatka Fredry to jeden z najbardziej uroczych tworów jego fantazji, w której nawet ta najsuchsza, najwstrętniejsza z przywar przybiera kształt jakiegoś niewinnego, poetycznego niemal szaleństwa"; a pośrodku moc rozmaitych koncepcji teatralnych. Oczywiście poza tym były jeszcze płytkie paralele w rodzaju: Harpagon-Łatka itp.

W okresie powojennym nie odczytano tej komedii na nowo Krytycy nie pomogli teatrowi. Żywo dyskutując o Mężu i żonie, Zemście, Damach i huzarach — Dożywocie pozostawiali raczej w cieniu, wspominali półgębkiem. Niesłusznie. Bo Dożywocie to jedna z najświetniejszych komedii Fredry. Co ważniejsze, posiadająca wyraźną dziś do odczytania wymowę społeczną.

W przeciwieństwie do wielu innych utworów Fredry (np. Pan Jowialski) Dożywocie jest komedią intrygi. Nie konwencje literackie i psychologiczne tworzą tu ludzi i charakteryzują ich, ale ostro zarysowane sytuacje. Realia obyczajowe dopełniają obrazu, umiejscowiają go w czasie historycznym. Stanowią sankcję realizmu. Ta wtórność obyczajowego szczegółu w stosunku do intrygi zarysowanej najpiękniejszym chyba właśnie w tym utworze wierszem fredrowskim znalazła swe odbicie w interpretacji Zawistowskiego. Zwrócił on przede wszystkim uwagę na żywość i niebanalność sytuacji jako na czynnik podstawowy charakteryzujący bohaterów (kapitalnie wyrażono to w konstrukcji dekoracji). Uniknął przez to nudnej pseudofredrowskiej sztampy, jaką obok niektórych świetnych kreacji aktorskich potrafił obdarzyć Dożywocie przed kilku laty teatr krakowski. Uniknął zresztą również wszelkich przerysowań sztuki w kierunku farsowości. Ten nowy ton, jaki uchwycił Zawistowski i przeprowadził w przedstawieniu, wydaje mi się jego największym sukcesem. Zastrzeżenia natomiast budzi zbyt ostre rozgraniczenie postaci Łatki i Orgona. Wprawdzie ten pierwszy zyskuje w takim ujęciu na drapieżności, ale osłabia to wymowę całej sztuki.

Dożywocie wystawił Teatr Śląski w 75 rocznicę śmierci Aleksandra

Fredry. Uroczystości związane z tą rocznicą rozpoczęły się na wiosnę ub. r. znakomitym przedstawieniem Ślubów panieńskich we Wrocławiu. Od tego czasu, jak mi się wydaje, ze sztuk Fredrowskich Śluby przeszły przez największą ilość scen. Wystawił je również Teatr Polski w Bielsku. Niestety, nie miałem możności tego ciekawego przedstawienia obejrzeć.

W klasyce — tym razem rosyjskiej — osiągnął Teatr Bielski w okresie sprawozdawczym sukces swój największy. Stała się nim prapremiera sztuki Iwana Turgieniewa Łaskawy chleb w przekładzie Kazimierza Brodzikowskiego i w reżyserii Aleksandra Gąssowskiego.

Łaskawy chleb napisał Turgieniew w roku 1848, tzn. w pierwszym okresie swej twórczości, w okresie powstawania najgłośniejszego i najbardziej buntowniczego, antyfeudalnego cyklu opowiadań Zapiski myśliwego. O śmiałości i przenikliwości tego spojrzenia świadczyć może chociażby decyzja cenzury, która nie pozwoliła wydać sztuki drukiem jako całkowicie nieobyczajnej, pełnej ataków na rosyjską szlachtę przedstawioną w sposób pełen nienawiści". W istocie utwór Turgieniewa — z jakąż okrutną ironią nazwany w podtytule komedią — ukazuje tępotę i służalczość, ślepotę moralną i degenerację duchową przedstawicieli obszarniczych sfer społeczeństwa rosyjskiego.

Duża rola, jaką w Łaskawym chlebie Turgieniewa gra atmosfera ulotnego, podskórnie pulsującego tragizmu, jest charakterystyczna dla klasycznej dramaturgii rosyjskiej. Przykład nieumiejętności jej teatralnego wydobycia widzieliśmy w katowickiej Intratnej posadzie. Zagadnieniem zasadniczym jest tu w realistycznym nurcie sztuki pewna poetycka metafora, będąca zwykle marzeniem bohatera o nowym sprawiedliwym ustroju społecznym. Nie powinno to zaskakiwać w utworze wielkiego realisty. Ostry i drapieżny realizm w analizie stosunków społecznych feudalnej Rosji nie wykluczał faktu, że pisarz ukazując potworną znieprawiającą moralnie ohydę ustroju — nie zdawał sobie sprawy, jakie siły społeczne mogą ten stan zmienić. Nie zdawał sobie sprawy, bo nie mógł — ograniczony czasem historycznym i często własną pozycją klasową. Ale przy słusznej w zasadzie koncepcji analitycznej przedstawienia — jego wykonanie zawiodło zupełnie oczekiwania publiczności, a — sądzę — i reżysera. Część aktorów grała rodzinę Dulskich, inni grali postaci wycięte z francuskich romansów sentymentalnych, co — jak się zapewne czytelnik domyśla — nie zupełnie ściśle wyrazić mogło ideowy i artystyczny sens znakomitej sztuki Ostrowskiego.

U progu miesiąca przyjaźni Teatr im. Wyspiańskiego dał prapremierę sztuki współczesnego pisarza radzieckiego Gorbatowa pt. Młodość ojców. Tematyka utworu — historia założenia komsomolskiej grupy w jednym z miast na południe Rosji — dotyczy okresu Wielkiej Rewolucji Październikowej, której wielu dramaturgów radzieckich poświęciło swój talent i pióro, żeby dla przykładu wymienić tylko znane u nas sztuki Treniewa, Iwanowa, Wiszniewskiego czy Sławina. Różnica jednak między takimi utworami jak Lubow Jarowaja czy Pociąg pancerny a sztuką Gorbatowa jest ta, że gdy one powstawały pod bezpośrednim jeszcze tchnieniem rewolucji, to Młodość ojców napisana w roku 1943 jest wynikiem dojrzalszego już stosunku do niej, opartego na ćwierćwiekowym doświadczeniu i osiągnięciach państwa radzieckiego. To, co u Treniewa czy Iwanowa było uka-

zane z żywiołową drapieżnością krytycyzmu i z równie żywiołowym entuzjazmem, u Gorbatowa uległo już przetrawieniu politycznemu, uległo świadomej — ze współczesnych pozycji przeprowadzonej przez pisarza — selekcji. I ten prymat w sztuce pierwiastka świadomej analizy ideowej ustawia Młodość ojców w rzędzie dojrzałych już utworów realizmu socjalistycznego.

Konflikt sztuki zostaje rzucony w samą grupę komsomolców: dojrzewanie dziewczyny do śmierci za sprawę rewolucji, dojrzewanie świadomości komsomolców do komunizmu, do komunistycznej moralności. Takie ustawienie zwiększyło znacznie ideologiczny i dydaktyczny ładunek utworu, zbliżyło go do zadań, które dziś stoją przed społeczeństwem radzieckim.

Przedstawienie zostało przygotowane przez teatr niewiele wcześniej przed występami zespołu leningradzkiego, wystawiającego między innymi Niezapomniany rok 1919. Pobieżne wrażenia dowodzą, że Teatr w Katowicach nie wytrzymuje jeszcze porównania ze znakomitym teatrem radzieckim, przede wszystkim pod względem zespołowości aktorskiej; ale koncepcyjnie potrafimy już ująć spektakl nie o wiele gorzej.

Ostatnią premierą tego teatru, otwierającą już nowy rok 1952, był Grzech w opracowaniu Kruczkowskiego i w inscenizacji Korzeniowskiego. O samej sztuce nie napiszę tutaj nic, by nie powtarzać słusznych uwag Juliusza Żuławskiego drukowanych w 10 nrze Twórczości w r. ub. Chciałbym tylko zgłosić jedną pretensję. Doceniam wielkie zalety inscenizacji Korzeniowskiego. Nie rozumiem jednak, czemu wszystkie nasze teatry tę inscenizację powtarzają. Szczególnie teraz, gdy dostaliśmy już do rąk nie tylko okaleczały tekst pierwotny, ale także opracowanie Kruczkowskiego. Wykluczanie z góry możliwości jakichś nowych rozwiązań in scenizacyjnych zuboża bardzo nasz sto sunek do tego dramatu.

Dwa słowa obrony takiego stanowi ska. Pisząc w Dzienniku Lite rackim (nr 44/1950) o wydaniu książ kowym Grzechu zwracałem uwag na zawarte w nim mocne akcenty re alizmu krytycznego, czyniące zeń owym czasie utwór o wartościach bar dzo specyficznych i w dramaturgi niespotykanych. Żeromski nie zado wala się rzuceniem twardego oskarże nia i wyzwania zakłamanej moralno ści burżuazyjnej, ale usiłuje ujawni siły napędowe społeczeństwa kapitali stycznego, demaskuje pieniądz w całe jego ohydnej nagości burżuazyjneg przekupstwa. I w tym — moim zda niem — tkwi siła tej sztuki niespoty kana w naszej dramaturgii owego okre su, nie często spotykana później.

O tych wartościach Grzechu jesz cze raz przekonywa przedstawieni śląskie, utrzymane na bardzo dobry poziomie aktorskim.

Na rozpoczęcie nowego roku Teat Bielsko-Cieszyński wystawił komedi sportową czeskiego pisarza Pawła Pa ska pt. 4 : 0 dla ATK. Jest ta trochę parodii, a trochę dobrego zdro wego humoru. Jest zaś przede wszyst kim atmosfera komedii, akcja żywa nie pozwalająca widzowi na zbyt dług nudę podczas spektaklu. Czesi nie za tracili zmysłu dobrej zabawy, mając cel wychowawczy. Nie pierwsza to nich sztuka tego rodzaju. W Berlin już od dłuższego czasu cieszy się po wodzeniem komedia Urbana Dzi sięć do zera. Wychodząc z te atru Neue Bühne można stwier dzić to samo, co na przedstawieniu Bielsku: dobre, lekkie, wychowują podczas zabawy sztuki są potrzebn jak potrzebne były intermedia średni

iecznemu teatrowi. Z nich wywiódł ę żywy nurt teatralnej sztuki ludoej.

Niech to zakończenie kroniki będzie pelem do naszych pisarzy.

**Zygmunt Greń**

## „HORSZTYŃSKI" NA SCENIE ŁÓDZKIEJ

Zespół Państwowego Teatru Nowego Łodzi, włączając po raz pierwszy swego repertuaru sztukę klasyczną, konał słusznego wyboru sięgając rewolucyjnych tradycji dramatu olskiego po roku 1830. Horztyński ukazał się na łódzkiej sceie w tym właśnie okresie, gdy prajemy nad gruntownym przewartoiowaniem sądów o Słowackim, jakie stawiło nam literaturoznawstwo burazyjne.

Podkreślając słuszną inicjatywę Teru Nowego, trafność wyboru drama, rzeczywiście „dopełniającego" i zbogacającego polityczne i artystyczne treści teatru naszej doby, trzeba dnocześnie stwierdzić, że jako całość idowisko łódzkie niezupełnie sprołało swym ważnym zadaniom. Zaciąły na nim pewne jaskrawe błędy inrpretacji, zasadnicze akcenty ideowe e zostały właściwie rozstawione. Ream wykonania budzi też zastrzeżenia. Gdzie przyczyna błędów? Założenia żysera (J. Warmiński) szły w słuszm kierunku — chciał się on odciąć fałszujących utwór tendencji krytyburżuazyjnej. Reżyser miał zamiar dobyć z dramatu realistyczne tendenSłowackiego-artysty, pokazać ideoość utworu obnażając klasowe podłoże nfliktu Szczęsnego. Analiza widowia musi doprowadzić do wniosku, że szne założenia ogólne, jakie miał reer, pozostały niestety założeniami ólnymi. Nie przeniknęły należycie do aktyki reżysera i aktora. Nie zostały ani głębiej przymyślane, ani konsekwentnie zrealizowane.

Konflikt Szczęsnego był dla krytyka burżuazyjnego splotem tragicznych konfliktów, wypranych z konkretnej treści społecznej. Przywiązanie do ojca z jednej strony — sprawa narodowa z drugiej. Chęć czynu, sławy — i „hamletowska niemoc", brak woli. Szczególnie wdzięcznym polem dla jałowych dociekań psychologistycznych był stosunek Szczęsnego do trzech jednocześnie kobiet. W takiej interpretacji konflikt Szczęsnego redukował się do wymiarów osobistych, prywatnych — wbrew intencji krytyka, który przez oderwanie dramatu Szczęsnego od konkretu historycznego chciał jego postaci nadać piętno wszechludzkiej ogólności i nadczasowości. Pewien rezonans polityczny zyskiwał dramat dzięki temu, że nawet najbardziej na psychoanalizę nastawiony krytyk nie mógł zupełnie wyminąć historyzmu utworu, tak mocno związanego z pamiętnym rokiem 1794. Naturalną przeciwwagą dla moralnie negatywnej postaci magnata-zdrajcy Kossakowskiego stał się mit o staroszlacheckiej tężyźnie Horsztyńskiego; z drugiej zaś strony postać Szczęsnego, „czystego" i niewinnie cierpiącego bohatera tragicznego też urastała do godności moralnego antagonisty zbrodniczego hetmana. Horsztyński ideowo przerastał zresztą Szczęsnego; nic dziwnego — Horsztyński awansował na ideał, na nosiciela ideologii poety, skarbnicę wszystkich cnót tradycyjnych szlachetczyzny, tym krytyk łatwo kwitował historyczne problemy utworu (negatywnemu magnatowi przeciwstawił pozytywnego szlachcica — w ten sposób i krytyk, i Słowacki byli „w porządku"). Szczęsny, usunięty z pola społecznych i politycznych tarć rzeczywistości historycznej, już tam nawet wraz ze swymi „ogólnoludzkimi" problemami niepotrzebny, z łatwością przeistoczył

się w „polskiego Hamleta". Ba, nawet w człowieka „od Hamleta boleśniejszego i czystszego i w tragiczniejszy jeszcze splot wplecionego". Odpowiadała taka interpretacja jak najdokładniej dekadenckim pojęciom o Słowackim, bo przecież Szczęsny, jak czytamy gdzie indziej, to „kreacja duszy twórcy, której hamletyzm jest właściwością wrodzoną".

Słowacki już w Lambrze, pod maską opowieści o walkach wyzwoleńczych Greków, rozpoczął krytyczną rozprawę z polską rzeczywistością, ze słabościami społecznymi i politycznymi naszego ruchu wyzwoleńczego. Wspaniałym etapem tej krytyki stał się następnie Kordian — dramat samotnego rewolucjonisty, surowy i ostry obraz czasów i ludzi. Daleko posunięta typizacja bohatera pozwoliła Słowackiemu pokazać proces społeczny, który w Europie „świętego przymierza" papieża i cara, pozwala dojrzewać rewolucjonizmowi Kordiana. Doświadczenia klęski rewolucjonistów listopadowych — klęski, która zaczęła się nie z chwilą wzięcia Warszawy przez Paskiewicza lecz wcześniej, już nazajutrz po 29-ym, gdy spiskowcy sami oddali władzę w ręce obszarniczej reakcji — pozwoliły Słowackiemu stworzyć tragiczny obraz słabości Kordiana, samotnego, dalekiego od ludu rewolucjonisty szlacheckiego. Dramat o Szczęsnym jest dalszym, pogłębionym etapem tej krytyki. Uogólnienie doświadczeń klęski listopadowej otwiera Słowackiemu perspektywy historyczne — poeta daje uderzający w trafności, realistyczny splot tarć społecznych i ideowych ostatnich dni szlacheckiej Polski. Lud, który w Kordianie jest siłą tylko bierną, zyskuje zgodnie z historią swą dynamikę rewolucyjną w dramacie o 1794-ym. Postać Szczęsnego to już właściwie nie obraz samotniczego rewolucjonisty oderwanego od ludu (taki jest w pewien sposób Nieznajomy) — w jego postaci odnajdziemy typowe pęknięcia i sprzeczności, w jakie wpadał szlachecki „konserwatywny rewolucjonizm". Zaplątany w niepodległościowe spiski Szczęsny nie może, a właściwie i nie chce oderwać się od swojej klasy — a klasa ta jest przecież wprost kontrrewolucyjna. To zasadniczy motyw jego tragizmu, jego „niezdolności do czynu". Zagadnienia jego osobistej sytuacji, jego moralności (a raczej niemoralności) będą już tylko zagadnieniami pochodnymi — nawet przy postaci tak mało prymitywnej i tak psychicznie skomplikowanej jak Szczęsny.

Od czasów Kordiana Słowacki bardzo pogłębił swą znajomość człowieka i życia. Mówiąc o zasadniczych obiektywnych konfliktach szarpiących postać Szczęsnego, nie należy zapominać, że ich przedstawienie jest o sto mil dalekie od deklaratywności. Szyllerowskie echa postaci-rezonera, „tuby" ideowych zamierzeń autora, odezwały się jeszcze w Kordianie — realizm Horsztyńskiego jest od wszelkiej deklaratywności wolny. Starcia ideowe wyrastają z konkretnego działania prawdziwych, żywych postaci, które nie potrzebują opowiadać kim są.

Reżyser łódzkiego widowiska słusznie deklarował odcięcie się od psychoanalitycznych koncepcji „polskiego Hamleta". Zamiar ukazania Szczęsnego na tle klasowej i politycznej walki rewolucji 1794-go nie został jednak zrealizowany w praktyce. Szczęsny jest smutnym, tragizującym młodzieniaszkiem, dla którego czujemy w gruncie rzeczy tylko współczucie. Konflikt włazi w ramki ciasnego fatalizmu osobistego losu — na scenie zobaczyliśmy bardzo prywatne kłopoty i konflikt „nieszczęśliwego" Szczęsnego. N Szczęsnym w Teatrze Nowym nie wi

dać pobytu w stolicy, dużego doświadczenia w stosunkach z ludźmi, głębokiego, chociaż zamaskowanego zepsucia. Nie ma on w sobie nic z cynizmu, którym jest przecież tak oczywiście zaprawiona jego autoironia. Nie możemy uwierzyć, by to smutne paniątko mogło komukolwiek wyrządzić krzywdę — by jego przemowa mogła rozentuzjazmować pijaną zgraję targowiczan. Nie znaczy to, by Szczęsny w koncepcji Słowackiego nie miał wielu rysów sympatycznych, by nie odcinał się bardzo na korzyść od takich figur jak np. Ksiński. Przecież to nie marionetka, lecz człowiek o bogatym życiu uczuciowym, nieprzeciętnej, choć zdeprawowanej inteligencji. Jego obiektywne położenie jest bezsprzecznie dwuznaczne i trudne. Ale jak też on lawiruje, jak się „wymyka"! Tego wszystkiego w widowisku nie zobaczyliśmy. Szczęsny na scenie łódzkiej (T. Minc) był postacią bladą, bez wyrazu. Można tu mówić o roli przerastającej obecne możliwości aktorskie wykonawcy, nie można jednak nie dostrzec poważnych błędów reżyserskich w jej opracowaniu.

Błędy reżysera zobaczymy bez trudu i w potraktowaniu postaci Horsztyńskiego. Starzec ten ma tragiczną przeszłość, autor niewątpliwie mu współczuje — widzimy w czasie akcji dramatu, jak hetman-zdrajca bezlitośnie go niszczy. Moralnie i ekonomicznie. Mniejsza już że w widowisku nie zostały mocniej podkreślone te bardzo realne powody załamania się starego konfederata barskiego — wyzucie go z majątku (szczególnie ostro pokazane w wariantach sceny pierwszej aktu III). Horsztyński w starannym i pięknym wykonaniu S. Butryma jest człowiekiem mimo kalectwa mocnym, nieugiętym, wierzącym w rychłe zwycięstwo sprawy, za którą cierpiał. Tymczasem tak nie jest. Słowacki pokazał życiowego bankruta, człowieka, któremu pozostało przeświadczenie o „nicości swego poświęcenia się", a który, gdy nadeszły nowe nieszczęścia, uciekł od nich zabijając się. Stary Horsztyński ma tragiczne poczucie swej życiowej klęski. „Wszak uczyniłem stałe przedsięwzięcie — mówi on o sobie — ...jakie? usunąć się z tej drogi, po której idą szumiący ludzie wielkimi tłumami. Nędza albo śmierć!" Gdy mu mówią o szykującym się powstaniu ludowym, Horsztyński nie chce nawet o nim słyszeć. Nie dlatego, że sam w nim nie będzie mógł wziąć udziału, lecz dlatego, że nie wierzy w jego sens i powodzenie. Nie chce „spodziewać się owoców na spróchniałym drzewie". Horsztyński nie reprezentuje, mimo całej sympatii autora dla tej postaci, żywotnej, zdrowej tradycji, do której Słowacki chciałby nawiązać. Jest on smutnym przedstawicielem „spróchniałej" przeszłości.

Horsztyński w zamierzeniach reżysera Teatru Nowego nie miał być przecież wyidealizowanym przedstawicielem zdrowej tradycji. A jednak do tego da się sprowadzić obiektywna wymowa roli na deskach teatru łódzkiego. To drugi poważny błąd.

Zbrodniczość zdrajcy Kossakowskiego (S. Bryliński) wydobyta została zbyt powierzchownie, „za łatwo". Nie można przy żadnej z postaci Horsztyńskiego zapominać, że to pełnowymiarowe postacie ludzkie, nie nosiciele pozytywnych i negatywnych cech charakterowych. Hetman kocha syna — to trzeba jasno pokazać; nie zmniejszy to ponurego demonizmu jego osoby; przeciwnie, podkreśli. Hetman jest po swojemu przywiązany do starego sługi Sforki; tak jak do wiernego starego psa. Pokazanie tego przywiązania nie stanęłoby w żadnej sprzeczności ze sceną bicia Sforki — przeciwnie, podkreśliłoby nienaturalność i ohydę takiego

przywiązania. Rola co chwila aż się prosi o pogłębienie.

Staranie o realizm, widoczne w przedstawieniu łódzkim, niknie co chwila pod grubym pokostem stylizacji. Dotyczy to wszystkich niemal postaci, szczególnie kobiecych. Stylizacyjne pokusy, od których reżyser nie umiał się obronić, specjalnie jaskrawo wystąpiły w zbiorowej scenie drugiej aktu IV. Scena ta, napisana niezwykle śmiało, z genialnym wyczuciem teatru, stanowi sama dla siebie wielką zdobycz naszej dramaturgii. Kontynuuje tu Słowacki mickiewiczowską technikę scen zbiorowych III-ej cz. Dziadów, pogłębiając jeszcze realizm środków wyrazowych.

Reżysera pociągnęła „widowiskowość" sceny zbiorowej. Zobaczyliśmy barwny, mieniący się tłum — to nie była banda pijących całą noc szaraków, trzymających się pańskiej klamki, gotowych za ochłapy z pańskiego stołu na każdą podłość. Zobaczyliśmy piękną i ożywioną w jakimś „endeckim" kalejdoskopie przeszłość. Trudno o dalej idące rozminięcie się zamiaru reżyserskiego i wykonania. U Słowackiego szlachta przed „republikancką" wyprawą na Jasińskiego hula i pije na całego, w pewnym momencie ktoś śpiewa kilka wierszy popularnej Filis. Trudno w pijackim hałasie o porządne śpiewanie, zaraz się też piosenka urywa. Reżyser i tym razem nie wytrzymał — pociągnęła go pokusa łatwego efektu. Stracił też zupełnie umiar (którego tyle wykazuje w tej scenie autor), ustawił statystów w zgrany chór i śpiewał wszystkie zwrotki po kolei. Równo, porządnie, z akompaniamentem. Szlachta oczywiście wytrzeźwiała w mig, chór w pięknie wystylizowanych kostiumach „malowniczo" odbija od wspaniałej sali zamkowej. Oczywiście z doskonałości tej sceny i zamiaru autora mało co zostało.

Pod tym kątem można by analizować całe widowisko — i, niestety, reżyser rzadko by wyszedł obronną ręką. Stylizację znać i na scenografii. Nie widać jakoś wyraźnej różnicy w architekturze pałacu magnata i dworu ubogiego szlachcica. Obraz obyczajowy, przy pomocy którego inscenizacja tak łatwo mogłaby wydobyć i podkreślić realizm problemów dramatu, zmienia się z reguły w stylizacje: architektoniczne i kostiumowe.

Jeżeli reżyser nie zawsze umiał poradzić sobie z analizą tekstu, jeśli traktował ją zbyt powierzchownie, to z drugiej strony na pełne uznanie zasługuje stosunek do tekstowej szaty dramatu. Horsztyński doszedł do naszych rąk w postaci uszkodzonej. Dramat napisany wiosną 1835 r. nie był drukowany za życia Słowackiego. Wydobył go z rękopisu i ogłosił w t. 3 Pism pośmiertnych Juliusza Słowackiego Antoni Małecki (w 1866 r.). Małecki miał już w ręku rękopis niekompletny. Zginęły, i to niestety bezpowrotnie, duże fragmenty tekstu (początek, część aktu III, w akcie IV zdefektowana jest scena druga, w akcie V, ostatnim, brak początku i zakończenia). Braki nie są na szczęście tak wielkie, by utwór nie mógł stanowić całości, godnej zająć miejsce wybitne wśród arcydzieł naszej dramaturgii. Inscenizacja w Teatrze Nowym dowiodła niezbicie, jak bardzo mylił się wydawca dramatu, gdy stwierdzał, że co do Horsztyńskiego, to „niepodobna wyrzec na pewno, co stanowiło główny węzeł intrygi" i że „sądu o tym wszystkim dać stanowczo nie można". W teatrze łódzkim poza kilku niezbędnymi zdaniami informacyjnymi w luce aktu IV (idącymi za hipotezą uzupełnienia, jaką dał Kleiner)

łyszeliśmy tylko tekst Słowackiego. przecież istnieje aż pięć różnych uzupełnień" dramatu o Szczęsnym.

Reżyser Teatru Nowego rozbił postać Nieznajomego na dwie różne postacie: eden z nich to zdecydowany przywódca ewolucyjny, drugi to oportunista, ty-owy przedstawiciel rewolucjonizmu zlacheckiego. Nie można zaprzeczyć, e podstawę dla takiego rozbicia tekst aje. Ale czy trzeba mimo to postać podwajać"? Czy nie jest to raczej ardzo znamienny przykład sprzeczno-ci w zachowaniu się przed wybuchem ewolucyjnym i po nim, gdy na arenę ystąpiły masy ludowe, do których onspirat taki jak Nieznajomy nie ma zaufania? Sprawa oczywiście do dyskusji.

Widowisko łódzkie było ambitnym, śmiałym krokiem zespołu PTN ku najlepszym pozycjom polskiego repertuaru klasycznego. Nie należy się zbytnio dziwić, że krok ten nie był zbyt pewny. Należy jednak oczekiwać, że zespół ten, mający za sobą tak poważne osiągnięcia twórcze, wyzyska w pełni doświadczenia swego „pierwszego klasyka" — nie tylko w pracy nad następną pozycją z repertuaru retrospektywnego, lecz i w codziennej pracy nad repertuarem współczesnym, który Dejmek pięknie nazwał „wielkim repertuarem" Teatru Nowego.

**Stefan Treugutt**

# NA WIDNOKRĘGU

## KRYZYS WE FRANCJI

W końcu lutego upadł 17-ty powo-enny gabinet francuski premiera 'aure'a. Przeżył on tylko 3 miesiące, le i w tym krótkim okresie czasu dołał najzupełniej wystarczająco do-ieść, iż jest w całej pełni rządem drady narodowej podporządkowanym SA i ich agresywnym planom. Bez-ośrednią przyczyną upadku gabinetu 'aure'a było odrzucenie przez parla-ent wniosku rządowego o 15%-owej odwyżce wszystkich podatków w udżecie na rok bieżący w porówna-iu z rokiem 1951. Podwyżka podatków tała się nieunikniona z chwilą, gdy ząd na konferencji paktu atlantyckie-o w Lizbonie przyjął decyzję amery-ańską o zwiększeniu budżetu wojsko-ego Francji z 1,1 do 1,4 miliarda fran-ów.

Częste kryzysy rządowe we Francji ą wprawdzie *specialité de la maison* arlamentaryzmu burżuazyjnej repu-bliki francuskiej — jest to zjawisko bezpośrednio związane ze specyficznym układem sił w grupie francuskich 200 rodzin, tj. w klasie największych monopolistów — ale przyczyny, dla których upadają kolejne gabinety paryskie, istnieją we wszystkich europejskich krajach paktu atlantyckiego. Przyczyny te — to gospodarczy i polityczny kryzys ustroju burżuazyjnych republik zachodnio-europejskich, wynikający z ich przejścia na pozycje satelitów gospodarczych i politycznych imperializmu amerykańskiego, przede wszystkim zaś kryzys związany z narzuconym przez Amerykanów wyścigiem zbrojeń. W tym znaczeniu analiza sytuacji we Francji może posłużyć za ilustrację rozwoju sytuacji we wszystkich krajach zachodnio-europejskich podporządkowanych Ameryce. Z tych samych względów znaczenie kryzysu francuskiego wykracza daleko poza granice Francji, jak to zresztą świetnie zrozumiał Kongres USA.

Polityka zbrojeniowa rządu francuskiego oraz fakt, iż zbrojenia realizowane we Francji są ściśle podporządkowane ogólnej „strategii zbrojeniowej" narzuconej przez USA, wywołały stały spadek wartości pieniądza i rozwinęły w całej pełni zjawiska inflacyjne. Należy podkreślić — zjawisko to występuje nie tylko we Francji — że zbrojenia satelitów amerykańskich kosztują ich gospodarkę proporcjonalnie znacznie więcej niż i tak rujnujące zbrojenia amerykańskie kosztują gospodarkę Stanów Zjednoczonych. Przyczyna tego stanu rzeczy leży w eksploatacji ekonomiki satelitów przez imperializm amerykański. W formach konkretnych przejawia się to w rabowaniu przez Amerykanów źródeł zaopatrzenia przemysłów państw zmarshallizowanych, w dodatkowej marży zysku ściąganej przez kapitały amerykańskie operujące zagranicą, w narzucaniu przemysłom Europy zachodniej takich typów produkcji zbrojeniowej, które są najbardziej rabunkowe gospodarczo i w utrzymywaniu w każdej dziedzinie i pod każdym względem priorytetu potrzeb przemysłu USA przed przemysłami krajów podporządkowanych. Wszystkie te elementy zsumowane razem dają na płaszczyźnie cen taki rezultat, że inflacja w Europie zachodniej rozwija się znacznie szybciej i w znacznie szybszych rozmiarach niż w Stanach Zjednoczonych.

We Francji wskaźnik kosztów utrzymania — zwany wskaźnikiem cen konsumcji rodzinnej, a obejmujący średnie ważone 213 artykułów — wzrósł od stycznia 1951 do stycznia 1952 o 22,3%. Za rządów Faure'a nastąpiły dalsze podwyżki cen w zakresie mięsa, opału, transportu itd. Należy przy tym podkreślić, że wskaźnik oficjalny nie odzwierciedla w pełni wzrostu kosztów utrzymania ze względu przede wszystkim na fakt, iż obejmuje zbyt małą ilość artykułów i po drugie z powodu świadomego fałszowania średnich ważonych. Burżuazyjna statystyka przepisuje w niezgodzie z prawdą większą wagę w budżecie rodzinnym tym artykułom, których ceny wzrastają stosunkowo słabiej. Analogiczny indeks cen obliczany przez biuro statystyczne CGT — tzw. CERES — wykazuje w okresie od stycznia 1951 do stycznia br. wzrost kosztów utrzymania o 33%.

Tymczasem nawet według statystyk oficjalnych wzrost płac nominalnych w okresie od października 1950 do października 1951 wyniósł, biorąc za podstawę przeciętną płacę godzinną: dla robotników niewykwalifikowanych 2,7%, dla robotników wykwalifikowanych 5% i dla robotników wysoko wykwalifikowanych 3,4%. Należy przy tym zaznaczyć, że powyższy wskaźnik nie uwzględnia poziomu płac otrzymywanych przez kobiety — w październiku 1951 przeciętna różnica pomiędzy płacą kobiet i mężczyzn przy identycznych funkcjach wynosiła 7% — że nie uwzględnia on znajdujących się w szczególnie ciężkiej sytuacji pracowników drobnych warsztatów zatrudniających poniżej 10 osób, robotników rolnych, urzędników państwowych i pracownic domowych, że wreszcie nie odzwierciedla ciężkiej sytuacji robotników w tzw. niższych strefach (Francja podzielona jest na 5 stref płac — Paryż i 4 okręgi prowincjonalne — przy czym rozbieżność pomiędzy ustawową płacą minimum w strefie najwyższej i najniższej wynosi 13,5%). Wreszcie brana za podstawę płacy godzinnej eliminuje przy ocenie sytuacji klasy robotniczej zjawisko bezrobocia pełnego i częściowego. W ciągu 1951 zanotowano wzrost długości tygodnia pracy w przemysłach zbrojeniowych i związanych z nimi, natomiast spadek tejże długości w przemysłach konsumpcyjnych. W przemyśle włókienniczym w październiku 195

8% robotników zatrudnionych było mniej niż 32 godziny w tygodniu, w przemyśle odzieżowym 12,7%, w przemyśle garbarskim i galanteryjnym 11,3%. W tychże przemysłach notuje się wzrost pełnego bezrobocia przede wszystkim wśród robotników innych narodowości, np. Algerczyków (160 tys. bezrobotnych w styczniu 1952).

Zubożeniu klasy robotniczej towarzyszy pauperyzacja drobnomieszczaństwa i chłopstwa, co odzwierciedlone jest dość ściśle przez wysychanie wkładów oszczędnościowych. W ciągu pierwszych 9 miesięcy 1951 suma wpłat jest jeszcze większa niż suma wypłat, ale różnica maleje niemal do zera. Począwszy od października wypłaty stale przewyższają wpłaty. Chodzi tu o statystykę Krajowej Kasy Oszczędności, która obsługuje niemal wyłącznie drobnomieszczaństwo, chłopstwo i lepiej sytuowane warstwy klasy robotniczej.

Na drugim biegunie społecznym we Francji obserwujemy natomiast silny wzrost zysków kapitalistycznych. Według niezakończonych jeszcze obliczeń za rok 1951, przewyższyły one o 20% zyski z roku poprzedniego.

Tym przesunięciom w rozdziale dochodu narodowego towarzyszy coraz dalej idące zubożenie kas państwowych, zmniejszanie się produkcji pokojowej i wreszcie rosnące zadłużenie wobec zagranicy, co występuje na jaw przede wszystkim w kształtowaniu się bilansów handlowego i płatniczego.

W momencie upadku rządu Faure'a skarb państwa był pusty. Wypłaty pensji 1 marca dokonano z pożyczki udzielonej skarbowi przez Bank Francji w wysokości 25 miliardów franków. Pożyczka ta, zresztą nielegalna, powinna była być spłacona 20 marca i nie było żadnych widoków na dokonanie spłaty.

Kandydat na premiera, Pinay, w swym exposé parlamentarnym oświadczył zupełnie otwarcie, że o ile nie będą uchwalone nowe podatki — skarb państwa będzie musiał 1 kwietnia zawiesić wypłaty. Jeśli zapytamy, w jaki sposób Francja doszła do takiego stanu — znajdziemy odpowiedź w fakcie chronicznych, od chwili przystąpienia do amerykańskiego wyścigu zbrojeń, deficytów budżetowych. Rok ubiegły zamknięto deficytem 360 miliardów franków, tj. ok. 15% wydatków. Tymczasem pod naciskiem amerykańskim preliminarz budżetowy na rok bieżący ustalono w sumie o 27% wyższej, (3.860 miliardów, z tego 1.400 na zbrojenia) z tym, że cały wzrost przypada na budżet wojskowy i na pokrycie, w części pozycji, wzrostu cen wynikającego ze zbrojeń dotychczasowych.

Wydatki pokojowe, i to gospodarczo najważniejsze, maleją nawet w liczbach nominalnych: tak np. wydatki na inwestycje pokojowe spaść mają nominalnie o 10, a w praktyce o ok. 30%. Jeśliby preliminarz na 1952 miał być realizowany przy użyciu dotychczasowych sposobów, to, jak oblicza reakcyjny przewodniczący komisji dla spraw przedsiębiorstw znacjonalizowanych, Pellenc, deficyt roczny wyniósłby 811 miliardów franków. Na pokrycie tego astronomicznego deficytu rząd Faure'a zamierzał rozpisać 450 miliardów pożyczki wewnętrznej i podnieść o 15% wszystkie podatki. Przy dzisiejszej sytuacji rynku pieniężnego we Francji pożyczka wewnętrzna oznacza wyprzedaż majątku państwowego, przede wszystkim przedsiębiorstw znacjonalizowanych, w ręce wielkiego kapitału. Nie można bowiem liczyć, aby subskrybenci zaufali tak kiepskiemu płatnikowi, jakim jest skarb Republiki Francuskiej bez odpowiednich „gwarancji w naturze". Z drugiej strony jest rzeczą jasną, że subskrybentami mogliby być tylko wielcy kapitaliści. Rząd Faure'a upadł, jak

wspomnieliśmy na wstępie, w rezultacie swoich projektów podatkowych. Budżetu Francja ciągle jeszcze nie ma, ale wydatki wojskowe są kontynuowane, gdyż reakcyjna większość parlamentarna uchwala odpowiednie pozycje z miesiąca na miesiąc. W rezultacie skarb państwa wysechł.

Równie groźne jest zjawisko deficytu w bilansach handlowym i płatniczym. Odcięcie Francji od rynków wschodnio-europejskich, rabunkowa konkurencja japońska i zachodnio-niemiecka, niekorzystny rozwój wskaźnika cen eksportowo-importowych i wreszcie niemożność utrzymania eksportu artykułów produkowanych przez przemysł przechodzący na wytwórczość zbrojeniową — spowodowały, iż rok ubiegły przyniósł w handlu zagranicznym deficyt 339 miliardów franków. Rezerwy w dewizach figurujące na rachunku Banku Francji wynosiły 14 lutego zaledwie 15 miliardów franków i w dniu 5 marca spadły do zera. Rezerwy w złocie wynosiły tegoż dnia ledwie 190 miliardów franków, z czego 1/6 trzeba było oddać w dniu 15 marca do kas marshallowskiej EPU. Tak niskiego stanu rezerw nie zna historia Banku Francji. Waluta francuska traci z dnia na dzień swą wartość. Kurs dolara na giełdzie paryskiej sięga 500 franków wobec oficjalnego — 350. Tymczasem eksport francuski pokrywa w tej chwili zaledwie 54% importu.

Upadek rządu Faure'a, był więc, jak widzieliśmy, aż nadto uzasadniony sytuacją gospodarczo-finansową. Upadek Faure'a właśnie w głosowaniu nad kwestią podatkową był zarazem dowodem, że reakcyjna większość parlamentarna obawia się narodu i nie może się odważyć jeszcze na przedstawienie mu nowego rachunku za zbrojenia. Nie znaczy to jednak, aby ta sama większość chciała zrezygnować z amerykańskiego kursu swej polityki.

Nowym sloganem politycznym całego obozu reakcyjnego we Francji stał się „rząd jedności narodowej" od RPF de Gaulle'a do byłej partii socjalistycznej SFIO. Hasło to ilustruje głęboki kryzys polityczny Republiki Francuskiej, gdyż dowodzi, że burżuazja Francji nie czuje się już na siłach rządzić krajem w oparciu o metody parlamentarne. Wystąpienie na arenę de Gaulle'a oznacza odwołanie się do faszyzmu w celu utrzymania dzisiejszego kursu polityki rządu francuskiego. Hasło „jedności narodowej" przypomina w ten sposób do złudzenia analogiczne hasła Mussoliniego we Włoszech, Hitlera w Niemczech i twórców OZON-u w Polsce. Odwołanie się do faszyzmu demaskuje zarazem słabość burżuazji francuskiej, pomimo wszystkich jej oszustw wyborczych, które pozwoliły na zredukowanie reprezentacji komunistycznej w parlamencie do 1/6. Słabość francuskich sojuszników wywołuje oczywiście zaniepokojenie w Waszyngtonie. Przywódca partii rządzącej w Kongresie USA, Connally, oficjalnie „ostrzegł" burżuazję francuską, że jeśli nie potrafi sobie poradzić z sytuacją i przyspieszyć tempa zbrojeń, Stany Zjednoczone „będą musiały zrewidować swe poglądy" na sojusz z Francją i pomoc dla niej. Kongres USA zdaje sobie przy tym świetnie sprawę z trudności zadania, przed jakim stanęła reakcja francuska. Poseł Smith, z komisji spraw zagranicznych Izby Reprezentantów, przyznał otwarcie, że kryzys francuski oznacza, iż „naród francuski po prostu nie chce brać udziału we wspólnej obronie". Z tego względu — dodał Smith — raporty z konferencji lizbońskiej paktu atlantyckiego, kiedy to uchwalono zwiększenie tempa zbrojeń, m. in. francuskich, były „zbyt optymistyczne, a realne wyniki okażą się iluzoryczne". Podobnego zdania są wszyscy korespondenci amerykańscy i brytyjscy w Paryżu.

Sekretarz KPF, Jacques Duclos, po wizycie u prezydenta Auriola w związku z upadkiem rządu Faure'a oświadczył: „Przypomnieliśmy prezydentowi, że upadek rządu Plevena w styczniu br. spowodowały te same przyczyny, które utrzymują się w dalszym ciągu. Będą one nadal istniały, jeśli, mimo oporu narodu francuskiego, kontynuowana będzie ta sama polityka. Możemy powtórzyć dzisiaj to, co powiedzieliśmy w styczniu. Jeśli nie usunie się przyczyn dzisiaj — dadzą one identyczne skutki jutro. Robotnicy i demokraci nie mogą pozostać obojętni wobec faktu, że koła oficjalne usiłują nadać „republikańską" markę faszystowskim poczynaniom w kierunku zagarnięcia władzy. Nie mogą oni również zapomnieć, że gabinet Faure'a, popierany przez SFIO, stał się wspólnikiem faszyzmu. Konieczne jest przystąpienie do radykalnych zmian w polityce w celu odzyskania niezawisłości narodowej, ograniczenia wydatków wojskowych i nawiązania normalnych stosunków handlowych ze wszystkimi krajami".

*7/III—52 r.*

**Krzysztof Wolicki**

## WIELKIE BUDOWLE KOMUNIZMU W LITERATURZE RADZIECKIEJ

Za kilka tygodni nastąpi uroczyste otwarcie kanału żeglownego Wołga—Don, pierwszej wielkiej budowli komunizmu. W chwili gdy zaczyna szumieć nowopowstałe Morze Cymlańskie, gdy 101-kilometrowa trasa Kanału wiąże pięć mórz, na innych wielkich budowlach komunizmu prace również szybko posuwają się naprzód. Dokonuje się gigantyczny proces przeobrażenia klimatu i krajobrazu, gospodarki i człowieka. Skala wielkich budowli komunizmu i związanych z nimi prac nad przeobrażaniem przyrody, olbrzymie rozmiary robót, które stworzą techniczno-materialną bazę komunizmu — nie mają sobie równych w dziejach ludzkości.

W procesie tym bierze czynny udział naród radziecki, biorą udział pisarze radzieccy. Do nich należy artystyczne odtworzenie, ukazanie światu i potomności wielkich przemian w psychice budowniczych komunizmu, odczucie i przekazanie czytelnikowi wzniosłego patosu epokowych robót i epokowych przeobrażeń.

O problemowej i organizacyjnej stronie sprawy udziału pisarzy w wielkich budowlach komunizmu informowaliśmy czytelników T w ó r c z o ś c i w nrze 10-tym z ub. r. Od tej pory wzrosła ilość utworów, wzrosło natężenie twórczości opartej na materiale zaczerpniętym z tematyki budownictwa.

Zanim przejdę do omówienia najwybitniejszych utworów osnutych na tej tematyce, pragnę zatrzymać się nad sprawą trudności, jakie nastręcza ona pisarzom. Czytamy o tym w artykule wstępnym L i t e r a t u r n e j G a z i e t y (nr 147 z grudnia ub. r.) — zatytułowanym W i e l k i t e m a t w s p ó ł c z e s n o ś c i: „Gdy literat przyjeżdża na budowę, pierwsze, co mu się rzuca w oczy, co go zniewala i ujarzmia swoim rozmachem — to nowy, niespotykany widok: tu wszystko, co oko ogarnia, wypełnione jest potężnymi i złożonymi mechanizmami, tu wszystko jest maksymalnie nasycone techniką. Zrozumiały jest więc zachwyt, jaki budzi taki obraz, zrozumiałe dążenie pisarza, by opowiedzieć o tym czytelnikowi. Tak, ten nowy, niebywały wygląd budowy powinien literat odmalować czytelnikowi, gdyż w tym widoku odzwierciedliły się kolosalne osiągnięcia naszego kraju". Zdarza się jednak, że literaci upojeni wspaniałymi osiągnięciami technicznymi — zachwycają się gigantycznymi mechanizmami, lecz niedostatecznie dostrzegają żywego czło-

wieka, budowniczego twórcy i władcy tych technicznych olbrzymów.

W niektórych utworach powstałych pod nieprzepartym urokiem wspaniałej techniki — jak czytamy w cytowanym artykule — „technika zasłoniła człowieka", który zawsze przecież jest i pozostaje „tworzywem literatury pięknej" (Gorki). Literat piszący o wielkich budowlach komunizmu nie może zapominać, że „...w ośrodku zainteresowania pisarza musi przede wszystkim stać człowiek, który stworzył tę technikę, który nią kieruje i codziennie ją udoskonala: człowiek radziecki — bubowniczy komunizmu" (cyt. art. j. w.).

Przy omawianiu utworów literackich o tej tematyce krytyka radziecka zwraca przede wszystkim uwagę na to, czy i jak ich autor zdołał zanalizować, zrozumieć, odtworzyć i przekazać czytelnikowi wizerunek bohatera tych budowli — człowieka epoki Stalinowskiej.

Udało się to autorom pierwszej na ten temat napisanej opowieści dokumentarnej (opublikowanej w miesięczniku Znamia w czerwcu ub. r.) pt. Ranek wielkiej budowy — W. Gałaktionowowi i A. Agranowskiemu. Narracja prowadzona w pierwszej osobie przez jednego z autorów a zarazem uczestnika opisywanych wydarzeń, Gałaktionowa, naczelnego geologa na budowie Stalingradzkiego węzła wodnego, ułatwiła oryginalnej spółce autorskiej (Agranowski jest dziennikarzem) wprowadzenie czytelnika w zajmujący tok akcji — w sposób żywy, bezpośredni i jak najbardziej autentyczny. Z drugiej strony taka budowa fabuły utrudniła autorom zadanie pełnego scharakteryzowania postaci. W opowieści występują dziesiątki ludzi działających we wczesnej, „porannej" fazie budowy: w pracach geologicznych, badawczych i projektowych. Poznajemy tych ludzi przy pracach w terenie, w bardzo trudnych warunkach klimatycznych, zmagających się ofiarnie z piętrzącymi się trudnościami. Żywa, plastyczna jest postać naczelnika ekspedycji badawczo-projektowej L. Pripotienia. W postaci tej wielkie doświadczenie życiowe i zawodowe wybitnego fachowca splata się w sposób naturalny z młodzieńczym, niemal chłopięcym zapałem, a nawet zapalczywością. Śmiałość i pomysłowość — kojarzy się u Pripotienia z rubasznym humorem i figlarnym sprytem. Jednak nie tylko samymi dodatnimi cechami wyposażyli autorzy opowieści swego pozytywnego bohatera. Pripotień jest np. przeczulony na punkcie krytyki, co autorzy podkreślają i wytykają.

Weźmy np. postać gleboznawcy Siemiona Jegorowa. Jego osobie autorzy opowieści poświęcili cały rozdział. Powoli, krok za krokiem, w działaniu, w pracy, w trudnych sytuacjach — odsłania się przed oczyma czytelnika pełny wizerunek tego wspaniałego człowieka. Jegorow — to pełen poświęcenia bolszewik, gorący patriota, ofiarny pracownik nauki. Nie mniej ciekawa jest sylwetka innego Jegorowa — Leonida, bohaterskiego topografa ekspedycji, który mimo podeszłego wieku z młodzieńczą werwą i zapamiętałością prowadził prace na Wołdze w czasie listopadowych burz.

Dobrze narysowana jest również postać, która od pierwszych stron opowieści zyskuje sympatię czytelnika swoim zrównoważonym charakterem, wielkim rozumem, powściągliwym humorem, a zarazem dużą pasją twórczą. To — Gałaktionow, współautor książki, którego podobnie jak i inne postacie powieści poznajemy w akcji, z czynów, zachowania się, wypowiedzi.

Zbędnym chyba będzie zastrzegać się, że nie wszystkie postaci występujące

w tej — podkreślam — opowieści dokumentarnej są tak wyczerpująco scharakteryzowane. Lecz ta bogata w barwy i odcienie galeria postaci pierwszo- i drugoplanowych stanowi prawdziwe i wspaniałe odbicie zwartego kolektywu ludzi, którym jako pierwszym przypadł zaszczyt pracy na budowli wielkiego obiektu komunizmu.

W tej fazie budowy najwyższa technika, olbrzymie mechanizmy — jeszcze nie były potrzebne. W opowieści Galaktionowa i Agranowskiego słyszymy już huk wielkiej budowy Kanału Wołga—Don. Obie te budowy zazębiają się, ich zespoły wzajemnie się wspomagają. Na budowie Kanału już w tym okresie (na wiosnę 1951 r.) prace były daleko posunięte. Przed przyjeżdżającymi tam masowo pisarzami roztaczał się inny widok niż w Ranku wielkiej budowy.

Opisowi tego oszałamiającego pejzażu na trasie budowy Kanału Wołga—Don i w jego zasięgu — poświęcił piękny reportaż K. Paustowski (Od Wołgi do Donu — Znamia Nr 8/51)

„Ludzi na całej przestrzeni budowy — pisze w swoim reportażu Paustowski — można zobaczyć niewielu. Ludzi niemalże nie ma. Ludzi zastąpiła wspaniała technika.

Dlatego na pierwszy rzut oka budowa sprawia wrażenie ogromnych robót rozpoczętych i porzuconych przez człowieka. Jedynie huk maszyn, strzeliste ramiona koparek, szybko i pewnie przenoszące nad waszymi głowami czerpaki z ziemią — zdradzają jego obecność.

Wszystko robią maszyny".

Przyznając, że w tym lakonicznym, sugestywnym opisie pisarz znakomicie oddał pierwsze wrażenie, jakie odczuwa się po przybyciu na teren budowy, że po mistrzowsku odmalował koloryt tej pejżażu — J. Jakowlew w artykule Pejzaże, maszyny, ludzie... (Litieraturnaja Gazieta Nr 108 z września ub. r.) — wyraża żal, że Paustowski na tym poprzestał. Jakowlew pisze: „To stanowi poważny brak reportażu, poważniejszy niż poszczególne popełnione przez autora niedokładności w opisie budowy". Przy bliższym zapoznaniu się, po gruntowniejszej obserwacji gigantycznego procesu budowy — konkluduje autor artykułu — wrażenie wyludnienia na budowie znika, ustępuje miejsca poczuciu wagi i znaczenia ludzi kierujących zadziwiającym zespołem mechanizmów. Widocznie Paustowski zbyt krótko przebywał na budowie Kanału Wołga — Don.

Już wielokrotnie w dyskusjach na temat udziału literatów w wielkich budowlach komunizmu podnoszono konieczność dłuższego przebywania pisarzy na terenach budowy — i to w charakterze nie widza, lecz uczestnika prac. Pozwala to pisarzom na pełne i wnikliwe zapoznanie się z całokształtem zagadnień wielkich budowli komunizmu, daje niewyczerpane możliwości przyjrzenia się wyrastającemu tam nowemu człowiekowi, nowatorowi budownictwa komunistycznego. „By stworzyć postać nowatora wielkiej budowy stalinowskiej — czytamy w cytowanym wyżej artykule wstępnym Litieraturnej Gaziety — trzeba głęboko wniknąć w jego pracę, należy poznać i zademonstrować jej złożoność, rozmiary i perspektywy, trzeba odmalować nowatora w pełnej, żywej wielostronności ludzkiego charakteru, trzeba ukazać duchowy rozwój bohatera..."

Znakomity prozaik, autor książki My ludzie radzieccy, Borys Polewoj od dłuższego czasu przebywa na terenie budowy Kanału Wołga — Don. Od września ub. r. ukazu-

ją się na łamach Prawdy jego szkice portretowe Ludzie budowli komunizmu. W tych krótkich utworach Polewoj po mistrzowsku nakreślił postacie bohaterów budowy, kierowników i członków zespołów, nowych gigantycznych koparek, pogłębiarek, buldożerów, mechanicznych łopat itd. Wybitny malarz, ilustrator Opowieści o prawdziwym człowieku, M. Żukow, zaopatrzył te portrety prozą — świetnymi rysunkami, szkicami portretowymi bohaterów opowiadań Polewoja.

Źródło niezwykłego uroku, siły artystycznej i życiowej prawdy tych utworów tkwi nie tylko w umiejętności odtworzenia bohaterstwa pracy, lecz przede wszystkim w sztuce nakreślenia drogi życiowej, która przywiodła bohaterów Polewoja na Kanał Wołga—Don.

W tej galerii postaci znajdujemy słynnego kierownika ziemno-wodnej pogłębiarki nr 306, W. Michajłowa; maszynistę koparki, wirtuoza w swoim zawodzie, D. Slepuchę; mistrza robót tunelowych, budowniczego moskiewskiego metra, P. Siergiejewa i wielu innych. Niektóre z tych postaci występują również w utworach innych autorów, nigdzie jednak nie zostały odtworzone tak prawdziwie, głęboko i plastycznie, jak to uczynił Polewoj w omawianym cyklu portretowym.

W jaki sposób i dzięki czemu Polewoj osiąga tak doskonałe w swych krótkich, zaledwie około 350—400 wierszy liczących utworach? Niewątpliwie dzięki kunsztowi umiejętnego rzucania ostrego snopu światła na portretowanego bohatera — ujętego dynamicznie, w pełnym procesie rozwojowym. W zwartym, zgęszczonym skrócie pisarz maluje obrazowo przeszłość portretowanego bohatera, charakteryzuje środowisko, z jakiego wyszedł. Pierwsze pięciolatki stalinowskie, lata wojny — jeżeli oczywiście bohater nie jest młodym chłopcem lub dziewczynką — służba frontowa, bohaterska walka na śmierć i życie z hitlerowskim najeźdźcą; wreszcie — po zwycięskim zakończeniu wojny — powrót do pokojowej pracy. Nauka, fabryka — Czwarta Pięciolatka Stalinowska. Przyjazd na budowę Kanału Wołga—Don.

Te etapy na ogół wszyscy przechodzili, tymi drogami trafiali na wielką budowlę komunizmu. Lecz w każdym szkicu szlak ten przebiega odmiennie dzieje każdego z bohaterów są zindywidualizowane, zabarwione innymi tonami, inaczej literacko opracowane. Postacie z portretów Polewoja tętnią życiem, są żywymi indywidualnościami Ich losy są mocno związane z losami narodu radzieckiego, ich osiągnięcia szczęście stapiają się z osiągnięciami i szczęściem kolektywu, ich rozwój znaczą etapy rozwojowe społeczeństwa socjalistycznego.

W szkicu Eugeniusz Simak Polewoj przedstawił trzy pokolenia starego maszynistę koparki „Uralec A. Bojaryncewa, budowniczego socjalizmu z okresu pierwszych pięciolatek stalinowskich, który przyjechał z dalekiego Kazachstanu do swego ucznia E. Simaka — budowniczego komunizmu, „milionera“ (w ciągu 46 miesięcy Simak wykopał na swoim „Uralcu milion $m^3$ ziemi).

Niemal alegoryczna scena została nakreślona w szkicu Nurkowie. Wśród grupy gości przyglądających się w pamiętnym dniu 20 września 1951 r. uroczystości spuszczenia wód Donu do nowego koryta, stał 110-letni kołchoźnik G. Sijochin i słuchał wyjaśnień swojego wnuka, dyspozytora na jednym z odcinków budowy. Tak więc nad korytem Kanału spotkały się i podały sobie dłonie pokolenia ludzi radzieckich.

Budowniczym Kanału Wołga — Don poświęcił Polewoj także kilka krótkich opowiadań. Na wielkiej trasie — drukowanych w popularnym tygodniku Ogoniok od grudnia 1951 r. W niewielkich tych utworach autor Opowieści o prawdziwym człowieku w znakomitych skrótach odmalował przeżycia, uczucia i myśli budowniczych Kanału — po pracy i poza pracą. Polewoj opisuje w tych opowiadaniach wydarzenia rozgrywające się niejako na marginesie wielkiej budowli. O ile w szkicach z cyklu Ludzie wielkiej budowy przeważa patos budowy komunizmu, o tyle opowiadania z cyklu Na wielkiej trasie przenika cichy, głęboki, wzruszający liryzm. Budowniczym Kanału Wołga — Don poświęcił między innymi reportaż Ludzie, którzy ujarzmili Don znany reportażysta A. Miednikow (Oktiabr Nr. 2/52).

Na trasę przyszłego Głównego Kanału Turkmeńskiego przenosi nas reportaż wybitnego turkmeńskiego prozaika B. Kerbabajewa pt. Wiosna na ziemi turkmeńskiej (Znamia nr 1/52). Jest to hymn prozą na cześć Głównego Kanału Turkmeńskiego i jego budowniczych, ludzi zajętych przy pracach geologiczno-badawczych, przy wytyczaniu trasy Kanału, przy budowie dróg i osiedli, miast i ogrodów na pustyni Kara-Kum.

W tym zestawieniu pomijam oczywiście wiele opublikowanych w ostatnim czasie reportaży, szkiców i opowiadań poświęconych ludziom wielkich budowli komunizmu. We wszystkich tych utworach przepojonych głębokim patriotyzmem radzieckim rozbrzmiewa motyw walki z imperializmem, walki o pokój.

W utworach osnutych na tematyce stalingradzkich wielkich budowli komunizmu motyw ten wprost wykwita z jakże żywych wspomnień, reminiscencji, refleksji zbudzonych widokiem tętniącego gorączkowym pulsem budowy — gigantycznego pobojowiska między Wołgą a Donem. Jest w Ranku wielkiej budowy wzruszająca scena urastająca do znaczenia symbolu: w czasie poszukiwań geologicznych znaleziono zwłoki radzieckiego oficera; w torbie oficerskiej zachował się pisany przed bitwą niezakończony list adresowany do matki. Pracownicy ekspedycji przesłali matce zabitego bohatera bitwy stalingradzkiej list z zawiadomieniem o śmierci syna i zapewnieniem, że „wiecznym pomnikiem Waszego syna i wszystkich bohaterów, którzy oddali swoje życie dla szczęścia naszego narodu, będzie wołżańska centrala wodna".

W walce o wzniesienie wielkich budowli komunizmu, o przeobrażenie przyrody, o zwycięstwo komunizmu, bohaterowie tych historycznych zmagań nawiązują do bojowych tradycji bohaterów Wielkiej Wojny Narodowej. Niejeden spośród nich brał udział w historycznej bitwie pod Stalingradem. Wielu z bohaterów opowieści dokumentarnej Gałaktionowa i Agranowskiego, bohaterowie szkiców portretowych Polewoja — to uczestnicy Wielkiej Wojny Narodowej, uczestnicy epopei Stalingradzkiej, partyzanci stepów naddonieckich, zwycięzcy znad Dniepru, Wisły, Odry, zdobywcy Berlina, wyzwoliciele narodów Europy i narodu niemieckiego z hitlerowsko-faszystowskiego jarzma. Szkic Polewoja Syn Stalingradu odtwarza postać Stalingradczyka i obrońcy rodzinnego miasta, obecnie słynnego kierownika gigantycznej koparki kroczącej ESz 14/65, inż. A. Uskowa, wybranego przez budowniczych Kanału Wołga—Don na ich delegata na zeszłoroczną III Wszechzwiązkową Konfe-

rencję Obrońców Pokoju. W tym szkicu Polewoj z wyjątkową siłą artystycznego wyrazu, zespolił te dwa motywy: budownictwa komunistycznego i walki o pokój.

Poeci nie pozostają w tyle za prozaikami. Wyszedł z druku (w bibliotece Ogoniok) — znany przedtem we fragmentach — cykl pięknych, pełnych liryzmu wierszy A. Jaszyna pt. Człowiek radziecki. Zbiorek ten opiewa bohaterskich budowniczych Kujbyszewskiej i Stalingradzkiej Elektrowni Wodnej. Ukazały się m. i. cykle wierszy: E. Dołmatowskiego Nad przyszłymi morzami (Znamia Nr 10/51), Br. Kieżuna Nad brzegami wielkich rzek (Zwiezda Nr 12/51), S. Orłowa Tęcza na stepie (Zwiezda Nr 1/52). Szczególnie mocny akcent publicystyczny zawarty jest w niektórych lirykach Dołmatowskiego: Delegacja kobiet niemieckich (i jej pobyt w Stalingradzie), Medal za forsowanie Jang-tse (o pobycie delegacji chińskiej w Stalingradzie). Piękny jest w tym cyklu wiersz O tym co najdroższe — poświęcony pobytowi Józefa Stalina w Stalingradzie.

Gdy mowa o liryce nastrojonej na motywy wielkich budowli komunizmu, warto zaznaczyć, że tematyka ta znalazła również silny oddźwięk twórczy w pieśniarstwie. Prócz szeregu pieśni znanych kompozytorów zanotowano wiele samorodnie powstałych pieśni ludowych: w obwodzie Kujbyszewskim — w sąsiedztwie terenu budowy, a nawet na Litwie.

Coraz pełniej, coraz głębiej przenika tematyka wielkich budowli komunizmu wszystkie dziedziny radzieckiej twórczości literackiej i artystycznej. Znane są z prasy literackiej zamierzenia pisarzy w tym kierunku: F. Panfiorow pisze powieść Wołga—matuszka-rieka; pierwszy tom pt. Wielka Wołga ma być ukończony w tym roku. Ukazać ma się także powieść W. Zakrutkina pt. Zapora. Autorzy Ranka wielkiej budowy, dobrawszy do spółki scenarzystę L. Arnsztama — piszą scenariusz na sam temat. Znany poeta L. Oszanin zapowiedział na najbliższe miesiące zakończenie zbioru wierszy Stalingrad — Berlin. Cykl ten powstał w wyniku pobytu Oszanina na wielkich budowlach stalingradzkich (Elektrownia Wodna, Kanał Wołga—Don, Zapora Cymlańska) latem ub. r. i — bezpośrednio potem — na festiwalu młodzieżowym w Berlinie.

Na zakończenie pragnę wspomnieć o jeszcze jednym motywie w tematyce wielkich budowli komunizmu. Pojawia się wiele utworów literackich odtwarzających współpracę całego narodu, ogromnego Kraju Rad, zaplecza wielkiego budownictwa komunistycznego — z frontem zmagań na terenach Stalingradu, Kujbyszewa, w Kara-Kum, w Kachowce i na Krymie. A. Bek opublikował w Nrze 10/51 miesięcznika Nowyj Mir opowieść pt. Nowy profil — o pracy zespołu wielkiej fabryki metalurgicznej wykonującej zamówienia dla budowy Kanału Wołga—Don. Powieściopisarz A. Złobin w zajmującym reportażu Kroczący gigant barwnie opisał narodziny pierwszej koparki kroczącej ESz 14,65 w fabryce na Uralu. Zwracają uwagę plastyczne opisy spławu drzewa dla wielkich budowli komunizmu w reportażach i opowiadaniach: I. Zykowa (Po Wołgie), D. Osina (Wielki Dniepr) i inne. Tak więc ogólnonarodowy charakter wielkich budowli komunizmu znajduje również swoje odbicie w utworach literatury radzieckiej.

**Józef Spinc**

**Parafialna „Beczka Słoniny"**

„Jeśli republikanie znikną — jak sto at temu uczynili federaliści — w partii demokratycznej nastąpi rozłam. A linia ego rozłamu przebiegać będzie wzdłuż podziału raczej gospodarczego niż geo-graficznego i nie będzie już wówczas Zwartego Południa. Gdy zaś nie będzie Zwartego Południa, większość rozła-mowców zostanie przyciągnięta przez biegun silniejszy. Przy udziale w tym uchu byłych republikanów silniejszym biegunem będzie biegun konserwatyw-ny. Z czego wynika, że biegun liberalny stałby się prawdziwie liberalny. Wów-czas w polityce USA mógłby wyłonić się konserwatyzm istotnie zachowujący i li-beralizm naprawdę liberalny, opozycja prawdziwie opozycyjna. A z tego stanu rzeczy mogłoby się narodzić coś, czego nasz kraj nie znał jeszcze w bieżącym stuleciu — jasne zasady polityczne".

Program ten wyłożony w styczniu 1937 przez redakcję Fortune, luksu-sowego miesięcznika znanego magnata prasowego i herolda „Amerykańskiego Stulecia", Henry R. Luce'a, nie doczekał się realizacji. Uniemożliwiła to sama struktura stronnictw politycznych w Stanach Zjednoczonych, a wiek XIX, wbrew ukrytej aluzji redakcji, nie stwo-rzył żadnych precedensów, aby się na nich wzorować. Przez cały bieg historii USA przewija się działalność dwóch, stale dwóch potężnych stronnictw, nigdy nie reprezentujących określonej idei, zawsze reprezentujących określone inte-resy.

Za czasów kolonialnych istnieli w A-meryce brytyjskiej, podobnie jak w me-tropolii, torysi i whigowie, którzy w An-glii stali się protoplastami późniejszych konserwatystów i liberałów. Torysi wy-rażali interesy wielkich latyfundiów, związani byli z koroną i w swej więk-szości zwalczali rewolucję. Po jej zwy-cięstwie opuścili kraj. Mniejszość tory-sów widząc, że walka jest beznadziejna, przeszła do obozu niepodległościowego wzmacniając prawe skrzydła obu kry-stalizujących się w tym obozie grup whigowskich — kapitalistów przemysło-wych i agrariuszy. Prawica kapitali-styczna, czyli federaliści, dysponowała u schyłku rewolucji trzecią częścią gło-sów w Kongresie, przez dłuższy czas hołdowała koncepcjom monarchistycz-nym i zwalczała zapamiętale wszelką myśl o demokracji. Zbankrutowani cał-kowicie w opinii publicznej federaliści przestali istnieć jako partia polityczna w okresie rządów Monroe. Była to tzw. Era Dobrego Samopoczucia — *The Era of Good Feeling* — wywołanego tym, że na placu jako jedyna partia pozostali demokraci. Ci ostatni z agrariuszy wy-rośli pod auspicjami Jeffersona i za sprawą Jacksona na potężną koalicję, jednoczącą prócz plantatorów Południa również i wiele elementów na Północy, zorganizowanych w okresie pierwotnym w „Towarzystwach Demokratyczych" i „Klubach Republikańskich" — ferme-rów, drobne mieszczaństwo, robotników, rzemieślników i spory odłam inteligen-cji. Była to partia szerokich mas i nie-dobitki kapitalistycznego stronnictwa whigów, ocalałe po zmiażdżeniu federa-listów, jeszcze przez długie lata odsu-nięte były od wpływu na rządy.

Popularność demokratów utrwalił na długo Jackson (prezydent w latach 1829–1837), który wsławił się walką z Bankiem Federalnym, uprawiającym w ramach swej polityki finansowej nader niedemokratyczne praktyki. Z czasem jednak władza w partii zaczęła coraz bardziej skupiać się w ręku plantatorów Południa, właścicieli niewolników i co-raz wyraźniej wysługiwać się ich inte-resom. Toteż utworzone w roku 1854 stronnictwo republikańskie szybko po-

zyskiwało sobie zwolenników. Największy jego rozkwit przypada jak wiemy na lata siedemdziesiąte ub. wieku, kiedy lewica republikanów osiągnęła większość w Kongresie. Kompromis Hayes — Tilden zlikwidował tę nieśmiałą i krótkotrwałą próbę nadania amerykańskiej partii politycznej ideowego oblicza. Odtąd oba stronnictwa idą pod hasłem, które zawsze było dla polityków USA największą atrakcją — „Łupy dla zwycięzców".

Hasło to rozległo się po raz pierwszy w New Yorku pod koniec XVIII stulecia i natychmiast zdobyło szerokie wzięcie w organizacjach partyjnych. Wypływało ono z obowiązującej powszechnie zasady, że obieralni (spośród kandydatów partyjnych) kierownicy urzędów mają prawo według swego uznania zmienić lub pozostawić wszystkich swych podwładnych. Praktyka szybko poszła po tej linii i niebawem partie polityczne przekształciły się w olbrzymie machiny — tak zresztą przezwane — służące do zdobywania posad, wybory zaś w wielkie kampanie reklamowe, których wynik zależał od sprytu handlowego, umiejętności urabiania sobie sprzyjającej atmosfery i sumy włożonych w reklamę pieniędzy. Przestrzeganie tych zasad jest tak absolutnie koniecznym warunkiem powodzenia, że stosują się do nich nawet uczciwi w intencjach politycy — jakże niestety nieliczni — jak La Guardia, czy Roosevelt, którzy, aby zdziałać coś pozytywnego dla społeczeństwa, muszą w taktyce tak jak inni uciekać się do karkołomnych nieraz sztuczek.

„Nie przeczę — mówił Richard Seddon, znany polityk i premier Nowej Zelandii w latach 90-tych — że skłonny jestem faworyzować okręgi reprezentowane przez tych, którzy popierają rząd. Pogląd to nie był oryginalny. Od dawna miał już prawo obywatelstwa w praktyce politycznej Stanów Zjednoczonych, gdzie doprowadzony został do perfekcji pod nazwą „Beczki Słoniny" — *the Pork Barrel*. Metoda polega na tym, że każdy Kongres uchwala co roku specjalne kredyty przeznaczone dla okręgów, których przedstawiciele należą do partii mającej większość w Izbie. Pretekst jest właściwie obojętny, zazwyczaj są to rzekome roboty publiczne, np. „regulacja" jakiejś rzeczki, o której istnieniu nikt nigdy nie słyszał itp. Pieniądze, w sumie noszące owo smakowite symboliczne miano, przeznaczone są na „smarowanie" lokalnego aparatu partii, na „wsparcia" i prezenty dla funkcjonariuszy i współpracowników miejscowej machiny partyjnej, na uciszenie niewygodnych dziennikarzy i różne inne bardziej lub mniej intymne wydatki. Rygorystycznie przestrzegany zwyczaj wymaga, by odpowiednio suta prowizję otrzymywał kongresman pośredniczący w uzyskaniu kredytów.

Gospodarczo Ameryka jest krajem wielkich miast i centrów przemysłowych. Ale pod względem wyborczym jest, tak jak za „Ojców — Założycieli republiki, zbiorowiskiem małych autonomicznych jednostek terytorialnych prowadzących zamknięte i wbrew pozorom niezmiernie prowincjonalne życie. Na tle parafiańszczyzny tego życia *Pork Barrel* odgrywa rolę doniosłą. W dziedzinie politycznej jest mniej więcej tym, czym w zakresie obyczajów przestępstwo, a w zakresie kultury kino i *Readers Digest*. Czynniki te zresztą wyraźnie spowinowacone i powiązane z sobą. *Pork Barrel* nie ogranicza się bynajmniej do Kongresu. Odpowiedniki tej instytucji istnieją w każdej legislaturze stanowej, a łańcuch sięga w dół aż do najmniejszych gmin.

### Maskarada idei

Źródła swoistych cech amerykańskiej organizacji partyjnej leżą w podstawach ustrojowych USA. Instytucje politycz-

anów Zjednoczonych były planowane
a kraju niezbyt rozległego, o ludności
e przekraczającej, gdy chodzi o bia-
ch, 2 milionów, rzadko rozsianej, prze-
ażnie wiejskiej i małomiasteczkowej,
jednolitej pod względem swego bry-
jskiego pochodzenia, z wyjątkiem 150
sięcy Niemców w Pensylwanii. Liczba
yborców w początkach republiki nie
zekraczała 120 tysięcy. Z biegiem cza-
sytuacja uległa radykalnej zmianie,
stytucje jednak istotnym zmianom nie
egły, poza coraz wiekszym wynaturze-
em.

Każdy zainterpelowany o to Amery-
nin powie z najgłębszym przekona-
em, że Franklin D. Roosevelt był zde-
dowanie demokratą, liberalnym, po-
epowym, a nawet zbliżonym do lewi-
, nieomal socjalistą. A jednak w naj-
ższym jego otoczeniu znajdowali się
dzie tacy jak wiceprezydenci Garner
Truman, wielu bankierów i wielkich
zemysłowców; a jednak niemal u
stępu jego rządów został krwawo stłu-
ony w Arkansas strajk murzyńskich
otników rolnych przeciw warunkom
ńszczyzny tak strasznej, że potępił je
wet miejscowy sąd białych rasistów;
emal na początku jego kadencji bli-
o 100 robotników zginęło z ręki band
ngsterskich organizowanych przez fa-
ykantów. A te i podobne zjawiska nie
otykały się z ani jednym słowem po-
ienia ze strony wybranego przez lud
ezydenta, choć wywoływały fale pro-
tów w całym świecie: odezwa Gor-
ego w sprawie strajku w Camp Kill,
abama, rozległa się głośnym echem po
zystkich zakątkach globu.

Taka postawa nie była wynikiem obo-
ności dla cierpień ludu, jak to impu-
wał wspomniany już miesięcznik
*rtune*, nieprzejednanie zwalczający
osevelta. Ale prezydent, choć swój
bór zawdzięczał w znacznym stopniu
asnej indywidualności, zawdzięczał go
nak w pierwszym rzędzie machinie partyjnej, bez której nie mógł istnieć i nie mógł rządzić, gdyż z niej mimo wszystko — nie z woli ludu, jak chce konstytucja — przy całym zachowaniu zewnętrznej formy wyborów powszechnych, wywodziła się jego władza. Roosevelt, który podobnie jak Lincoln żywił gorącą, choć filantropijną sympatię dla „szarego człowieka", nie mógł pozwolić sobie na odepchnięcie przedstawicieli „Starej Gwardii" partyjnej, a już zwłaszcza na potępienie z wyżyn swego urzędu tego, co jest najgłębszą istotą współczesnego ustroju Stanów Zjednoczonych — wszechwładztwa pieniądza, wspartego na rasizmie, wspartego na przeświadczeniu o wrodzonej, immanentnej, niezmiennej i nie dającej się cofnąć, fundamentalnej nierówności ludzi.

Nie mógł, gdyż jego celem — a przyznawali to najbardziej nawet zdeklarowani antagoniści Roosevelta z Wall Street — jego myślą przewodnią była ochrona, było odrodzenie kapitalizmu, przywrócenie mu dawnej świetności, żywotności, zapewnienie mu trwania. Jego działalność oparta była na keynesowskich receptach odwracania kryzysów. Inna sprawa, że Roosevelt pragnął kierować kapitalizmem, nie zaś być jego narzędziem. I to jego głębokie poczucie wyższości, ów kuratorski stosunek do władców wielkich fortun i *Fortune* był solą w oku magnaterii Wall Street. W tym brało początek źródło rozdźwięków, czy nawet nienawiści rodzinnej wybuchającej zarzutem „dyktatury", pomawianiem o „czerwoność".

Zresztą, czerwone zwidy od najdawniejszych czasów majaczyły się kapitalistom amerykańskim i przeciwników swoich zawsze nurzali w farbie czerwonej. „Każda próba przywrócenia ludziom wolności, czy też powstrzymania zapędów despotyzmu piętnowana jest dzisiaj mianem jakobinizmu" — pisał

w roku 1797 jeden ze stronników Jeffersona *).

Podobne zarzuty spotykały przywódców nowopowstałej partii republikańskiej. Wprawdzie już na długo przedtem George Henry Evans, działacz robotniczy, przepowiadał, że niebawem istnieć będą w kraju tylko dwie partie — „wielka, republikańska partia postępu i niewielka partia torysów, kurczowo trzymających się dawnych czasów", wprawdzie samą nazwę nowoutworzonego stronnictwa ukuł jego współzałożyciel i również działacz robotniczy Albin E. Bovey, wprawdzie istniało w pierwszym okresie wpływowe przez jakiś czas skrzydło lewicowe, ale w większości swej republikanie, nawet zanim stali się ostoją reakcji i imperializmu Vandenbergów i Deweyów, nawet, kiedy na ich czele stał Lincoln, dalecy byli od „niesienia zagłady tradycjom amerykańskim". I tylko w wyobraźni i propagandzie plantatorów mogli przybierać kształt „krwawych upiorów, czerwonych widm, pragnących zniszczyć instytucje stworzone przez Ojców-Założycieli i zmarnować ich dzieło". Wojna Południa z Północą była krwawa i okrutna, a pochód wojsk Shermana przez rude niziny Georgii nie był dla feudalnych pałaców i dworów złotodajnym deszczem. Lecz była to konieczność wywołana nieprzejednaną postawą właścicieli niewolników, konieczność, do której republikanie uciekli się wbrew wszelkim własnym chęciom i tylko pod naporem okoliczności. Bo nawet na śmierć Lincolna, który zginął z ręki agenta plantatorów, John Wilkes Bootha, odpowiedzieli stojący wówczas u szczytu władzy republikanie amnestią ogłoszoną niebawem dla przywódców Konfederacji. I aż nazbyt szybko doszło do kompromisu, z którego obie partie wyszły z ujednoliconym obliczem reprezentacji klas posiadających i z jednolitym programem — ucisku klas pracujących.

*) J. H. Wulfe *Jeffersonian Democracy in S. Carolina.* Chapel Hill, 1940.

### Butelki i nalepki

Znany historyk angielski, wicehrabia Bryce, autor wielkiej dwutomowej pracy W s p ó ł c z e s n e d e m o k r a c j e przytacza następujący szczegół: „Pewien słynny dziennikarz powiedział mi w roku 1908: „nasze dwie partie są jak dwie butelki — obie puste ale opatrzone różnymi nalepkami". Miał rację — dodaje arystokratyczny uczony, gdyż choć opinię publiczną nurtowały wówczas potężne prądy, nic z tego nie odzwierciedlało się w działalności partii". Obserwacja ta jest najzupełniej trafna, jakkolwiek nie tłumaczy, dlaczego prądy nurtujące opinię nie znalazły wyrazu w postaci nowej partii o jasnej ideologii, określonym programie i masowym zasięgu opartej na mocnych kryteriach moralności publicznej. Przyczyny leżą w znacznym stopniu w konfiguracji okręgów wyborczych, wyraźnie faworyzującej wielkie partie burżuazyjne, oraz w zatomizowaniu i tym samym niewyrobieniu opinii szerokiego ogółu, której większość podatna jest na impulsy najbardziej naiwne i prymitywne, a najwet silniej reaguje na tego rodzaju bodźce — barwne plakaty, kolorowe światła, korowody gwiazd filmowych śpiewających kowbojów, tani, operetkowy, przepych reklamy — niż na argumentację poważną i rzeczową. Stąd wszelka szerzej zakrojona akcja polityczna wymaga przede wszystkim ogromnych środków pieniężnych i olbrzymiego aparatu, jakim dysponują tylko dwa „tradycyjne" stronnictwa.

Z drugiej strony Amerykanie nie bez powodu zachodzą w głowę, dlaczego partia komunistyczna, ilościowo nie wielka, wywiera wpływ niewspółmierny—zdawałoby się—do jej siły liczeb

nej, dlaczego FBI w co drugim niemal obywatelu dopatruje się (najniesłuszniej w świecie) komunisty lub (znacznie słuszniej) sympatyka komunizmu czy w każdym razie radykała. Rozwiązanie zagadki jest zupełnie proste i jasne: są nim właśnie owe prądy nurtujące społeczeństwo, a nie znajdujące dla siebie miejsca w ramach struktury dwupartyjnej i równocześnie pozbawione możności ukształtowania się w trwały organizm partyjny. Stan obecny, płynnych nastrojów i plastycznej jak wosk, łatwo dającej się urabiać uczuciowości, zmieni się, gdy pod wpływem rosnącego — nierówno lecz stale — uświadomienia klasowego szerokich mas, wydobędą się one z grzęzawiska nieskoordynowanych odruchów na twardy grunt działania kierowanego świadomą wolą klasową i rozumem.

Gdyby puste butelki lorda Bryce spróbować napełnić jakąś treścią, okazałoby się, że butelka republikańska zawiera przewagę eliksiru wielkokapitalistycznego, podczas gdy w butelce „demokratycznej" przeważa esencja plantatorskiego wstecznictwa. Jest rzeczą znamienną i wymowną, że gen. Eisenhower namyślał się 4 lata, zanim powziął decyzję, której partii zamierza przewodzić. Jest rzeczą nie mniej znamienną, że Południe tradycyjnie głosuje na demokratów, choć mieszkają tam przecież ludzie o różnych zapewne poglądach politycznych. Wiemy zresztą doskonale, że Południe nie jest żadnym monolitem. Jeśli zaś sprawia takie wrażenie oglądane przez pryzmat wyników wyborczych — wrażenie rozpływa się, a krystalicznie na pozór prosty obraz ulega całkowitemu zmąceniu, skoro tylko rzucimy nań snop światła, jakie wnosi choćby kilka cyfr. Świadczą one o niezmiernie nikłym procencie pełnoletnich obywateli, którzy mają prawo głosowania i znikomym zupełnie odsetku tych, co z prawa tego korzystają lub mogą korzystać. Typowym przykładem jest stan Południowej Karoliny, gdzie na przeszło milion pełnoletnich obywateli tylko 300 tysięcy uznano za uprawnionych. Ale z tej liczby zaledwie 4.367 oddało głos na osławionego senatora James Byrnesa, późniejszego stuttgardzkiego sekretarza stanu, który mimo to został wybrany. Najlepiej zresztą oświetla stosunki na Południu zdanie tak wysoce miarodajnego świadka, jakim jest prezydent USA, Ulysses Simpson Grant, który w roku 1875 pisał: „W Missisipi wybory odbyły się w warunkach takich oszustw i gwałtów, o jakie trudno by posądzać dzikich, a co dopiero ludzi cywilizowanych i chrześcijan". Na północy liczby wyborców są nieraz znacznie wyższe. Ale i tam działają potężne machiny partyjne, związane ścisłym sojuszem z całym zorganizowanym światem przestępczym i — niezależnie od woli wyborców — decydują o wynikach głosowania.

### Czciciele świętego Tammany

Wiek XIX był w pełnym rozkwicie, a wraz z nim rozkwitał też Nowy Jork. Wprawdzie pomiędzy dostojną Wall Street a wytworną Fifth Avenue rozciągała się najludniejsza dzielnica miejska na świecie, a zarazem jedna z najnędzniejszych; wprawdzie tocząca się wojna domowa groziła rewolucyjnymi konsekwencjami — właśnie weszła w życie proklamacja Lincolna o wyzwoleniu Murzynów; wprawdzie burzył się także i plebs nowojorski żądając, ku zgorszeniu ludzi statecznych, aby synowie poważnych i zamożnych rodzin we własnych swych osobach odbywali powinność wojskową. Ale wojna przynosiła też znakomite zyski na dostawach dla armii, niesfornych zaś Murzynów i rozzuchwaloną hołotę z nowojorskich zaułków nauczono niebawem moresu. Za rządowe pieniądze budowano linie kolejowe, za pieniądze rządowe powstawały

fabryki, a całe zbuntowane Południe można było wykupić za grosze. Pieniądze nie leżały wprawdzie na ulicy, ale to tylko dlatego, aby nie dostały się w niepowołane ręce. Pieniądze napływały bezpośrednio do wynalezionych niedawno kas pancernych, co było metodą tyleż prostą, co słuszną. Krótko mówiąc, wiele było powodów do radości.

Nic więc dziwnego, że radośnie witano wszędzie Mr. Williama Marcy Tweeda, który właśnie w tym czasie — rok był 1863 — został przewodniczącym Tammany Hall. Z Tammany zawsze można było dobrze zarobić, Tammany — to było niewyczerpane źródło korzystnych zamówień rządowych, dostaw, kontraktów. I tak przyjemny w obejściu był mister Tweed!

Pogodny, jowialny, tryskający zdrowiem i energią, szastał anegdotkami, trochę czasem nazbyt pieprznymi, ale i szastał pieniędzmi, od nikogo nie żądając rachunków i nie sprawdzając, jak też miły współbiesiadnik wywiązywał się z zobowiązań.

Za młodu niezbyt mu się wiodło; miał jakąś fabryczkę mebli giętych, która zbankrutowała. Ale od kiedy jął się polityki — wyrósł na prawdziwą potęgę. W jego ręku były biura wyborcze i władze miejskie, w jego ręku była policja i sądy, a co najważniejsze — 12 tysięcy posad i milionowe kredyty.

Miał tam jakichś wspólników — trzech, jak słychać — ale byli to ludzie swoi, zaufani, prawomyślni i — również znali się na interesach.

I było jak najlepiej na tym najlepszym ze światów, gdy nagle padł grom z jasnego nieba. W kasie miejskiej ujawniono deficyt sięgający 81 milionów dolarów. Aż dziw bierze, jak nikłe bywają czasem przyczyny wielkich katastrof. Bo poszło o błahostkę, o podział drobnej sumy, a z tej małoważnej kłótni wspólników wynikł skandal, największy bodaj w dziejach Tammany Hall. Szedł rok 1871, krajem rządzili konkurenci — republikanie, zaczęto badać, dochodzić. Mister Tweed, strach powiedzieć, dostał się do więzienia i w parę lat później zmarł ze zgryzoty widząc, jak złoto zagarniają pełnymi garściami znienawidzeni przeciwnicy polityczni.

Upadł mister Tweed, ale nie oznaczało to upadku Tammany Hall. Bo jak mówi amerykańskie przysłowie, w polityce nie ma polityki, są tylko interesy. Przeciwnicy też nie lubili, by zanadto patrzeć im na ręce. Dogadały się machiny partyjne i powrót Tammany do władzy był równie szybki jak zupełny.

Tammanend był wodzem indiańskim, który w XVII wieku zawrzeć miał jakoby układ wieczystej przyjaźni z kolonizatorem Pensylwanii Williamem Pennem. W centrum Filadelfii można dziś jeszcze oglądać miejsce, gdzie rósł słynny, olbrzymi wiąz — świadek owego układu. W każdym razie wokół osoby wodza Irokezów powstało wiele legendarnych opowieści, w których rozpłynęły się realia historyczne i wyrosła postać bohatera bez skazy, wzór cnót żołnierskich i obywatelskich, a nawet teologicznych i kardynalnych. Tak przynajmniej orzekł głos ludu, który ongi był ponoć głosem Boga, dopóki Bóg nie znalazł się w arendzie klerykalno-kapitalistycznych pachciarzy. Dość że po latach stu Tammanend, potocznie zwany Tammany, był już świętym, czymś w rodzaju amerykańskiego Michała Archanioła; pensylwańskie wojska Waszyngtona obrały go sobie za patrona zamiast św. Jerzego.

12 maja 1789 powstało w New Yorku pod wezwaniem św. Tammany stowarzyszenie działaczy rewolucyjnych dla przeciwwagi arystokratycznemu „Zakonowi Cyncynnata". Już jednak po kilku latach stowarzyszenie przekształciło się

w machinę partyjną i odtąd słynie jako jedna z najpotężniejszych i najbardziej skorumpowanych baz partii demokratycznej. Przewodniczący, tzw. potocznie *boss*, sprawuje często władzę dyktatorską dzięki współdziałaniu z szeroko rozgałęzioną organizacją świata przestępczego, z którym Tammany Hall (nazwa stowarzyszenia) utrzymuje stałe stosunki. Kradzieże i nadużycia dokonywane przez Tammany Hall są olbrzymie, rzadko jednak dochodzi do ich ujawnienia ze względu na wpływy zainteresowanych. W wyjątkowych tylko okolicznościach wybucha skandal, jak to miało miejsce w wypadku bossa Williama Tweeda. W sześćdziesiąt lat po tej aferze doszło do wykrycia olbrzymich defraudacji popełnionych przez burmistrza New Yorku, Jimmy Walkera; nic by mu się nie stało, gdyby nie postawa ówczesnego gubernatora stanu New York, niebawem prezydenta, Franklina D. Roosevelta, pod którego naciskiem Jimmy Walker musiał w końcu podać się do dymisji. Atmosfera została przejściowo oczyszczona za rządów popularnego burmistrza Fiorello La Guardia, znanego później dyrektora UNRRA, człowieka czystych rąk, wielkiego serca i umysłu, prawdziwego demokraty. Ale jego następca William O' Dwyer poszedł utartym szlakiem korupcji i kradzieży, gdy zaś na skutek ogłoszenia skandalicznych szczegółów grunt zaczął mu się usuwać pod stopami, partyjny przyjaciel „lekkomyślnego" burmistrza, Harry S. Truman, mianował go ambasadorem USA w Meksyku.

Tammany Hall nie stanowi wyjątku. Machiny partyjne działają w każdym stanie i w każdym większym mieście, wszędzie metody rządzenia są te same. Wśród miast szczególnie wsławionych pod tym względem wybija się na plan pierwszy San Francisco, gdzie przez lata całe rządy sprawował jako boss partyjny pewien ślepiec wyjątkowo utalentowany w organizowaniu nadużyć. Dalej idą Chicago, St. Louis, Pittsburg, Cincinnati i Nowy Orlean. Spośród machin stanowych do najpotężniejszych należy republikańska machina w Pensylwanii, szczególną zaś brutalnością odznacza się machina partii demokratycznej w Missouri, którą przeszło ćwierć wieku rządził autokratycznie zmarły kilka lat temu patron prezydenta Trumana, Thomas J. Pendergast. Tom Pendergast sam nigdy nie kradł bezpośrednio z kas skarbowych, natomiast innym pozwalał kraść dowoli. Jego własne dochody płynęły z tajnych domów gry i rozpusty, których adresy chętnie podawał każdy policjant czy urzędnik miejski. Innym źródłem wpływów była sprzedaż narkotyków i zabronionych spirytualii (zwłaszcza w okresie prohibicji; stąd bossowie partyjni w tak wzruszająco purytański sposób gardłowali za prohibicją). Pendergast stosował żelazną dyscyplinę partyjną, wyłamujących się likwidował specjalny oddział gangsterski. Tradycja krwawych porachunków przetrwała i po śmierci „starego Toma": Przed dwoma laty w rozgrywce o dziedzictwo machiny został zabity w swoim gabinecie „samozwańczy" boss Binnagio. Morderstwa dokonano tak jawnie, że Truman musiał użyć całego swego autorytetu, aby uchronić przed odpowiedzialnością właściwego sprawcę, Jima Pendergasta, bratanka swego zmarłego protektora. Podobnie jest w Kalifornii i Luizjanie, Michigan i Missisipi, słowem we wszystkich 48 stanach. Gdzie należy szukać przyczyn tego zjawiska? Odpowiedzi udziela wspomiany już raz wicehrabia Bryce: „W Stanach Zjednoczonych szybkie powstawanie bajecznych fortun oraz możliwość zwiększenia ich drogą uzyskiwania faworów ze strony administracji stanowej i miejskiej zbiegły się z rozbudową organizacji partyjnych, dzięki którym można było osiągać owe

fawory. Wpływ tego, co nosi miano *Big Business* (wielkie interesy) — bogactw zgromadzonych w ręku nielicznych jednostek znajdujących powolne sobie narzędzie w politykach i organizacjach politycznych — stał się od lat głównym źródłem zła, wyzyskującego zasoby kraju dla swych samolubnych celów".

„To Miasto jest wystawione na sprzedaż i zginie w dniu, kiedy znajdzie kupca" — mówił o Republice Rzymskiej król numidyjski Jugurta. Obecny ustrój polityczny Stanów Zjednoczonych jeszcze się nie załamał, gdyż metody przekupstwa zostały ulepszone. A gdy wreszcie upadnie, nie będzie to skutkiem zgłoszenia się kupca — nikt nie kupuje zgnilizny — ale ciosów wymierzonych przez lud amerykański w spróchniałe zręby swego więzienia.

### Wolność na modłę USA

Wolność amerykańska jest ogromna. Jej pochodnia wznosi się 300 stóp ponad cokołem. Całość, od pięt do czubka głowy mierzy 111 stóp i 6 cali, waży 225 ton. W głowie może swobodnie zmieścić się 30 osób. Ale ta góra wolności nie zrodziła się na ziemi Stanów Zjednoczonych. Przybyła tam w roku 1885 — dar republiki Thiersów, Mac Mahonów i skorumpowanych adwokatów dla republiki Tweedów, Pendergastów i wszechwładnego *Big Businessu*. Posąg przekazywał imieniem Francji — rzecz nie bez pewnej swoistej pikanterii — osławiony wicehrabia Ferdynand de Lesseps, bohater głośnej na obie półkule afery panamskiej. Amerykanie umieścili statutę na samotnej wysepce Bedloce Island, tuż obok niemniej znanej Ellis Island — miejsca odosobnienia immigrantów i deportowanych. Wolność można zwiedzać od wewnątrz — za opłatą 5 centów. Ale dostęp do pochodni Wolności jest dla szerokiego ogółu wzbroniony, co również nie pozbawione jest swoistej wymowy.

Statua jest oczywiście symboliczna. Istotnie, wszystkie jej cechy noszą znamiona symboli. Wolność amerykańska jest ciężka i tylko ciężkie pieniądze mogą ją poruszyć. Ogół zadowolić się musi słowami, hasłem, pustym dźwiękiem, a nieraz pustym brzuchem. Ogół nie ma wyboru, choć wybory są tak częste w tej „cytadeli demokracji".

Stany Zjednoczone są, jak wiadomo, republiką oligarchiczną. Władza spoczywa w ręku przywódców klasy panującej, zróżnicowanej wewnętrznie na tyleż odcieni, ile jest odcieni wielkich posiadaczy, ile jest grup interesów. O przynależności decyduje majątek, w mniejszym stopniu — urodzenie. Poza tym odbywa się asymilowanie jednostek wykazujących szczególne zdolności organizacyjne, a pochodzących z innych warstw społecznych. Na tym oraz na relatywnej i swoiście pojmowanej „równości" w obrębie klasy rządzącej polega właściwie cały osławiony demokratyzm USA.

Głos w zarządzaniu majątkiem, w dysponowaniu własnością, kapitałem, rozstrzyga o wpływie, o dominującej pozycji w ramach poszczególnych grup interesów — kilku t.zw. „partnerów", czyli wspólników domu Morgana zasiada w zarządzie stu kilkudziesięciu koncernów, od których zależy los setek innych przedsiębiorstw. Ścieranie się wpływów owych grup decyduje o obliczu reprezentującej ich interesy partii politycznej. Indywidualnie królowie republiki mogą wyrażać cały wachlarz poglądów — od skrajnego wstecznictwa po Rooseveltowski liberalizm. Istota rzeczy nie zmienia się — są to różne tony tej samej kapitalistycznej gamy. Różna bywa taktyka, cel jest jeden — utrzymanie władzy w ręku partii, utrzymanie „zarządu" państwem w ręku finansujących partię monopoli.

Teoretycznie konstytucja Stanów Zjednoczonych pozwala na stworzenie in-

nej jeszcze alternatywy dla wyborcy, poza demokratami i republikanami. W praktyce, dzięki wszechwładzy monopoli i zasadzie *Pork Barrel*, konstytucja została dawno przekreślona. Tylko katastrofa, tylko załamanie się tego systemu mogło by stworzyć realne możliwości powstania masowej partii reprezentującej prawdziwe interesy szerokich rzesz ludności. Wielką zasługą Roosevelta wobec kapitalizmu było, że dzięki ustępstwom poczynionym na rzecz robotników i farmerów odwrócił załamanie, zapobiegł w ostatniej chwili katastrofie, jaką niósł wielki kryzys kapitalizmu z lat 1929—33, pogłębiany przez głupotę rządów skrajnej reakcji za prezydenta Hoovera.

Szerokie masy już od paru pokoleń wiedzą, że program partyjny obu wielkich stronnictw jest fikcją, a ich treść ta sama. Stąd wielka liczba wyborców niezdecydowanych, głosujących za każdym razem na inną partię. Stąd też nastawianie się szerokiego ogółu nie na programy, ale na osoby, na osobiste zalety umysłu i charakteru kandydatów. Dzięki temu Roosevelt zwyciężył czterokrotnie — rzecz bez precedensu w dziejach USA — choć miał przeciwko 90% prasy i większość faszyzującego się coraz gwałtowniej wielkiego kapitału. Dzięki temu zwyciężył Truman uznany przez wyborców za „mniejsze zło".

A widmem, które spędza sen z oczu politykierom amerykańskim, bossom i innym menerem partyjnym, jest lęk przed nadejściem chwili, gdy wyborca przestanie zadowalać się mniejszym złem i sięgnie zdecydowanie po własne dobro. Lęk zrozumiały przed zbliżaniem się nieuchronnego przełomu. To właśnie jest kwintesencją dzisiejszej rzeczywistości politycznej wewnątrz USA.

**Julian Stawiński**

# KSIĄŻKI NADESŁANE

MARKSIZM — LENINIZM

**Fred Oelssner** — Marksizm współczesny i jego krytycy. Przekł. z niem. Jana Andrzeja Ziemilskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 255 i 1 nlb.

PROZA

**Gunnar Adolfsson** — Kraj, który czeka. Przekł. ze szwedzk. Witolda Nowickiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 272 i 2 nlb.

**Bohdan Czeszko** — Pokolenie. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 246 i 2 nlb.

**Irén Egry** — Fabryka budzi się. Przekł. z węg. Jadwigi Nowosielskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 187 i 1 nlb.

**Howard Fast** — Zamach na Robesona. Przekł. z ang. Alfreda Liebfelda. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 152 i 3 nlb.

**Poreira Gomes** — Chłopcy z cegielni. Przekł. z portug. Heleny Czajki. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 159 i 3 nlb.

**Wasilij Grossman** — Kucharka. Przekł. z ros. Bogdana Butryńczuka. Cykl: Książka nowego czytelnika. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 125 i 2 nlb.

**Józef Ignacy Kraszewski** — Dola i niedola. Powieść z ostatnich lat XVIII wieku. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Tom I i II — str. 289 i 1 nlb., Tom III i IV — str. 256 i 2 nlb.

**Stanisław Lem** — Astronauci. Powieść fantastyczno-naukowa. „Czytelnik", Warszawa. 1951. Str. 334 i 3 nlb.

**Tsao Ming** — Źródło siły. Przekł. z ros. Wandy Jankowskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 153 i 2 nlb.

**F. Nasiedkin** — Wielka rodzina. Przekł. z ros. Haliny Rogalowej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 459 i 2 nlb.

**Aleksy Nowikow-Priboj** — Cuszima, księga II. Przekł. Władysława Broniewskiego. Wyd. nowe. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 520 i 1 nlb.

**Katharine S. Prichard** — Skrzydlate ziarna. Przekł. z ang. Tadeusza Jana Dehnela. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 401 i 2 nlb.

**Romain Rolland** — Dusza zaczarowana. Tom IV — Zwiastunka, księga pierwsza — Śmierć jednego świata. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 382 i 2 nlb.

**Adam Scharrer** — Syn pasterza. Przekł. z niem. Jadwigi Kalkhoff. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 319 i 3 nlb.

**Julian Stryjkowski** — Bieg do Fregala. Ilustr. Renato Guttuso. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 356 i 2 nlb.

**Józef Weyssenhoff** — Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego. Wstęp Jana Szeląga. Biblioteka „Szpilek" Nr 19. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 251 i 3 nlb.

**A. Wołkow** — Dwaj bracia. Przekł. z ros. Zygmunta Stefańskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 482 i 2 nlb.

**Witold Zalewski** — Urodzaj. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 81 i 2 nlb.

**Antonin Zápotocky** — Burzliwy rok 1905. Przekł. z czesk. Wacława Madejskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 365 i 3 nlb.

— Przyjdą nowi bojownicy. Przekł. z czesk. Andrzeja Piwowarczyka. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 179 i 3 nlb.

**Stefan Żeromski** — Popioły. Powieść z końca XVIII i początku XIX wieku. Posłowie Kazimierza Wyki. Ilustracje Antoniego Uniechowskiego. Krytyczne przygotowanie tekstu przeprowadził zespół członków seminarium historii literatury polskiej U. J. pod kierownictwem prof. dra Stanisława Pigonia. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Tom I — str. 277 i 2 nlb.; tom II — str. 288 i 2 nlb.; tom III — str. 321 i 2 nlb.

— Walka z szatanem. Powieść. Ilustr. Krzysztofa Henisza. Posłowie Ewy Korzeniewskiej. Krytyczne przygotowanie tekstu przeprowadził zespół członków seminarium historii literatury polskiej U. J. pod kierownictwem prof. dra Stanisława Pigonia. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Tom I — Nawracanie Judasza — str. 310 i 1 nlb.; tom II — Zamieć — str. 242 i 1 nlb.; tom III — Charitas — str. 380.

POEZJA i DRAMAT

**Thai Dian Czun** — Na południe od 38 równoleżnika. Sztuka w trzech aktach, pięciu obrazach. Język oryg. koreański. Z przekł. ros. tłum. Bronisław Troński. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 76 i 2 nlb.

**Jan Koprowski** — Pejzaże polskie. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 70 i 4 nlb.

**Edward Kozikowski** — Mowa ludzka. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 45 i 3 nlb.

**Zdzisław Skowroński i Józef Słotwiński** — Dwa tygodnie w „raju". Komedia w trzech aktach. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 109 i 3 nlb.

**Julian Tuwim** — Piórem i piórkiem. Ilustr. Eryk Lipiński. Biblioteka „Szpilek" Nr 18. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 216 i 5 nlb.

HISTORIA I PUBLICYSTYKA

**Albert Soboul** — Rewolucja Francuska 1789—1799. Przekł. z franc. Pawła Hertza. Terminologię historyczną ustalił dr Witold Łukaszewicz. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 298 i 3 nlb.

**A. Svoboda, A. Tučkova i V. Svobodová** —Spisek przeciw Republice. Przekł. z czesk. Andrzeja Piwowarczyka. „Czytelnik", Warszawa, 1951, Str. 225 i 4 nlb.

LITERATURA NAUKOWA

**Piotr Biegański** — Pałac Staszica siedziba Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Nakł. Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, z zasiłku Ministerstwa Szkół Wyższych i Nauki, Warszawa, 1951. Str. 170 z ilustr. i 1 nlb.

**Bogdan Suchodolski** — Rola Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk w rozwoju kultury umysłowej w Polsce. Nakł. Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, z zasiłku Ministerstwa Szkół Wyższych i Nauki, Warszawa, 1951. Str. 205.

GEOGRAFIA I PODRÓŻE

**F. Litke** — Podróż naokoło świata. Przekł. z ros. I. Korala i Z. Stefańskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 504 i 2 nlb.

MUZYKA

Jan Sebastian Bach 1750 — 1950. Almanach pod red. prof. dr Zofii Lissy. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 175, 3 nlb. i ilustr.

FELIETONY

**Aleksander Ścibor-Rylski** — Dwanaście felietonów. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 114 i 3 nlb.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

**Marta Michalska** — Lato w Olszance. Ilustr. Mieczysława Kościelniaka. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 206 i 2 nlb.

**Janusz Minkiewicz** — Lenin w Poroninie. Ilustr. Mieczysława Kościelniaka. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 46 i 2 nlb.

Myśliwy Charibu. Zebrał i opracował A. Brindarow. Przekł. z ros. H. Powiadowskiej. Ilustr. J. Skarżyńskiego. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 132 i 2 nlb.

N. Nosow — Łatka. Opowiadania. Przekł. z ros. Jerzego Głuskiego. Ilustr. Marka Rudnickiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 33 i 3 nlb.

O czarodziejskim grochu (Baśń abisyńska). Ilustr. Stefana Styczyńskiego. Biblioteczka dla dzieci. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 15 i 1 nlb.

O skąpym bogaczu i sprytnym biedaku. Ilustr. T. Ulatowskiego. Biblioteczka dla dzieci. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 15 i 1 nlb.

Poznaj swój kraj. Biblioteka Szkoleniowa ZMP. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 28 i 2 nlb.

**Michał Priszwin** — Krople z drzew leśnych. Z notatnika. Przekł. z ros. Czesława Jastrzębiec-Kozłowskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 207 i 1 nlb.

**G. Skrebicki** — Przyjaciele mojego dzieciństwa. Przekł. z ros. Marii Kowalewskiej. Ilustr. J. M. Szancera. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 39 i 1 nlb.

**Zofia Wilska** — Ogródek na oknie. Ilustr. St. Damskiego. Biblioteka Harcerza. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 35 i 1 nlb.

**Jan Żabiński** — Spiżarnia mrówki. Ilustr. Zbigniewa Piotrowskiego. Biblioteczka dla dzieci. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 15 i 1 nlb.

SATYRA

**Heinrich Heine** — Statek niewolników. Wybór, wstęp i przypisy Artura Maryi Swinarskiego. Ilustr. Mai Berezowskiej. Biblioteka Szpilek, Nr 17. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 159 i 4 nlb.

Niemiecka satyra antyfaszystowska. Opracowali: Antoni Marianowicz i Edmunt Osmańczyk. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 143, 2 nlb. z ilustr.

Z wielkiego domu. Mała antologia szlachecka. Wstęp Jana Szeląga. Ilustr. Antoniego Uniechowskiego. Biblioteka Szpilek, tom 15. „Czytelnik", Warszawa, 1951, Str. 161 i 3 nlb.

ESSEY I KRYTYKA

**Jean Marcenac** — Urok sztana. Przekł. z franc. Julii Hartwig. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 58 i 2 nlb.

BUDOWNICTWO SOCJALISTYCZNE ZSRR I KRAJÓW DEMOKRACJI LUDOWEJ

**W. Karpiński** — O Konsaytucji Stalinowskiej. Fragmenty wierszy w tłum. Leopolda Lewina. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 267, 1 nlb. i 2 fotografie.

Osiągnięcia gospodarcze krajów obozu pokoju. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1952. Str. 189 i 2 nlb.

NAUKI SPOŁECZNO-POLITYCZNE I EKONOMICZNE

**Gracchus Babeuf** — Pisma Wybrane. Z przedmową, komentarzami i przypisami G. i C. Willard. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 112 i 4 nlb.

PAMIĘTNIKI, BIOGRAFIE, MONOGRAFIE, WSPOMNIENIA, LISTY

**Feliks Dzierżyński** — Listy do siostry Aldony poprzedzone wspomnieniami Aldony Kojałłowicz oraz Stanisławy i Ignacego Dzierżyńskich. Red. odpowiedz. Barbara Rafałowska. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 158, 1 nlb. i 1 fotografia.

**Erwin Bartz** — W jarzmie Wehrmachtu. Przekł. z niem. Jana Stefczyka. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 131 i 4 nlb.

**Samuel Fiszman** — Aleksander Hercen. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 83, 2 nlb. i 1 portret.

**Mario Montagnana** — Wspomnienia robotnika turyńskiego, tom II — Pod wodzą Togliattiego. Przekł. z włosk. M. Czerwińskiego i J. Grabowskiego. „Czytelnik", Warszawa. 1951. Str. 148 i 2 nlb

**Juliusz Nowak-Dłużewski** — Stanisław Konarski. „Pax", Warszawa, 1951. Str. 223.

**S. M. Pietrow** — Aleksander Puszkin. Życie i twórczość. Przekł. z ros. Haliny Juszczakowskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 131 i 3 nlb.

**Simone Téry** — Słoneczne serce. Przekł. z franc. Marcina Czerwińskiego. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 172 i 1 nlb.

**André Wurmser** — Okuty w powiciu. Przekł. z franc. Ireny Krzywickiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 193 i 3 nlb.

REPORTAŻE

**Olga Czeczotkina** — Wyzwolone Chiny. Przekł. z ros. Antoniego Korala. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 109 i 2 nlb.

**Maria Jarochowska** — Chleb i sól. Z chłopami u kołchoźników radzieckich. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 209 i 2 nlb.

**Paweł Jasienica** — Wisła pożegna zaścianek. „Pax", Warszawa, 1951. Str. 254 i 2 nlb.

**Egon Erwin Kisch** — Raj amerykański. Przekł. z niem. M. Wołczackiej i J. Mareckiej. Posłowie Stanisława Brodzkiego. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 281 i 2 nlb.

**Karol Małcużyński** — Nad Granicą Pokoju (Szlakiem wielkiej pracy i przebudowy). „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 182 i 2 nlb.

**Leopold Marschak** — Na zachód od Łaby też walczą o pokój. Notatki z Niemiec zachodnich. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej. Warszawa, 1951. Str. 218 i 2 nlb.

**Ralph Parker** — Anglia pod rządami Attlee. Przekł. z ang. Róży Czekańskiej-Heymanowej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 82 i 2 nlb.

**Edda Werfel** — W stolicy kapitalizmu. Wrażenia z podróży do USA. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 159 i 3 nlb.

FILM

**M. Biejman, M. Bolszincow i F. Ermler** — Wielki obywatel. Przekł. z ros. St. Strumph-Wojtkiewicza. Biblioteka scenariuszy filmowych, tom V. Filmowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, 1951. Str. 183 i 1 nlb.

Film w ZSRR. Historia, tradycje artystyczne, problemy dramaturgii. Filmowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, 1951. Str. 165, 2 nlb. i 2 fotografie.

**Jerzy Kawalerowicz i Kazimierz Sumerski** — Gromada. Biblioteka scenariuszy filmowych, tom IV. Filmowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, 1951. Str. 127 i 1 nlb.

**Edward Maszewski** — Przezrocze w szkole i świetlicy. Biblioteczka filmowa, Nr 4. Filmowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, 1951. Str. 67 i 4 nlb.

**Wiktor Ostrowski** — Kino w świetlicy. Rysunki Zofii Oberg i Haliny Wojciechowskiej. Biblioteczka filmowa, Nr 3. Filmowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, 1951. Str. 117 i 3 nlb.

**E. Pietrow i G. Munblit** — Antoni Iwanowicz gniewa się. Przekł. z ros. Władysława Roguskiego. Ilustr. Mariana Walentynowicza. Biblioteka scenariuszy filmowych, tom III. Filmowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, 1951. Str. 79 i 1 nlb.

**Aleksander Fiodorow** — Film w służbie nauki. Przekł. z ros. Gustawa Butlowa. Filmowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, 1951. Str. 31 i 1 nlb.

**Aleksander Ptuszko** — Tajemnice techniki filmowej. Przekł. z ros. Marii Aszer. Biblioteka Filmowa, Nr 1. Filmowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, 1950. Str. 39.

Rodzina Sonnenbrucków. Na podstawie filmu „Defy" zrealizowanego według sztuki „Niemcy" L. Kruczkowskiego opracował Tadeusz Kowalski. Scenariusz napisali: Georg C. Klaren, Leon Kruczkowski i Kurt Maetzig. Biblioteka scenariuszy filmowych, tom VIII Filmowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1951. Str. 110 i 2 nlb.

**Michał Romm** — Lenin w październiku. Przekł z ros. Leona Kaltenbergha. Biblioteka scenariuszy filmowych, tom VI. Filmowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, 1951. Str. 95 1 nlb. i 1 fotografia.

Skarb. Opowieść filmowa. Na podstawie filmu „Skarb" zrealizowanego wg scenariusza L. Starskiego i R. Niewiarowicza opracowała Halina Przeworska. Biblioteka scenariuszy filmowych, Nr X. Filmowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, 1951. Str. 135 i 1 nlb.

G. i S. Wasiljew — Czapajew. Przekł. z ros. Michała Machwica. Ilustr. Stanisława Kubickiego. Biblioteka scenariuszy filmowych, tom II. Filmowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, 1951. Str. 77 i 1 nlb.

Katarzyna Winogradska — Członek rządu. Przekł. z ros. Michała Machwica. Biblioteka scenariuszy filmowych, tom VII. Filmowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, 1951. Str. 103 i 1 nlb.

RÓŻNE

Andrzej Czaibowski i Jan Wassowski — Bitwa o szczęście. Cykl: Książka nowego czytelnika. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 194 i 2 nlb.

Karelo-Fińska Socjalistyczna Republika Radziecka. Album Nr 12. Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951.

Stanisław Komornicki — Wyzwolenie Kołobrzegu. Seria popularna komisji wojskowo-historycznej Ministerstwa Obrony Narodowej. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 100 i 2 nlb.

Adam Korta — Zarys historii radzieckiej sztuki wojennej w okresie wojny domowej w ZSRR (1918—1920 r.). Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 236 i 23 schematy (oprawione osobno).

Julian Lider — Czynniki zwycięstwa. O stałych czynnikach decydujących o wyniku wojny. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 159 i 3 nlb.

Mołdawska Socjalistyczna Republika Radziecka. Album Nr 13. Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951.

Jerzy Płażewski — Fotografowanie nie jest trudne. Wyd. II, rozszerzone. Filmowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, 1951. Str. 232 i 3 nlb.

Rocznik Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Rok XLIII 1950. Nakł. Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, z zasiłku Ministerstwa Szkół Wyższych i Nauki, Warszawa, 1951. Str. 230 i 1 fotografia.

N. Wierzilin — Podróż w krainę kwiatów. Przekł. z ros. J. Milenbanda. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 281 i 3 nlb.

Dr Tadeusz Zarecki — Socjalistyczna dyscyplina pracy. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 103 i 1 nlb.

807841/7 1223

## SPIS TREŚCI

Str.

Jerzy Andrzejewski — Nad wskazaniami Partii . . . . 3

Adam Ważyk — Droga pokoleń . . . . . 13

Anna Kamieńska — Gołębie . . . . . 15

Jan Huszcza — Powrót . . . . . 16

Stanisław Piętak — Zerwanie . . . . . 17

Jerzy Lau — Winobranie; Chińska grafika . . . . . 19

Wanda Karczewska — Miłemu mojemu; Pamięci brata . . 20

Igor Newerly — Pamiętnik z Celulozy . . . . . 21

Wojciech Żukrowski — W kamieniołomie . . . . . 74

Władysław Szremowicz — Wyrwane kły . . . . . 90

Z prac publicystycznych Jerzego Borejszy . . . . . 98

Mikołaj Gogol. Urywki z prac Bielińskiego . . . . . 127

Henryk Markiewicz — O realizmie „Faraona" . . . . . 134

WŚRÓD KSIĄŻEK: Hieronim Michalski — Adam Ważyk „Nowy wybór wierszy"; Henryk Bereza — Edward Marzec „Słońce wschodzi"; Włodzimierz Maciąg — Helena Bobińska „Zemsta rodu Kabunauri" . . . . . 147

TEATR: Zygmunt Greń — Na scenach śląskich; Stefan Treugutt —„Horsztyński" na scenie łódzkiej . . . . . 169

NA WIDNOKRĘGU: Krzysztof Wolicki, Józef Spinc, Julian Stawiński . . . . . 177

KSIĄŻKI NADESŁANE . . . . . 196

---

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65, centr. 7-52-50/52, wewnętrzny 2
Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50
Prenumerata i kolportaż: PPK „Ruch" Oddz. w W-wie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Pl. 3 Krzyży 16. Chmielna 25.
Cena zeszytu zł 3.60. Prenumerata kwartalna zł 10.80, półroczna — zł 21.60.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.